

NeoAddix
Jon Courtenay Grimwood
przełożyła Danuta Górska

Tytut oryginału: NeoAddix
Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA Warszawa 2003

1. RLex □□lorasn

Na zewnątrz wiatr był głównie niebieski - cienkie paski bladego błękitu, które wiły się pomiędzy budynkami nad rzeką, nitki łączące się ze sobą jak obwód elektryczny albo żyły w ludzkim ramieniu.

Dziewczyna zadrżała, pot spływał jej po twarzy, usta rozwarły się w długim bezgłośnym krzyku. Potem się obudziła.

Miała krew między udami. I na prześcieradle. I krwawą smugę niżej, z tyłu, na cienkiej białej nocnej koszuli.

Gdyby tylko żyła jej matka - albo ojciec. Albo gdyby poprzedni papież nie ogłosił, że ludzka fizjologia to nieodpowiedni temat dla dzieci szlchetnego rodu. Właściwie gdyby była kimkolwiek innym, nie jedyną wnuczką pomniejszego księcia, dorastającą samotnie w cesarskim Paryżu Napoleona V, wiedziałyby, że trzynaste lat to dość późno jak na pierwszą miesiączkę.

Lecz ponieważ była sobą, pozostała ignorantką. Dwudziesty drugi wiek stawiał na ignorancję.

Więc Maxine zrobiła to, co robiła zawsze, kiedy jakiś fakt ją zaskoczył: wsunęła wiekową dyskietkę Encyclopaedia Napoleónica do swojego sfatygowanego ROM-Readera Sony i wstukała „znajdź związki”.

Czytnik był starym tajlandzkim

retro silikonem, włącznie z miniaturową standardową klawiaturą, ale bynajmniej nie tak trudnym w obsłudze, jak niegdyś udawali producenci.

Zgodnie z procedurą dane miały się ukazywać na maleńkim ekranie ROM-Readera, ale Maxine się spieszyła, więc wciągnęła informacje prosto do mózgu, przewinąwszy je na wewnętrznej stronie powiek. Nie miała pojęcia, w jaki sposób wykonuje tę sztuczkę, ale nie martwiła się, dopóki to działało.

Szybko przeskanowała diagramy jajników, macicy, jajowodów - wchłonęła statystyki rozrodu, medyczne prawdopodobieństwa, skumulowaną historię antykoncepcji. Wyglądało na to, że poplamiona koszula nocna nie oznacza katastrofy. Jednak nie wykrwawia się na śmierć...

Później, kiedy ponownie zeskanowała hasło „menarche” i starannie ukryła zmatowiały srebrny krążek swojej ukradzonej dyskietki z Napoleoniką, podmyła się zimną wodą z dzbanka na marmurowej umywalce, używając kawałka flaneli. Potem zwinęła prześcieradło i wrzuciła je, razem z zaplamioną koszulą nocną, do wiklinowego kosza z brudami.

Przez ten czas Maxine de Pomerol Melusine zastanawiała się, czy powiedzieć dziadkowi o krwawieniu - i postanowiła nie mówić.

Zamiast tego po śniadaniu wezwie Razz. Co samo już powinno dostatecznie zirytować dziadka.

Nigdy nie przestawał się gorszyć, że jego cicha, pilna wnuczka szuka towarzystwa osoby stojącej o wiele niżej. Nie zdaje sobie sprawy, myślała gniewnie Maxine, kopiąc piętami o krawędź drewnianego łóżka, że ona i Razz mają tyle wspólnego - poczynając od wspólnej nienawiści do człowieka, który posiadał Razz, prawnika dziadka, pana Różańca.

Na szczęście dla Razz pan Różaniec spędzał wiele czasu w Meksyku, Japonii i Maghrebie, zbyt zajęty badaniem starych dokumentów, żeby się przejmować, czy Razz w domu nie narobi sobie kłopotów.

No i bardzo dobrze.

Może to być produkt uboczny srebrnej lustrzanej skóry, zabarwionej kadziowo w kosztownej klinice w Budapeszcie i dopasowanej do chromowego wykończenia jej starego zrekonstruowanego kawasaki 500i; a może chodziło o gniewny błysk w jej srebrnych owadzych szklach kontaktowych. W każdym razie Razz przyciągała kłopoty. Jak wszystkie egzotyki.

A ze swoją naramienną zbroją ze sztucznie wyhodowanej jaszczurczej skóry, nałożonej na oryginalną chrząstkę rekina, i z wirusowo wzmocnionym refleksem Razz zaliczała się do najbardziej egzotycznych spośród egzotyków.

Zabawka bogatych gnojków, jak mawiała sama Razz.

Maxine westchnęła ciężko. Krew menstrualna, organy rozrodcze - teraz przynajmniej rozumiała teorię. Ale tak naprawdę potrzebowała rady w sprawach praktycznych, a jeśli ktoś znał się na tych sprawach, to właśnie Razz...

Dziewczyna ponownie odpłynęła w sen i otoczył ją znajomy biały szum, niczym elektryczna zamieć śnieżna lub ROM-wideo puszczone szybko do tyłu. Wirując, spadała przez kłęby bieli w stronę miasta, którego nigdy nie odwiedziła, lecz oglądała noc po nocy w snach.

Londyn przed bombami ogniowymi, jakieś pięć czy sześć miesięcy temu. Zeszłego lata, kiedy zewnętrzny ciąg wysoko spiętrzonych slumsów jeszcze stał, w prymitywnym betonowym kontraście ze lśniącymi szklano-chromowymi enklawami zaibatsu na ich mili kwadratowej. Teraz wieże slumsów oczywiście już runęły, ich mieszkańcy zostali spaleni przez fanatyków z Frontu Krajowego Odrodzenia.

dokumentów, żeby się przejmować, czy Razz w domu nie narobi sobie kłopotów.

No i bardzo dobrze.

Może to był produkt uboczny srebrnej lustrzanej skóry, zabarwionej kadziowo w kosztownej klinice w Budapeszcie i dopasowanej do chromowego wykończenia jej starego zrekonstruowanego kawasaki 500i; a może chodziło o gniewny błysk w jej srebrnych owadzych szklach kontaktowych.

W każdym razie Razz przyciągała kłopoty. Jak wszystkie egzotyki.

A ze swoją naramienną zbroją ze sztucznie wyhodowanej jaszczurczej skóry, nałożonej na oryginalną chrząstkę rekina, i z wirusowo wzmocnionym refleksem Razz zaliczała się do najbardziej egzotycznych spośród egzotyków.

Zabawka bogatych gnojków, jak mawiała sama Razz.

Maxine westchnęła ciężko. Krew menstrualna, organy rozrodcze - teraz przynajmniej rozumiała teorię. Ale tak naprawdę potrzebowała rady w sprawach praktycznych, a jeśli ktoś znał się na tych sprawach, to właśnie Razz...

Dziewczyna ponownie odpłynęła w sen i otoczył ją znajomy biały szum, niczym elektryczna zamieć śnieżna lub ROM-wideo puszczone szybko do tyłu. Wirując, spadała przez kłęby bieli w stronę miasta, którego nigdy nie odwiedziła, lecz oglądała noc po nocy w snach.

Londyn przed bombami ogniowymi, jakieś pięć czy sześć miesięcy temu. Zeszłego lata, kiedy zewnętrzny ciąg wysoko spiętrzonych slumsów jeszcze stał, w prymitywnym betonowym kontraście ze lśniącymi szklano-chromowymi enklawami zaibatsu na ich mili kwadratowej. Teraz wieże slumsów oczywiście już runęły, ich mieszkańcy zostali spaleni przez fanatyków z Frontu Krajowego Odrodzenia.

Oczywiście metaNacjonale okazały się twardsze. I dlatego nadal trzymały się mocno swojej kwadratowej mili, ze statusem europejskiego wolnego portu finansowego. Maxine wiedziała o tym wszystko, obejrzała miniserial z Sonią Macmillan na CySat C3N pewnego wieczoru w kuchni Razz, kiedy pan Różaniec wyjechał.

Wciąż spadała, ale teraz tak wolno, że wcale nie czuła upadku. Jak co noc, opuszczony dworzec kolejowy znajdował się dokładnie pod nią, nieco odsunięty od leniwej szarej rzeki; z kopulastym dachem jak mozaika popękanego zielonego szkła i rdzewiejących stalowych dźwigarów.

Pomiędzy pustymi bocznkami dworca Waterloo a szerokim na pięćdziesiąt stóp i długim na milę pasem nadbrzeżnych ruder, zwanym Bulwarem Tamizy, leżała rozległa, ogrodzona parcela budowlana. Na zachodnim krańcu parceli jakiś człowiek opierał się bezwładnie o drzwi szopy. Wyglądał dziwnie. I jak zwykle początkowo Maxine nie całkiem rozumiała, na czym to polega.

Potem sobie przypomniała.

Człowiek został ukrzyżowany.

E. Nduulj walc śmierci

Lecz to ukrzyżowanie już się zestarzało, wypadło z obiegu. Zakodowane gdzieś, obrastało binarnym odpowiednikiem kurzu w banku danych CySat C3N.

Kiedy Maxine spała, dzisiejsze wieczorne wiadomości powstawały bliżej domu, na brzegach Sekwany, gdzie czas zamarł, a potem zatrzymał się dla paryskiego trampa Louisa Lepana, bo stalowe paznokcie sięgnęły do jego gardła.

Przynajmniej dzisiaj nikłego blasku gwiazd nie zaćmiewał obrotowy hologram Coca Coli ani neonowy krzyż i podwójna helisa Kościoła Genetyków Chrystusa. Terrorysty komunardzi wysadzili w powietrze podstacę na Rue Jacob i przywołali ciemność.

Książę uśmiechnął się, wyszczerzył zęby jak trupia czaszka. Przynajmniej on cieszył się z dzisiejszej przerwy w dostawie prądu... Palce Księcia szybko przebity pierścieniową chrząstkę, objęły cienką, skrzywioną kolumnę kręgosłupa w szyi trampa i złamały ją jak patyk.

Lepan upadł - drgająca kupa brudnych łachmanów, na rozdartym gardle jaskrawy szal, którego końce spływały na bruk i roztopiały szron na swojej drodze. Smród opróżnionych wnętrzności zmieszał się opornie z bogatszą, ciemniejszą wonią - słonym znakiem krwi.

1

- Bierzcie i pijcie.

Głos zabójcy brzmiał ironicznie, lodowaty jak zimowy wiatr, który obmacywał nagie drzewa wzdłuż brzegu rzeki. Ale to nie miało znaczenia dla kociaka, którego wywołał z cienia. Szkielecik, ledwie garstka kości okryta zmierzwionym futerkiem, przemknął obok butów Księcia w stronę szybko stygnącej kałuży.

Książę uśmiechnął się i pochylił, żeby pogłaskać zagłodzone zwierzątko. Ciało kaprała Louisa Lepana, weterana setki komandoskich rajdów w południowym Maghrebie, a później bezdomnego, bezradnego paryskiego pijaka, leżało jak kawał martwego mięsa. Poznaczona dziobami, inkrustowana brudem twarz nie wyrażała grozy czy strachu. Tylko pijackie zdziwienie, że śmierć przyszła w takiej postaci, że w ogóle nadeszła.

Prawie bez udziału świadomości Książę pozwolił, żeby jego srebrne szpony zrekonstruowały się atom po atomie, indywidualne nanity przepłynęły szybko po grzbiecie dłoni i ponownie uformowały się w ciężką srebrną bransoletę. To była jego piąta ofiara w ciągu dziewięciu miesięcy. Odczuwał pokusę, żeby polować dalej. Później będzie miał dosyć czasu, teraz nie należało przyciągać uwagi niepożądanych osób...

Książę parsknął ubawiony tym, że w myślach wciąż używa kwiecistych zwrotów z wytwornego towarzystwa, nawet kiedy stoi nad cuchnącym trupem.

Potrzebował tylko praktyki - a tego nie zabraknie. Nieważne, jak często policja przeganiała nieSocjalów poza périphérique, sześciopasmową obwodnicę miejską - ludzkie wraki zawsze znajdowały drogę powrotną.

Każdy wysmarowany gównem łuk mostu, każdy zapuszczony cmentarz i zabity deskami parking miały swój nieproszony kontyngent brudnych, bezdomnych, wydziedziczonych. I jak dotąd żaden nie był poszukiwany. Z pewnością nie

1E

przez préfecture impérial, która miała pilniejsze sprawy niż zaszlachtowani włóczędzy.

Trzymając się cienia, Książę szybko wędrował wąskim nadbrzeżnym chodnikiem pod Pont des Arts. M-falowe kamery śledcze obserwowały każdy jego ruch, ponieważ zawsze obserwowały wszystkich, ale nie rejestrowały jego obecności. Wychwyciły jedynie przezroczysty, rozmazany cień, kiedy atomy jego ciała zmieniały częstotliwość w szybkiej i przypadkowej kolejności. Na tym między innymi polegała przewaga Księcia nad przedstawicielami czystej rasy ludzkiej.

Po lewej stronie miał litą srebrną powierzchnię Sekwany, po prawej wysoki mur z ferrobetonu prowadzący w ciemność. Nad głową bazylika gwiazd ostro błyszczała na smoliście czarnym zimowym niebie - kolejna korzyść z dzisiejszej przerwy w zasilaniu.

Elegancki retro hover mitsubishi przemknął bezgłośnie obok Księcia nad cymmetryjską powierzchnią rzeki, głośniki Sanyo dudniły hipnotycznym rytmem tokijskiego rapu. Bogaci japońscy turyści albo czarne jedwabne garnitury z jakiegoś zaibatsu. Jeden z nich zaczął machać ręką, potem przestał zdumiony, kiedy chudy widz na brzegu nagle jakby się rozpułnął.

Z lekkim uśmiechem Książę patrzył, jak hover pędzi dalej w dół rzeki, na całonocne noworoczne przyjęcie w Lasku Bulońskim.

Z odległego drugiego brzegu doleciały ochryple, wrzaskliwe śmiechy, a potem cienki, nieludzki krzyk, nagle zdławiony. Po chwili wstrząsającej ciszy rozległy się szydercze wiwaty. Studenci z L'Ecole des Beaux Arts, spici jak bele jakąś zabójczą dreksiakową mieszanką etanolu i syntetycznego anyżku. Wszystko wskazywało na kolejny lincz.

Dymnoszary helikopter zawisł nad quartier, surowe logo CySatu C/S świeciło na boku pleksiglasowej kabiny pilota.

13

Oczywiście CySat nie musiał zatrudniać prawdziwego pilota. Bezzałogowy Aero-Spatiale K119 wypełniłby swoje zadanie równie dobrze, jeśli nie lepiej. Ale widzowie lubili myśleć, że tam w górze jest prawdziwa kobieta, która dla nich naraża się na kule i walczy z kaprysmi pogody. A CySat nie mógł ryzykować fałszowania zdjęć z jakąś gadającą głową Lotus-morphu.

Pod helikopterem podwieszono jak kikut działa automatyczną trójwymiarową holokamerę Zeissa, zaprogramowaną na wyłapanie w podczerwieni każdego ruchu na dole. W ten sposób powstawały wieczorne wiadomości.

Trzy dni wcześniej oddziały uderzeniowe z Compagnie Impériale de Sécurité zdławiły ostatnie zamieszki na Sorbonie w rytualnej orgii przemocy, osiągnąwszy najwyższy wskaźnik oglądalności w historii CySatu; a jednak Pierre Nexus, cesarski minister spraw wewnętrznych, został już zmuszony do ustępstw, czyli do podwojenia liczby rządowych nanotechnicznych ograniczonych funkcyjnie kompilatorów żywności - osławionych dreksiaków. W ciągu ostatnich trzech godzin wymuszono na nim nawet obietnicę, że przestanie zrywać siatkę nielegalnych zasilaczy CySatu, które oplatały jak pajęczyna bloki mieszkalne rozciągnięte pierścieniem poza périphérique.

Jeśli citoyens chcieli oglądać CySat, to Pierre Nexus zamierzał dopilnować, żeby oglądali to, co chciał im pokazać. Potrzebował silnych wizualnych bodźców, żeby zamaskować swój upadek. A CySat chętnie ich dostarczał - nawet nie-płacącym widzom. (Zwykły komercyjny zdrowy rozsądek, jeśli wziąć pod uwagę czterdzieści osiem procent udziałów CySatu w obecnym francuskim rządzie).

W dole rzeki, tuż za 120-woltową elektryczną bramą uliczną, która odgradzała niechętnie tolerowaną dziedziczną anarchię Quartier Latin, zabłyśły światła, kiedy miejskie zasilanie nagle powróciło, rozjaśniając wielkie okrągłe okna Musée Napoleon,

1U

tTJk

barokowego dworca kolejowego zmienionego w nieprzyzwoicie bogatą galerię sztuki.

Trwało tam noworoczne soiree. Północnoafrykańscy dyplomaci w strojnych mundurach, amerykańscy dyrektorzy w jedwabnych garniturach, szyszki z Yakuzy i gwiazdy CySatu, wszyscy uprzejmie ustawiali się po ciemku w kolejce, żeby podziwiać najnowszą zdobycz cesarskiej kolekcji - Warhola ze środkowego okresu.

Książę uśmiechnął się lekko. Istniała „sztuka” i istniała Sztuka. Jego sztuka była najczystsza ze wszystkich, on zaś niewątpliwie był najstarszym, największym mistrzem.

Nad jego głową słynny laserogram Coca Coli zapalił się w połowie sekwencji, wyprzedzając o ułamek sekundy równie słynny półmilowej wysokości neonowy znak handlowy Genetyków, oparty na wieży Eiffla. Paryska noc powoli zabarwiła się na pomarańczowo, aż gwiazdy zbladły i ciemne niebo zakrzepło w kopułę odbijającą światła ulicznych latarni.

Ostry wiatr szarpał ciężki jedwabny płaszcz Księcia, łopoczący za nim jak przyjazny cień. Książę był szczęśliwy, że wrócił na swój teren, że znowu zabija. Upłynęło dużo czasu, zbyt dużo od jego ostatnich myśliwskich wypraw w tę okolice, gdzie czuł się jak w domu... na brzegi Sekwany nocą. Oto był jeden z cudów tamtego świata. Czarna, pusta przestrzeń wyszczerbionego bruku i karłowatego rajgrasu, nawiedzana przez łasice i zdziczałe koty. Tereny łowieckie sów, które bezgłośnie nadlatywały z cmentarza Pere Lachaise, wytrzeszczając oczy tylko trochę gorzej przystosowane do ciemności niż jego wzrok.

Stworzenia ludzkie na ogół miały dość rozsądku, żeby unikać tego miejsca.

Po mokrych jezdniach, biegnących wysoko po obu brzegach rzeki, pełznął sznur samochodów i dieslowskich hove-rów, wyły silniki, zgrzytały skrzynie biegów. Kierowcy, pijani,

niecierpliwi albo po prostu nieodpowiedzialni, przebijali się przez mżawkę późnej sobotniej nocy. Podobnie jak osobiste kompilatory materii, autokierowanie było nielegalne w granicach miasta; wyjątek stanowili zarejestrowani szlachcice. Kolejny bezsensowny cesarski edykt.

Cały Paryż spieszył się, pędził. Oprócz niego, Księcia, tutaj na dole, gdzie mógł spacerować i podziwiać zimną, wirującą wodę.

Książę powoli przesunął się w przód, ciasno przywierając do muru. Chwilowo przytępił ostrość nocnego wzroku i zwiększył dopływ krwi do swojego olfaktorycznego nabłonka. Nieco większy od paznokcia kciuka, umiejscowiony w jamie nosowej, o szorstkiej powierzchni pokrytej trzydziestoma pięcioma różnymi typami sensorów - pięć typów więcej niż normalnie. Molekuły zapachowe przyniosły mu woń czegoś ciepłego i pospolitego, nową woń i nowy głód.

Na górze, ukryta przed M-falowymi kamerami w niszy pod grubym kamiennym łukiem następnego mostu, leżała para ludzi, zajętych tylko sobą. Błysk rozbawienia przemknął przez chudą twarz Księcia. Stulecia przemijają, ale przynajmniej niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Książę zwęszył ich pragnienie dużo wcześniej, zanim ich usłyszał.

- Marc... o Boże, zerznij mnie... - mówiła ochryplym głosem młoda Amerykanka. W ciemnościach nad nią krępy francuski chłopak z krótko ściętymi włosami i tatuażem gangu jedną ręką rozpiął pas. Druga ręka, o lepkich sondujących palcach, tkwiła głęboko między wilgotnymi udami dziewczyny. Głód zakotysał Księciem, przeszywający jak błyskawica. Oboje byli młodzi, nie żadni włóczędzy. Dzieciaki, które szukały spokojnego miejsca na ruję.

IB

Dziewczyna miała jakieś piętnaście lat. Ciemnowłosa, prawie ładna z tymi wypukłymi policzkami i tępo-niewinną wiejską twarzą... Chociaż teraz wcale nie wyglądała niewinnie: głowa odrzucona do tyłu, powieki mocno zaciśnięte, wyświechtana kurtka chłopaka z emblematem gangu wsunięta pod jej nagie pośladki.

Rozpięta biała bluzka i podciągnięty stanik odsłaniały pulchne, dojrzewające piersi zakończone dużymi bladymi sutkami. Supermiękkka lawendowa bawełna włoskiej spódnicy Comme des Garçons była zrolowana na nagich biodrach.

Dziewczyna miała długie nogi o twardych mięśniach, typowe dla amerykańskiej nastolatki, opalone od wzmacniaczy mela-niny i wygładzone radiofalową elektrolizą. Kolana rozwarłe, ciało gotowe.

Cuchnęła wspaniale solą i krwią, niskocząs-teczkowymi kwasami, które sygnalizowały pot i pożądanie.

Ale coś jeszcze pobudziło głód Księcia, spotęgowało do nagiej żądz. Coś, czego arogancki, zarozumiały chłopak jeszcze nie wiedział. Coś, co Jennifer Mayer chciała mu powiedzieć.

Marc Levine nawet się nie rozbierał. Nie miał ochoty. Była zima, prawie północ, i już mu nie zależało, żeby zrobić wrażenie na Amerykance. Nie musiał się starać. Przeleciał ją już przedtem. W ostatnich dniach to była dla niego zwykła wymiana: -ona rozkładała nogi, on dawał jej prochy.

Wystarczyło, że opuścił do kostek swoje wytarte lewisy 501.

Co innego, gdyby dziewczyna była biedna albo przynajmniej nie była Amerykanką. Wtedy mógłby trochę jej przyłożyć, zmusić, żeby dla niego żebrała, sprzedawała nielegalne chipy albo siebie. Ale ona nie była biedna, a kiedy zaproponował handel, tylko na niego popatrzyła.

Marc gniewnie wbił się w nią głęboko, a potem wycofał się, szczerząc zęby, kiedy jej rozcapierzone palce próbowały odnaleźć jego biodra.

17

Dziewczyna miała jakieś piętnaście lat. Ciemnowłosa, prawie ładna z tymi wypukłymi policzkami i tępo-niewinną wiejską twarzą... Chociaż teraz wcale nie wyglądała niewinnie: głowa odrzucona do tyłu, powieki mocno zaciśnięte, wyświechtana kurtka chłopaka z emblematem gangu wsunięta pod jej nagie pośladki.

Rozpięta biała bluzka i podciągnięty stanik odsłaniały pulchne, dojrzewające piersi zakończone

dużymi bladymi sutkami. Supermiękką lawendową bawełną włoskiej spódnicy Comme des Garçons była zrolowana na nagich biodrach.

Dziewczyna miała długie nogi o twardych mięśniach, typowe dla amerykańskiej nastolatki, opalone od wzmacniaczy mela-niny i wygładzone radiofaloną elektrolizą. Kolana rozwarłe, ciało gotowe. Cuchnęła wspaniale solą i krwią, niskocząs-teczkowymi kwasami, które sygnalizowały pot i pożądanie.

Ale coś jeszcze pobudziło głód Księcia, spotęgowało do nagiej żądz. Coś, czego arogancki, zarozumiały chłopak jeszcze nie wiedział. Coś, co Jennifer Mayer chciała mu powiedzieć.

Marc Levine nawet się nie rozbierał. Nie miał ochoty. Była zima, prawie północ, i już mu nie zależało, żeby zrobić wrażenie na Amerykance. Nie musiał się starać. Przeleciał ją już przedtem. W ostatnich dniach to była dla niego zwykła wymiana: ona rozkładała nogi, on dawał jej prochy. Wystarczyło, że opuścił do kostek swoje wytarte lewisy 501.

Co innego, gdyby dziewczyna była biedna albo przynajmniej nie była Amerykanką. Wtedy mógłby trochę jej przyłożyć, zmusić, żeby dla niego żebrała, sprzedawała nielegalne chipy albo siebie. Ale ona nie była biedna, a kiedy zaproponował handel, tylko na niego popatrzyła.

Marc gniewnie wbił się w nią głęboko, a potem wycofał się, szczerząc zęby, kiedy jej rozcapierzone palce próbowały odnaleźć jego biodra.

17

- Boże... - rozpaczliwie uniosta się ku niemu, jej słowa zlewały się w długi błagalny jęk. Śmieszyło go, że dziewczyna tak lubi seks.

Marc wyszczerzył zęby. Bogate gówniary są wszystkie takie same. Z uśmiechem wyższości chwycił cienkie nadgarstki Jennifer i brutalnie wykręcił jej ręce nad głową, aż całe ciało dziewczyny wyprężyło się pod nim.

Potem popatrzył na nią z góry.

- No, dalej - rozkazał. - Błagaj o to.

Błagała.

Właśnie wtedy Śmierć wyszła z cienia.

Chłopak wcale jej nie zobaczył, nawet się nie obejrzał. Chociaż i tak nie zrobiłoby to różnicy. Nic na świecie nie ocaliłoby Marca Levine'a od przeznaczonego mu losu.

Jednym straszliwym ciosem zabójca wbił ostre jak brzytwa szpony w plecy Marca. Krew zakipiwała czerwonym strumieniem wokół nadgarstka, sztywne palce sięgnęły do wciąż bijącego serca, odnalazły je i wyrwały czysto przez dziurę w plecach.

Martwe, lecz jeszcze wrzeszczące, buchające krwią z ust ciało Marca runęło w drgawkach na nagą dziewczynę. Jennifer widziała tylko przerażone oczy chłopca, zastygłe i patrzące prosto na nią.

Bełkocząc ze strachu, Jennifer wygramoliła się spod martwego kochanka, ochlapana jego krwią na piersiach i brzuchu. Otworzyła usta w bezgłośnym krzyku, który uwiązał jej w gardle. Rozpaczliwie próbowała cofnąć się przed nadchodzącą postacią, lecz miała zablokowaną drogę ucieczki.

Zabójca o tym wiedział.

Za jej plecami wygięta ściana przeszła kończyła się wielką polimerową bramą, zamykaną na czasowy zamek codziennie

IB

- Boże... - rozpaczliwie uniosła się ku niemu, jej słowa zlewały się w długi błagalny jęk. Śmieszyło go, że dziewczyna tak lubi seks.

Marc wyszczerzył zęby. Bogate gówniary są wszystkie takie same. Z uśmiechem wyższości chwycił cienkie nadgarstki Jennifer i brutalnie wykręcił jej ręce nad głową, aż całe ciało dziewczyny wyprężyło się pod nim.

Potem popatrzył na nią z góry.

- No, dalej - rozkazał. - Błagaj o to.

Błagała.

Właśnie wtedy Śmierć wyszła z cienia.

Chłopak wcale jej nie zobaczył, nawet się nie obejrzał. Chociaż i tak nie zrobiłoby to różnicy. Nic na świecie nie ocaliłoby Marca Levine'a od przeznaczonego mu losu.

Jednym straszliwym ciosem zabójca wbił ostre jak brzytwa szpony w plecy Marca. Krew zakipiła czerwonym strumieniem wokół nadgarstka, sztywne palce sięgnęły do wciąż bijącego serca, odnalazły je i wyrwały czysto przez dziurę w plecach.

Martwe, lecz jeszcze wrzeszczące, buchające krwią z ust ciało Marca runęło w drgawkach na nagą dziewczynę. Jennifer widziała tylko przerażone oczy chłopca, zastygłe i patrzące prosto na nią.

Bełkocząc ze strachu, Jennifer wygramoliła się spod martwego kochanka, ochlapana jego krwią na piersiach i brzuchu. Otworzyła usta w bezgłośnym krzyku, który uwiązał jej w gardle. Rozpaczliwie próbowała cofnąć się przed nadchodzącą postacią, lecz miała zablokowaną drogę ucieczki.

Zabójca o tym wiedział.

Za jej plecami wygięta ściana przeszła kończyła się wielką polimerową bramą, zamykaną na czasowy zamek codziennie

16

0 zachodzie słońca. Powinna tam również być M-falowa kamera śledcza - właściwie nawet była, ale zepsuta i co najmniej od pół roku nikt się nie pofatygował, żeby ją naprawić.

Właśnie dlatego Marc zawsze wybierał ten most. Dlatego zawsze z dumą uznawał ten łuk za swoją własność. Tylko jedna droga wejścia zmniejszyła ryzyko, że policja zaatakuje go z obu stron, oraz zapewniała Marcowi dostateczne odosobnienie, żeby handlować, terroryzować czy robić jeszcze coś innego z jakimś frajerem.

Owszem, inne gangi czasami grasowały nocą nad brzegami rzeki, ale nie przstraszyły Marca. Marc zawsze nosił przy sobie włoski szok-nóż o rękojeści z macicy perłowej, a poza tym przechwalał się, że nigdy niczego się nie boi.

Nosił również piracki czasoklucz do bramy, ale Jenny o tym nie wiedziała, a nawet gdyby wiedziała, nie miała szans go zdobyć. Spojrzała na zmasakrowane ciało i szloch przerażenia wydobył się z jej drżących ust. Potem podniosła wzrok na zabójcę Marca i szczęka jej opadła.

Śmierć ścisnęła w dłoni krwawiące serce Marca. Zabójca czekał, żeby dziewczyna skupiła na nim całą uwagę. Wtedy wystąpił do przodu i uprzejmie ofiarował jej krwawy ochłap mięsa.

Jennifer ze zgrozą pokręciła głową.

- Dziwne - powiedział zabójca głosem starym jak grzech

1 miękkim jak podłóż. - Myślałem, że najbardziej pragnęłaś jego serca.

Ciemne oczy uwięziły jej wzrok. Wydawały się odczytywać jej spłoszone, zmacone myśli.

- Nie? - Książę wzruszył ramionami. - Więc może chcesz, żebyśmy uwolnił cię od czegoś innego?

Jennifer cofała się, dopóki zamknięta brama nie naparła zimno i twardo na jej plecy.

Śmierć uśmiechała się. Straszny, zimny uśmiech, od którego ciarki chodziły po skórze. Ciemne oczy Śmierci płonęły teraz, przepalały na wylot splecione myśli dziewczyny, wprawiały w wirowanie cały świat.

Książę łagodnie dotknął jej twarzy. Jeden długi pazur lekko przesunął się po policzku w mrocznej pieszczocie. Jennifer wrzasnęła, kiedy jej skóra pokryta się bąblami i spalenizną od tego dotyku.

Zszokowana, ledwie poczuła dłoń pieszczącą jej brzuch, długie palce wpełzające w jej ciało. Coś ciepłego i lepkiego zaczęło ściekać po wewnętrznej stronie jej uda.

Jennifer spuściła wzrok, ale długie lśniące paznokcie już znikły. Widziała tylko cienki nadgarstek, wsunięty w jej wnętrze.

- Proście, a będzie wam dane - szepnął miękko głos. A potem Książę obdarzył ją uśmiechem.

Przeszył ją straszliwy ból. Coś rozdzierało ją od środka. Wszystkie mięśnie jej ciała zeszywniały w czystym, niewiarygodnym szoku. Wyła jak zwierzę, kiedy palce Księcia sięgały coraz głębiej, kiedy długie, giętkie szpony przenikały przez mięśnie i chrząstki, aż odnalazły nagrodę.

Przez kilka sekund, zanim umarła, widziała swoje nienarodzone dziecko, małe jak kocię, wyrwane z macicy.

Chuda postać smutno kiwnęła głową, popatrzyła na martwego nastoletniego alfonsa i znowu spojrzała na dziewczynę. Chłopak był bezwartościowy, ale ona była ładna. Całe jej zepsute,

uprzywilejowane życie nie miało sensu, marnowało się - aż do tej chwili.

Starannie, bardzo starannie Księżę owinał maleńki płód w białą jedwabną chustkę i włożył schludny tłumoczek do kieszeni płaszcza, która zamknęła się hermetycznie.

3. EncLjclapaEdiB NapolEnnica

Dziewczyna wzdygnęła się, kroplisty pot wystąpił jej na twarz, usta rozwarły się w długim bezgłośnym krzyku.

Potem się zbudziła.

Miała krew między udami. I na prześcieradle. I krwawą smugę niżej, z tyłu, na białej nocnej koszuli.

Tylko że kiedy spojrzała ponownie, nie zobaczyła żadnej krwi. Na dworze był dzień, a ona miała na sobie starą bawełnianą bluzę - poplamiona koszula nocna leżała zwinięta w kłęb tam, gdzie ją wrzuciła, w wiklinowym koszu na brudną bieliznę.

Na dworze padał deszcz, wielkie srebrzyste kałuże pokrywały brukowany kocimi łbami dziedziniec Hotel Sabatini, paryskiego domu jej dziadka. Za ciężką kamienną bramą poranna barka pchała w dół rzeki długi zardzewiały ładunek kontenerów ze sprasowanymi odpadkami do dekonstruktora materii EC w Trynan. Po drugiej stronie Sekwany południowy brzeg był cichy i chociaż raz wyludniony.

Nienawidziła niedzieli.

Maxine wygramoliła się z łóżka, splotła swoje długie czarne włosy w jeden gruby warkocz, tak ciężki, że przyprawiał ją o ból głowy, i spojrzała na swoją twarz w starym ściennym lustrze. Po miesiącach nocnych koszmarów powinna chyba

EI

wyglądać szczupłej? Ale nie wyglądała. Policzki wciąż miała zbyt pełne, kości policzkowe praktycznie niewidoczne. Linia szczęki była ciężka, podbródek wysunięty. A skóra wciąż miała ten sam monotony oliwkowy odcień, rezultat zmieszanego DNA Sycylijczyków, krzyżowców i Arabów.

Nawet nos za bardzo wystawał w zestawieniu z miękkimi, raczej nadąsanymi ustami. Maxine często marzyła, żeby się poddać kompletnej przebudowie, nawet jeśli to wulgarnie. Dlaczego nie mogła być strzelistą Masajką o hebanowej skórze, wysokim czole i idealnych piersiach albo chuda jak patyk tajską dziewczyną? Ale mieszkała w cesarskiej Francji, gdzie takie rzeczy były technicznie nielegalne. A zresztą, jak dziadek nieznużenie powtarzał, ludzie z jej pozycją nie robili takich rzeczy.

Oczywiście zwykła chirurgia mogła pomóc, ale dziadek o tym również nie chciał słyszeć.

- I tak jesteś piękna - mówił jej prawie codziennie. Jakby jego wiara mogła odmienić pulchną, jąkającą się dziewczynę, którą widywała w lustrze każdego ranka.

Maxine westchnęła. Nie była ładna, nawet nie była atrakcyjna, i w dodatku biedna. Co wydawało się jednocześnie absurdalne i niesprawiedliwe. Jej prababka była dziedziczką Krzemowej Doliny w piątym pokoleniu, jej babka była piękną kalifornijską gwiazdą wideo w czasach, kiedy seriale zatrudniały jeszcze prawdziwe aktorki - dużo wcześniej, zanim CySat Gmb udoskonalił gadające głowy Lotusmorpha czy Sony skomercjalizował SimNet.

Maxine nie miała pojęcia, dlaczego nie pamięta matki ani ojca. Ani dlaczego, skoro babcia pochodziła z Van Damme'ów, dziadek najwyraźniej nie miał ani jednego kredytu na swoje nazwisko - i udawał, że nie pamięta.

EE

- Ona jest chora - Razz poinformowała sarkastycznie Księcia, kiedy wreszcie zeszła na dół z sypialni Maxine, niosąc kłęb prześcieradeł.

Starzec poważnie kiwnął głową.

- Słodki Jezu pierdolony - syknęła Razz do Philippe'a, kiedy stary człowiek pokuśtykał z powrotem do gabinetu. - Czy ten stary przyk niczego jej nie nauczył?

Wyraz księżycowej twarzy lokaja oscylował pomiędzy obawą a wściekłością. Razz wyszczerzyła ceramiczne zęby, nienaturalnie białe i ostre.

- Założył tu podsłuch, co?

Omiotła wzrokiem imponujący hol ze zbrojami, gobelinami i marmurową posadzką, jakby szukała zdradzieckich śladów. Ale pomimo wszelkich wiralnych wzmocnień, nie potrafiła wykrywać elektronicznych sygnałów - chociaż Philippe o tym nie wiedział. Nowoczesną chirurgię wybiórczą traktował z lęklwym podziwem technowieśniaka.

Pager Matsui wszczepiony w nadgarstek Philippe'a zabrzączał tak nagle, że korpulentny lokaj podskoczył. Razz patrzyła, jak przyswaja przewijaną wiadomość, jak porusza wargami, starannie odczytując każde słowo.

- Opuściła mszę - oznajmił ze zdumieniem.

- Mam nadzieję, kurwa - burknęła Razz i wyszczerzyła zęby, kiedy na twarzy Philippe'a znowu pojawiła się wściekłość zmieszana z obawą.

Publiczną mszę nadawano w każdy niedzielny poranek z Notre Dame i transmitowano na wszystkich ziemskich kanałach. Teraz obecność była obowiązkowa dla wszystkich szlachetnie urodzonych, odwiedzających Paryż, i wymagana dwa razy w miesiącu od wszystkich posiadających licencję na stały pobyt. Tylko głupcy albo ludzie bardzo potężni, mawiał Książę, próbują się wykręcać od religijnych obowiązków. I nawet kiedy dokuczała mu gorączka, sumiennie zjawiał się co tydzień.

23

Plotka głosiła, że Bank Watykański hojnie płaci Księżu Cesarzowi za popieranie tego właśnie prawa. Głosiła również, że jest to ostatnia szansa Watykanu na złamanie ewangelicznej potęgi Kościoła Genetyków Chrystusa.

Razz, która zawsze ceniła uliczne pogłoski wyżej niż informacje podawane w mediach, nie wierzyła, że to odniesie skutek. Kto by chciał razem z papieżem czekać na Drugie Przyjście, skoro według Genetyków można było poskładać Syna Bożego na zwykłej szalce Petriego...?

Kiedy Philippe oznajmił niemal przeproszającym tonem, że Książę polecił, by Razz kupiła co trzeba dla Maxine i obciążyła jego rachunek, ta tylko prychnęła.

Nie było żadnego rachunku. Nawet Maxine o tym wiedziała. W tym sensie zakupy stanowiły przeżytek. Biedni ubierali się i jedli pomyje z kontrolowanych przez państwo, limitowanych budek Drexlera. Tylko szlachta mogła posiadać w pełni funkcjonalne kompilatory materii, ale oczywiście traktowała dreksiaki z pogardą, ponieważ mogła jeść i nosić prawdziwe rzeczy - wyhodowane lub wytworzone w sprawnie zarządzanych i jeszcze sprawniej strzeżonych rodzinnych posiadłościach. Książę oczywiście nie miał kompilatora materii, podobnie jak nie miał rachunku ani własnej posiadłości. Czasami Razz zastanawiała się, z czego w ogóle się utrzymywał.

Pogardliwie przyjęła od Philippe'a garść zmiętych, niemal bezwartościowych banknotów dziesięcioletnich frankowych i ostentacyjnie sprawdziła, czy ma przy sobie w połowie pełny chip kredytowy. Miała.

Minutę później Philippe usłyszał ryk jej motoru i pisk neo-prenowych opon, kiedy wykonała zuchwały kontrolowany poślizg na mokrym bruku dziedzińca. Kłopot z egzotykami polegał na tym, że trudno było narzucić im dyscyplinę. Można było zagrozić im sprzedażą - chociaż to nie zawsze działało,

EU

a większość właścicieli inwestowała w taki rodzaj zabarwienia, który gwarantował stratę finansową - albo zastosować surową chłostę.

Jak słyszał Philippe, pan Różaniec od początku korzystał z tego przywileju...

Ale to Razz opuściła bezpieczne, higienizowane centrum Paryża i pognęła z rykiem na pchli targ zwany Malik w Porte de Clignancourt. Tam znalazła dla Maxine staroświecką bawełnianą koszulę nocną, jeszcze zapakowaną w poźółkły celofan z etykietką Samaritaine. I to Razz usiadła na brzegu łóżka Maxine i za pomocą nieporadnych, zakłopotanych słów oraz slangu, jakiego Maxine nigdy jeszcze nie słyszała, wyjaśniła, dlaczego kobiety krwawią.

Lecz wyjaśnienie Razz było tak zagmatwane, że po jej wyjściu Maxine włączyła swojego sony i ponownie wywołała Napoleonkę, żeby sprawdzić, czy nie przekręciła żadnych faktów za pierwszym razem. Nie przekręciła.

Właściwie to nie wydawało się takie dziwne.

Maxine zerknęła w stronę lustra i westchnęła, zadowolona, że Razz wreszcie poszła. Wprawdzie Razz była starsza tylko o cztery lata, ale była egzotykiem, zabawką pana Różańca. Nic dziwnego, że miała bardziej mroczną, bardziej prymitywną wizję życia...

Maxine rozdarła celofan, wytrząsnęła koszulę nocną i zdumiała się grubością tkaniny. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio dostała coś zupełnie nowego. Coś na własność.

Oczywiście Razz sprawiła jej przyjemność. Ale jednocześnie, pomyślała Maxine ze smutkiem, Razz niczego nie rozumiała. A Maxine nie umiała wyjaśnić tego problemu. Nie tylko przyjaciółce, ale nikomu innemu, nawet gdyby ktoś inny chciał wysłuchać jej wyjaśnień.

25

To nie krwawienie przerażało młodszą dziewczynę, tylko czarna rzeka, która płynęła jak krew przez jej myśli, i gorsze rzeczy - rzeczy, które widziała za rzeką we śnie.

Wyrwane wnętrzości nie Socjała pulsujące na bruku. Obsceniczna agonia cudzoziemskiej dziewczyny. I jej własna twarz odbita w przerażonych oczach konającego pijaka, patrząca na nią surowo, jak teraz z lustra...

Niezmieniona.

L.. Pocałunek« Szatana

- Merde!

Kierowca zaklął mimo woli, wrzucił wsteczny bieg i zjechał hoverem citroenem z drogi rozpędzonego motoru. Srebrna egzotyczka szczerząc zęby śmignęła obok maski wozu, zrobiła obelżywy gest i znikła. Nie miało znaczenia, że cyfrowa kamera na przednim zderzaku automatycznie zarejestrowała incydent i już teraz przekazywała dane do centralnego komputera ruchu.

Kierowca zauważył hologram corps noblique świecący sześć pali przed przednim kołem motocykla: egzotyczka była chroniona i nie zostanie oskarżona.

- Przepraszam panią - powiedział do małego subwokalnego mikrofonu, lekko przyklejonego z boku na szyi, ale jeśli pasażerka usłyszała, nie odpowiedziała.

Dochodziła dziewiąta rano, kiedy ciemnoniebieski rządowy hover citroen wyrzucił zziębniętą i zirytowaną, lecz wciąż elegancką kobietę na chodnik Voie Prince Impérial - popękanej i zniszczonej autostrady, zbudowanej wzdłuż Sekwany, żeby przyspieszyć ruch przez serce Paryża.

Teraz jednak, w niedzielny zimowy poranek, ulica była pusta. Tylko na trawiastym poboczu u wylotu mostu Aleksandra III stały trzy arogancko zaparkowane, uzbrojone

E7

samochody brygady policyjnej - renaulty - z wyłączonymi syrenami, lecz wciąż leniwie migającymi niebieskimi światłami.

Gdyby kamera śledcza wymierzona w przeszło pracowała jak należy, całe to poranne zamieszanie byłoby niepotrzebne. Ale teraz Clare musiała się zniżyć do zbierania dowodów na miejscu zbrodni.

Potoczą się głowy... Z westchnieniem irytacji Clare Fabio ruszyła w stronę radiowozów, stąpając ostrożnie po mokrej trawie; obcasy jej pantofli mlaskały w błotnistej ziemi.

Ciemne burzowe chmury zajęły miejsce odchodzącej nocy. Niebo wyglądało brzydko, wilgotny porywisty wiatr strząsał ciężkie krople z drzew.

Żaden rozsądny człowiek nie wystawia nosa z domu, pomyślała kwaśno Clare. Im szybciej wrócę do własnego mieszkania, tym lepiej.

Renaulty były puste. Ich umundurowani kierowcy skupili się w ciasną grupkę u szczytu Cesarskich Schodów. Cokolwiek znaleźli na nadbrzeżnym chodniku, gendarmerie nie miała ochoty ponownie tego oglądać.

Clare Fabio dotarła do grupy w samą porę, żeby usłyszeć puentę szczególnie złośliwego kawału o retrowirusach. Co gorsza, Clare znała wzmiankowanego polityka, a historyjka prawie na pewno była prawdziwa.

Śmiech urwał się nagle, kiedy zobaczyli, kto się zjawił, chociaż Clare wiedziała, że szuranie stopami i nagła niezręczna cisza niewiele mają wspólnego z szacunkiem.

Paryska policja i cesarska administracja nie darzyły się miłością. Clare Fabio zaś, prokurator w wieku trzydziestu lat, zaczynała już symbolizować wszystko, czym gardziły te samce.

Absolwentka Sorbony, wyrobiła sobie nazwisko i zdobyła niezliczonych wrogów, rozbijając masoński krąg korupcji

EB

w miejskim departamencie robót publicznych. Ten akt niezwyklej odwagi lub krańcowej głupoty, zależnie od punktu widzenia, tak czy owak wyniósł ją do otoczenia Księcia Cesarza.

Clare Fabio była sprawna, rzeczowa i arogancka. Była również prawie całkiem aseksualna i miała zaawansowaną anoreksję, którą z powodzeniem ukrywała, chociaż cierpiała na to schorzenie od jedenastego roku życia. I oprócz dwóch żalonych jednonocnych epizodów z ambitnym asystentem, młodszym od niej o pięć lat, przez ostatnie osiemnaście miesięcy starannie unikała seksu z kimkolwiek, z mężczyzną czy kobietą.

Asystenta przeniosła do bizantyńskich bogactw nowego Europejskiego KredytBanku w Brukseli. Do tej pory biedny gnojek nie mógł zdecydować, czy to była kara, czy nagroda. Clare sama nie miała pewności.

Ostatnio dla zachowania pozorów utrzymywała związek z młodym bankierem, który uważał za wskazane ukrywać swoje prawdziwe skłonności. Układ okazał się korzystny dla obojga.

- Kto tutaj dowodzi? - zapytała ostro Clare.

Mocno zbudowany sierżant wskazał kciukiem młodszego, szczuplejszego mężczyznę w granatowym trenczu.

- Td on... Madame.

Ktoś parsknął.

Nieświeży oddech sierżanta cuchnął brandy, a także czosnkową kielbasą i zbyt wieloma gauloisami. Clare zmierzyła sierżanta wzrokiem z góry na dół, a jemu nagle zrzędała mina. Fotograficzna pamięć i pamiętliwość pani prokurator stały się już legendą. Baba rozpozna go przy następnej okazji.

Sierżant przeklął swojego pecha, ale po cichu.

- Lepiej, żeby to było coś ważnego - rzuciła Clare.

I obserwowana przez całą grupę, podeszła do szczytu Cesarskich Schodów. Kiwnęła głową chudemu mężczyźnie,

ER

który usunął się na bok, i zaczęła schodzić po śliskich stopniach, aż nadto świadoma, że powinna była włożyć buty na płaskim obcasie.

Smród uderzył ją w nozdrza, kiedy dotarła do pierwszego zakrętu schodów. Jak biegunka albo zepsute mięso. I pogarszał się w miarę, jak zbliżała się do brukowanego nabrzeża.

Nic dziwnego, że nikt nie chciał tego ponownie oglądać. Ciała czekające na nią już zgniły, skręcone purpurowe mięso nabrzmiało pod skórą tak napiętą, że niemal pękała. Tłumiąc odruch wymiotny, Clare wyjęła maty sterowany głosem laryngo-fon z kieszeni, polizała jego powierzchnię i przycisnęła do szyi.

- Pytanie pierwsze. Po co było ich tutaj wywozić? Łatwiej po prostu przerzucić ciała przez balustradę do rzeki...

- Ale ich tutaj nie wywieziono - wtrącił rzeżący głos za plecami Clare. - Oni zginęli tutaj.

Clare obróciła się na pięcie i ujrzała otyłą, niezgrabną postać w brudnym brązowym płaszczu człapiącą ku niej, ze wzrokiem wbitym w jej sutki, które stwardniały z zimna i odznaczały się pod bluzką.

Zaczerwieniła się, pospiesznie otuliła się ciasno płaszczem Diora i zawiązała pasek gniewnym, zamaszystym gestem. Mężczyzna uśmiechnął się drwiąco, po czym ostentacyjnie powrócił do wydłubywania martwych strzępków ciała spod paznokci nożem Opinel z drewnianą rękojeścią, nucąc pod nosem.

Coś z Wagnera.

Clare miewała już wątpliwą przyjemność pracować z doktorem Theodore'em Balthusem i wciąż nie mogła uwierzyć, że ten tłusty, niechlujny menel jest czołowym francuskim biegłym sądowym.

Szczecina tygodniowego zarostu ledwie ukrywała obwisły podbródek. Beczkowatą klatkę piersiową opinała za ciasna biała koszula z czarnymi obwódkami na kołnierzu i mankietach. Dla dopełnienia obrazu brakowało

tylko flaszki denaturatu ukrytej w kieszeni. Ludzie pewnie rzucali mu na ulicy w połowie opróżnione chipy kredytowe.

Balthus przyczłapał bliżej.

- Zgadłem, że zgodzisz się oderwać od mszy dla tej sprawy, serduszko. Biorąc pod uwagę raczej wykrętne oświadczenie twojego ministra. - Uśmiechnął się słodko.

- Zaskocz mnie - zaproponowała chłodno Clare.

- Och, spróbuję...

Balthus chwycił ją za ramię i pociągnął do pierwszego cuchnącego trupa.

- Popatrz na to! - zawołał, klękając obok ciała, które kiedyś należało do dziewczyny.

- Maski - zażądała Clare, nie ruszając się z miejsca. - I rękawiczki.

Z westchnieniem Balthus wyciągnął dwie foliowe paczuszki z kieszeni płaszcza i rzucił w stronę kobiety.

Clare rozdarła paczuszki, naciągnęła przezroczyste nano-porowe rękawiczki, a potem zakryła nos i usta chirurgiczną maską CBN.

Bez cienia entuzjazmu uklękła obok niego.

- Co oni tutaj robili? - zapytała.

Balthus tylko na nią spojrzał.

Clare zaczerwieniła się.

- Ale ta dziewczyna była bogata - zaprotestowała. - Ubranie dobrej jakości, buty od Versacego. Co ona z nim robiła?

- Była na gigancie - wyjaśnił Balthus. - Może on miał coś, czego chciała, może na odwrót. - Wzruszył ramionami. - Pewnie narkotyki. No, do roboty...

Clare głęboko zaczerpnęła tchu i nachyliła się szybko, żeby przyjrzeć się z bliska twarzy martwej dziewczyny. Nic innego nie mogła zrobić, kiedy porucznik policji i pół tuzina najlepszych paryskich glin obserwowało ją ze szczytu schodów, wypatrując najdrobniejszych oznak słabości.

31

A jednak natychmiast pożałowała tego gestu. Owionął ją duszący smród. Nawet nanoporowa maska nie mogła dostatecznie szybko odfiltrować molekuł zapachowych. Odór był gorszy niż słodkawo-piżmowa woń świeżego trupa, gorszy nawet niż kwaśny, octowy zaduch ludzkiego ciała zmienionego w zepsute mięso. To była czysta zgnilizna, tak ohydna, że wnętrzności wywracały się w Clare, kiedy próbowała powstrzymać torsje.

- Niezbyt przyjemne, co? - zagadnął Balthus. Szybko sięgnął do kieszeni koszuli i znalazł staroświecki japoński skalpel laserowy. Wprawnym ruchem włączył mikrocienki promień tnący i głęboko rozkroił mięśnie na wykręconym ramieniu dziewczyny.

- Spójrz - powiedział, wskazując rozcięcie. Ciało w głębi wyglądało na mniej zgniłe. Promień znowu błysnął, bez wysiłku rozkroił mięsień pod spodem. Tym razem przecięte włókna miały barwę łososioworóżową.

- Zwłoki gniją od środka - pouczył ją doktor.

- Co za niespodzianka - rzuciła Clare przez zaciśnięte zęby. Nikt nie zostaje prokuratorem, jeżeli nie obejrzy swojej porcji trupów.

- Bakterie wewnętrzne i jelitowe - ciągnął spokojnie Balthus - wydostają się na zewnątrz, rozkładają ciało po drodze. Ale nie tym razem. Owszem, ona gnije, dosłownie się rozplýwa. Ale od zewnątrz.

- Atak nanitów?

Grubas wzruszył ramionami, ale nie odrzucił całkowicie tej sugestii.

- Może to retrowirus, może nie. Ale jeszcze nigdy nie trafiłem na coś takiego. - Zasapał ciężko, paluchy jego lewej dłoni gmerały z roztargnieniem głęboko w kieszeni spodni.

Kieszonkowy bilard, chłopcy rozpoczynają tę zabawę, gdy tylko przestaną ssać kciuk, pomyślała Clare z irytacją. Balthus przechwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się chytrze.

BE

- Nie zapominaj, serduszko, że widziałem różne rzeczy.

Clare przytaknęła. Chociaż obsesyjny, neurotyczny i uzależniony od metamfetaminy, Theodore Balthus był również szeroko publikowanym akademikiem, visiting professor patologii w L'Ecole Normale oraz czołową znakomitością CySatu od ekspertyz sądowych, które prezentował co tydzień w odcinkach Mojego procesu.

Ponadto, czego raczej nie rozgłaszano, był głównym cesarskim ekspertem od bioWarfare'u i jednym z niewielu naukowców, którzy publicznie wygłaszali opinię, że retrowirus 3, nani-towo-wiralna hybryda, która uciekła z laboratoriów, został wytworzony przez człowieka.

- Będziemy potrzebowali testu Dariusa. Rozplączemy te chromosomy - oznajmił Balthus, wstając znad ciała. Zakołysał się ciężko na palcach stóp, chwytając oddech. Obliczenia, jakie przeprowadzał w pamięci, nie odbiły się w jego szarych, głęboko osadzonych oczach.

- Potrzebuję czasu, żeby przeprowadzić test - powiedział w końcu. - Musicie to wyciszyć na czterdzieści osiem godzin.

Clare wytrzymała jego wzrok.

- Dwadzieścia cztery maksimum - odparła twardo. - Najwyżej tyle może zaproponować Trzecia Sekcja. Najwyżej na tyle pozwoli mój minister.

Co było jaskrawym kłamstwem - i oboje o tym wiedzieli... Jeśli chodziło o śledztwa, srebrnowłose Pierre Nexus był zbyt leniwy, żeby nie usłuchać rady swojej chudej, eleganckiej prokurator generalnej. On zajmował stanowisko ministra spraw wewnętrznych, ale to ona pilnowała, żeby jego departament działał sprawnie, wydajnie i bez przyciągania zbytnej uwagi.

Jako jedyny reprezentant Partii Rolniczo-Chrześcijańskiej w mocno naciskanym rządzie jedności narodowej, niewątpliwie postępował najmądrzej, przyjmując jej rady. Jednocześnie

. bib n

Clare od miesięcy zamierzała zgromadzić dowody na dwulicowość ministra stanu. Czyli gwarancję, że w dniu, kiedy straci jej poparcie, Clare nie pozostawi mu do wyboru żadnej innej opcji poza rezygnacją.

- OK - zgodził się Balthus. - Niech będzie: dwadzieścia cztery godziny.

- I raport najpierw trafi na moje biurko - dodała Clare rzeczowo, jakby właśnie o tym pomyślała.

- Da się załatwić - przyznał Balthus. Zawiesił głos. - Oczywiście można by przyspieszyć sprawę, gdyby ktoś przepuścił wszystkie szczegóły przez Tri-ESIP.

Grubas zarzucił wędkę... niezręcznie. Czas komputerowy nowego trójrdzeniowego Europejskiego Systemu Inwigilacji Przystępstw w Brukseli był racjonowany i wykorzystywany głównie według zasady „czystego pokoju”, zgodnie z którą jedna osoba wpisywała polecenie, a druga odbierała i wykorzystywała odpowiedź.

Nawet doktor Balthus, znany patolog, nie miał dostępu do bezpośredniego wejścia/wyjścia.

Minister jednak miał. Podobnie jak Clare.

- Załatwię to - obiecała Clare. Zobaczyła, jak oczy patologa rozszerzają się lekko, a potem jego tłusta twarz twardnieje. To, co zyskała na szacunku, straciła, dając mu następny powód do urazy.

Balthus przykucnął nad martwą dziewczyną, nachylił się niżej, niż to było konieczne, i kiwnął na Clare, żeby do niego dołączyła.

- Patrz - powiedział, przesuwając palcem po przegniłym policzku dziewczyny. Z roztargnieniem zgniótł oblaşące płatki skóry.

- Na co? - zapytała Clare, panując nad wyrazem twarzy, chociaż mięśnie gardła miała napięte jak struny. Nie widziała nic niezwykłego i nie podobało jej się, że Balthus wyraźnie próbuje doprowadzić ją do wymiotów.

3U

- Tutaj - odparł nadaşany patolog i lekko pogładził palcem policzek martwej dziewczyny. Tym razem Clare zobaczyła.

- No więc?

- To oparzenie od nanitów - oznajmił Balthus. - Niedawne i przy olbrzymiej temperaturze. Jedyny powód, że ciało w tym miejscu nie zgniło jak cała reszta.

- Niedawne? - Pomimo odrazy Clare przesunęła palcem po bliźnie. Skóra była twarda i gładka, o słojuatej fakturze szyi krętu. - Jak to powstało?
- Pocałunek Szatana. - Balthus ironicznie wyszczerzył zęby. - Skąd mam wiedzieć, do cholery? Daj mi kilka dni z tunelowym mikroskopem, to może ci powiem. Jeśli przedtem wszyscy nie zginiemy.

Clare gwałtownie poderwała głowę. Potem zorientowała się, że Balthus żartuje... prawie.

- Popatrz na nich - ciągnął, ruchem brody wskazując trupy. - Jeśli to skutek wirusa, pewnie wszyscy już go mamy. Jeśli nie? Ty mi powiedz, co to znaczy.

Clare odsunęła się od rechoczącego patologa.

- Zabezpieczyć teren - szczerzyła przez ramię, nie sprawdzając, czy porucznik wykona rozkaz. - Umieścić ciała w sterylnych" workach i dostarczyć na miejsce wskazane przez doktora Balthusa.

Ponownie zerknęła na tłustego patologa, który wciąż klęczał obok dziewczyny i gładził palcem marmurkową bliznę. Jego mina wyrażała rozbawienie i fascynację. Twarz zamordowanej dziewczyny nie wyrażała nic przyjemnego.

- Gdzie mamy ich wysłać? - zapytała Clare.

Balthus niedbale wymienił kompleks militarny, dziesięć kilometrów od wybrzeża Bretanii. Clare tylko kiwnęła głową.

- Zabierzcie tam ciała - poleciała porucznikowi. - A potem zróbcie swoim ludziom dokładne badanie lekarskie... i sobie też.

35

Okręciła się na obcasach od Gucciego. Była już dziesięć minut spóźniona na nieformalne spotkanie przy śniadaniu ze swoim ministrem w hotelu Georges V. A nic nie denerwowało jej bardziej niż świadomość, że Pierre Nexus zdobył choćby najmniejszą przewagę.

Poza tym minister przed miesiącem poprosił Clare, żeby dyskretnie sprawdziła chińskiego bankiera mieszkającego w Nowym Jorku - a potem nie chciał omówić rezultatów. Clare nie rozumiała, dlaczego - uzyskawszy informacje, o jakie mu chodziło - Pierre Nexus nie chciał o tym rozmawiać, dlaczego dopilnował, żeby żadna wzmianka o tym śledztwie nie trafiła do archiwów departamentu. Tego właśnie zamierzała się dowiedzieć.

- Wiesz, czego szukasz? - zawołał za nią Balthus, kiedy ostrożnie wchodziła po nadal mokrych kamiennych stopniach z powrotem do czekającego Citroëna.

Clare mruknęła coś zgryźliwie pod nosem. Oczywiście, że wiedziała.

Za nią, w wilgotnej szarej mgle poranka, który zapowiadał paskudną niedzielę, policjanci o zbielejących twarzach niechętnie pakowali dwa skręcone trupy do samozamykających się czarnych plastikowych worków. Tymczasem patolog litera po literze pracowicie wstukiwał swoje obserwacje do przestarzałego palmtopa Matsui.

Nie raczył zawiadomić Clare, że znaleźli również nadzwyczaj interesującego włóczęgę z rozszarpanym gardłem. Nie wszystko naraz. Zresztą skąd wiadomo, że istnieje jakieś powiązanie...?

5. Hang Hang Suisse

Małpka patrzyła na Lee Uu czujnymi brązowymi oczami i nagle pokazała w uśmiechu ostre kły barwy starej kości słoniowej. Pomimo nikotynowego zabarwienia popękanych zębów, małpka liczyła sobie niecały rok życia, zaledwie osiągnęła dojrzałość. Marniała w teksańskim zoo, dopóki ludzie pana Uu nie nabyli jej za sumę kilkakrotnie przekraczającą jej wartość i nie wysłali samolotem do Nowego Jorku.

Gdzie wyszczerzona małpka znalazła się w apartamencie pana Uu. Który znał się na wzorcach zachowań naczelnych i wiedział, że małpy szczerzą zęby wtedy, kiedy czują się zagrożone. Sześćdziesięcioletni Lee Uu odpowiedział znużonym uśmiechem kogoś nieskończenie starszego. Niełatwo być taipanem potężnego metaNacjonalu, który działa na delikatnej granicy pomiędzy zwykłą korupcją a pogwałceniem prawa tak oczywistym, że IntraPol, FBI i Europejska Trzecia Sekcja czułyby się zobowiązane do interwencji. Chociaż ogromne łapówki przypominały wszystkim zainteresowanym, że ta granica jest dość elastyczna.

Czasami pozycja taipana wymagała od niego czynów uwłaczających ludzkiej godności; kiedy

indziej żądała kultywowania drobnych tradycji, nawet najbardziej uciążliwych.

37

Teraz nadeszła kolejna taka chwila.

Lee Uu rozejrzył się po swoim wielkim narożnym gabinecie na manhattańskiej Piątej Alei. Dwie zewnętrzne ściany wyrwano, żeby pomieścić olbrzymie szrapneloodporne polimerowe okna, sięgające od podłogi do sufitu. Prywatna łazienka, sauna, sala gimnastyczna i sypialnia cum galeria sztuki zajmowały resztę najwyższego piętra potwora z chromu i czarnego szkła, który nowojorczyki nazywali „Hong Kong Suisse” od tak dawna, że nikt już nie pamiętał poprzedniego właściciela.

Wieżowiec zaprojektowano jako gładki kapitalizm retro, sklecony ze szkiców Milesa van de R, i na szczęście zbudowano długo po śmierci architekta. Lee Uu nienawidził go, lecz krzykliwa wulgarność budynku stanowiła zaletę. Amerykańskim garniturom łatwo było zaimponować, pomimo całego ich śliskiego cynizmu.

Przez jedno wielkie okno Lee widział jednocześnie budynek Chryslera i Empire State Building; za drugim helikopter wiozący bogatych rosyjskich turystów buczał nad szarymi wodami Hudsonu, tak daleko w dole, że sikorski Sił Powietrznych Manhattanu wyglądał jak zabawka.

Był to spektakularny widok, odpowiadający spektakularnej potędze jego właściciela. Lecz ani ten widok, ani bujny bukiet świeżych orchidei w krągłej jadeitowej wazie w kącie, ani dwie płonące pałeczki kadzidła nie zdołały zamaskować smrodu małego potu i uryny, przenikającego całe pomieszczenie.

Pan Uu skrzywił się i otarł pot z czoła białą batystową chustką. Zwlekał z lunchem już pół godziny i kończyły mu się preteksty, żeby go dłużej odkładać.

- Nar-ko-ty-ki. - Starannie wyartykułował słowo, chociaż teraz znał angielski tak dobrze, że nawet śnił w tym języku.

„Mów do komputera, jakbyś rozmawiał z idiotą. Możliwe, że tak będzie naprawdę” - powiedział mu kiedyś jego główny

36

technik, a Lee Uu zawsze stuchał swoich ekspertów. Po to ich zatrudniał.

Na ścianie naprzeciwko czerwona LEDa błysnęła krótko, kiedy płaskoekranowy toshiba pana Uu ożył z pomrukiem. Ułamek sekundy później toshiba zaczął rysować skomplikowany trójwymiarowy wykres statystyczny, pokazujący globalne wpływy za zeszły tydzień. Grupa Azja poszła w górę. Opium wreszcie zebrano i obecnie je przetwarzano, standaryzowano według dokładnego molekularnego syntetyku i wreszcie rozrzedzano sproszkowaną laktozą, zrabowaną z charytatywnego statku ONZ i pierwotnie przeznaczoną dla nękanego głodem Sudanu.

Produkt finalny zostanie dyskretnie wystawiony na sprzedaż w wybranych dzielnicach Edo, Londynu i Paryża, w złotych hermetycznych torebeczkach z napisem: Skład organiczny, produkt naturalny. Wzrost dochodów Azji oznaczał prawdopodobną wpłatę od kartelu z Palermo, który zechce zapewnić sobie udział w przyszłym rynku. Prognozy zysków opierały się na niemożliwie skomplikowanym i nieomylnym równaniu fraktalnym. Lee Uu zaś stwierdził z zadowoleniem, że nadchodzący rok zapowiada się naprawdę nieźle.

- Wyłącz - rozkazał i ekran zgasł, powierzchnia z dymnego szkła ponownie stopiła się z eleganckim błękitem ściany w odcieniu kaczego jaja, kolorze wybranym dla pana Uu nie przez modnego dekoratora wnętrz, lecz przez kapłana z Shaolin.

Ciemnomiodowe deski parkietu wycięte z zagrożonego gatunku sekwoi, bucharskie dywany i elegancki Warhol ze środkowego okresu, przedstawiający rozmytego przewodniczącego Mao z turkusową szminką na ustach, czyniły z gabinetu pana Uu najbardziej harmonijne wnętrze na Manhattanie. Stół chippendale z dwiema szufladami, wazon z cienkiego jak skorupka jajka florenckiego marmuru i mały ołtarzyk z laki pokryty złotymi listkami dopełniały wystroju. Jak na biuro, feng shui było tutaj idealne.

3

Nic dziwnego, że przez pierwszy miesiąc po przyjeździe pana Uu do Nowego Jorku jego asystentka

lady Sarah spędzała połowę czasu, uprzejmie odsyłając z kwitkiem „Vogue”, „Harpers”, „Elle” i inne stylowe szmaty, które błagały o wpuszczenie swoich fotografów.

Lecz to już się skończyło, ponieważ Sarah zadbała, żeby każdy redaktor graficzny otrzymał laserowy dysk przedstawiający „Gabinet pana Uu” - szablonowy materiał, starannie i pogardliwie wyprodukowany w studiu piętro niżej. •

Pieniądze kupiły panu Uu wiele rzeczy, ale najważniejsza była prywatność. Na razie jednak bogactwo nie mogło kupić mu wyzwolenia od nieprzyjemnego comiesięcznego rytuału z małpą. Okrucieństwo nie stanowiło dla pana Uu problemu. W rzeczy samej, potrafił zaprojektować tortury tak wyrafinowane i eleganckie, że sama pomysłowość wprawiała jego rywali w zdumienie - śmiertelne.

Powieszenie watykańskiego bankiera-defraudanta na własnych wnętrznościach na moście Londyńskim należało do prostszych środków z zabójczego repertuaru pana Uu. Poza tym pan Uu nie wierzył ani przez chwilę, że małpa odczuwa ból. Niewiara ta oparta była na obserwacji. Przez trzydzieści lat rytuału ani razu nie widział, żeby jego lunch zrobił coś więcej niż lekko zdumioną minę przed śmiercią.

Wierzch małpiej czaszki został chirurgicznie usunięty laserowym skalpelem pod znieczuleniem. Pan Uu zawsze nalegał na stosowanie znieczulenia. A uprzęż przytrzymującą zwierzę sporządzono z wyściełanej skóry. Nawet obroża obejmująca szyję małpy tak, że otwarta czaszka i czekający mózg wystawały nad krawędzią stołu chippendale niczym przerośnięte jajko na miękko - nawet obroża za każdym razem musiała być dopasowana do wymiarów konkretnego zwierzęcia.

To nie okrucieństwo przyprawiało pana Uu o mdłości, tylko smak. Tradycja wymagała, żeby wybrał łyżeczką żywy mózg i zjadł na surowo, prosto z czaszki małpy - nieprzyprawiony, ciepły i prawie pozbawiony smaku.

Co miesiąc od trzydziestu lat pan Uu mierzył się z rytuałem i za każdym razem marzył o kilku kropkach ostrego sosu chili albo delikatnie podsmażonych paseczkach świeżego imbiru, żeby zagłuszyć nijaki, galaretowaty posmak.

Zdecydowanym ruchem pan Uu podniósł z orzechowego blatu srebrną łyżkę art nouveau - i równie zdecydowanie odłożył ją z powrotem, nachyliwszy się, żeby umieścić ozdobny uchwyt dokładnie równoległe do prawej krawędzi stołu.

Małpa mogła zaczekać parę minut; najpierw interes. Oferta tak dziwaczna, tak niespotykana, że początkowo Lee Uu potraktował ją jak kiepski dowcip. Tylko że jego prywatny e-mail był niedostępny bezpośrednio, obmurowany najlepszym czarnym lodem, a Lee Uu nie należał do osób, z których sobie żartowano.

Chiński biznesmen w średnim wieku włączył ekran oprawnego w skórę płaskiego toshiby i ponownie przejrzał list zrzucony anonimowo do pamięci maszyny. Potem przestawił skrzynkę na tryb głosowy i połączył się z wydziałem komputerowym HKS.

- No więc?

Niemal natychmiast przerwał gorączkowe usprawiedliwienia. Nic. Dwaj jego najlepsi dzokeje od tygodnia przeczesywali Sieć, żeby wykryć pochodzenie listu. Bez skutku.

List był całkowicie niedwuznaczny. Jeżeli Lee Uu ofiaruje milion kredytów na nieznaną latynoamerykańską instytucję dobroczynną i zaaranżuje śmierć w pożarze pewnego patologa, jego ochroniarza oraz uciążliwego amerykańskiego dyplomaty w Paryżu - osobników praktycznie bez znaczenia - natychmiast otworzy się przed nim szansa, która przyćmi nawet...

UI

Po czym następowała lista czterech najbardziej skomplikowanych i skorumpowanych transakcji pana Uu; jedna została utajniona do tego stopnia, że usunięto wszelkie zapisy. Do tej chwili pan Uu wierzył, że zamordował wszystkie zamieszane w to osoby oprócz siebie.

Następnie pojawiała się sama szansa. Nie całkiem nieśmiertelność, ale życie tak długie, jak sobie życzył. Sto, może dwieście lat. Zależało to jedynie od kilku niesprecyzowanych warunków, które zostaną ujawnione po dokonaniu trzech zabójstw.

List podpisano: „Baldwin, hrabia Monte Jezus, książę Antiochii”. Szybki i nielegalny przegląd

harwardzkiej bazy danych ujawnił zaskakujący fakt, że jedyny zarejestrowany człowiek o tym nazwisku spłonął na stosie osiemset lat wcześniej, głosząc, że on jeden posiadał sekret życia wiecznego.

Ktokolwiek wybrał Lee Uu na adresata listu, dobrze znał swój cel. Młodzieńczy sześćdziesięciolatek, wciąż w pełni męskich sił, ograniczający spożycie alkoholu i narkotyków nie ze względów moralnych, lecz zdrowotnych, miał jedną słabość ukrytą tak głęboko, że nawet o niej nie wiedział.

Był bezpłodny, co odkrył po dwudziestce, ale nie w tym tkwiła słabość. Wada pana Uu polegała na tym, że początkowo nie rozumiał, jak bardzo zacznie mu zależeć. Teraz wszystko mogło się zmienić. Mógł zostać własnym dziedzicem, własnym potomkiem. Trzy trupy to mała stawka w ważnej rozgrywce. A możliwości zapierały dech w piersiach.

Lee Uu wiedział, że nigdy nie znużą go interesy. Miał dopiero sześćdziesiąt lat i przez te trzydzieści, kiedy był taipanem, rozwinął Hong Kong Suisse z małego domu handlowego Triady w metaNacjonal rozgałęziony na całą planetę.

Dalsza egzystencja trzech rządów, tuzinów przemysłowców, całego departamentu ONZ zależała jedynie od jego kaprysu.

5

Jr-

Jeśli osiągnął tyle przez trzydzieści lat, czego dokona w ciągu stulecia? Otwierał się przed nim nowy świat.

Lee Uu spojrział na małpę i zmarszczył brwi. Sto lat oznaczało tysiąc dwieście posiłków z surowego małpiego mózgu. Będzie musiał to przemyśleć...

Również nowe biuro. Nowy Jork zaczynał tonąć pod zwałami śmieci. Zawsze podobało mu się Mexico City. A Meksyk szybko zastępował Brazylię jako główny postindustrialny port Ameryki Południowej. Warhola i stół zabierze ze sobą, resztę zostawi jakiemuś kolejnemu satrapie.

Wygładając przez okno, pan Uu nie widział nieuniknionego sikorskiego z Sił Powietrznych Manhattanu powracającego z rzeki Hudson ani pierwszego śniegu tego popołudnia, tylko świat zapamiętany z opowieści, kiedy jego dziadek był dzieckiem. Z czasów, kiedy „Hong Kong Suisse” w skrócie HKS coś znaczył, a finansowe aspiracje Pekinu obracały się wokół tej zatłoczonej, skorumpowanej skały na skraju Chin.

W tamtych czasach można było zobaczyć z okna biura, co da się kupić za pieniądze. Ludzi, rodziny, sojusze. Czasami, w razie potrzeby, wzburzone tłumy z przepełnionych, kipiących od przemocy miejskich slumsów i czynszówek.

Ale nigdy szacunek. Tyle wiedział Lee Uu z zapisów pozostawionych przez przodków. Nie szacunek. Nie ze strony Zachodu, który szczycił się swoim poczuciem historii i ignorował wszystko inne, ponieważ nie rozumiał.

Hi-techowe ubóstwo Hongkongu było wówczas egzotyczne, a zachodnie narody wciąż oczekiwały, że Trzeci Świat zacznie naśladować ich dżentelmeńską hipokryzję. Nieświadome, że elektroniczny Götterdämmerung już się rozpoczął, kiedy wyschły zachodnie pola naftowe, a państwa dobrobytu runęły pod ciężarem wymagań i korupcji.

Skoro znikła groźba komunizmu, dlaczego mamy ograniczać kapitalizm? Gdyż w przeciwnym razie surowsze rządy

L3

Rzymu, Mekki i Mein Kampf zastąpią mrzonkę Lenina i Marksa. Lecz zanim Zachód obudził się z drzemki, było już za późno. Ci, którzy mogli, zmienili się w arystokratów - Kościoła, handlu, technologii lub zbrodni. Reszta została skazana na wegetację motłochu wspomaganego przez państwo. Oczywiście ojciec nanotechnologii, Erie Drexler, miał nadzieję, że nowa nauka położy kres nędzy. Lecz nanotek nie spełnił tych nadziei, podobnie jak wszystkie wcześniejsze cudowne wynalazki...

Dziadek Lee Uu wiedział jednak, co nadchodzi. Zobaczył narodziny nowego porządku odbite jak w lustrze w hałaśliwych, najeżonych antenami, przepełnionych czynszówkach i zatłoczonych ulicach

Nowego Terytorium. Zobaczył to w twarzach uchodźców ze wsi, ogłupiałych od nieustannego natłoku informacji, którzy jako toalety używali dołu w ziemi albo zrzucali ekskrementy z balkonu. Którzy żyli w nędzy, ale płacili wyśrubowane czynsze, ponieważ zbierali je bandyci wymachujący aluminiowymi kijami baseballowymi.

Tutaj właśnie wytworzono pierwszą tanią syntetyczną kokę, tutaj drukowano na zamówienie dowolną walutę albo banknoty kredytowe, tutaj kopiowano i ulepszano najnowocześniejszy software, ordynarnie fałszowano hologramy i produkowano na kopy komputery - prawie IBM-y albo niemal Apple - tutaj piractwo komputerowe po raz pierwszy awansowało ze zwykłego hobby do statusu kariery.

Tutaj również znajdowały się niewyczerpane zasoby idealnie wydepilowanych ulicznych dzieci do obsługi turystycznych burdeli i łaźni parowych. Życie przestało po prostu być tanie; zmieniło się w jeszcze jedno bogactwo naturalne, przeznaczone do eksploatacji.

I nieważne, jakie widoki roztaczały się z okna gabinetu taipana w tych dniach - on wiedział, że to się nie zmieniło. Podobnie jak wiedział, że kiedy mężczyźni mówią o honorze, mają na myśli gniew, i że żaden człowiek, nawet o najbardziej

UU

pokrętej duszy, nie odrzuci rozgrzeszenia, jeśli znajdzie dla siebie bezpieczną niszę.

Dla Lee Uu, jego ojca i dziadka taką niszę stanowił HKS - chociaż to Lee wydzwignął firmę na nowe wyżyny i zamierzał ponownie tego dokonać.

Lee Uu potrząsnął głową, żeby odpędzić niepotrzebne myśli, i wziął następną soloną śliwkę z miseczki na stole. Gorycz wysuszonego, pomarszczonego owocu za dobrze pasowała do jego bolesnych wspomnień.

Nic więcej nie pozostało. Zwlekał już zbyt długo. Lee Uu podniósł łyżkę art nouveau i wziął głęboki oddech. Nie pomagało, że małpa na niego patrzyła...

E. Hrinniha w iilarriE

Theodore Balthus nie przystał raportu o zmarłej dziewczynie w poniedziałek po południu, jak obiecywał. Ani we wtorek, w środę czy w czwartek. Co gorsza, nie przyjmował żadnych telefonów od Clare Fabio.

Piątkowy ranek nie był lepszy. Znowu padało, powstał kolejny uliczny korek. Hakerzy z Dżihad założyli klapki na oczy centralnemu miejskiemu komputerowi, więc sensory optyczne kierowały teraz ruchem nieistniejących samochodów, a drogi wewnętrzne zapełniły się nieruchomymi sznurami pojazdów, zanim rządowy hover Clare wyjechał z Ile St. Louis. Piętnastominutowa zazwyczaj podróż zabrała ponad godzinę. Gdyby miało to trwać dłużej, Clare zamierzała zażądać dyrektorskiego helikoptera.

- Omiń ich, ty głupcze! - Clare trzasnęła pięścią w kosztowną tapicerkę z jaszczurczej skóry i zadygotała z irytacji na widok wahania szofera. Resztką sił powstrzymywała się od zgrzytania zębami.

Służbowy szofer rzucił jedno spojrzenie we wsteczne lusterko, skręcił na chodnik i zaczął powoli wyprzedzać kolejkę ciemnoniebieskich peugeotów, czekających na wjazd do Les Tourelles.

Bomboodporny ferrobetonowy biurowiec, wybudowany przed wieloma dekadami na podobieństwo ogromnego fortu

L.B

Legii Cudzoziemskiej, otrzymał swój starożytny przydomek - Basen - od prywatnej i dawno zlikwidowanej pływalni w sąsiedztwie.

Za ceramicznym zewnętrznym murem Basenu, naszpikowanym elektrosensorymi, Clare poleciła, żeby samochód otworzył tylne drzwi, nie czekając na kierowcę, który pospiesznie obchodził wóz, żeby otworzyć je ręcznie.

- Może będziesz potrzebny - poinformowała go, co oznaczało, że będzie musiał czekać w pogotowiu przez cały dzień. Ale właśnie o to chodziło.

Po raz trzeci trzasnęła ręką w zepsuty czytnik Matsui, żeby jakiś zasmarkany Korsykanin z awansu, który doskonale ją znał, mógł porównać odcisk jej dłoni z cyfrową kopią zapisaną w przepustce,

następnie zaczekała na windę, która przystanąła dwukrotnie na niewłaściwym piętrze, po czym odkryła, że wyszła z domu bez derm Bayer-Rochelle zabijających apetyt. Wtedy już kipiała z furii. Sytuacji nie poprawił poranny download „Le Matin”, który wykorzystał określenie Balthusa „Pocałunek Szatana” jako hiperlinkowy nagłówek rzucony nad krótkim artykułem u dołu trzeciej, strony, pomiędzy doniesieniami o rekrucie Legii Cudzoziemskiej, który dostał szalu w Ajaccio, i o marsylskiej gwiazdzie porno, ponownie wybranej do lokalnych władz.

Szczegóły potraktowano pobieżnie - wymieniono tylko jednego trupa, kobietę zamordowaną w tajemniczych okolicznościach, jej ciało przeżarte nowym i potencjalnie katastrofalnym wirusem. Pismak wyraźnie miał kłopoty z wyrobieniem nawet krótkiej wierszówki, skoro większość musiał sam wymyślić.

Niemniej Clare marzyła, żeby dostać w ręce tego, kto spowodował przeciek, ponieważ w rezultacie rozszały się trajkoczące modemy i gorączkowe widfony, co doprowadziło Pierre'a Nexusa do stanu dzikiej paniki. Stanu wywoływanego zbyt łatwo, według surowej opinii Clare Fabio.

U 7

Nie poprawiło jej humoru, kiedy Nexus oderwał swoją młodą blondwłosą sekretarkę od fonów i wysłał ją ministerialnym citroenem na rue de Buci, żeby kupiła mu pudełko czekoladowych truflif. Nadużywanie czekolady, zawsze było u ministra oznaką stresu.

Clare również szybko zbliżała się do punktu wrzenia. Także dlatego, że biuro amerykańskiego ambasadora przy dworze St. Cloud ciągle wydzwaniało z pytaniem, czy zabita dziewczyna była obywatelką Stanów Zjednoczonych.

- Skąd mam wiedzieć, do cholery? - warknęła Clare i rąbnęła w przycisk off na swoim widfonie.

Spojrzała na figurkę patykowatego człowieczka wciśniętą w kąt gabinetu. Rzeźba, zakupiona przez jakąś cesarską komisję wyposażającą rządowe biura w dzieła sztuki, była bezcenna i nieprawdopodobnie brzydka. Jak samo życie. Stworzył ją jakiś Włoch nazwiskiem Giacometti. W każdym biurze stała taka jedna.

Kiedy priorytetowa linia ministerstwa zadzwoniła po raz piąty, Clare straciła resztki cierpliwości.

- Słuchajcie - krzyknęła, nie fatygując się włączaniem wizji - ta dziewczyna została rozebrana, zgwałcona, wybebeszona i potem spalona. Nawet nie miała dokumentów. Skąd, do cholery, mamy znać narodowość tej małej kurewki?

Po drugiej stronie zapadło ciężkie milczenie, punktowane jedynie urywanym oddechem.

Przypominało to klasyczny świński telefon, dopóki Clare nie zrozumiała, że na drugim końcu linii ktoś próbuje się opanować.

I odnosi sukces.

Kulturalny głos z akcentem z Nowej Anglii brzmiał pewnie, prawie nie drżał.

- Mówi Charles Mayer... z ambasady US.

Kiedy Clare nie odpowiedziała, głos płynnie przeszedł na perfekcyjną francuszczyznę.

l,B

- Rozumiem, że przypuszczalnie znaleźliście ciało mojej córki.

Clare drgnęła. A potem włączyły się jej mechanizmy obronne.

- Przypuszczalnie? - szczerknęła bardziej agresywnie, niż zamierzała. - Nie będzie komentarza. Nie złożymy żadnego oficjalnego oświadczenia, dopóki ciała nie zostaną zidentyfikowane.

- Ciała? - powtórzył ostrożnie Amerykanin, jakby ta możliwość nie przyszła mu do głowy. - Więc było więcej ciał?

Clare w duchu wymierzyła sobie kopniaka. Policja nie ujawniła żadnych istotnych szczegółów. A własne biuro Clare, znane z niezbyt serdecznych stosunków z dziennikarzami, ograniczyło fakty do gołego i niedostatecznego minimum.

- Były dwa - przyznała. - Ale żadne nie zostało zidentyfikowane.

- Nic dziwnego, skoro nie zwrócono się do mnie oficjalnie

0 dokonanie identyfikacji - oświadczył ostro Amerykanin.

- To nie jest sprawa dla Trzeciej Sekcji - szybko odparła Clare, czując, że traci panowanie nad

rozmową. - Proponuję, żeby pan skontaktował się z prefecture imperiale.

- Z policją? Nawet mi nie wyjaśnili, dlaczego doktor Balthus trzyma moją córkę odizolowaną w kriogenicznym tanku Matu-ki w Kompleksie Marne. - Mężczyzna roześmiał się gorzko
1 dodał: - Zawieszona w ciekłym azocie przy minus 186 stopniach Celsjusza, widocznie dla bezpieczeństwa. Razem z tym drugim ciałem, o którym pani nie wspomniała.

Nagła cisza rozciągnęła się w długą linię pomiędzy dwoma łączami głosowymi i pękła.

- Bez komentarza - rzuciła Clare i już sięgała do eleganckiego przenośnego matsui, swojego osobistego fonu, naciskała guziki długimi palcami, wybierała numer laboratorium doktora Balthusa w Marne.

r «n

Słyszac sygnał numeru w Marne, ponownie skupiła uwagę na Charlesie Mayerze. Jednocześnie wcisnęła przełącznik na małym cyfrowym magnetofonie Panasonic, wbudowanym w jej komputerową linię głosową. Wszystkie rozmowy były automatycznie nagrywane. Ta zostanie nagrana podwójnie, na skomplikowanej ścieżce, jako dowód, że przebiegała dokładnie tak, jak słycać, bez żadnego sprytnego preparowania.

- Kto panu powiedział o Marne? - zapytała gładko.

- Finansujemy ten kompleks - odparł Amerykanin. - Niech pani zapyta swojego ministra.

- To znaczy - odparowała Clare - że pozwalamy wam rozwijać biotek, który wciąż jest nielegalny w Ameryce Północnej...

Mayer roześmiał się niesympatycznie.

- Wy znaleźliście doktora Balthusa - powiedział. - My tylko dostarczyliśmy technologię i gotówkę...

Clare odcięła swój telefon w chwili, kiedy zgłosiła się centrala w Marne. Komputer w Marne automatycznie wysłodzi jej bieżącą rozmowę. Nieważne. Załatwi to, jak tylko prywatnie i dokładnie zmiesza z błotem Balthusa.

Prywatnie... Cholera, jeśli ten obleśny szczur nie wymyśli szybkich odpowiedzi, Clare z rozkoszą naruszy jego prywatność. Przeżuje go i wypluje w małych kawałeczkach.

Groźby nie należały do zwykłego repertuaru Clare. Ale zazwyczaj nie musiała ich stosować.

Pierwsza zasada dynamiki dużych organizacji mówiła, że kto ustala budżet, ten pociąga za sznurki.

- Czego pan chce ode mnie? - zapytała bez ogródek.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

- Chcę tego, kto zabił moją córkę - powiedział cicho Charles Mayer. - Chcę wiedzieć, co spowodowało rozkład, ponieważ nie użyto żadnego z naszych środków. I wiem, że jedna kamera nie działała, ta pod przesłem, ale chcę wiedzieć, w jaki sposób

5

Słyszac sygnał numeru w Marne, ponownie skupiła uwagę na Charlesie Mayerze. Jednocześnie wcisnęła przełącznik na małym cyfrowym magnetofonie Panasonic, wbudowanym w jej komputerową linię głosową. Wszystkie rozmowy były automatycznie nagrywane. Ta zostanie nagrana podwójnie, na skomplikowanej ścieżce, jako dowód, że przebiegała dokładnie tak, jak słycać, bez żadnego sprytnego preparowania.

- Kto panu powiedział o Marne? - zapytała gładko.

- Finansujemy ten kompleks - odparł Amerykanin. - Niech pani zapyta swojego ministra.

- To znaczy - odparowała Clare - że pozwalamy wam rozwijać biotek, który wciąż jest nielegalny w Ameryce Północnej...

Mayer roześmiał się niesympatycznie.

- Wy znaleźliście doktora Balthusa - powiedział. - My tylko dostarczyliśmy technologię i gotówkę...

Clare odcięła swój telefon w chwili, kiedy zgłosiła się centrala w Marne. Komputer w Marne automatycznie wysłodzi jej bieżącą rozmowę. Nieważne. Załatwi to, jak tylko prywatnie i dokładnie zmiesza z błotem Balthusa.

Prywatnie... Cholera, jeśli ten obleśny szczur nie wymyśli szybkich odpowiedzi, Clare z rozkoszą

naruszy jego prywatność. Przeżuje go i wypluje w małych kawałeczkach.

Groźby nie należały do zwykłego repertuaru Clare. Ale zazwyczaj nie musiała ich stosować.

Pierwsza zasada dynamiki dużych organizacji mówiła, że kto ustala budżet, ten pociąga za sznurki.

- Czego pan chce ode mnie? - zapytała bez ogródek.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

- Chcę tego, kto zabił moją córkę - powiedział cicho Charles Mayer. - Chcę wiedzieć, co spowodowało rozkład, ponieważ nie użyto żadnego z naszych środków. I wiem, że jedna kamera nie działała, ta pod przesłem, ale chcę wiedzieć, w jaki sposób

5

zabójca przeszedł niewidoczny obok wszystkich pozostałych M-falowych kamer na tym brzegu rzeki. To chcę wiedzieć.

Clare nie pamiętała, kiedy ostatnio słyszała równie groźny głos.

- To jest Jenny, proszę pani - dodał. - A raczej to, co z niej zostało.

- Jeżeli pan to wie, to wie pan więcej od nas - oznajmiła chłodno Clare. - Doktor Balthus obiecał przysłać do tego departamentu kopie swojego raportu. To było trzy dni temu.

- Pięć - poprawił Charles Mayer. - Ten raport jest w pani wewnętrznej poczcie. Podwójnie zakodowany. Ale nie mówi absolutnie nic, ponieważ tylko tyle wszyscy wiedzą. Balthus wysłał pani e-mailem klucz do szyfru, jak tylko otrzyma pani kartę.

- Wydajecie Balthusowi rozkazy - stwierdziła Clare.

- Cholerna racja. Wy go znaleźliście. Ale ten tłusty gnojek należy do nas. Dostaje całodobową ochronę i więcej trupów, niż nadaży pokroić. Oczekujemy czegoś w zamian.

- Nie jestem pewna, czy to pochwalam.

- A ja jestem pewien, że mało mnie obchodzi, co pani pochwała.

Clare poprawiła się na biurowym skórzanym fotelu barwy burgunda. Dzień zaczął się kiepsko i zapowiadał się coraz gorzej.

- Amerykanie są niezbyt lubiani przez naszych ludzi - powiedziała ostrożnie. - Zna pan wynik moskiewskiego referendum: będzie nowy car. Nowy Porządek Świata przeminął. Przeminął już dawno, dawno temu. Wiele osób uważa, że powinniście odejść razem z nim. Między innymi mój minister.

- Więc niech pani łaskawie przypomni swojemu ministrowi, ile razy wyciągaliśmy z ognia tyłek Księcia Cesarza. - Głos był brutalny, zgrzytliwy. - Może nie jesteśmy tak potężni jak kiedyś, ale radzę przestudiować historię. I nie dajcie sobie wmówić, że upadające imperia nie są groźniejsze od tych rozkwitających.

51

Clare zadygotała. Polityka, podobnie jak jedzenie, religia i seks, należała do tematów, na które nigdy nie dyskutowała z obcymi. Cholera, nawet gdyby miała kogoś bliskiego, też pewnie wołałaby z nim o tym nie dyskutować.

Przez całe życie starannie unikała tego rodzaju komplikacji. Lecz teraz coś ją wciągnęło wbrew własnym instynktom. Również dlatego, że bardzo nie podobało jej się parę rzeczy w tej sprawie. Poczynając od faktu, że podwładny, Balthus, robił jej na złość.

- Działając przeciw nam - podjął Mayer - wpakuje się pani osobiście w paskudny kryzys.

Natomiast jeśli pani nam pomoże, wszystkie środki Agencji będą do pani dyspozycji. Nie odmówimy pani niczego.

- Czy to nie jest korupcja? - zapytała Clare. Pytanie miało wypaść cnotliwie, ale zabrzmiało bardziej ironicznie, niż zamierzała.

Mayer zachichotał.

- A gdzie jej nie ma?

7. Bławat h nkJULj Blues

Doktor Theodore Balthus spoglądał łakomie przez pustą wiejską ulicę w stronę zielonych drzwi pâtisserie madame Penn. Był głodny - ale potrzebował nie tylko jedzenia.

Owszem, żywił niezdrową namiętność do tarte aux amandes miejscowego wypieku, której resztki plamiły przód brązowej tweedowej marynarki, okrywającej jego sterczący brzuch. Lecz nie dlatego

jego wzrok przywierał do zagraconego okna wystawowego i wąskich drzwi z pojedynczą mleczną szybą.

Nie. Ten rozmyty cień za szkłem to była Giselle Gabon, kupująca ciastka dla matki.

Giselle o długich źrebięcych nogach, obciążonych absurdalnymi szarymi wełnianymi rajstopami od szkolnego mundurka. Małe, idealnie ukształtowane piersi wypychające klonowaną bawełnę szkolnej bluzki. Ciemne falujące włosy związane czarną aksamitką Alicji w krainie czarów.

Giselle zawsze przychodziła po ciastka o tej porze. Skończyły się popołudniowe lekcje i w drodze do domu Giselle wstępowała do sklepu madame Penn. Balthus, ilekroć mógł, siadywał w Café Celtique po drugiej stronie ulicy i obserwował ją żarłocznie.

Balthus nikogo nie dotykał. W wieku prawie trzydziestu pięciu lat ciągle był prawiczkim. Nie przejmował się tym

53

faktem i nie miał żadnych kłopotów z rubasznymi francuskimi farmerami w posiadłości d'Alencine. Po prostu dlatego, że taka ewentualność żadnemu nie przyszła do głowy; wyznawali zbyt konserwatywne poglądy.

Ukochany wuj Księcia Cesarza, diuk d'Alencine, zarządzał swoim lennem według tradycyjnych zasad - organiczne metody rolnicze, darmowe wiejskie szkoły, wiatrowe elektrownie i żadnego niemoralnego CySatu. Oczywiście kredyty, które to wszystko umożliwiały, pochodziły z Kompleksu nanóBroni Marne, gdzie pracował Balthus, ale dzierżawcy diuka o tym nie wiedzieli. Podobnie jak nie wiedzieli, że Balthus jest jeszcze prawiczkim, i tylko niejasno zdawali sobie sprawę z jego gwiazdorskiej pozycji w CySacie.

Burmistrz i jego brat Jacques, właściciel Café Celtique, gdzie siedział Balthus kończąc piąte ulepkowate cappuccino, byli przekonani, że Balthus ma kochankę w Kompleksie. No bo dlaczego dorosły mężczyzna marnuje tyle nocy w tym pobliskim brzydkim betonowym bloku, za elektrycznymi drutami ogrodzenia?

Zona Jacques'a i jej przyjaciółka Elspeth Gabon, matka Giselle, prywatnie wyśmiewały ten pomysł. Thusty doktor o świńskich oczach i denerwującym spojrzeniu nie był typem mężczyzny posiadającego kochankę. Przecież żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie poszłaby do łóżka z takim kłocem, chyba że jako jego żona nie miałaby wyboru.

Nie. Smukli nastoletni chuligani z pobliskiego miasteczka, może. Krótko ostrzyżeni, utlenieni a blond nieletni nieSocjale z arkady Symów. Ale nie kobiety.

- Co oni wiedzą? - Balthus odcharknął ciężko i splunął do zmiętej papierowej serwetki.

- Pan coś mówił? - Jacques podniósł wzrok znad monitora.

- Tylko kaszlałem.

5

faktem i nie miał żadnych kłopotów z rubasznymi francuskimi farmerami w posiadłości d'Alencine. Po prostu dlatego, że taka ewentualność żadnemu nie przyszła do głowy; wyznawali zbyt konserwatywne poglądy.

Ukochany wuj Księcia Cesarza, diuk d'Alencine, zarządzał swoim lennem według tradycyjnych zasad - organiczne metody rolnicze, darmowe wiejskie szkoły, wiatrowe elektrownie i żadnego niemoralnego CySatu. Oczywiście kredyty, które to wszystko umożliwiały, pochodziły z Kompleksu nanoBroni Marne, gdzie pracował Balthus, ale dzierżawcy diuka o tym nie wiedzieli. Podobnie jak nie wiedzieli, że Balthus jest jeszcze prawiczkim, i tylko niejasno zdawali sobie sprawę z jego gwiazdorskiej pozycji w CySacie.

Burmistrz i jego brat Jacques, właściciel Café Celtique, gdzie siedział Balthus kończąc piąte ulepkowate cappuccino, byli przekonani, że Balthus ma kochankę w Kompleksie. No bo dlaczego dorosły mężczyzna marnuje tyle nocy w tym pobliskim brzydkim betonowym bloku, za elektrycznymi drutami ogrodzenia?

Zona Jacques'a i jej przyjaciółka Elspeth Gabon, matka Giselle, prywatnie wyśmiewały ten pomysł. Thusty doktor o świńskich oczach i denerwującym spojrzeniu nie był typem mężczyzny posiadającego kochankę. Przecież żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie poszłaby do łóżka z takim kłocem, chyba że jako jego żona nie miałaby wyboru.

Nie. Smukli nastoletni chuligani z pobliskiego miasteczka, może. Krótko ostrzyżeni, utlenieni na blond nieletni nieSocjale z arkady Symów. Ale nie kobiety.

- Co oni wiedzą? - Balthus odcharknął ciężko i splunął do zmiętej papierowej serwetki.
- Pan coś mówił? - Jacques podniósł wzrok znad monitora.
- Tylko kaszlałem.

5

Doktor z irytacją zgarbił ramiona. Koncentrował się na ulicy za oknem Celtique. Rozmowa mogła wszystko zepsuć.

W lustrze za barem skrzywione odbicie Jacques'a studiowało miękki wierzchołek łysiejacej czaszki Balthusa. Jacques wiedział, dlaczego grubas przychodzi tutaj każdego popołudnia, ale dopóki nie dotknął dziewczynki, dla Jacques'a to nie miało znaczenia. Jacques nie miał przesadnych złudzeń w kwestii słabości natury ludzkiej.

Balthus wodził głodnym wzrokiem za Giselle już od dwóch lat. Rejestrował każdą zmianę, kiedy wyrastała z bystrej, inteligentnej jedenastolatki na ciemnooką, nadąsaną trzynastoletnią piękność. Teraz osiągnęła szczyt. Cała reszta będzie przekwitaniem. Balthus widywał już takie rzeczy.

Giselle wkraczała już w dojrzałość. Co wieczór zamieniała swój workowaty dżersejowy blezer i białą szkolną bluzkę na gładko przylegający czarny top, który przyciągał rój wiejskich chłopaków i parobków z majątku, krążących wokół niej jak brzęczące, dymiące muchy na swoich tanich tajwańskich żyroskopowych mopedach.

Balthus znowu odkasznął. Życie. Miłość. Jedno wielkie gówno. Dorosłe kobiety odstręczały go swoimi kwaśnymi odorami i mięsistymi ciałami. I cokolwiek szeptała Elspeth, matka .Giselle, nigdy nie pociągały go wątpliwe wdzięki młodych chłopców.

Nie. Doktor znał własne słabości i panował nad nimi. Amerykanie dawali mu e-ziny. Czasami dostawał nawet stare, fatalnie zdubbingowane ROM-wideo, gdzie każdy niesynchroniczny jęk i krzyk wychodził z boleśnie wykrzywionych ust ładnej młodej dziewczyny, związanej dla jego przyjemności.

To, czego pragnął Balthus, było nielegalne. Tak mu powiedzieli Amerykanie. Więcej niż nielegalne, to był grzech, upadek moralny. Balthus oczywiście nie wierzył w te bzdury. Rozciął zbyt wiele martwych ciał i eksperymentował na zbyt wielu

55

Doktor z irytacją zgarbił ramiona. Koncentrował się na ulicy za oknem Celtique. Rozmowa mogła wszystko zepsuć.

W lustrze za barem skrzywione odbicie Jacques'a studiowało miękki wierzchołek łysiejacej czaszki Balthusa. Jacques wiedział, dlaczego grubas przychodzi tutaj każdego popołudnia, ale dopóki nie dotknął dziewczynki, dla Jacques'a to nie miało znaczenia. Jacques nie miał przesadnych złudzeń w kwestii słabości natury ludzkiej.

Balthus wodził głodnym wzrokiem za Giselle już od dwóch lat. Rejestrował każdą zmianę, kiedy wyrastała z bystrej, inteligentnej jedenastolatki na ciemnooką, nadąsaną trzynastoletnią piękność. Teraz osiągnęła szczyt. Cała reszta będzie przekwitaniem. Balthus widywał już takie rzeczy.

Giselle wkraczała już w dojrzałość. Co wieczór zamieniała swój workowaty dżersejowy blezer i białą szkolną bluzkę na gładko przylegający czarny top, który przyciągał rój wiejskich chłopaków i parobków z majątku, krążących wokół niej jak brzęczące, dymiące muchy na swoich tanich tajwańskich żyroskopowych mopedach.

Balthus znowu odkasznął. Życie. Miłość. Jedno wielkie gówno. Dorosłe kobiety odstręczały go swoimi kwaśnymi odorami i mięsistymi ciałami. I cokolwiek szeptała Elspeth, matka Giselle, nigdy nie pociągały go wątpliwe wdzięki młodych chłopców.

Nie. Doktor znał własne słabości i panował nad nimi. Amerykanie dawali mu e-ziny. Czasami dostawał nawet stare, fatalnie zdubbingowane ROM-wideo, gdzie każdy niesynchroniczny jęk i krzyk wychodził z boleśnie wykrzywionych ust ładnej młodej dziewczyny, związanej dla jego przyjemności.

To, czego pragnął Balthus, było nielegalne. Tak mu powiedzieli Amerykanie. Więcej niż nielegalne,

to był grzech, upadek moralny. Balthus oczywiście nie wierzył w te bzdury. Rozciął zbyt wiele martwych ciał i eksperymentował na zbyt wielu

55

żywych, żeby wierzyć w istnienie duszy... Gdyby istniała, znalazłby ją dawno temu. Co nie znaczyło, że nie szukał.

Jak to sformułował Mayer w swojej pierwotnej ofercie? Ciało jest jedynie prymitywną miękką maszyną do betaTestów, błagającą o doprowadzenie do ostatecznych granic, przebudowę, modernizację. A Balthus był mechanikiem ciała. Regulował silnik, zgłaszał poprawki, marzył o dniu, kiedy udoskonalą nową, lepszą maszynę.

A z ciałem takim jak moje, myślał rozgoryczony Balthus, nic dziwnego, że pomysł mechaniczno/ludzkiej hybrydy wydaje się tak atrakcyjny. Według jego opinii organizm człowieka potrzebował tylko przerobionych obwodów, lepszej pamięci, szybszej reakcji. Dlaczego nie? Ostatecznie Balthus był wykwalifikowanym technikiem. Miał wizję i doświadczenie...

Cóż za doświadczenie... W wieku dziesięciu lat Balthasar Theodoris przeprowadził swoją pierwszą autopsję na dwunastoletnim brutalnym łobuzie w jezuickim sierocińcu w Nan-cettes, za pomocą starego stalowego skalpela i kombinerek ukradzionych z warsztatu. Zrobił to sam, bez książek, w brudnej zagraconej piwnicy, przy świetle starej wojskowej lampy katalitycznej.

Kiedy odkryto ponure szczątki, starannie opisane, w nieużywanej lodówce Brauna, którą Balthasar pracowicie podłączył bezpośrednio do sieci, pulchny zapłakany chłopiec twierdził z uporem, że ofiara już nie żyła. Śmiertelny upadek z piwnicznych schodów. A druga, bardziej profesjonalna autopsja potwierdziła jego zeznanie. Łobuz zmarł - ale tuż przedtem.

Chłopca chciano już odesłać do domu poprawczego w Nan-cettes, kiedy zapadł wyrok. Jeśli diabeł nie znalazł lepszego zajęcia dla beczynnych chłopięcych rąk, Sekcja Trzecia z pewnością coś znajdzie.

Tak oto metody, wciąż przerażony Balthasar Theodoris stał się Theodorem Balthusem i znalazł się w Mont Sens, w specjalnej „klinice”, finansowanej przez szwajcarski farmaceutyczny metaNacjonal, gdzie jego nienasycony głód eksperymentów został doceniony i nagrodzony.

Balthus ze znużeniem dźwignął się na nogi, sięgnął po złoty plastikowy talerz stojący na cynkowym kontuarze i rzucił garść drobnych chipów. Giselle nie wychodziła. Albo wciąż była w sklepie i wymieniała plotki z właścicielką, madame Penn, albo wymknęła się tylnymi drzwiami. Grubas miał paskudne przeczucie, że w grę wchodzi ta druga ewentualność. Mniejsza z tym.

Tajemnicze martwe ciało amerykańskiej dziewczyny czekało na niego w Marne. Test Dariusa okazał się bezwartościowy. Pokazał tylko, że genetycznie jej DNA zostało rozwalone, przemieszane z nanitami, których nie potrafił zidentyfikować, o czym wiedział z góry. Próbkę tkanek nie ujawniły nic konkretnego. A cholerny Charles Mayer żądał wyników. Natychmiast. Całkiem jak ta nadęta krowa z biura Pierre'a Nexusa.

Zapinając oporny płaszcz dla osłony przed zapadającą ciemnością i wichrem znad Atlantyku hulającym po głównej ulicy, Balthus wyszedł z Celtique i ruszył w stronę swojego elektrycznego forda z napędem na cztery koła.

Nie zobaczył Pierre'a Bruina, agenta operacyjnego z CIA, wyznaczonego do pilnowania go przez cały dzień bez przerwy. No, ale nie powinien był go zobaczyć. Bruin był dobry. Chudy, bogobojny samotnik, który brzydził się Balthusem. Nienawiść pogłębiła się przez trzy lata, kiedy musiał pełnić straż każdego popołudnia, a Balthus siedział wygodnie w ciepłej kawiarni i ślinił się do rozmazanego obrazu pulchnej miejscowej uczennicy.

57

Lecz jeśli Balthus nie zobaczył Bruina, to Pierre Bruin, znudzony i zirytowany na śliskim kubetkowatym fotelu swojego szarosrebrnego terenowego peugeot, nie zobaczył śmierci. Śmierci pod postacią blond nastolatka o niewinnej anielskiej twarzy i błękitnych jak bławatki oczach mordercy. Młody kamikadze zapalił kopnięciem rotor czarnego suzuki 750 w chwili, kiedy Bruin uruchomił silnik peugeot.

Wszyscy trzej mężczyźni przełączyli swoje pojazdy na kierowanie ręczne.

Czarny motocykl suzuki ruszył za peugeotem, kiedy Bruin wyjechał z kościelnego parkingu i zaczął śledzić sfatygowanego forda brazylijskiej produkcji, którym doktor Balthus wracał do Marne. Jak na zabójstwo było to perfekcyjne. Balthus musiał trochę zwolnić tuż przed skrzyżowaniem, skąd prowadziła droga do Kompleksu. Tam właśnie chłopiec wykonał swój ruch. W ciągu kilku sekund suzuki nadrobił półkilometrowy dystans i podjechał do srebrnego samochodu Bruina. Z bezlitosną wprawą chłopiec oderwał obrzyn browning od rzepowego zapięcia pod skórzaną kurtką i odbezpieczył. Pierwszy pocisk trafił Pierre'a Bruina w twarz. Przebiwszy szybę po stronie pasażera, rozpedzone romby polimeru wwiercity się w czaszkę i zdarty skalp. Odłamki kości poszatkowały mózdzek ochroniarza i zmiksowały półkule mózgowie na lepką szarą galaretę. Tymczasem motocykl zrównał się z zielonym fordem Balthusa i zaszokowany grubas spojrzał prosto w czarną pustkę dymiących luf. Szok nagle zniknął - razem z twarzą doktora. Ford niemal leniwie skręcił w stronę rzędu topól rosnących wzdłuż drogi i roztrzaskał się o drzewo. W jednej chwili to, co

56

pozostało z głowy martwego doktora, rozmazało się po wewnętrznej stronie przedniej szyby. Ułamek sekundy później, kiedy suzuki bezpiecznie wyhamował na trawie, peugeot Bruina rąbnął w tył forda Balthusa.

Chłopiec nie fatygował się zaglądaniem do żadnego z samochodów. Wyciągnął z kieszeni parę czarnych plastikowych cylindrów, odgryzł czubki i zdarł hermetyczne osłony, co pozostawiało mu pięć sekund, zanim ładunki eksplodują.

Wcisnąwszy oba pociski do zamka browninga, chłopiec wpakował po jednym w każdy samochód. Fala uderzeniowa pchnęła go tak mocno, że przez sekundę kołysał się na piętach.

Teraz pozostało do zrobienia tylko jedno.

Chłopiec załadował następne dwa magnezowe pociski. Potem zawahał się, ale tylko na chwilę. Chwycił rozpaloną do czerwoności klamkę rozbitego peugeota, szarpnięciem otworzył drzwi po stronie pasażera, ignorując smród spalonego mięsa i biały ból, który przeszył go od palców spieczonych z metalem.

Płomienie ryczały dookoła niczym diabolicznie odwrócony pomarańczowy wodospad ognia. Bez namysłu chłopiec zanurzył się w piekło, opadł na topiącą się gąbkę, metal i plastik fotela pasażera. Zanim spalone ciało palców zaczęło odchodzić od kości, zdążył wepchnąć sobie lufę pod brodę. I nacisnąć spust.

Wystrzał oderwał mu szczękę, język i podniebienie, promieniście rozplątał mózg. Bławatkowo błękitne oczy rozpląnęły się w oczodołach. Zabójcza mieszanka czystego magnezu i boru zapaliła wierzch jego czaszki, rozerwała hełm motocyklowy i wyrwała z dachu peugeota kawał blachy wielkości walizki.

B. PatLjhnLLiatLj czławiEh GiacamEttiEgn

Dwie godziny później, kiedy Paryż przygotowywał się do weekendu - a tragiczna śmierć doktora Balthusa, słynnego patologa, gwiazdora CySatu i czołowego eksperta Francji od biotekowej broni, nadal stanowiła wiadomość dnia, której szczury jeszcze nie złamały - bomba wstrząsnęła zwykle spokojnym piątym arondissement miasta. Okolicą zbyt bogatą, zbyt ekskluzywną i zwykle zbyt dobrze strzeżoną, żeby jej mieszkańcy przywykli do przemocy...

Lecz dwa funty przypominającego kit biosemteksu, przyklejonego do podwozia pięknie odrestaurowanej czarnej toyoty, roztrzaskały więcej niż filisterskie samozadowolenie zaryglowanych ambasad i odpoczywających dyplomatów: zburzyły frontową ścianę małego parterowego biura. Budynku tak szarego i nijakiego, że wcześniej nikt nawet go nie zauważył. Jedna osoba zginęła. Ponadto ofiarą padły jedynie: wysoce nielegalna anime-erotyczna witryna, specjalizująca się w nagich trójwymiarowych japońskich uczennicach (które pod młdą słodką, niewiarygodnie pneumatyczną powierzchow-

BD

nością ukrywały drugą tożsamość agentów sieciowych zaawansowanej półSI) oraz jeszcze bardziej nielegalny „wirtualny kwantowy” rdzeń danych, znany jako MAKAI - Multiplek-sowy Alternatywny Karion Sztucznej Inteligencji.

Wciąż na etapie prób, MAKAI sam się beta-testował według zasady czystego pokoju. Jego zaawansowane procesory stanów równoległych SI mogły przyjmować dane i zapisywać w pamięci, ale tak naprawdę nie znały ich źródeł. MAKAI mógł zażądać i otrzymać dostęp do danych - ale sam nie wiedział, skąd je odczytuje ani gdzie wpisuje...

Niestety, ponieważ witryna, oprzyrządowanie i rdzeń danych jednocześnie wyleciały w powietrze, nikt się nie zorientował, że rdzeń został już wyspany do czysta, że na milisekundę przed wybuchem pływający dysk MAKAI został schwyty w pojedynczy ultraszerokopasmowy strumień danych. Tak samo przechwytyjący nie zdawali sobie sprawy, że - również prawie w chwili wybuchu - MAKAI podjął jednostronną decyzję, żeby wstrzyknąć swój system operacyjny do Cy. MAKAI nadal istniał, lecz nawet on wiedział, na czym polega jego największy problem: właśnie stracił pamięć.

Zanim uzbrojeni żandarmi skończyli przesiewać gruzy i znaleźli poszarpane, zakrwawione szczątki dyplomaty Charlesa Mayera, byłego ulicznego samuraja i nieoficjalnego amerykańskiego lodziarza w Paryżu, zamordowanie Theodore'a Balthusa, jego ochroniarza Philippe'a Bruina i niezidentyfikowanego chłopca wywołało falę sensacji w wieczornych tele-wiadomościach C3N i spiralnie rozeszło się po sieci niczym pytanie bez odpowiedzi.

Komputery odpalały, pływające dyski wirowały, modemy trajkotały. W całej Europie, potem w Stanach i sekundy później w globalnej cybprzestrzeni dżokeje zabrali się do roboty i wykopywali informacje równie szybko, jak urzędnicy z Elysee daremnie próbowali je ukryć.

BI

Podstawowe prawo hierarchii zakłada, że odpowiedzialność przechodzi w winę szybciej, niż noc zapada na równiku - to zawsze było oczywiste dla Clare Fabio. A później, jak lont podpalony z obu stron, winą wędruje w górę i w dół po organizacyjnej drabinie władzy, aż trafi na szczebel dostatecznie wysoki, żeby przyjąć odpowiedzialność, ale nie tak ważny, żeby pociągnąć w przepaść wszystkich innych.

A tym razem wypadło na Clare Fabio. Przynajmniej do takiego wniosku doszła, obserwując swojego ministra, który majestatycznym krokiem przemierzał swój luksusowy gabinet, głośno stukając kubańskimi obcasami po twardej marmurowej podłodze.

Clare ciężko pracowała, żeby go ugłaskać - ale z nędznym rezultatem. Nie podobała jej się ta sytuacja. I raczej nie mogła sobie pozwolić na przegranie tej bitwy.

- No dobrze - rzucił Nexus przez zaciśnięte zęby - jeśli policja nam nie pomoże... Ty mi powiedz, kim był ten kutas.

Clare wzdygnęła się na to słowo. Zażądano od niej niemożliwego i Pierre Nexus o tym wiedział. Ciało na miejscu pasażera w samochodzie Bruina było zwęglone nie do rozpoznania. Zostało w nim nawet niewiele ze zwierzęcia, nie mówiąc o człowieku.

Brak odpowiedzi denerwował Clare. Jeszcze bardziej denerwowało ją, że minister wyraźnie oczekuje od niej odpowiedzi. Z pewnością jakieś nieokreślone napięcie zawisło niczym statyka w powietrzu pomiędzy nimi. Jakies niebezpieczne przesunięcie sił.

Ku swojemu przerażeniu Clare poczuła, że lepki pot zbiera się jej w zagłębieniu pleców. Co gorsza, ciemne plamy pojawiły się pod pachami jej kosztownego włoskiego jedwabnego kostiumu. I wyraźna kwaśna nuta przebiła się przez wytworny cytrynowy zapach perfum Chanel.

BE

Pierre Nexus zauważył to wszystko, ale nic nie powiedział. Nie musiał.

Pod strzechą elegancko przyciętych srebrnych włosów na jego twarzy pojawił się maty, pełen satysfakcji uśmiešek. Sięgnąwszy do papierowej torebki po następną trufkę, Nexus wrzucił ją do ust, a kakaowy pył posypał się na jego błękitny blezer.

Przez sekundę czas zastygł, kiedy wyraz bliski ekstazy zniekształcił rysy jego ociężałej twarzy. Potem Nexus zlizął okruszki z nieskazitelnie wymanikiowanego kciuka i palca wskazującego i otworzył oczy.

Przez długie miesiące ta elegancka, pełna wyższości kobieta kierowała jego departamentem, jakby to ona tutaj rządziła, nie on. A teraz się bata. Widział to, czuł zapach jej strachu. Prawie smakował go razem z gorzką słodyczą czekolady. I był szczęśliwy. Gdyby ona wiedziała, jaki jest szczęśliwy...

Od chwili narodzin Trzeciego Napoleońskiego Cesarstwa protokół wymagał, żeby nawet przy najostrożniejszej różnicy zdań rządowi ministrowie i wyżsi urzędnicy przestrzegali określonych reguł etykiety. Wyznaczono punkt, poza który ministrowie i ich podwładni nie powinni się posuwać. Minister spraw wewnętrznych Pierre Nexus już dawno radośnie przekroczył tę granicę i rozkoszował się każdą minutą rozmowy.

- Proszę tylko - powiedział z wystudiowaną uprzejmością - żeby pani zidentyfikowała tę trzecią osobę. Mamy dwa wypalone samochody, niezarejestrowany motocykl i anonimowe zwłoki tak wysmażone, że przy nich ten śliczny mały Giacometti wyglądałby jak żywy. Wbrew sobie Clare zerknęła na brzydkiego czarnego patykowatego ludzika. Minister miał rację. Rzeźba rzeczywiście wyglądała jak spalony trup zanurzony w żywicy.

B3

- Więc kto to był? - zapytał Nexus. Wpatrywał się w nią jak wilk w ranną ofiarę. Niewzruszone spojrzenie, pełne niewymownej pogardy i ledwie skrywanego głodu.

Wytrzymała jego wzrok, ale to wymagało odwagi, więcej odwagi, niż miała.

- Z pewnością to sprawa policji?

Ale Nexus pokręcił głową.

- Nie - odparł bez ogródek. - Właśnie pani powinna wiedzieć, co się naprawdę stało.

- Ja? Dlaczego ja? - zapytała wreszcie Clare. Miała dziwne wrażenie, że wcale nie chce poznać odpowiedzi.

Uśmiech ministra potwierdził jej obawy.

- Balthus, Mayer, te ciała... co je łączy? Pani - oświadczył, podnosząc elektroniczny folder z biurka i odczytując słowa, które natychmiast zaczęły płynąć po płaskim ekranie. Oboje wiedzieli, że robił to na pokaz. Niemniej Nexus udawał, że skanuje folder w poszukiwaniu informacji.

- Zobaczmy - mruknął. - Dzisiaj rano dzwoniła pani do naszego tłustego przyjaciela z bezpiecznej linii. Ale, co dziwne, gdy tylko podniósł słuchawkę, pani przerwała połączenie. A po południu on zginął razem ze swoim ochroniarzem. No i oczywiście jest jeszcze nasz tajemniczy amerykański przyjaciel... to, co z niego zostało. Dzisiaj rano rozmawiał z panią, a teraz policja zbiera go w kawałkach i wrzuca do plastikowego worka...

Minister nacisnął przełącznik interkomu w biurku.

- Kawa - zażądał burkliwie. - Z pianką i mnóstwem tartej czekolady.

Nie zaproponował niczego Clare.

Ładna młoda dziewczyna, która wniosła srebrną tacę, zerknęła z ciekawością na Clare i zarejestrowała kosztowny strój starszej kobiety, skromną złotą broszkę z perłą od Cartiera, nieskazitelną, rozsądną fryzurę.

BU

Clare zastanowiła się przelotnie, gdzie się podziała Mimi, stara sekretarka ministra; pewnie gdzieś przeniesiona - nędzna zapłata za usługi. W każdym innych okolicznościach nowa dziewczyna drżałaby ze strachu przed Clare. Fakt, że nie drżała, ostrzegł Clare, że plotki o jej upadku dotarły już do sekretariatu.

Z całkowicie nowym uczuciem ściskania w żołądku Clare rozejrzała się ostrożnie po ogromnym gabinecie ministra, jakby nigdy go nie widziała. I w pewnym sensie nie widziała. Nie z tej perspektywy. Tak wyglądał brak władzy, brak kontroli.

Ze wszystkich stron otaczała ją elegancja. Począwszy od wspaniałego ministerialnego biurka Ludwik XIV z intarsjowa-nego orzecha, skończywszy na wystrzępionym, lecz bezcennym gobelinie z jednorożcem na ścianie naprzeciw, wszystko mówiło o władzy. Lecz mówiło szeptem, ponieważ żaden minister spraw wewnętrznych nigdy nie musiał podnosić głosu.

Na jednej ścianie wysokie okna z kwaterami, obramowane przez długie kotary z czerwonego aksamitu, wpuszczały światło dzienne. Wnętrze eleganckiego gabinetu Nexusa pozwalało zapomnieć, jakim straszidłem barwy piaskowca jest Basen widziany z zewnątrz.

Po drugiej stronie wstrząsoodpornej szyby z krystalicznego polimeru Clare widziała hovey i powozy stłoczone na podjeździe w miejscu, gdzie łączył się z główną drogą. W oddali powolna i niezdarna barka rzeczna z trudem płynęła Sekwaną pod prąd.

Ludzie na chodniku pod oknami spieszyli już do domów. Zrobiło się później, niż myślała.

- Rozumie pani mój problem, prawda? - zagadnął minister, nawet nie próbując ukryć satysfakcji. - Oto ja, wierny sługa wspaniałego Cesarstwa Francuskiego, polegam na radach moich podwładnych. Radach, do których udzielania pani zawsze czuła się uprawniona. I nagle zaczynam się zastanawiać: czy słusznie przyjmuję te rady?

G5

Spojrzał jej w oczy, następnie powoli powędrował wzrokiem w dół po jej ciele, popatrzył na ciemne plamy potu pod pachami...

- Widzi pani, moja droga, muszę zadać sobie pytanie: czy można polegać na pani radach?

To było pytanie polityka. Nie wymagało odpowiedzi.

Minister odstawił parującą kawę, z arogancką swobodą strzelił palcami, po czym odwrócił się do półkolistego stolika z okresu Trzeciego Cesarstwa. Czarny matowy wysuwany ekran i klawiatura IBM połowy normalnej wielkości stały na półkolistym blacie z żyłkowanego marmuru. Minister wolał używać staroświeckich klawiszów, zamiast wydawać polecenia głosem komputerowi S3. Kolejna afektowana poza, jedna z najbardziej irytujących.

Clare patrzyła w milczeniu, jak minister niedbale przestukał się przez ochronę systemu do serca mainframy R3/8700, ukrytej w podziemiach cztery piętra niżej.

FABIO, CLARE - wklepał minister i wyprostował się, kiedy ekran wyświetlił jej całe życie ściśnięte w trzech krótkich akapitach. Czwarty, ważniejszy akapit określał granice jej władzy jako wyższego urzędnika państwowego.

Tylko że granice nie istniały.

Minister popatrzył na ostatni akapit i obdarzył Clare swoim najbardziej wilczym uśmiechem.

- Sami stanowimy prawo dla siebie, co? - rzucił. - Pełne dopuszczenie. Policyjna ochrona na żądanie. Zezwolenie na broń. Dostęp do nierejestrowanych funduszy. Można sobie zorganizować w sekrecie całkiem niezłą małą armię, co? Nawet bez mojej wiedzy.

Insynuacje nie robiły wrażenia na Clare, trafiały gdzieś obok. Odrętwienie jak szklana ściana osłoniło ją przed potokiem słów. Ale już zrozumiała, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Niech mi pani opowie o swoim przyjacielu Mayerze - zażądał nagle minister; położył nacisk na słowo „przyjaciel”.

GB

- Wiemy już, że zaopatrywał doktora Balthusa w dziecięcą pornografię. I doskonale się orientujemy, że zajmował się łamaniem lodu w systemach komputerowych właśnie tego departamentu. Ale co jeszcze robił poza tym, że panią bzykał?

Clare zrobiła krok do przodu, ale zatrzymała się.

- Nie spałam z nim - oświadczyła z furją. - Nie był moim kochankiem, nie był nawet przyjacielem. I nie mam pojęcia, co robił.

Ale jej słowa padały w próżnię. Minister był zbyt zajęty mówieniem do siebie.

- Wie pani, to bardzo pięknie, że ministerstwo proteguje takich snobów jak pani. Paniczyków i panienki z L'Ecole Normale. Ale na wsi, gdzie dorastałem, wciąż musieliśmy w pocie czoła zarabiać na chleb... I wie pani co? - dodał, składając ręce na brzuchu świadczącym, że jego właściciel od dwudziestu lat nie przepracował fizycznie ani sekundy.

- Każdy dobry farmer pani powie, że jeśli się hoduje cieplarniane rośliny, na pewno przyplącze się choroba. - Nawet nie próbował ukryć jawnej pogardy dla wszystkiego, co Clare sobą reprezentowała.

Przez sekundę Clare patrzyła na siebie jego oczami: osoba, która lekceważyła jego przekonania, wyśmiewała jego pretensje do kultury. Ambitna trzydziestoparoletnia suka w drodze na szczyt, nieograniczona żadnym poczuciem lojalności wobec zespołu.

- Nic nie wiem o Mayerze - powiedziała niemal przeproszającym tonem. - Zupełnie nic.

Wcale nie był moim przyjacielem.

- Zdziwia mnie pani. - Minister z roztargnieniem wziął nóż do papieru w kształcie kawalerskiej szabli i zważył go w dłoni. Nóż był idealnie wyważony. - Wie pani co? - podjął. - Od tygodni mieliśmy podsłuch na pani domowej linii głosowej.

E 7

Nie mówiąc o pluskwie w terminalu i mobilu. Wiemy więcej o pani nędznym życiu niż pani sama. Nie zostało nic więcej do powiedzenia.

- Spójrzmy prawdzie w oczy. Z Balthusem wpadła pani po szyję. Pani nazwisko wyskakuje w każdej rozmowie telefonicznej Mayera. Mogliśmy panią zamknąć i wyrzucić klucz. Chociaż wygodniej byłoby po prostu panią zabić... Jednakże - ciągnął gładko minister, kiedy Clare usiadła nieproszona na najbliższym krześle - jeśli pani natychmiast złoży rezygnację, dopilnuję, żeby nie wysuwano żadnych oskarżeń.

Chłodne ciemne oczy patrzyły na nią nieustępliwie.-

- Proszę mi wierzyć, to ze względu na mnie, nie na panią. Narobiła już pani takiego bigosu...

- Ale to jest moje życie - zaprotestowała bezradnie Clare, wskazując gabinet, rządowe hovey i niewielki park widoczny za oknem.

- Było. - Minister stuknął ręką o blat biurka z nieobecny wyrazem twarzy, jakby myślał już o czym innym.

Clare nie dała się nabrać. Wprawdzie trochę za późno, ale jednak nauczyła się nigdy nie lekceważyć czyjejś wrodzonej inteligencji. Nawet inteligencji niepiśmiennych, gruboskórnych bandziorów, którzy uważali, że wybory to uczciwa gra.

- Wiele osób wołałoby panią uśmiercić dla bezpieczeństwa -oznajmił spokojnie Nexus, wybierając następną trufkę. Mówił niemal marzycielskim tonem. - Ale ja nie jestem taki. Chociaż możliwość rezygnacji to więcej, niż się pani należy. Dużo więcej.

Wrzucił czekoladkę do ust. I kilkoma stuknięciami w lepkie klawisze skasował upoważnienia Clare, limit kredytowy i zezwolenie na działanie w imieniu rządu Francji w nagłych wypadkach. Jej plik został - całkiem dosłownie - zamknięty.

- Personel sprawdzi, ile jesteście pani winni, i przeleje pieniądze na pani rachunek. Od tej chwili nie pracuje pani dla Sekcji Trzeciej, dla mojego ministerstwa ani dla rządu.

E a

Nexus dotknął dyskretnego brzęczyka z kości słoniowej, ukrytego w intarsji na boku biurka.

- To niepotrzebne - rzuciła Clare podniesionym głosem, zdradzającym przerażenie.

- Ochrona wyprowadzi panią z budynku - zakończył kategorycznie minister i ponownie nacisnął brzęczyk.

- Ale moje rzeczy... - zaprotestowała Clare.

- Zostaną odesłane. W tej chwili chcę, żebyś wyniosła się z mojego gabinetu i z budynku. -

Pierre Nexus zrobił przerwę. - Mówiłem ci już, jaka z ciebie cipa? Nie? No więc teraz wiesz.

Aroganka, zepsuta, ograniczona... nie wiem, z kim musiałaś się pieprzyć, żeby dostać to stanowisko, i mam to gdzieś. Ale nigdy więcej nie chcę cię widzieć na oczy.

Z uśmiechem odprowadzał wzrokiem jej sztywne pJecy, kiedy szła do drzwi. Nie musiał widzieć jej twarzy, żeby wiedzieć, że z całych sił starała się nie rozplakać. Nieczęsto w jego zawodzie sprawy układały się tak pomyślnie. Ale tym razem wszystko się ułożyło. Clare odeszła.

Minister spraw wewnętrznych Pierre Nexus sam wiedział najlepiej, że Balthus, jego ochroniarz oraz Mayer zginęli w wyniku kontraktu zawartego przez niejakiego pana Uu z Nowego Jorku. Pierre Nexus wiedział o tym, ponieważ to on wysłał wstępną ofertę do pana Uu, podpisaną jako Baldwin, hrabia Monte Jezus. Zwerbowanie przywódcy triady stanowiło jeden z warunków wstępnej oferty złożonej Ne-xusowi.

Jutro wyśle pocztą głosową do pana Uu - używając najbezpieczniejszej linii S3 - i zaproponuje, żeby Chińczyk odszukał lorda Winterbrooke'a, tajemniczego chrześcijańskiego survivalistę, prawdopodobnie żyjącego samotnie gdzieś na pustyni Namib. Jako neoluddycki fundamentalista, ten człowiek na pewno z zasady nie miał adresu w sieci ani nigdy nie

Nexus dotknął dyskretnego brzęczyka z kości słoniowej, ukrytego w intarsji na boku biurka.

- To niepotrzebne - rzuciła Clare podniesionym głosem, zdradzającym przerażenie.

- Ochrona wyprowadzi panią z budynku - zakończył kategorycznie minister i ponownie nacisnął brzęczyk.

- Ale moje rzeczy... - zaprotestowała Clare.

- Zostaną odesłane. W tej chwili chcę, żebyś wyniosła się z mojego gabinetu i z budynku. - Pierre Nexus zrobił przerwę. - Mówiłem ci już, jaka z ciebie cipa? Nie? No więc teraz wiesz. Arogancka, zepsuta, ograniczona... nie wiem, z kim musiałaś się pieprzyć, żeby dostać to stanowisko, i mam to gdzieś. Ale nigdy więcej nie chcę cię widzieć na oczy.

Z uśmiechem odprowadzał wzrokiem jej sztywne pJecy, kiedy szła do drzwi. Nie musiał widzieć jej twarzy, żeby wiedzieć, że z całych sił starała się nie rozplakać. Nieczęsto w jego zawodzie sprawy układały się tak pomyślnie. Ale tym razem wszystko się ułożyło. Clare odeszła.

Minister spraw wewnętrznych Pierre Nexus sam wiedział najlepiej, że Balthus, jego ochroniarz oraz Mayer zginęli w wyniku kontraktu zawartego przez niejakiego pana Uu z Nowego Jorku. Pierre Nexus wiedział o tym, ponieważ to on wysłał wstępną ofertę do pana Uu, podpisaną jako Baldwin, hrabia Monte Jezus. Zwerbowanie przywódcy triady stanowiło jeden z warunków wstępnej oferty złożonej Ne-xusowi.

Jutro wyśle pocztę głosową do pana Uu - używając najbezpieczniejszej linii S3 - i zaproponuje, żeby Chińczyk odszukał lorda Winterbrooke'a, tajemniczego chrześcijańskiego survivalistę, prawdopodobnie żyjącego samotnie gdzieś na pustyni Namib. Jako neoluddyczny fundamentalista, ten człowiek na pewno z zasady nie miał adresu w sieci ani nigdy nie

ER

pozwoił, żeby szpital zarejestrował jego wzór DNA, więc cholernie trudno będzie go znaleźć. Ale kto powiedział, że nieśmiertelność kosztuje tanio?

Reasumując, Pierre Nexus miał prawo być zadowolony z siebie. No, ale, jak zawsze żartował, każdy polityk ma swój prywatny program - po prostu jego program był trochę bardziej prywatny... Uśmiechnął się, wziął ze srebrnej tacy trufkę oproszoną kakaowym pyłem i powoli roztaił językiem na podniebieniu jej przepyszną ciemną słodycz. Dreszcz przeszedł mu po kręgosłupie. Ten smak był najbardziej zbliżony do czystego, seksu i prawie równie uzależniający.

Nexus nie miał żadnych wątpliwości, że odnaleziony Win-terbrooke przyjmie ofertę pana Lee Uu. Kto by ją odrzucił? Zawsze werbowano tylko trzech ludzi naraz, a werbunek odbywał się tylko co dwieście lat - przynajmniej tak mu powiedziano. Ludzką naturę Pierre Nexus rozumiał aż za dobrze, toteż nie zdziwiła go informacja, że przez osiemset lat jeszcze nikt nigdy nie odrzucił oferty.

Otwarte pomieszczenie sekcji administracyjnej wydawało się największą przestrzenią, jaką Clare kiedykolwiek musiała przebyć. Rozległa pustynia.

Nikt nie podniósł wzroku, kiedy dwaj strażnicy ją wyprowadzali.

- Minister powiedział, że mogę zabrać swoje rzeczy - syknęła Clare, czerwona z zażenowania.

- Mnie nic nie mówił - odparł starszy z dwóch strażników, wysoki, siwowłosy eks-legionista, który trzymał jej prawy łokieć w zwodniczo lekkim uścisku.

Clare nie stawiała oporu. Próbowwała się wyrwać w gabinecie Nexusa, dopóki naciskające palce strażnika nie odnalazły

70

z łatwością nerwu tak wrażliwego, że rozplakała się z bólu i szoku.

Nikt na nią nie spojrział i nikt nie rzucił jej ani słowa pociechy. Została napiętnowana. Potępiona. Nowina już ją wyprzedziła.

- Wyprowadźmy ją tylnym wyjściem - powiedział cicho siwowłosy strażnik do partnera, który wyszczerzył zęby.

Na poziomie sutereny młodszy wyszedł z windy i skręcił do stalowych drzwi w pobliżu.

- Tędy - powiedział, wskazując na zaciemniony podziemny garaż, zarezerwowany dla ministrów. - I proszę uważać na stopnie...

Jego pierwszy cios trafił ją w prawy bok pod żebrami, wycisnął jej powietrze z płuc. Oślepiąca spazmem czystego białego bólu, Clare osunęła się na kolana i upadła na ziemię, a stalowe drzwi zatrasnęły się za nią złowieszczo.

Leżała na szarych betonowych schodach inkrustowanych drobinkami krzemu, pokrytych plamami oleju i zaschniętym błotem. Tuż przed swoją twarzą zobaczyła nagle niedopałek papierosa, japońskiego, ledwie zaczętego, z purpurową błyszczącą szminką na ustniku. Wyglądał dziwnie nie

na miejscu.

Szybko o tym zapomniała, kiedy obcas czarnego skózanego buta trafił ją w ramię. Instynktownie zwinęła się w ciasny kłębek, kolana podciągnięte do piersi, ramiona przyciśnięte do boków. Skopią mnie na śmierć, pomyślała przelotnie, zanim kopniaki nie zrzuciły jej ze schodów, a wtedy w ogóle przestała myśleć.

Wbrew sobie Clare krzyknęła, wydała przerażony dziecinny wrzask, który odbił się echem w pustym garażu.

- Zamknij się, kurwo.

Rozpoznała szorstki akcent starszego ochroniarza. Głos miał znudzony.

Szarpnięcie postawiło ją na nogi i znalazła się twarzą w twarz z młodszym strażnikiem, tym, który ją kopał. Były żołnierz,

71

pomyślała mętnie. Korsykanin. Dawniej w Legii Cudzoziemskiej. I nagle napatynęło nieprzyjemne wspomnienie, jak wygryzła go za nieumiejętne używanie czytnika dłoni Matsui.

Jego chytry uśmiezek i radosny błysk w wyblakłych niebieskich oczach powiedziały jej, że zemsta sprawia mu wielką przyjemność.

- Pizda - rzucił obojętnie i splunął jej w twarz.

Clare nawet nie zdążyła przerazić się infekcji retrowirusem czy choćby poczuć wstrętu, ponieważ dużo wcześniej złośliwy cios z bekhendu rzucił ją na beton i pograżył w ciemności.

I=i. Deus ex machina

Zimny wilgotny beton uciskał lewą skroń Clare. Ostry ból przeszywał jej potłuczony kręgosłup. Dygotała.

Tak naprawdę chciała tylko zasnąć albo umrzeć, jeśli sen nie wchodził w rachubę. Była w szoku.

Nawet wiedziała, że jest w szoku, ale to nie pomagało.

Spróbowała otworzyć oczy i natychmiast ogarnęły ją mdłości. Po jednej stronie naga i ohydnie rozjarzona żarówka wystawała prosto ze ściany, a odchodzący od niej kabel zdawał się zaprzeczać wszelkim prawom grawitacji, dopóki świadomość nie powróciła z nieprzyjemnym amfetaminowym kopem i maleńki pokoik-cela, do którego wrzucono Clare, nie wskoczył na miejsce. Newton nie został pogwałcony. Prawa nauki nie zostały zmienione. Wszystko wydawało się proste i jasne - oprócz niej.

I życia.

Chyba nie warto gramolić się na nogi. Z pewnością znacznie wygodniej będzie jej na podłodze, gdzie leżała bezwładnie jak kupa szmat. Potem jednak usłyszała coraz bliższe kroki, twarde stukanie obcasów na betonowej podłodze głównego garażu na zewnątrz, i prawie przekonała samą siebie, że powinna uciekać.

Tylko że nie miała dokąd uciekać.

Zamknęła więc oczy i znowu oparła pulsującą głowę na zimnym betonie.

73

- Ta pizda ciągle leży jak Woda - powiedział młody Korsykanin do swojego laryngofonu.

Przekaznik wyskrzeczwał odpowiedź i Korsykanin zaśmiał się.

- Sprawdzę i powiem ci...

Szorstkie ręce chwyciły przód bluzki Clare i szarpnęły. Kosztowny jedwab rozdarł się z łatwością, a potem dłonie gmerały przy staniku i podciągały go w górę.

- Neee - powiedział głos. - Nie ma cycków.

Nastąpił kolejny wybuch zakłóceń, przez które od czasu do czasu przebijały się pojedyncze bełkotliwe zdania. Żadne nie miało sensu dla Clare.

- Wszyscy spierdalają za godzinę, wtedy się z nią załatwimy - zaproponował Korsykanin, a potem wyszedł. Trzaśnięcie stalowych drzwi wywołało falę wstrząsu, która dotarła aż do twarzy Clare.

Próbowała znowu odpłynąć w sen, jak najdalej od białego szumu, bólu i strachu, ale w jej głowie dźwięczał nieznany głos, głos mówiący: „Nie”. Po prostu nie pozwalał jej zgasić światła.

Myśl, mówił. Rusz się, mówił. To nie jest koniec, to jest dopiero początek. Twoje egzaminy, twoje

ambicje, twój wygląd teraz ci nie pomogą.

Oni wrócą.

Nie poprzestaną tylko na zdjęciu stanika.

Jesteś nikim, niczym.

Reguły się zmieniły. Każdy, kto był twoim przyjacielem, teraz jest twoim wrogiem.

Myśl, mówił głos. Myśl.

Clare myślała, intensywnie myślała. Chociaż to wymagało więcej odwagi, niż miała. Straciła pracę, ludzie chcieli jej śmierci. .. przynajmniej tak twierdził jej minister. Nie, już nie jej minister, nie teraz. Może już za późno ratować karierę, ale nie za

późno ratować życie. Nie wszystko stracone. Nadal miała swój umysł, swoją inteligencję. Chociaż żadnych przyjaciół.

Chciwość udająca ambicję, cyniczny egocentryzm upozowawana na pryncypialność wydały na nią wyrok. Jej koledzy zewrą szeregi jak woda, do której wpadł kamień - kilka zmarszczek i po Clare. A powierzchnia pozostanie gładka i lustrzana jak przedtem.

Więc żadnych przyjaciół, nikogo skłonnego jej pomóc.

Tylko eks-koledzy, którzy wolą się nie wtrącać.

I jeden wkrótce eks-narieczony. Bankier handlowy Claude de Crecy, współwłaściciel rodzinnej winnicy w Burgundii, sycylijskiej willi z dwunastoma sypialniami i własną przystanią na Stromboli oraz kondominium na Upper East Side w Nowym Jorku. Claude asystował jej od dwóch lat. I chociaż nigdy

0 tym nie wspominała (ani on, trzeba przyznać), zawsze zakładała, że pobiorą się w odpowiednim czasie. Nawet jeśli związek Claude'a z jego lokajem był bliższy, niż sobie życzyła jego rodzina.

Teraz już się nie pobiorą.

Już nigdy.

Clare odruchowo ściągnęła stanik z powrotem na miejsce

1 krzywiąc się, próbowała zgadnąć, w jaki sposób Pierre Nexus ją wrobił. Ale nic nie miało sensu. Więc przestała o tym myśleć. Chyba nie ma znaczenia, jak to się stało...

Owszem, ma znaczenie, upierał się nikły głosik w jej głowie. Przecież nie na darmo zasztaś tak daleko, co? Rusz się, nalegał. Szybko. Zanim oni wrócą. Naprawdę chcesz zostać zgwałcona, w nagrodę za to wszystko?

Chcesz?

Naprawdę?

Clare pomacała na oślep w kieszeni żakietu, szukając derm. Odetchnęła z ulgą, kiedy jej palce zamknęły się na znajomych płaskich krążkach.

75

Myślenie, działanie było niewiarygodnie bolesne. Przez sekundę miała wrażenie, jakby ktoś podłączył elektryczność prosto do jej mózgu. Potem plastry znalazły się na wewnętrznej stronie jej nadgarstków, synapsy nerwowe zamigotały i zaskoczyły, powstał miliard od nowa dostosowanych połączeń. Rzeczywistość była ta sama, lecz wyostrzona.

Clare wstała chwiejnie. Zatoczyła się, ale złapała równowagę. Za jej oczami płonęły światła, a potem ból odszedł, zastąpiony przez sześć tysięcy mikrojednostek endorfiny opływającej mózg.

Dermy odcięły ból i uspokoiły nerwy. Clare wciąż była w szoku, lecz nawet jej podświadomość już o tym nie wiedziała. Gdy ból zniknął, powróciła pewność siebie i narastający gniew na niesprawiedliwość tego, że ją wystawili, jak by powiedział Mayer. Tylko że Mayer nie żył. A ona żyła i zamierzała pozostać przy życiu.

Instynktownie Clare zaczęła wyliczać swoje atuty. Biegła posługiwała się karabinem Browninga, dzięki czwartkowym wieczorom w Elizejskim Klubie Strzeleckim. Była w dobrej kondycji, chociaż trochę za szczupłą. Miała całkiem niezły tonus mięśniowy, utrzymywany przez regularne lekcje tai-chi w każdy niedzielny poranek na tarasie Ogrodów Luksemburskich.

Znała szermierkę. Trenowała w każdą środę podczas przerwy na lunch w Le Gym, najbardziej

ekskluzywnym kobiecym klubie gimnastycznym w Paryżu.

W sensie technicznym była lepiej przygotowana do samoobrony niż większość bandytów i rabusiów. Po prostu nigdy nie przyszło jej do głowy, że może zostać pobita. Albo że pewnego dnia będzie musiała się bronić.

Takie rzeczy po prostu nie zdarzały się ludziom z jej sfery. Tylko że już przestała należeć do tej sfery. Była kimś innym, kimś gorszym. I wiedziała tylko, że to się jej nie podoba.

Endorfina działała dostatecznie długo, żeby Clare wydostała się z pustego schowka i windą służbową na tyłach budynku dotarła do swojego starego gabinetu.

Wszystkie zautomatyzowane kamery śledcze w tym miejscu obserwowały jej przemarsz. Co miało znaczenie tylko wtedy, gdyby program ochrony rozpoznał ją jako osobę nieuprawnioną. Jeśli tak, była skończona; jeśli nie, miną pewnie tygodnie, zanim ktoś pofatyguje się przejrzeć zdjęcia. Całymi latami pracując do późna, Clare poznała wyjścia i wejścia ministerialnej ochrony. Zespół szybkiego reagowania, uzbrojony w wielkokalibrowe trzydziestodwustrzato-we karabiny H&K 5K, ukryty przed kapryсами pogody w małych budkach z kuloodpornego polimeru, pilnował wielkiej bramy.

W środku, w olbrzymim westybulu z czarnego marmuru i lustrzanego szkła, teraz w nocy opustoszałym i z przygaszonymi światłami, uzbrojeni policjanci strzegli masywnych drzwi z mikrosiatki przed wtargnięciem osób nieuprawnionych. Wejście od tyłu było niemożliwe: wszystkie drzwi zostały zamurowane po ostatniej fali studenckich zamieszek.

Clare nie spotkała nikogo po drodze do biura ministra, nikt jej nie zatrzymał, nie zabrzączał żaden alarm. We własnym gabinecie, z walącym sercem, ze strumyczkami potu spływającymi po patykawatych ramionach, Clare spędziła pięć minut przy świetle lampy na biurku, dzieląc swoje memoranda dla ministra na osobiste, wydziałowe i śmieci.

To absurdalne, że przy tym płakała, sama wiedziała. Ale ta wiedza nie powstrzymała wstrząsających nią szlochów. Słusznie czy niesłusznie, gdyby miała wybrać jedną najważniejszą dla niej rzecz, wybrałaby swoją karierę.

Kiedy śmieciarka Zanussi cicho rozdrabniała tuzin poufnych dokumentów na wyściółkę klatki dla chomika, a potem prze-mełła wszystko jeszcze raz, Clare przesunęła krzesło do

77

milczącego teraz terminala IBM obok swojego dawnego biurka i przestawiła go na tryb klawiatury. Ekran wciąż miała podłączony. Poozątkowo zdziwiła się, że nadal ma połączenie z hiNetem, priorytetową siecią dostępną dla kierowników sekcji, ministrów i ich prywatnych sekretarzy. Ale potem pomyślała: „Dlaczego nie?”. Poniedziałek przyniesie niespodziewany awans dla jakiegoś bystrego elegancika, który niezasłużenie przeskoczy kilka szczebli w górę i odziedziczy wszystkie przywileje Clare.

Zdenerwowała się, kiedy odkryła, jak bardzo to ją boli.

login

Clare zalogowała się, ale nie na własne nazwisko.

hasło?

Podaj dzisiajjsze.

kod?

Jej kodowy log RSSA był już zdezaktualizowany. Ale to jej nie powstrzymało. Łzy wciąż płynęły jej po twarzy, kiedy wywołała z pamięci prywatny klucz ministra.

potwierdź tożsamość

Clare wpisała pełne imię i nazwisko ministra, datę urodzenia i numer Narodowego Bezpieczeństwa. To, że była kierownikiem jego sekcji, miało swoje zalety. Nie mówiąc o zaletach jego afektowanego uporu, żeby zawsze używać klawiatury. Gdyby system działał na zasadzie rozpoznania głosu, Clare byłaby ugotowana.

A tymczasem znalazła się w środku.

Zamknięcie inteligentnego interfejsu kosztowało ją kilka skomplikowanych gestów palcami nad ekranem, ale wreszcie wróciła do prostej powłoki.

Istniała nieoficjalna, lecz wysoce efektywna całoplikowa boole'owska wyszukiwarka, znana tylko kierownictwu sekcji; właśnie o nią chodziło Clare, kiedy wklepała słowa: Balthus & Mayer?

7

Lecz oczekiwany hiperekran nie pojawił się, żeby ją powitać. Zamiast tego przewinęło się kilka stron kodu maszynowego, który rozplynał się w obraz jasnowłosego Amerykanina z oczami odległymi o tysiąc mil, wpatrującymi się intensywnie w Clare.

- Dobry wieczór, mój drogi Balthusie - powiedziała symu-lakra z wytwornym bostońskim przeciąganiem słów. - Mówi Charles. Jeżeli mnie słuchasz, to prawdopodobnie nie żyję, a ty i MAKAI wkrótce umrzecie.

Symulakra Mayera przeszła gładko w obraz bielutkiego nagrobka ustawionego nad schludną mogiłą. Za nią rozciągała się rozległa trawiasta preria, falująca na niewidzialnym wietrze. Na nagrobku pod skomplikowaną gwiazdą Dawida znajdowało się nazwisko MAYER. Obok niego szybko nawarstwiająca się linie, jak w dziecięcym trójwymiarowym rysunku CAD, utworzyły szerszy grób, a potem kubel na odpadki. Pokrywa kubła miała etykietkę MAKAI, a na krzyżu w głowach szerszego grobu widniało nazwisko BALTHUS wyryte gotykiem. Nad kubłem i grobami krążył samotny padlinożerny ptak, ślizgając się na niewidzialnych prądach powietrznych.

- Załapałeś?

Mayer pojawił się znowu w ciemnych okularach Rayban.

Chociaż Clare wiedziała, że jego głos dochodzi z małych głośników bioVox wbudowanych po obu stronach ekranu, słowa wydawały się padać z jego ust.

- Tu masz prezent, który ci obiecałem. Obawiam się, że już za późno, żebyś się nim nacieszył. Ekran pokazał młodą nadaśaną dziewczynę, ubraną w zbyt obcisły czarny podkoszulek Harleya Davidsona i tanią rzymską kopię zeszłorocznych modnych dżinsów. Długie ciemne włosy miała związane z tyłu w zwykły koński ogon, kołyszący się lekko z boku na bok.

Pogrążona w myślach, tańczyła przed wygaszonym ekranem komputera przy muzyce, której Clare nie słyszała.

7

Clare nie zauważyła, kiedy lub czy wideo zniknęło zastąpione przez symulację, nagle jednak dżinsy i podkoszulek rozplęły się i dziewczyna została naga; wciąż tańczyła i wyglądała na jeszcze młodszą niż przedtem. Za gruba, oceniła natychmiast Clare, zanim w ogóle zaczęła się zastanawiać, kim jest ta dziewczyna i dlaczego Mayer dostarczał Balthusowi dziecięcą pornografię. Miała wałeczki dziecięcego tłuszczu na biodrach i absurdalnie stożkowate sutki, jakie widuje się tylko u zaledwie dojrzałych dziewcząt.

Żołądek Clare skręcił się w ciasny węzeł. Dziewczyna miała co najmniej trzy kilo nadwagi, źle obcięte włosy, nadmiernie uszminowane usta wykrzywione z ponurą arogancją, typową dla zbuntowanej nastolatki, zanim ta wyjdzie z domu i zrobi z siebie idiotkę. Dokładnie ten rodzaj dziewczyny, na której widok nastoletnia Clare przeszłaby na drugą stronę ulicy.

Clare odwróciła wzrok, kiedy dziewczyna wypchnęła biodra do przodu i zaczęła masować się między nogami, przygryzając wydętą dolną wargę. Clare pomyślała ze zgrozą, że to wcale nie jest błyskotliwa, nieskazitelna komputerowa symulacja; to rzeczywistość.

Ale nie żadne przedstawienie. Dziewczyna nie miała pojęcia, że jest obserwowana. I Bóg jeden wiedział, jaki sprzęt wideo zastosowano, żeby uchwycić i oddzielić te obrazy. M-fala mogła przeniknąć przez ściany i rozebrać podejrzaną osobę, żeby uniknąć rewizji osobistej. Lecz nawet M-fala nie mogła przekazać obrazów tak czysto i wyraźnie.

- Zdajesz sobie sprawę, ty tłusty zbrojeńcu - powiedział nagle głos Mayera - że ta dziewczyna jest młodsza od mojej zmarłej córki?

W migotliwym, mdlącym wybuchu suprapodprogowych obrazów tańcząca dziewczyna stopiła się z uśmiechniętą twarzą Jennifer Mayer.

Cięcie na wypatroszone zwłoki Jennifer.

BO

Martwa twarz Marca, przypominająca Giacomettiego.

Orgazm Giselle Gabon.

Charles Mayer w raybanach.

Ciasto jego córki zawieszono w kriogenicznym zbiorniku.

Obrazy przemocy zlaty się w stroboskopowo drgającą ohydę, która wreszcie eksplodowała w mdlącym rozblasku bieli.

Clare instynktownie wykonała unik, po czym wyprostowała się z drżeniem i spojrzała na pusty ekran komputera. Gdyby Balthus nie zginął wcześniej, teraz już by nie żył. Clare wiedziała dostatecznie dużo o czarnych wirusach, żeby rozpoznać ekranowo indukowany zapalnik paroksyzmu. Na szczęście te wirusy musiały być wykonane indywidualnie i dostosowane do konkretnego celu, a ten był przeznaczony dla zmarłego doktora Balthusa.

Upłynęło co najmniej dwadzieścia minut, odkąd wydostała się z piwnicy. W tej sytuacji to tylko kwestia czasu, pracującego przeciwko niej, zanim któryś z dwóch zbirów odkryje, że Clare już nie leży nieprzytomna na podłodze garażu, i zacznie jej szukać.

Rozdygotanymi rękami instynktownie uderzyła w „enter” i wypuściła powietrze z płuc w drżącym westchnieniu, kiedy ekran powrócił do życia.

Gdzieś na dole, trzy piętra niżej, rozkaz popłynął do main-framy, uruchomił zapadkę, która nie wiedziała o swoim istnieniu, przeszedł przez furtkę przekonaną, że pozostaje zamknięta, a potem przepłynął niewidzialny jak duch przez podwójną zaporę ognia i trzy warstwy czarnego lodu.

Zatrzymał się przy małej czarnej skrzynce wielkości kasety z cyfrową taśmą dźwiękową. Skrzynce, która nie miała żadnych kabli, przewodów modemu ani twardych złączy.

Lecz mimo to rozkaz dotarł do skrzynki i głęboko w jej wnętrzu drgnęła pamięć. Jej kwantowy procesor, który pracował poprzez jednoczesne stany równoległe, odjął stan od stanu i natychmiast podał jedyną prawidłową odpowiedź.

BI

Zgodnie z prawem kwantowego komputowania Hawkinga, nieświadomie zadając pytanie, Clare już zdefiniowała odpowiedź.

Zobaczyła tylko, że ekran zamigotał, po czym zastygł w zwykły, archaiczny, staroświecki prompter tekstu.

Tak?

„Co tak?”, wpisała Clare.

Mayer?

„Tak”, wstukała. Charles Mayer i jego związek z Theodorem Balthusem, to właśnie chciała wiedzieć. Wciąż jeszcze obmyślała swój następny ruch, kiedy ekran znowu zgasł, po czym wyświetlił zdjęcie Clare schodzącej z Cesarskich Schodów na brzegu Sekwany.

Clare jak skamieniała wpatrywała się w siebie, podczas gdy na ekranie patrzyła bystro w dal, z pochmurną miną i rękami splecionymi za plecami. Obok, na wpół ukryty w cieniu drzewa, stał wysoki mężczyzna okutany długim płaszczem. Był to niewątpliwie Charles Mayer.

To na pewno jakaś sztuczka, pułapka. Przez sekundę Clare chciała po prostu odejść od komputera, wyjść z gabinetu ministra i z budynku. Ale to nie miało sensu. Ktoś wiedział, że ona tu jest. Musiał wiedzieć.

- Więc przeżyłeś... No, to już coś, więcej niż mogę powiedzieć o sobie. Tak, to było milutkie, ale niezbyt mądre, prawda?

Słowa przesuwają się jak napisy w filmie u dołu ekranu, a tymczasem miejsce fotografii zajęła prymitywna rysunkowa postać japońskiego chłopca w lustrzanych okularach.

Kto przeżył? Kto rozmawiał?

Clare nic nie zrobiła, nic nie powiedziała i nic nie napisała. W tych okolicznościach tak wydawało się najbezpieczniej.

- No, czy to było mądre? Tak zwyczajnie wejść frontowymi drzwiami. I użyć własnego hasła i klucza ministra... Nawet

as

ktoś zakręcony jak ja wie, że to zbyt niebezpieczna zabawa. Dlaczego nie wykorzystać furtki?

- Co to jest furtka? - wpisała Clare.

Tym razem ekran zamilkł.

- Kim jesteś? - zapytał w końcu. Słowa zostały wymówione, nie napisane, a głos dochodzący z ekranu brzmiał młodo i zdecydowanie cudzoziemsko.

- Clare Fabio.

Ekran zgasł. Przez sekundę nic się nie działo, a potem głos powrócił.

- Na początek - powiedział - jeśli jesteś Clare Fabio, co tutaj robisz? Według twoich danych z raportu Charlesa, dzisiaj wieczorem grasz w squasha.

Miał rację. Clare uświadomiła sobie tępo, że właśnie wystawiła do wiatru swojego bankiera, swojego chłopaka i wpływową dziennikarkę z „Herald Tribune”. Wszystkich za jednym zamachem. Nieważne. Jej świat szybko oddzielał się od ich świata.

Dopiero wtedy zastanowiło ją, skąd drugi użytkownik komputera wiedział, kim ona jest, i dlaczego Charles Mayer podał mu rozkład jej zajęć.

- Kim jesteś? - wpisała, potrząsając głową, żeby rozjaśnić myśli. Jakoś nie ufała swojemu głosowi. Krew sączyła się z otwartej rany na jej prawej skroni i spływała powolną, ciepłą strużką do posiniaczonego kącika ust.

Strumyczek był słony, jak przystało na krew, lecz również słodki i gęsty jak koktajl mleczny.

Odruchowo zlizywała go przez ostatnie pięć minut i nawet tego nie zauważyła.

- Jestem Makai - powiedział komputer. - Co ty tutaj robisz?

Palce Clare śmignęły nad klawiaturą.

- Potrzebuję czegoś.

- Tobie się zdaje, że czegoś potrzebujesz! - parsknął z goryczą Makai. - Nie. To znaczy dlaczego ty, dlaczego teraz?

- Potrzebuję czegoś.

B3

- Niech biuro ci to załatwi.

- To nie moje biuro - wstukała Clare. - Już nie.

Palce na klawiszach znowu zaczęły drżeć. Nie wiedziała, czy rozmawia z drugą osobą, czy z maszyną. W każdym razie to przypominało spacer w towarzystwie ducha.

- Czekaj - rzekł rozkazująco Makai.

Znowu czekała.

- Wyrzucili cię, tak? - zagadnął głos, powróciwszy parę sekund później. - Twój plik jest zamknięty, biedne jagniątko.

Wcale nie mówił ze współczuciem. Odczekał jeszcze kilka sekund, po czym przedstawił swoją ofertę. Przynajmniej Clare uznała to za ofertę.

Charles Mayer nie żył. Pierre Nexus planował ją zabić. Ale Makai obronił ją przed Nexusem - przynajmniej na razie - ponieważ odtworzył jej upoważnienia i zapewnił ochronę tak silną, że nie dosięgną jej nawet najbardziej podejrzani pomocnicy ministra.

- Oczywiście w zamian pomożesz mi odzyskać moją pamięć.

- Gdzie ona jest? - zapytała Clare.

Nastąpiło milczenie. A potem komputer przemówił ponownie postarzałym, bardziej odległym głosem.

- Gdybym wiedział, nie potrzebowałbym ciebie, prawda? Wiem tylko, że została zabrana, kiedy zginął Charles, a jego biuro wyleciało w powietrze. Czy rozumiesz różnicę? Została zabrana, nie zniszczona.

- Ty pomożesz mnie, ja pomogę tobie? - zapytała z goryczą Clare.

- Myślałem, że to oczywiste.

- A jeśli nie?

- Wtedy Nexus każe cię zabić. Oczywiście jeśli ten wkurzony bandzior z wielką armatą piętro niżej nie dostanie cię pierwszy.

Clare wciąż się wahała.

- Słuchaj - powiedział Makai - chcesz mojej pomocy czy nie?

!□. Ndlue bagi StarE dragi

Dzikię hoopi wyśpiewywały chóralne egzotyczne tryle o świcie, ich głosy wznosiły się i opadały na

ciepłym, szepczącym wietrze Maghrebu. Gdzieś wśród niskich pomruków ulicznego zgielku zaśmiało się dziecko i bębniarz rai wystukał skomplikowany północnoafrykański rytm.

Thumiąc jęk irytacji, Clare przetoczyła się na bok i krzyknęła do Hitachi, żeby przerwać nadawanie „Świtu w M'dinie”.

Krzyk okazał się fatalnym błędem, podobnie jak zmiana pozycji. Biały ból przepłynął przez nerwy Clare, kiedy wszystkie potłuczone i naderwane mięśnie zaprotestowały jednocześnie. Prymitywne cierpienie zwinęło ją w ciasną płodową kulkę, serce waliło, strumienie łez obmywały purpurowe sińce na spuchniętych policzkach.

Minęły dwa dni i ból wcale nie zelżał.

- Boże, Boże, Boże...

Mobilizując resztki determinacji, Clare wygramoliła się z łóżka na drewnianą podłogę, upstrzoną plamkami słabego paryskiego słońca. Poczłapała do łazienki.

Potrzebowała środków przeciwbólowych. Natychmiast. Lecz znalezienie ich przekraczało jej możliwości.

Z narastającą rozpaczą Clare przetrząsnęła apteczkę, potem powlokła się do kuchni i opróżniła chińską miseczkę

65

wypełnioną zmietymi notatkami, pustymi chipami kredytowymi, spinkami do włosów, drobiazgami, których nie miała gdzie trzymać. Nic, zupełnie nic.

Wysypała zawartość swojej torebki od Gucciego na wyszorowany sosnowy blat antycznego kuchennego stołu i grzebała rozpaczliwie, aż jej drżące palce zamknęły się na prawie pustym pęcherzykowym opakowaniu. ParaDerm. Stosować najwyżej dwie na dobę...

- Słodki Jezu...

Wycisnęła je z opakowania, oderwała folię od samoprzylepnych spodów, przykleiła dermę do każdego nadgarstka i za-szlochała z nagłej ulgi, kiedy syntetyczna endorfina szybko przedostała się do układu krążenia. Ból pozostał, ale przy stepionych receptorach sieć nerwowa już go nie rejestrowała.

Natomiast dokładnie rejestrowała szarą depresję, równie niepożądaną jak kac. Clare mogła zażyć betaB, ale chyba nie powinna sobie pozwalać na osłabienie czujności. Nie potrzebowała błyskotliwej inteligencji, żeby zrozumieć, że na dłuższą metę jej perspektywy wyglądają równie ponuro jak zimowe niebo za kuchennym oknem.

Zadygotała. Częściowo z przyzwyczajenia skierowała kuchennego pilota na café Mastera Brauna. Maszyna obudziła się do życia i przestronny, oszczędnie umeblowany pokój szybko wypełnił się ciężkim aromatem czystej kolumbijskiej kawy.

Nie był to ulubiony zapach Clare. Pamiętała quiz Mój świat, w którym jakaś idiotyczna presenterka z CySatu, nic, tylko długie blond włosy i kolagenowe implanty, twierdziła, że świeża kolumbijka to jej ulubiony zapach... Głupia cipa. Z samego rana każdemu normalnemu człowiekowi rzygać się chce od tego czarnego aromatu.

Walcząc z falą mdłości, Clare zmusiła się, żeby zrobić tosty z dwóch kromek chleba. Pokroiła tosty na ćwiartki i zjadła na

BB

sucho, bez masła. Kawę wypila czarną. Stłumiła odruch wymiotny, usiadła przy stole i na siłę przełknęła drugą filiżankę mocnej czarnej kawy. Potem, pod wpływem kofeiny i endorfiny, zaczęła rozważać swoje możliwości. Były przerażająco ograniczone.

Znajdowała się w domu. Przypuszczalnie bezpieczna. Wprawdzie żaden dyskretny ochroniarz z S3 nie stał bez ruchu pod oknem przez całą dobę, ale zostały jej jeszcze dwa elektroniczne zamki Chubbs na stalowo-tytanowych drzwiach wejściowych. Wszystkie okna pokrywała przezroczysta mono-klonalna kuloodporna mikrosiatka. Miała nowy komputer to-shiba z własnym geosynchronicznym satelitarnym modemem, bezpośrednie łącze do CySatu i nową mikrofalówkę Brauna. Nie wspominając o zamrożonym sushi, mykoproteinach, Tex Mexie i wegetariańskim kuskusie w ilościach wystarczających, żeby uszczęśliwić na miesiąc najbardziej grymaśnego smakosza.

Cholera, nawet ściany były potrójnie wyłożone skomplikowaną siecią rosyjskich anty-M-falowych pętli lodu, chociaż Clare nie miała zbytniego zaufania do niczego anty-M-falowego. Jeśli S3 chciała zajrzeć do kogoś przez ścianę, to zaglądała.

Ale co za różnica? Clare nadal tkwiła przerażona i samotna w nieopłaconym apartamencie, na który już nie mogła sobie pozwolić, na czwartym piętrze ekskluzywnego bloku na Ile St. Louis, z którego teraz bała się wyjść, chociaż to nie było oblężenie. A zresztą do kogo mogłaby zawidfonować?

Według wszelkich danych to brak funduszy, nie uzbrojenia, wypłoszy ją z kryjówki!. Mieszkania tej klasy były rzadkie w centrum Paryża. Cenne.

Lubiła, jak ludzie wytrzeszczali oczy, kiedy im mówiła, gdzie mieszka. Ten szybki drugi rzut oka, kiedy podświadomie oceniali ją od nowa. Zastanawiali się, kim jest. Utrata tego zaboli ją chyba najbardziej. OK, przyznawała, że nie ma się

7

czym chwalić, ale dla niej adres świadczył o człowieku. Nie była szlachcianką i już nigdy nią nie zostanie, ale dotarła całkiem blisko celu.

Najubożsi dawno temu zostali wypchnięci do pierścienia niebotycznych bloków mieszkalnych, ciągnących się po obu stronach périphérique. Uciekając z tej morderczej sześćo-pasmowej obwodnicy, trafiało się na zagracone mieszkania sklepikarzy, urzędników, pracowników na niepełnym etacie, niedoszłych kierowników - ulice robiły się mniej brudne, mniej niebezpieczne. A bliżej centrum miasto znowu się zmieniało. Z uszminkowa-nej, zmęczonej, wypalanej starej prostytutki, znanej większości paryżan, przeobrażało się w gładką turystyczną wizję cesarskiego Paryża, którą świat zewnętrzny brał za rzeczywistość.

Zamieszkanie w granicach centrum umożliwiało licencja. Mieszkali tutaj tylko bogaci - dealerzy po liniach kredytowych, softwarowi impresaria, politycy, gangsterzy. Luksusu i ekstrawagancji zazdrościli im wszyscy widzowie Mojego świata i Arystokratów Natury na CySacie.

Lecz im starsze pieniądze, tym trudniej je zobaczyć, więc połączane centrum miało marmurowe serce. Na Ile St. Louis, spokojnie tkwiącej pośrodku Sekwany, pieniądze były tak stare, że prawie niewidzialne. Wąskie uliczki, odpadające tynki, antyczne balkony z kutego żelaza, jakby zardzewiały ze starości. I tutaj właśnie Clare postanowiła zamieszkać.

Zdobycie apartamentu okazało się niełatwe. Chociaż w obecnej sytuacji utrzymanie go będzie jeszcze trudniejsze. Mieszkanie wymagało dwóch lat zabiegów, pewnej elastyczności w podejściu do prawa oraz silnej linii kredytowej od bankierów S3 z Hong Kong Suisse.

Korzystając z teoretycznie niedostępnej bazy danych Administracji, Clare wpisała Quai de Bourbon, Quai d'Orléans

aa

i rue St-Louis-en-L'Ile i porównała te ulice z mieszkaniami zajmowanymi przez ludzi chorych albo na tyle starych, że stali już nad grobem. Wyszukiwarka wypluła sześć możliwości.

Dwie ulice od miejsca, gdzie Clare znajdowała się teraz, po dobrej stronie małej wysepki stał dom, na którym jej naprawdę zależało. Miejski dworek w stylu Ludwika XIV, zajmowany przez zgrzybiałego sycylijskiego księcia, jego podstarzałego lokaja i grubawą, nadąsaną wnuczkę.

Niejedną raz Clare widziała tę dziewczynę obserwującą jej rządowego citroena, kiedy przemykał obok bramy. Zawsze było tak samo. Wczesny ranek, jeszcze ciemno - dziewczyna siedzi przy wysokim oknie, mała figurka spoglądająca ponad dziedzińcem na ulicę i rzekę w dole. Z jakiegoś powodu jej widok zawsze przyprawiał Clare o dreszcz.

Niestety jednak jaśnie oświecony nie wybierał się jeszcze na cmentarz i za pośrednictwem pewnego zimnookiego amerykańskiego prawnika wyraźnie poinformował, że nie zamierza sprzedawać. Clare przełknęła więc irytację i niechętnie przyjęła drugą w kolejności ofertę - ten apartament. Nie tak dobry jak Hôtel Sabatini, ale i tak dziesięć razy lepszy niż najśmielsze aspiracje większości ludzi. Lepszy niż mieszkanie Pierre'a Nexusa.

Dowiedziawszy się o rychłej śmierci pierwotnego właściciela, Clare szybko zaatakowała drobnego prowincjonalnego notariusza, już wyznaczonego na wykonawcę testamentu.

Oferta, połączona z obietnicami awansu i zawołowanymi groźbami na temat losu niższych urzędników, którzy wylądowali po niewłaściwej stronie Sekcji Trzeciej, zapewniła Clare

mieszkanie na Quai de Bourbon, zanim jeszcze inni dowiedzieli się, że jest ono na sprzedaż. Teraz jednak, bez subwencionowanej hipoteki przynależnej do stanowiska cesarskiego prokuratora, Hong Kong Suisse wniesie zastrzeżenie hipoteczne. Minister tego dopilnuje.

BR

Clare chwyciła się za głowę i jęknęła. Straciła wszystko, na co pracowała. I czymże jest bez pracy? Niczym.

Została pobita, skreślona, seksualnie poniżona. Cała jej kariera legła w gruzach - dlaczego? Bo jakiś tłusty patolog i podejrzany jankeski szpieg dali się wykończyć. Jakby ona miała z tym coś wspólnego. Po prostu była wygodnym kozłem ofiarnym.

A gdzie jest Makai? Jeśli w ogóle istnieje, jeśli nie jest jakąś chimera wywołaną przez szok... Nigdzie. W ogóle nigdzie.

Może jednak to jest obłąkanie.

Na południe od apartamentu Clare, po drugiej stronie rzeki ciemnej jak wino, wciąż zalane blaskiem reflektorów i otoczone wysokim ogrodzeniem, stały brzydkie srebrne mury Instytutu Islamskiego pod patronatem księcia Luciana Josepha, Księcia Cesarza.

Od czasów kampanii egipskiej, kiedy Napoleon I bawił się pomysłem nawrócenia na islam, Bonapartowie utrzymywali polityczne powiązania z mułłami. Przydatne dla rodziny, która doszła do władzy w 2058 roku dzięki silnemu północnoaf-rykańskiemu elektoratowi.

Pewne osoby - głównie republikańscy mąciciele - twierdzili, że rodzinna biegłość w Koranie to tylko realpolitik, czysty cynizm. Lecz jakkolwiek na to patrzeć, przyjazne stosunki miały sens, jako że niezależne miasta i protektoraty Maghrebu stanowiły najbogatsze części tego, co pozostało obecnie z dawnego Trzeciego Cesarstwa.

Co więcej, Bonapartowie i mułłowie dzielili głęboką nieufność wobec nanitowej kultury. Mułłowie nie ufali nanotech-nologii, ponieważ pochodziła z Ameryki, działała na subatomowych poziomach, a co najważniejsze, ponieważ mogła z powodzeniem odtwarzać dzieła Boże - i odtwarzała.

Czyż nie było grzechem samo kopiowanie boskich dzieł w imię sztuki? O ile więc gorzej duplikować je w imię nauki.

Motywy Księcia Cesarstwa miały mniej wspólnego z teologią. Nie podobała mu się utrata władzy, wynikająca z zezwolenia poddanym na posiadanie w pełni funkcjonalnych kompilatorów materii.

Dlatego też każdy kompilator materii w Cesarstwie był albo publiczną wytwórnią pomyj o limitowanych funkcjach, albo licencjonowaną własnością przedstawiciela arystokracji.

Na prawo od Instytutu Islamskiego, ledwie widoczna w oddali za wysoką połączoną kopułą Panteonu, stała stara wieża Montparnasse, teraz europejska centrala Maas-Mitsuki. Pierwszy metaNacjonal, który zażądał miejsca w ONZ z tej prostej przyczyny, że jego roczny dochód przekraczał dochody większości południowoamerykańskich republik.

Instytut, Panteon, Tour Montparnasse. Takiego widoku nie kupi się za same pieniądze.

Przed siódmą, kiedy Clare pociła się od przedawkowania paraderm i kofeiny, policja odstawiła z powrotem do périphérique ładunek włóczęgów z tej nocy. Przed siódmą trzydzieści zapach świeżego chleba napłynął z Quai na dole. Kolejny powód do irytacji. Choćby wyłaziła ze skóry, nic, nawet jej nowy filtr powietrza Matsui, nie mogło powstrzymać zapachu świeżych drożdży, który buchał z pieca za każdym razem, kiedy piekarz wyciągał gorące bochenki i układał je nieporządnie na ceramicznych stojakach, żeby wystygły.

Nadeszła pora, kiedy błękitny citroen Trzeciej Sekcji powinien podjechać przed bramę na dziedziniec domu Clare, ze świeżo umytą karoserią, z porannym „Le Matin” ściągniętym z sieci i czekającym na nią na tylnym siedzeniu z czarnego ultrazamszu.

=11

Tylko że żaden rządowy pojazd nie przyjechał. I Clare zrozumiała z nagłą, mdlącą pewnością, że już nigdy żaden nie przyjedzie.

Zrozpaczona wróciła do łóżka.

Cztery godziny później, kiedy posłaniec od Hertza zahamował na granitowym bruku przed jej mieszkaniem, dreszcze po paradermach ustały i Clare drzemała.

Posłaniec w żółtej liberii zignorował zewnętrzny wideofon i uruchomił wszystkie możliwe alarmy, kopniakiem otwierając potężne dębowe drzwi. Przemaszerował przez oszklone at-rium dawnego dziedzińca i rzucił paczką w rozwścieczonego portiera.

- Lady Clare - powiedział. - Pilne.

Nie zaczekał na pokwitowanie.

I wcale nie był od Hertza.

Pudelko było luźno owinięte w staroświecki brązowy papier, zapieczętowane ozdobnie wytłaczaną grudą czerwonego laku i zaadresowane: „Lady Clare Fabio, Dyrektor Instytutu Bonaparte”. Jedyne ustępstwo na rzecz bezpieczeństwa stanowił nienaruszony pasek lśniącej antywłamaniowej laserowej taśmy, owiniętej dwukrotnie na krzyż wokół paczki.

Portier Lamartine natychmiast wysłał e-mail do komputera Toshiba w apartamencie Clare. Nie otrzymał odpowiedzi, ale tego się spodziewał. Wredna suka na pewno jest w pracy. Wysłał jednak wezwanie głosowe, żeby w razie czego być kryty.

Szept, który mu odpowiedział, przepłynął jak duch przez usterki wewnętrznego interkomu.

- Motocyklowa przesyłka, madame - oznajmił portier w odpowiedzi na niewyraźne pytanie Clare. - Chyba z ministerstwa...

R5

Clare bardzo w to wątpiła - chyba że przysłali jej bombę. Ale nie podzieliła się swoimi wątpliwościami z portierem. Jak tylko Lamartine dowie się o jej upadku, jego służalcza uprzejmość zmieni się w otwartą pogardę. Nie potrzebowała dodatkowych zmartwień.

- Zaraz zejdę - obiecała niechętnie i owinęła się błękitno--złoto-żółtym szlafrokiem Kenzo, zeszłorocznym przepłaconym prezentem urodzinowym od Claude'a de Crecy. Nic więcej nie dostanę, pomyślała. I zdziwiła się, że wcale jej nie zależy. Wytrzymała z Claude'em tylko dlatego, że niczego od niej nie wymagał, fizycznie ani emocjonalnie.

Zamknęła Chubba za sobą szybkim skrętem ręki, chwiejnie poczłapała do windy i zatrzymała się przerażona na widok swojego odbicia w szklanych drzwiach kabiny.

Żółty siniak rozciągał się na jednym policzku jak nieusunięte znamię. Nad podbitym prawym okiem gruby strup zakrywał rozcięcie, które należało zszyć i zalepić sztuczną skórą.

Lecz to były tylko powierzchowne rany, drobne obrażenia, które można usunąć w każdej narożnej aptece. Jedyne błękitne oczy Clare, które zawsze spoglądały tak arogancko, zdradzały prawdziwą naturę wewnętrznego okaleczenia.

Strach.

Clare ponownie przeczytała adres, z niedowierzaniem obracając w myślach dziwne słowa: „Lady Clare” i „Instytut Bonaparte”.

Arystokracja (albo jej resztki pozostałe po drugiej wojnie franko-pruskiej) nie musiała pracować. Po restauracji Trzeciego Cesarstwa otrzymała honorowy status dyplomatyczny. Nie podlegała Code Napoleon, tylko Code Imperial.

W granicach Cesarstwa arystokraci nie płacili podatków, podróżowali swobodnie bez politycznych zezwoleń i podlegali nadzorowi Sekcji Trzeciej tylko za pisemnym zezwoleniem

3

Clare bardzo w to wątpiła - chyba że przystali jej bombę. Ale nie podzieliła się swoimi wątpliwościami z portierem. Jak tylko Lamartine dowie się o jej upadku, jego służalcza uprzejmość zmieni się w otwartą pogardę. Nie potrzebowała dodatkowych zmartwień.

- Zaraz zejdę - obiecała niechętnie i owinęła się błękitno--złoto-żółtym szlafrokiem Kenzo, zeszłorocznym przepłaconym prezentem urodzinowym od Claude'a de Crecy. Nic więcej nie dostanę, pomyślała. I zdziwiła się, że wcale jej nie zależy. Wytrzymała z Claude'em tylko dlatego, że niczego od niej nie wymagał, fizycznie ani emocjonalnie.

Zamknęła Chubba za sobą szybkim skrętem ręki, chwiejnie poczłapała do windy i zatrzymała się przerażona na widok swojego odbicia w szklanych drzwiach kabiny.

Żółty siniak rozciągał się na jednym policzku jak nieusunięte znamię. Nad podbitym prawym okiem gruby strup zakrywał rozcięcie, które należało zszyć i zalepić sztuczną skórą.

Lecz to były tylko powierzchowne rany, drobne obrażenia, które można usunąć w każdej narożnej

aptece. Jedynie błękitne oczy Clare, które zawsze spoglądały tak arogancko, zdradzały prawdziwą naturę wewnętrznego okaleczenia.

Strach.

Clare ponownie przeczytała adres, z niedowierzaniem obracając w myślach dziwne słowa: „Lady Clare” i „Instytut Bonaparte”.

Arystokracja (albo jej resztki pozostałe po drugiej wojnie franko-pruskiej) nie musiała pracować. Po restauracji Trzeciego Cesarstwa otrzymała honorowy status dyplomatyczny. Nie podlegała Code Napoleon, tylko Code Imperial.

W granicach Cesarstwa arystokraci nie płacili podatków, podróżowali swobodnie bez politycznych zezwoleń i podlegali nadzorowi Sekcji Trzeciej tylko za pisemnym zezwoleniem

■=13

samego Księcia Cesarza. Nic dziwnego, że każdy amerykański metaNacjonal i każde dalekowschodnie zaibatsu zatrudniały co najmniej jednego w radzie nadzorczej.

Clare nie kwalifikowała się z racji urodzenia. Podobnie jak Claude, mimo wszystkich swoich pieniędzy. Nigdy nawet nie spotkała nikogo z tej sfery. Arystokracja żyła za zamkniętymi drzwiami. Co do Instytutu Bonaparte, nigdy o nim nie słyszała. Gdyby ją zapytano, odpowiedziałaby, że taki instytut nie istnieje. A więc bomba? Czy jej pierwsze podejrzenie było słuszne?

Nieprawdopodobne: Lamartine już przepuścił paczkę przez detektor materiałów wybuchowych. Z mdlącym skurczem pomyślała, że to mogło być psie gówno, zdechłe myszy, robaki. Ktoś z ministerstwa zrobił jej wstrętny dowcip. Jakaś mata rozgoryczona druga sekretarka, która nie ośmieliła się rzucić wyzwania Clare, kiedy ta miała władzę.

Jeśli tak, to niepotrzebnie, pomyślała Clare z goryczą. Wiedziała, że przegrała. Bez stanowiska znaczyła tyle, co słowa na dyplomie Sorbony, piętnaście garsonek od Diora czekających na wyjście z mody i pustoszące konto w Hong Kong Suisse.

Nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy, jak puste stanie się jej życie, jeśli wytrąci się spod niego podpórki.

Portier uśmiechnął się jeszcze bardziej uniżenie i odkaszlnął lekko.

- Awans, madame?

Płaszczyl się, starannie omijając wzrokiem jej potłuczoną i posiniaczoną twarz.

Awans? Instytut Bonaparte? Clare wzruszyła ramionami i wycofała się z powrotem do swojego mieszkania, żeby obejrzyć przesyłkę.

W jednym kącie salonu, na małym intarsjowanym orzechowym stoliku, stał jej nowy toshiba z leniwie pulsującą diodą wiadomości. Zakodowane cyfrowo w skrzynce głosowej znaj-

RU

dowaty się krótkie wiadomości od Claude'a de Crecy, od księgowego, którego wystawiła z partią squasha, i od ministra spraw wewnętrznych Nexusa z żądaniem zwrotu platynowej karty Amex, którą zapomniał jej odebrać.

Mogli poczekać.

Czytnik sieci leżał na podłodze obok łóżka, nastawiony na jałowy bieg. Clare zwinęła swój download klasycznych powieści Jamesa Lee Burke'a o detektywie Robicheaux, fatalnie trzęsącymi się palcami wpisała swoje hasło i kazała czytnikowi wytrasować hiperlinkiem wszystkie wzmianki o Instytucie.

Owszem, Instytut naprawdę istniał, a nazwa wskazywała na jego dwuznaczny status. Założony przez Napoleona III krótko po jego koronacji na cesarza Francji w 1853 roku, został ufundowany przezeń jako osobę prywatną. Stąd nazwa Instytut Bonaparte zamiast Instytut Napoleon albo Instytut Imperial.

W Instytucie zajmowano się jedną z prywatnych pasji cesarza - metafizyką i okultyzmem, zwłaszcza życiem hrabiego de Saint-Germain, opisanego wiek wcześniej w liście Woltera do Fryderyka Wielkiego jako „ten człowiek, który wie wszystko i nigdy nie umiera”.

Według czytnika wszystkie archiwa Instytutu zostały zniszczone w 1871 roku przez wielki pożar, który pochłonął Hotel de Ville, po czym żadne dalsze wzmianki o Instytucie nie pojawiły się w publicznych zapisach.

Tknięta przecuciem, Clare kazała czytnikowi wyszukać Sekcję Trzecią. Nie znalazł nic, nawet wzmianki o jej statusie jako należącej do korpusu dyplomatycznego.

Jeżeli według Napoleoniki online Sekcja Trzecia nie istniała, chociaż Clare wiedziała, że istnieje, to dlaczego Instytut nie miałby również istnieć, chociaż Clare o nim nie wie?

Przecięła zabezpieczającą taśmę srebrnym scyzorykiem, zerwała papier i wytrzeszczyła oczy na skromny szary prostopadłościan wielkości pudełka kubańskich cygar, maty rozmiar.

■=15

Skrzynka otwarta się, ukazując wewnętrzne powierzchnie tak czarne i lśniące, jakby zostały laserowo wycięte z jednego bloku dymnego obsydianu. Wszystkie były gładkie. Żadnych przycisków, światełek, niczego choćby podobnego do przełącznika.

Szara skrzynka była upiornie piękną. I jakaś odległa, niczym starożytne dzieło sztuki. Clare obróciła ją ostrożnie, potem uśmiechnęła się i starannie ustawiła skrzynkę na bocznym stoliku. Cały niepokój nagle ją opuścił i już samo to powinno ją zaniepokoić.

Nawet się nie zdziwiła, kiedy głęboko we wnętrzu skrzynki coś wreszcie ożyło z pomrukiem. Lecz serce jej uderzyło szybciej, kiedy czarne wewnętrzne powierzchnie zamigotały i zawirowały tęczą barw, po czym zastygły we wzorki kararyj-skiego marmuru, dokładnie pasujące do zielonkawego blatu stotu, na którym stała skrzynka.

- Wyglądasz jak gówno - powiedziała skrzynka złą francuszczyzną.

Clare uśmiechnęła się, mimo swojej znanej niechęci do brzydkich słów.

- Poważnie - upierała się skrzynka.

Marmurkowy wzór zbladł i w szescianie powietrza pomiędzy podstawą a otwartym wiekiem zaczęła się formować holograficzna głowa. Powietrze znieruchomiało i kreskówkowa twarz japońskiego chłopca spojrzała na Clare, każdym rysem animowanej twarzy wyrażając z troską.

- Nie przestrasz się - powiedział Makai - bo będziesz mnie często widywać.

Chłopiec zniknął, a potem stanął obok niej, chociaż nie tak, żeby nie widziała poprzez niego zawijasów perskiego dywanu.

Zamarł w bezruchu, jakby nasłuchiwał czegoś niesłyszalnego dla niej, potem uśmiechnął się lekko. Nie był to ładny widok.

- Zadzwoń do Nexusa - zaproponował - i obiecaj, że dzisiaj zwrócisz mu kartę Amex. Przy okazji powiedz mu, że pod

RB

koniec tygodnia wyjeżdżasz na wakacje. Żeby wszystko przemyśleć. I że zamartwiasz się, że narobiłaś kłopotów... Podniósł rękę. - Nie mówiłem poważnie. - Uśmiechnął się, jego zielone oczy nie całkiem patrzyły na Clare.

- Czym jesteś? - zapytała Clare niepewnie.

Makai wzruszył ramionami.

- Przyjacielem. Poza tym, kto wie? Zwróć mi pamięć, to może się dowiemy, jeszcze jedno: dowiedz się, kto zniszczył biuro Mayera, i zabij ich.

- Zabić ich? - Clare nie potrafiła ukryć zgrozy, chociaż bardzo się starała.

- Czemu nie? Nie masz nic do stracenia oprócz życia. I nie chcesz go stracić, prawda?

Clare przytaknęła.

- Więc Mayer dokonał słusznego wyboru. Kiedy się zorientował, że przypiekają mu skórę, kazał mi się doczepić do ciebie. Ostatnia rzecz, jaką zrobił.

To brzmiało wystarczająco niewiarygodnie, żeby było prawdą. Tylko że niczego nie wyjaśniało. A Clare chciała wyjaśnić. •

- Dlaczego „lady Clare”? - zapytała nagle.

- Broń socjalna. Nastraszy Sekcję Trzecią - odparł Makai. Westchnął. - Poza tym Anglicy są takimi snobami. A my musimy zrobić wszystko, żeby ułatwić ci zadanie w Londynie.

Pytanie było oczywiste, ale Clare i tak je zadała.

Makai kiwnął głową. .

- Prom Air France wylatuje z lotniska Charles de Gaulle pojutrze o 19.30, ląduje w Gatwick po czterdziestu pięciu minutach. Ktoś po ciebie wyjdzie. Może nawet pomoże ci znaleźć tego

człowieka...

Twarz mężczyzny w średnim wieku, który prawdopodobnie kiedyś uchodził za przystojnego na swój niebieskooki, przycięż-ki, bardzo angielski sposób.

7

- Alex Gibson - oznajmił Makai. - Wolny strzelec zbierający materiały dla CySatu. Pracuje przy Moim procesie. Raczej pracował - ciągnął takim tonem, jakby czytał prosto z ekranu.
- Dzieciństwo w północnym Londynie. Szkoła w Birmingham. Zaginął sześć miesięcy temu, ogłosiwszy, że jego kamera ocna zawiera istotne dowody w sprawie Juppé.
- Juppé?

Clare ledwie pamiętała ten proces, chociaż odbył się niecałe pięć miesięcy wcześniej i ona była oskarżycielem. Coś o włóczędze, który rozdarł gardło innemu. Wynikły jakieś nieprzyjemności... Teraz sobie przypominała: morderca zabił się, zanim wydano wyrok. Cała sprawa była administracyjnym koszmarem. Nie wspominając o marnowaniu publicznych funduszy.

- Jakiego rodzaju dowody? - zapytała nagle Clare. A potem drgnęła uświadamiając sobie, że to nie ma żadnego znaczenia
- nie była już prokuratorem. Makai wzruszył ramionami.
- Kto wie? Ale Mayer szukał Alexa Gibsona i nie tylko on.
- Chłopiec przerwał, kilka sekund zbierał myśli, po czym wystrzelił w Clare nagłym pytaniem: - Czy wierzysz w niewidzialność? W prawdziwą, całkowitą, stuprocentową niewidzialność. Nie tylko dla ludzkiego oka, ale dla M-falowych kamer, wszystkiego.

Clare stanowczo pokręciła głową.

- Mayer wierzył - oświadczył Makai. - A Gibson twierdził, że ma dowód. No - uśmiech chłopca był lodowaty jak zimowy wiatr - nie całkiem dowód, ale nagrane z poligrafem zeznanie kogoś, kto widział to w działaniu.
- Tego trampa? Makai przytaknął.
- I wiesz co? - podjął. - Ten drugi tramp, ten zamordowany... nie widziałaś zdjęć z kostnicy, prawda? Jego ciało zostało przeżarte rozkładem. Coś ci to przypomina?

■=ia

Clare nie odpowiedziała.

- Gibson zniknął bez śladu. Wypadł z info-netu. Jeśli wciąż się ukrywa, nie korzystał z usług banku, nie odwiedził lekarza ani nie leciał samolotem od sześciu miesięcy. Znajdź Gibsona, a natrafisz na niewidzialność. Trafisz na niewidzialność, a znajdziesz tego, kto zabił Mayera.
- Ale dlaczego ja? - upierała się Clare, chociaż już wiedziała. Wypatroszony trup Jennifer Mayer prześladował ją, utkwił w jej mózgu jak niechciana odpowiedź.
- Widziałaś ciała, rozmawiałaś z Balthusem, dzwonił do ciebie Charles Mayer. A jednak ciągle żyjesz. Duży błąd. Ktoś gdzieś będzie bardzo zły.
- Kto?

Makai wzruszył ramionami.

- Za mało danych. Na razie. Słuchaj - dodał - martwa jesteś statystyką z zeszłego tygodnia. Ale żywa... No, kimkolwiek oni są, nie ucieszą się z tego, prawda? Czują swój strach, dosłownie czują jego dotyk. Pełzał po jej skórze - stęchły pot i prymitywny lęk wydzielany porami jak wczorajszy czosnek - aż poczuła się brudna.
- Masz dwa wyjścia do wyboru - powiedział otwarcie Makai. - Zadekować się albo pójść na całość.

Czekał. Należało zachować pozory, że ostateczna decyzja należy do niej.

- Zrobię to - szepnęła w końcu Clare, zdumiona własnymi słowami.
- Oczywiście, że zrobisz - odparł stanowczo Makai. Nagle przestał wyglądać jak duch, zrobił się bardziej rzeczywisty. Po raz pierwszy spojrzał Clare w oczy. A ona zaczęła dygotać, nie wiedząc dlaczego.

Lot helikopterem Air France przebiegał spokojnie. -Lądowanie w Gatwick w zimnej szarej mżawce. Ładunek regularnych pasażerów w garniturach zaibatsu zajęty zamykaniem swoich cienkich jak opłatki płaskich komputerów, satelitarne modemy wypluwające godziny powrotu do domu. W tylnych rzędach pary niechętnie odłączały i składały trody i gogle „grzecznościowych” SegaSimów wbudowanych w poręcze foteli.

Przyciągnęły ich do Anglii tanie holograficzne reklamy zaśmiecające europejskie ulice. „Znajdź to w Londynie - smak namiętności”. Nastolatki i dwudziestolatki w ubraniach NafNaf wierciły się niespokojnie na wąskich ekonomicznych fotelach, przerażone, że ludzie zaczną podejrzewać coś, o czym wszyscy już wiedzieli. Para za parą przylatywali skorzystać z rozluźnionej angielskiej moralności. Podczas długich weekendów Hyatt West End, Hilton i Inter-Continental robiły wielkie interesy na bogatych paryskich dzieciakach, koniecznie pragnących udowodnić, że różnią się od innych.

Clare wiedziała wszystko na ten temat. Spędziła trzy długie dni w Hyacie z Lucianem, swoim pierwszym kochankiem. Urodzinowa niespodzianka, którą Lucian jej podarował, a póź-

1 □ □

niej zepsuł, zły, że wołała obejrzeć wystawę Klossowskiego de Rola w Królewskiej Akademii, zamiast zostać z nim w łóżku.

Niedługo potem zerwali. Nie dość szybko, żeby Lucian nie zdążył ujawnić swoich skłonności do analnego seksu, najchętniej na siłę.

No, ale l'amour anglais była modna we Francji wśród pobożnych, dobrze urodzonych niemażeńskich par. W ten sposób unikały wyklętych przez papieża środków antykoncepcyjnych, a ponieważ Kościół zapomniał wpisać tego na listę seksualnych grzechów, powszechna opinia głosiła, że to się nie liczy jako stosunek. I nie liczyło się również dla Clare.

Londyńska wycieczka miała miejsce trzy lata po śmierci jej ojca na raka. Chociaż Clare nie została do końca.

Siedząc na brzegu łóżka w Hyacie, zadowolony z siebie i wciąż ociekający potem po wysiłku wejścia w nią, Lucian nie wiedział, że nie może jej zrobić nic, czego już nie zrobiono.

„Nigdy więcej”, pomyślała Clare, gniewnie potrząsając głową. Potem zmarszczyła brwi, kiedy młody bystry steward pospieszył do niej z drugiego końca kabiny, z niepokojem wypisanym na przystojnej twarzy.

- Czy wszystko w porządku, szlachetna lady?

Clare pospiesznie kiwnęła głową. Życie wyglądało teraz inaczej, ale mimo wszystko nie zazdrościła tym parom. Wcale im nie zazdrościła. Jedna para za drugą, Clare widziała, jak czekają przy kontuarze odprawy na Charles de Gaulle i gapią się na nią, kiedy przepływała prosto do poczekalni dla VIP-ów. Ciekawość, nie zazdrość błyszczała w ich oczach.

Gdziekolwiek się ruszyła, Clare wyczuwała wpływ Makaiego, niczym niewidzialną tarczę.

Specjalny posiłek w samolocie. Pusty rząd przed nią i za nią, zarezerwowany na jej nazwisko, żeby zapewnić jej przestrzeń do oddychania.

1 □ 1

Chociaż po lądowaniu na Gatwick nawet Clare była wstrząśnięta, kiedy dwaj ochroniarze z karabinkami Heckler & Koch 5K wyłuskali ją ze skłębionego tłumu.

Potężni w swoich ceramicznych kuloodpornych kurtkach, wyprowadzili ją pospiesznie przez opustoszałe służbowe korytarze do czekającej limuzyny Honda. I szybko zniknęli. Clare nie miała pewności, czy to ona wywołała ich zdenerwowanie, czy też przestraszyli się drobnej, obwieszanej klejnotami Hinduski stojącej obok hondy.

Kobieta, ubrana w sari z tajskiego jedwabiu zmodyfikowanego genetycznie, żeby zawierał czyste złoto, złączyła dłonie w powitalnym geście i złożyła ukłon. Angielski wiatr był zimny i Clare nie rozumiała, dlaczego kobieta nie ubrała się cieplej.

- To jest moje lotnisko, lady Clare - oznajmiła krótko. - Pani osobisty sekretarz, pan Makai, poprosił nas o ułatwienie pani przybycia.

Uśmiechnęła się powściągliwie. Albo jej twarz naprawdę odzwierciedlała beczasowe piękno niedostępne dla zwykłych śmiertelników, albo ciężki kredyt zmienił właściciela w jakiejś ostrej

nrTdyńskiej klinice chirurgicznej.

Za kobietą, całkowicie ją przytłaczając, stał dyrektor Operacji UK z Air France, potężny spocony Szkot w wygniecionym gotowym włoskim garniturze.

Oboje byli wcieleniem uprzejmości, lecz tak wyraźnie obawiali się Clare, że zaczęła się zastanawiać, co takiego Makai im powiedział. Coś obosiecznego. Oboje mieli takie miny, jakby chcieli pozbyć się jej jak najszybciej.

- Czy lady gotowa?

Clare odwróciła się i zobaczyła wysokiego dreda, z lokami związanymi z tyłu głowy pod wielką skórzaną czapką.

- Ja Winston, pani kierowca - wyjaśnił, ściskając mocno jej dłoń. - Teraz jedziemy.

IDE

Zachowywał się tak, jakby nie zauważył Hinduski ani jej kolegi.

Luksusowa honda pożerała autostradę M25 pomiędzy Gat-wick a Londynem, optyczne sensory działały automatycznie na podczerwieni. Winston pozwolił, żeby limuzyna sama kierowała. Jedną rękę trzymał na czerwonym nadbiegu na kierownicy, drugą wybijał rytm ciężkiego dubu, który płynął z mikro-głośnika przyklejonego taśmą za jego uchem.

Od czasu do czasu oczy Winstona przesuwwały się na mały ekran, gdzie soft drogowy MS wyświetlał pozycję rozpędzonej limuzyny, bez wysiłku zmieniając pasy.

Jeszcze przed chwilą Winston pogodnie słuchał dubu i rozkoszował się absurdalnym luksusem wielkiego auta, a potem nagle ścięgnięta w jego karku zawęzły się jak bicz i Clare wyczuta jego napięcie, nagie jak elektryczność.

Wiedziała nie wiadomo skąd, że Winston słucha głosów z mikrogośnika. Poruszał szczęką, kiedy odpowiadał sub-wokalizując słowa. Co pewnie znaczyło, że miał chipmikrofon zaimplantowany w gardle.

- Towarzystwo, lady - powiedział, przechwyciwszy jej spojrzenie we wstecznym lusterku. - Mamy towarzystwo.

Clare instynktownie zaczęła się odwracać, ale zamarła na głos Winstona.

- Patrzeć przed siebie, lady. Wciąż przed siebie. Wszyscy jedziemy z Jah. Nie ma problemu. Winston wziął głęboki oddech, starając się odprężyć, a potem stuknięciem wyłączył nadbieg i przejął kontrolę nad samochodem.

Jak na zabójstwo było to prawie doskonałe. Wielka honda musiała lekko zwolnić, kiedy Winston przepuścił ciężarówkę--kontenerowiec zmieniającą pas.

W tej samej chwili jasnowłosy chłopiec na czerwonym kawasaki dodał gazu, żeby wykonać swój ruch. W ciągu kilku

1D3

sekund motocykl zrównał się z hondą i jechał na wysokości tylnego siedzenia.

Przez sekundę Clare spoglądała w bławatkowo błękitne oczy najpiękniejszego chłopca, jakiego w życiu widziała. Potem bandyta o anielskiej twarzy oderwał obrzyn browning z rzepowego zapięcia pod skórzaną kurtką, a Winston nadepnął hamulec i skręcił na ukos przez trzy pasy, wciąż przyspieszając.

Pierwsza kula chybiła i wyrwała bok bezzałogowego policyjnego drona, który ich namierzył.

Pojazd eksplodował, wciąż skrzekliwie nakazując im się zatrzymać.

Drugi pocisk nie został wystrzelony. W zamrożonym ułamku czasu pomiędzy pierwszym strzałem a wybuchem drona Winston dodał gazu, skręcił ostro w stronę lewego pobocza i skierował limuzynę prosto na przechylony motocykl.

Clare poczuła podwójne łupnięcie, kiedy przednie i tylne kota przejechały po niedoszłym zabójcy, zmiażdżyły mu czaszkę i wbiły połamane żebra głęboko w płuca i serce. A potem jechali dalej.

Winston szczyrzył zęby i rytmicznie uderzał pięścią w kierownicę. Muzyka w jego głowie wypływała na zewnątrz.

- Babilon płonie - powiedział cicho, nucąc razem z dubem.

Kiedy obejrzał się dziesięć minut później, wciąż się uśmiechał.

- Paliwo - oznajmił i stuknął w nadbieg. Nastąpiło lekkie szarpnięcie powietrznych hamulców

i potężny samochód zaczął zwalniać. - Teraz robimy interes. - Twarz Winstona w lusterku wstecznym nagle straciła wszelki wyraz, oczy stały się zimne jak kamień. Powiedział subwokalnie coś niezrozumiałego dla Clare i sięgnął po noktowizyjne raybany.

Kiedy limuzyna tankowała paliwo, na tylne siedzenie wgra-molił się mały człowieczek o zaciętych ustach. Był biały, po czterdziestce. Ciemne włosy, przycięte schludnie, nie krótko.

1DL,

Biata koszula, czerwony krawat, gotowa marynarka o numer za duża, lecz wciąż nie dość obszerna, żeby ukryć wybrzuszenie podramiennej kabury. Nie przedstawił się.

- No więc - powiedziała Clare słabą angielszczyzną - co będzie dalej? - Zaakcentowała wszystkie niewłaściwe sylaby.

Człowieczek uśmiechnął się kwaśno, pokazując połamane zęby, łatwe do naprawienia. Odezwał się ostentacyjnie płynnym francuskim:

- Przejedziemy się raz po M25, a potem pani wraca do domu. Szybko. Krążą słuchy, że ktoś chce panią zabić. Radzę uważać.

Z przodu dobiegło ubawione chrząknięcie Winstona, który wystawił kciuk w stronę człowieczka i wykonał obsceniczny gest „włazt-wylazł”.

Człowieczek zareagował tak szybko, że najwyraźniej miał podrasowany system nerwowy. Ale Winston był szybszy. Taki szybki, że Clare nawet nie widziała, kiedy się poruszył.

W jednej sekundzie dłoń człowieczka sięgała pod marynarkę, w następnej wszyscy zamarli, kiedy lufa broni Winstona znalazła oparcie pod wąskim podbródkiem przeciwnika. Kostka palca na spuście lekko pojaśniała.

- Nie bądź ignorantem. Ręce z przodu, żebym je widział

- rozkazał Winston. Rastamański zaśpiew zniknął, zastąpiony przez głos tak zimny, jakby wychodził z cyfrowego syntezatora.

Bardzo ostrożnie człowieczek położył obie dłonie na kolanach, nie odrywając wzroku od czarnego matowego dwu-strzałowego derringera Winstona. Dred uśmiechnął się.

- Dobry wybór, człowieku - powiedział miłym tonem i niedbale zgiał ramię, a sprężynowa broń powróciła do kabury na nadgarstku. - Ten tutaj Szczurek to odźwierny Babilonu

- powiedział Winston do Clare. - Zakręcony czubek, ale nieszkodliwy.

1D5

Mały człowieczek nazwany Szczurkiem spojrzał z goryczą na Clare.

- Nie warto się przejmować tymi dredowskimi czarnucho-watymi bzdurami - powiedział chłodno. - Ten facet to ragsta. Niszczy gigabity danych, żeby sprzedać ochłapy Japończykom.

Wyczyści każdego z miejsca.

Spojrzenie Winstona stwardniało, lecz uśmiech ani na chwilę nie opuścił jego twarzy.

- Chcesz wojny, przyjdź do mnie inną porą, człowieku. Nie dzisiaj. Dzisiaj słyszę słowo i to słowo mówi: pomóż tej pani. Ty też słyszysz słowo...

Szczurek przytaknął nerwowo. Obiema rękami wciąż ścisnął kolana. Przechwycił spojrzenie Clare, zatrzepotał powiekami i odwrócił wzrok.

Prawie wyczuwała zapach jego podejrzliwości pod tanim cytrynowym płynem po goleniu.

Cokolwiek Szczurek robił ze swoim życiem, najwyraźniej nie wchodził z nikim w układy, jeśli mógł tego uniknąć.

Przypominał bardziej maszynę niż człowieka. Clare spotykała już takich, wlokących za sobą nieudane życie niczym wystrzępiony kabel. Nieszczęśliwe dzieciństwo, gorzkie wspomnienia, niekochający rodzice, dziewczyny zawsze w końcu wyśmiewające jego braki.

- Jedź - rzucił Szczurek przez zaciśnięte zęby. - Skończmy z tym wreszcie.

Ostrożnie oparł się o szary ultrazamsz samochodowej tapicerki.

Minuty jazdy upływały w milczeniu. Clare skupiła uwagę na wielkich kontenerowcach TransEuro, które mijaly ich z rykiem, rozmazane plamy w wilgotnej ciemności.

- Więc chcecie Alexa - powiedział nagle Szczurek.

Clare podskoczyła.

- Alexa?

IDE

- Tak nazywała Gibsona jego była żona. Kiedy jeszcze mogła mówić. Jeżeli bełkot pomyłonej, niepoczytalnej szmaty można nazwać mową. - Cmoknął przez połamane zęby. - Zamknęła się po ostatniej próbie samobójczej. Posttraumatyczny autyzm. Ten tłusty francuski czubolog próbował pynozyny. Nawet wygrzebał starą maszynkę do elektrowstrząsów. I nic. Jego cienki uśmiech wyrażał więcej irytacji niż żalu.

- Tortury? - Clare była bardziej zaszokowana, niż chciała przyznać.

- Perswazja - poprawił ją ubawiony Szczurek. - Chociaż niewiele pomogła. Mayer źle się do tego zabrał. Myślę, że ona nie wiedziała więcej niż my o zniknięciu Alexa. Ale i tak ją złapaliśmy.

- Kto ją teraz trzyma?

Przez sekundę wydawało się, że Szczurek odpowie na pytanie. Potem zamknął się w sobie i znowu zaczął przygryzać wewnętrzną stronę wargi. Jego wąska szczurza twarz wyglądała trochę strasznie w sodowym blasku reflektorów nadjeżdżających samochodów.

Czas mijał. Za dużo czasu.

- Jaki macie w tym interes? - zapytał wreszcie Szczurek.

Clare wzruszyła ramionami.

- Ktoś skasował dwoje dzieciaków w Paryżu w zeszłym tygodniu. Wykryliśmy ślad wirusa... - Świadomie przybrała obojętny, niemal znudzony ton głosu. - Nie był unikatowy, jak się okazało. Profil zbrodni ESIP wskazuje na wcześniejsze zabójstwa. Alex Gibson może dysponować istotnymi dowodami. Przynajmniej tak uważamy.

Nie raczyła sprecyzować znaczenia słowa „my”.

- Nie widziałem żądania profilu - szybko i podejrzliwie powiedział Szczurek.

Clare popatrzyła na niego.

107

- Dostaję codziennie automatyczne streszczenie wszystkich połączeń z tri-ESIP - oświadczył stanowczo. - Waszej prośby nie zarejestrowano.

- Nielogowana - odparta Clare. Nie wiedziała tego, ale takie rozwiązanie wydawało się oczywiste. I według niej Makai na to wyglądał.

Szczurek skrzywił się. Jakby poczuł prawdziwy fizyczny ból.

- Gównu. Myślałem, że wy, arystokratyczne żabojady, macie tylko immunitet dyplomatyczny i nic więcej. Nie wiedziałem, że wchodzicie z wbudowanym lodem.

Clare nie odpowiedziała.

Z przodu Winston jednym uchem słuchał jej, a drugim nieznanego głosu, który przebijał się przez ciężkie łomotanie technodubu.

- Czas się kończy, człowieku - oznajmił. - Lady musi złapać samolot, przeżyć życie.

Niebezpiecznie zostać za długo.

Szczurek spojrział na Winstona, potem na Clare. Podjął decyzję, która wyraźnie go złościła.

- Proszę - powiedział i wcisnął jej inteligentną kartę. - Potwierdzony profil DNA Alexa Gibsona. SIS trzyma je podwójnie zakodowane na tajnych buggerach. Zeskano-wałem je na tym dla pani. Jego zdjęcie paszportowe też jest tutaj.

- A co pan wie o samym człowieku? - zapytała Clare.

- Genialny łowca procesów, ale kompletnie porąbany jako istota ludzka - odparł Szczurek, co zabrzmiało dość ironicznie w ustach kogoś takiego jak on, pomyślała Clare. - Na jakiś czas wypadł z interesu - dodał Szczurek. - Ale wrócił kilka miesięcy przed swoim zniknięciem. Może po prostu nie potrafił zrezygnować z procesów. Tak czy inaczej był absolutnie genialny.

- Pod jakim względem? - zapytała Clare.

□fi

- Najlepszy badacz dowodów w branży. Docierał do świadków, o jakich inni szperacze nawet nie słyszeli. Jeśli powiedział, że proces osiągnie wysoką oglądalność, to miał rację. Rozpoznawał zbrodnię, jechał na miejsce i werbował obie strony oraz tylu świadków, ilu znalazł. Miał niesamowitą smy-kalkę do wyczuwania, czego chce publiczność.

- Ale on był wolnym strzelcem, pracował na własny rachunek - zaprotestowała Clare. - Skoro

był taki dobry, dlaczego go nie zatrudnili na stałe?

Szczurek pokazał w uśmiechu połamane zęby.

- CySat UK już dawno chciał mu zaproponować stały kontrakt, ale do tego facet musiał przejść pozytywnie sprawdzanie, a od nas nie dostałby upoważnienia... Facet był typowym palantem, ZPokój, Pax, Amnestia2. Właśnie zamierzaliśmy go zgarnąć, kiedy zniknął.

- Dlaczego? - zapytała po prostu Clare.

- Ponieważ ten gość chciał szybko rozładować swoją oko-kamerę, nie korzystając ze zwykłych kanałów CySatu. Używał określeń „M-falowa niewidzialność” i „ludzki tryb maskowania” z bardzo lekkomyślną swobodą.

Szczurek westchnął ze znużeniem, jak człowiek, który spędza zbyt wiele czasu wśród polityków.

- Akurat kiedy przymierzaliśmy się do Alexa, przyszła notatka z Westminsteru, że źle robimy. Żeby zostawić Alexa w spokoju. Cóż, facet prowadzący sprawę nie dał się przekonać i działał dalej.

- Szczurek zawiesił głos. - Nie twierdzą, że te dwie rzeczy są powiązane, ale mój najlepszy agent operacyjny zginął przy włamaniu do tandetnej bazy danych, kiedy coś źle poszło.

- A Alex? Co się stało z Alexem?

Clare słyszała zdumienie w głosie Szczurka.

- Po prostu zniknął - powiedział chudy człowieczek jakby do siebie. - Tropiliśmy go do stacji Warren Street, a potem go zgubiliśmy.

ICH

- W jaki sposób?

Szczurek wzruszył ramionami.

- Nie wiem. To było sześć miesięcy temu. W jednej chwili był na Tottenham Court Road przed jakimś cwany chińskim sklepem komputerowym, z pięcioma naszymi najlepszymi na karku, a za chwilę już go nie było. Za cholerę nie wiem, jak on to zrobił. Ten numer ze znikaniem nie jest łatwy...

12. Zachód stnca nad LUaterlaa

... ale nie był trudny. Porwanie Alexa kosztowało zero wysiłku, nawet w pełni lata na jednej z najbardziej zatłoczonych londyńskich ulic. Oczywiście sprawianie, że ludzie znikali, stanowiło dla pana Różańca jeden ze sposobów zarabiania na życie.

Wysoki mężczyzna w długim futrze z astrachańskich baranków, z krótkimi włosami i dyskretnymi adrenalinowymi implantami w nadgarstkach, miał również inne specjalności. Wszystkie nielegalne. Pomógł mu jednak tłum ulicznych przekupniów sprzedających fałszywe biografie Rolexa, imitacje agentów sieciowych M'Softu i podejrzone karty kodowe, rzekomo zdolne do przełamania każdej wersji metaPGP. Sprzedawcy hot dogów blokowali chodnik co sto jardów i jak zwykle Tottenham Court Road roiła się od spoconych, zdenerwowanych facetów w garniturach i koszulach udających lniane, z cienkimi kucykami, wmieszanych pomiędzy wychudzonych nałogowców wizzu i otyłych bogatych rosyjskich turystów, szukających okazji nie z tego świata na najnowsze czasze CySatu po drastycznie obniżonych cenach.

111

Różaniec bez wysiłku płynął pod prąd, ignorując smród smażonej cebuli, hałas i gorąco, które buchały z otwartych drzwi pubów. Jego szare oczy rejestrowały wszystko, szukały, obserwowały, oceniały. Hałaśliwy tłum otwierał się przed nim, nie wiedząc dlaczego, opływał go dookoła i nawet nie zauważał, że go przepuścił.

Różaniec lubił wielkie miasta i szerokie, otwarte przestrzenie: jedno i drugie było anonimowe.

Chociaż miasta lepiej nadawały się do interesów. Stłocz dostatecznie dużo ludzi w jednym miejscu i możesz na nich polegać, że zwrócą się w głąb siebie, wycofają się do własnych głów.

Publiczna ślepotą stała się stylem życia. Nie oczekiwano żadnych niespodzianek, więc po prostu ich nie zauważano. To nie było zwykłe tchórzostwo. Jak wykazał generał Taka-hashii ponad tysiąc lat wcześniej, opisując sztukę zasadzki, ludzie nigdy nie widzą tego, czego się nie spodziewają.

Pewnego razu Różaniec zgarotował niewygodnego księdza w bocznej kaplicy katedry św. Piotra w Rzymie, podczas mszy nadawanej w telewizji. A kiedy zjawili się papiescy carabinieri, wymachując laserowymi karabinami Glocka, wszyscy wierni przysięgli ślepo - równie ślepo, jak przysięgali na

swojego Boga - że żaden z nich nie widział mordercy.

I mówili prawdę: żaden z nich nie widział.

Nie, dopiero kiedy ludzie byli sami, w pojedynkę, wówczas poczuli się do odpowiedzialności za własne życie. Zwykle właśnie wtedy Różaniec musiał ich zabijać.

Wysoki mężczyzna zadygotał i ciaśniej otulił ciężkim futrem chude ciało. Jedyne problem wirusowo podkręconego metabolizmu stanowiło ustawiczne dokuczliwe zimno. Logika mówiła, że kop powinien go rozgrzać, ale jakoś nie chciał działać w ten sposób.

Różaniec śledził Alexa przez całe popołudnie. Podjął jego trop w pustym, rezonującym hangarze dworca King's Cross,

1 1E

kiedy ekspres wreszcie przyjechał. Prawie nikt już nie podróżował hoverkoleją.

Nie chodziło o to, że Alexa trudno było wyłowić. Tłusty dziennikarz, z nadwagą i bez kondycji, pospiesznie kłusował po brudnym peronie w stronę niepilnowanej barierki. Jeśli czegoś szukał, to nie Różańca. Jego oczy, to elektroniczne i to naturalne, prześliznęły się po Różańcu bez zatrzymywania.

Potem zaczęła się zabawa w śledzenie amatora: Alex zmieniał linie metra, wskakiwał do brudnych londyńskich tramwajów i zaraz wyskakiwał, łapał automatyczne taksówki, żeby odesłać je po przejechaniu dwustu jardów. Z każdą chwilą zachowywał się coraz bardziej nerwowo.

Różaniec martwił się, iż Alex wie, iż jest śledzony. Dopóki nie zrozumiał, że ten wcale tego nie wiedział. Po prostu próbował zabezpieczyć się na wszelki wypadek - z marnym skutkiem.

Jubilee, Obwodnica, Bakerloo, Victoria. Przesiadki i nawroty, aż wreszcie Alex wgramolił się po schodach na Warren Street, bo elektroślizgowe ruchome schody jak zawsze były zepsute. Różaniec wbiegł za nim po dwa stopnie, zbliżając się do celu.

Przestąpił nad ciałem pijaka skulonego w pozycji płodowej przed drzwiami i wyszedł na Tottenham Court Road w samą porę, żeby zobaczyć, jak Alex przepycha się przez tłum włoskich dzieciaków, blokujących zaśmiecony chodnik przed McDonaldem.

Tłusty dziennikarz, pocąc się obficie, ruszył w stronę Centre Point, a po drodze przystawał przed każdym komputerowym butikiem.

Alejka, niegdyś skolonizowana przez azjatyckich sprzedawców sprzętu hi-fi, w ciągu ostatnich lat została przejęta przez uchodźców z zamieszek w Pekinie i teraz sprzedawano tam każdy znany cywilizacji rodzaj ruchomych pakietów biurowych office, modemów comsatu i peryferyjnych inteligentnych terminali.

1 IB

Zagraczone elektroniczne sklepiki o powierzchni nie większej od pojedynczego tóżka tuliły się do hal targowych przypominających hangary, gdzie wyrwano wszystkie wewnętrzne ściany, dach stanowiła pojedyncza płachta neoprenu rozpięta na tanich pneumatycznych rusztowaniach, a każde stoisko należało do innego właściciela.

Tutaj trafiały się najlepsze w Londynie okazje na IT, czyli inteligentne terminale, pod warunkiem, że nie spieszyles się i nie byłeś turystą.

Korek uliczny ciągnął się od Euston do teatru Dominion, lecz Alex nie zwracał uwagi na smród diesli automatycznych taksówek i zgrzyt biegów, podobnie jak na innych przechodniów. Oślepiiony paniką, wstępował do każdego sklepu, przeciskał się coraz dalej na południe w stronę piętrowych slumsów Centre Point.

Czegokolwiek szukał, wcześniej tego nie znalazł.

Teraz mówił coś z przejęciem do chińskiego technika i okazałszy kredytowy chip przechodził z ręki do ręki. Już spokojniejszy, Alex precyzyjnie przeszedł przez mikrosiatkowe drzwi sklepu. Różaniec otarł się o niego wchodząc do wąskiej parterowej kłitki, reklamującej się jako London's Technikx HyperMarket.

Wiekowy chiński technik, z rękawami pasiastej bawełnianej koszuli podwiniętymi do łokci, dłużył we wnętrzościach przestarzałego koreańskiego zestawu satelitarnego. Uniósł brwi na widok Różańca i wątrobiane plamy, szpecące jego czoło jak ślady błota, znikły nagle wśród zmarszczek. Gołe druty starego kabla były obwiązane niedbale wokół jednego chudego nadgarstka, drugi koniec

wisiał luźno zaczepiony o pobliską rurę wodociągową. Raczej prymitywne zabezpieczenie przeciwko elektryczności ciała zakłócającej pracę chipów, ale nie tak prymitywne, żeby nie działało.

- Czego pan chcesz? - Z powodu londyńskiego akcentu głos technika wydawał się młodszy niż wygląd.

1 1U

Różaniec odklecił pekiński przekaz bankowy od zwitka świeżo wydrukowanych banknotów i trzymał go luźno w urękawiczonych palcach, dopóki się nie upewnił, że przyciągnął uwagę właściciela.

- Ten mężczyzna... - zaczął, ale technik tylko spuścił wzrok z powrotem na płataninę starych obwodów wewnątrz czaszy anteny. Nie tego chciał pan Różaniec. Więc chwycił cienki jak patyk przegub Chińczyka i wykręcił. Przerwał w ostatniej chwili, zanim przeciążone kości pękły. - Policja - warknął.

- Czego on szukał?

- Ryferii i czarnego lodołamacza...

Różaniec kiwnął głową; to miało sens. Cokolwiek zobaczył Alex Gibson, zapisywał to automatycznie, ale wszelkie zapisy należały do CySatu. Tylko oni mogli wyładować oko Gibsona. On sam w żaden sposób nie mógł dostać się do zawartości własnej głowy, nie legalnie.

- Jakie ryferie?

- BioSoft, gogle Sony albo jakieś trody - odburknął technik i wyrwał rękę ze słabnącego chwytu Różańca. - Powiedziałem mu, niemożliwe. Powiedziałem mu, oko ma pieczęć CySatu, własność copyright. CySat bardzo gniewa się.

Różaniec nie starał się ukryć pogardy.

- Czyżby? Na pewno mu nie powiedziałeś, że to wymaga czasu?

- BioSoft nielegalny bez licencji - odparł cicho technik.

- A trody są niebezpieczne.

- Ale możesz je zdobyć, no nie?

Niedostrzegalnie dla Różańca starzec wymacał cichy alarm na wewnętrznej stronie nadgarstka.

Potem odchylił się do tyłu w starym krześle. Jasne, mógł załatwić wszystko, byle ktoś chciał za to zapłacić. BioSoft. Peryferie. Po co zaprzeczać?

- Jak szybko on wróci? - zapytał szorstko Różaniec.

Chińczyk spojrział w blade, szare oczy Różańca.

1 15

- Dwie, może trzy godziny - powiedział głosem wyraźnie silniejszym, ze śpiewnym akcentem nagle zanikającym. Za nim dwaj młodzi mężczyźni zmaterializowali się po drugiej stronie koralikowej zasłony; grafitowe i stalowe nunczaku kołysały się niedbale w ich dłoniach.

Różaniec pogardliwie rzucił staremu przekaz bankowy. I wyszedł, zanim jeszcze papierek ominął mały stolik i sfrunął na brudną podłogę.

Leniwym gestem Jackie Tg, Wielki Mistrz Gildii Pięciu Gór i właściciel London's Technikx HyperMarketu, nakazał jednemu z wnuków podnieść przekaz.

- Głupiec - kiwnął głową w stronę pustych drzwi.

Gdyby Różaniec okazał szacunek i ten szacunek przełożył na

poważny kredyt, wówczas może Jackie Tg powiedziałby mu, że spocony Anglik chciał więcej niż ryferie, chciał również nazwiska. Może. Ale mało prawdopodobne. Gildia Gór nie miała dużo czasu dla cudzoziemców, chyba że dla wyjątkowych, jak Razz.

Grubas chciał spotkania z kimś, kto potrafi złamać kod okokamery Zeissa, a dla Jackiego Tg to znaczyło Razz. To znaczyło Razz również dla tłustego Anglika, ponieważ wymienił jej nazwisko.

Problem polegał na tym, że Razz była dobrą klientką Gildii Gór - i jeszcze lepszym dostawcą.

Potrafiła zrealizować każde podejrzane zamówienie... To prawda, wszystko przychodziło zapakowane próżniowo i oznaczone laserowymi stemplami „Własność rządu”, ale klientom Jackiego Tg to się nawet podobało. Najwyżej zwiększało wartość teku; zresztą Jackie nie wykluczał ewentualności, że Razz sama pakuje i stempluje towar. Naraziłaby wszystkich na spore niewygody,

gdyby wpadła w kłopoty, ale z drugiej strony, jeśli grubas chciał złamać dane należące do takiej potęgi jak CySat, te dane musiały być dużo warte.

- Ty - wskazał najstarszego wnuka. - Idź za grubasem, zawiadom mnie, jeśli coś się stanie. A ty... - kiwnął na numer

1 IB

drugi - idź za futrem. Jeśli się spotkają... - Jackie wzruszył ramionami - zobaczymy, ile dacie radę uratować...

Czas już powiedzieć Razz o mężczyźnie, który jej szuka. Informacja mogła być ważna, a jeśli tak, nie zaszkodzi zrobić z Razz swoją dłużniczkę.

Po wyjściu chłopców Jackie Tg podniósł słuchawkę staroświeckiego widfonu, wsunął kartę kodową w szczelinę i wystukał z pamięci numer anonimowego głosowego re-mailera. Ten przekaz nie pójdzie zwykłą drogą.

IB. UUajaujnicg □dwratrriega uhnśniha

f

Szybka robota.

Czas się wylogować.

Czarna dziewczyna stuknęła w Alt F, wybrała „Zamknij”, stuknęła w „Tak”, potem w „Enter”, jak tylko policyjny komputer zapytał: „Czy zachować zmiany?”. I szybko przerwała połączenie, wycofała się tą samą drogą, którą weszła. Cicho, dyskretnie, nie zostawiając odcisków palców - elektronicznych czy innych. Prymitywnie, lecz skutecznie Razz zniknęła.

Młoda czarna azylantka pospiesznie oderwała rzepowe zapięcie od biodra i upuściła małe, parzące pudełko na rozgrzebane łóżko.

Czyli tam, gdzie zwykle trzymała swojego walkweara. W pojedynczym pokoju bez okna na szczycie londyńskiego wieżowca miała za mało miejsca, żeby układać rzeczy w schludne kupki.

Oprócz łóżka zawalonego brudnymi ubraniami, podartymi płachtami wczorajszych gazet i porozrzucanymi kartami pirackiego software'u, w pokoju stał również mały stolik z włókna węglowego i forniru pokryty resztkami niedojedzonej jamajsz-

1 IB

czynny na wynos i plastikowe krzesło z pękniętym oparciem, zbyt niewygodne do siadania.

W rogu znajdowała się również kabina prysznicowa, ale najczęściej nie było wody. Minęły lata, odkąd naprawiano jezdnie w okolicy, a stare gliniane rury już dawno popękały pod naciskiem przejeżdżających ciężarówek. W tych czasach większość północnolondyńskiej wody wsiąkała w ziemię.

Zrzuciwszy swój przegrzany rdzeń danych, Razz zdjęła okulary Zeissa, potem leniwie odpięła od lewego nadgarstka miniaturową klawiaturę i również rzuciła na łóżko. Następnie podciągnęła podkoszulek i spojrzała na zaognioną pręgę, biegnącą przez ciemną skórę na biodrze.

Nic dziwnego, że pudło paliło jak ogień. Nieważne, jak duży wiatraczek czy radiator się wstawiło, dwie godziny pozostawały maksymalnym czasem użytkowania, a ona przekraczała limit cztery, pięć razy.

Ale warto było.

Ponieważ teraz Razz i wszyscy inni lokatorzy Górnego Silcott przez następny miesiąc będą mieli gaz i elektryczność. A Usługi Publiczne Haringeya zarejestrowały, że komitet blokowy Silcott zapłacił z góry tegoroczne podatki sześć miesięcy wcześniej. Dla równego rachunku Razz zakończyła szybkim i brutalnym przeczesaniem bazy danych miejscowej policji i skasowała wszystkie wyroki dodane od czasu, kiedy ostatnio wyczyściła rekordy dotyczące jej przyjaciół.

W myśl ulicznego prawa Razz zgarniała jedną dziesiątą opłat za świadczenia. Nawet uwzględniając wyjątki i nieuczciwych dłużników, zarobiła spory kredyt za czternaście godzin pracy. Włam nie był nawet trudny technicznie, tylko czasochłonny i nielegalny. Nawet dziecko mogłoby wejść do tej mainframy.

Razz westchnęła bardziej ze zmęczenia niż z innych powodów i pociągnęła łyk Mighty Malt z wódką. Promieniowanie

1 $1 \leq i$

ekranu wysuszyło jej siatkówki, palce prawej dłoni bolały od RSI* w środkowym stawie. Mając szesnaście lat, zaczynała już odczuwać swój wiek.

Na łóżku walkwear Sony wyświetlał „odbiór wiadomości” na maleńkiej polimerowej diodzie, wbudowanej w prawą krawędź zdjętych zeissowskich okularów. Ekran Zeissa był staroświeckim wirtuałem, wysuwającym projekcję na jakieś trzynaście cali przed twarzą użytkownika. Razz nie mogła się przyzwyczaić do nowszych transparentnych Sharpa, dostarczanych w standardowym zestawie z walkwearerem. Działały doskonale, ale jej mózg nie chciał uwierzyć, że oczy mogą się skupić na polikrystalicznych silikonowych soczewkach oddalonych o niecałe mgnienie, a rezultatem były spektakularnie nieprzyjemne migreny.

I właściwie dobrze jej tak. Powinna już dawno załatwić sobie implanty BioSoftu, tylko że to nie było zwyczajnie nielegalne, nawet w tolerancyjnej Anglii, to było poważne przestępstwo karane więzieniem.

- Co? - zapytała walkweara.

Polimerowa dioda błysnęła, kiedy maszyna przełączyła się na głos, ale żaden dźwięk nie wydobył się z procesora. Zamiast tego zapaliła się następna dioda, kiedy software komunikacji ponownie skanował nadesłaną wiadomość.

- Ekranowany numer - oznajmił w końcu chip.

- To niech czeka.

Razz nie lubiła ekranowanych numerów. Uchwyty, ksywki i pseudonimy były w porządku. Wszyscy ich używali. Niektórzy z jej najbliższych przyjaciół działali bezimiennie ze ściśle neutralnych dołączeń, ale ekranowanie oznaczało ryzyko; nie tylko nie wiedziałeś, kto jest na drugim końcu, ale nie wiedziałeś nawet, gdzie jest ten drugi koniec...

* RSI (repetitive stress injury) - dolegliwości spowodowane wykonywaniem powtarzalnych czynności podczas pracy przy komputerze.

1ED

Razz nie ryzykowała bez potrzeby. Wcześniej wyrobiła swoją normę głupstw, teraz chciała się tylko ustatkować, załapać trochę kredytu, zrobić parę interesów, wyjść na swoje.

Lubiła północny Londyn, zwłaszcza wokół Farmy. Lubiła, kiedy jej starszawi sąsiedzi z Indii Zachodnich pomstowali głośno na azjatyckich sklepikarzy, którzy sprzedawali tylko przeterminowanego tuńczyka w puszkach. Zupełnie jakby mogli kupować jedzenie tak tanio, gdyby nie było przeterminowane albo nie spadło z ciężarówki.

Wśród takiego zepsucia Razz czuła się jak w domu.

W dodatku Londyn był przyjemnie powolny; niemal leniwy, jak już człowiek wyrwał się z centrum. Nie jak Moskwa. Dzięki Bogu. Nigdzie nie było jak w Moskwie.

Razz szczególnie spodobały się narkotyki, i zresztą nic dziwnego. Chociaż w połowie była czarną Sudafrkanką, druga połowa była rosyjska. A Rosjanie używali drągów tak, jak inni używają religii. Londyn był super: kiedy ktoś mówił, że ma prawdziwy marokański hasz, to nie wciskał kitu. Nawet nie sprzedawali chemicznych prawie-identyków, tylko oryginalny towar. Nie jak w domu, gdzie odjazdowe prochy jakiegoś czeczeńskiego spekulanta zwykle składały się wyłącznie z prasowanego błota.

Charlene była specjalistką. Czego nie potrafiła załatwić Charlene, tego nie warto było próbować. Jej facet był dawnym rastamanem i razem handlowali wyłącznie gandzią najwyższej jakości, pierwszorzędną marychą i wzmocnioną duńską trawką. Towar z klasą. Nie jak nieletni copees, którzy okupowali klatki schodowe i bramy Farmy, ukrywając pod językiem albo w majtkach kostkę owiniętą cynfolią. W wieku jedenastu czy dwunastu lat po prostu byli za młodzi, żeby ich przymknąć czy zrewidować; ale nie za młodzi, żeby zginąć w wojnach gangów albo z rąk nałoga na głodzie.

121

Charlene sama nie brała towaru. No, ale właściwie była już stara, miała obowiązki. Urodziła dziecko swojemu staremu i spodziewała się następnego.

Dzieciaki, bachory... To nie było .w stylu Razz. Chociaż lubiła swojego tatę. Najbardziej wtedy, kiedy wyciągnął ją z tego państwowego przytułku w Czechenii i zwiózł z nią do Moskwy starym cudzym poobijanym terenowym voivem. Anglia przyszła później, kiedy bracia mamy prawie go dogonili.

Tak czy owak był całkiem fajny, zwłaszcza w porównaniu z ojcami innych dzieciaków. Szkoda, że nie przeżył. Pocięli go na śmierć pewnej nocy w Soho przed trzema laty, kiedy Razz miała trzynaście lat, co wcale jej nie ułatwiło życia. Razz skrzywiła się i wysączyła resztki wódki. Zastanowiła się przelotnie, czy nie lyknać mocniejszego procha, ale zmieniła zdanie. I tak trudno jej było zachować trzeźwość myśli, kiedy zaczynała wspominać tatę.

Śmierć taty była drugą najgorszą rzeczą w jej życiu po tamtym domu. Trzecią najgorszą rzeczą był Mick Irlandczyk, który twierdził, że należy do najstarszych przyjaciół taty. Tata był ze szczepu Khosa z plemienia Bantu, mama urodziła się w Czecheńsko-Inguskiej ASRR w czasach, kiedy jeszcze to istniało. Teraz rodzinne miasto mamy było stolicą jakiejś oderwanej islamskiej republiki, a Razz należała do tłumu uchodźców zagubionych w chaosie północnego Londynu.

Camden, Manor House, Tottenham; dymek robił się coraz bardziej kolorowy, im dalej na północ, no i tańszy.

- Barwne. Kosmopolityczne. Idealne dla kogoś w twoim typie. Wiesz, o co mi chodzi? - w ten sposób Mick Irlandczyk po raz pierwszy opisał Razz ten wspaniały pusty dwudziesto-pięciopiętrowy blok mieszkalny na Farmie, inteligentny klucz tanio dla właściwej osoby. Siedzieli w przegrzonym parterowym pokoju Micka na ulicy za Stamford Hill, pełnej rozwalonych wiktoriańskich domów.

1 HE

Mick Irlandczyk nie mógł oderwać wzroku od małych piersi Razz. Wcale mu nie przeszkadzało, że jego własna rudowłosa, piegowata copee leży zwinięta na sofie w tym samym pokoju, ubrana w przyciasny czarny top z lycry i niewiele więcej.

Cycki copee rozpychały za mały stanik, zielone oczy pogardliwie omiatały Razz spod rzęs ciężkich od nadmiaru tuszu. Dziewczyna wyglądała na starszą od Razz, może na czternastolatkę, ale chyba nie miała tyle.

- Fatalnie wyszło z twoim tatą - powiedział Mick Irlandczyk.

Razz tylko przytaknęła. Przyjęła ofertę mieszkaniową Micka Irlandczyka - nie mogła sobie pozwolić na nic innego. Właściwie nie mogła sobie pozwolić również na ten pokój, ale życie na ulicach Moskwy nauczyło ją handlowania. Mick Irlandczyk wiedział, że nie miała na sprzedaż nic oprócz siebie, więc odebrał należność w naturze.

Miesiąc później Razz po raz pierwszy włamała się do policyjnej bazy danych w Siedmiu Siostrach, używając taniej kopii komputera Apple i plastikowego dziecięcego modemu. Wlepiała Mickowi Irlandczykowi cztery wyroki za handel i dwa za ciężkie uszkodzenie ciała. Na dobry fart dopisała jego nazwisko do listy podejrzanych, których należało zatrzymać i przesłuchać w sprawie zamordowania tajnego agenta z brygady narkotykowej. n Ciągle jeszcze siedział.

Jeżeli „barwny” znaczyło „tani”, trzynastoletniej Razz nie zabrakło czasu odkrycie, że przez „kosmopolityczny” Mick rozumiał „czarny”.

Co jej nie przeszkadzało.

Niedożywiona, niewyrośnięta Mulatka żadnym sposobem nie mogła się gładko wtopić w przytulną paranoję przedmieść. Nie ze swoją strzechą ciemnorudych wtosów, mahoniową skórą i ciężkim czecheńskim akcentem. Jedyna alternatywa to stać się przezroczystą, zamieszkać gdzieś, gdzie białe oczy będą patrzyły przez nią na wylot.

\
1EB

X

Więc tak zrobiła. Aż po latach jej akcent zmienił się na miejscowy zaśpiew z Indii Zachodnich, a ufarbowane na czarno włosy urosły dostatecznie, żeby zapleść je w kręte dredloki. Wtedy już miała własną sieć stałych klientów i dostawców, i wszystko szło gładko.

Przynajmniej do ostatniego miesiąca, kiedy odebrała wiadomość od narko-guru Johnniego T. Trafiała

na Johnniego w sieci parę lat wcześniej i utrzymywali luźny kontakt. Cholera, Razz nawet kiedyś wysurfowała dla niego dubeltówkę.

Johnnie handlował formułami prochów, każdym gównem od wirusowych wzmacniaczy po wizz na zamówienie, pod gwarancją dopasowany do indywidualnego wzoru DNA. Mówił, że ma przyjaciela w Asyżu, który rozmawia ze zwierzętami: Razz nie wiedziała, czy żartuje.

Formuły prochów od Johnniego z miejsca opylała Charlene. Materiały o sieci neuralnej, na które wymieniała się z John-niem, ściągала nielegalnie z Imperial College przez czarną lukę w bazie danych Magnus X.

Wszyscy byli zadowoleni, albo przynajmniej tak się wydawało, dopóki Johnnie nie zrzucił poczty do Razz, żeby ją ostrzec, że właśnie namierzyli jakiegoś zakreconego wolnego strzelca imieniem Alex, który gorączkowo ładuje się na ciemne brzegi Sieci i wypytuje o Razz po nazwisku. Czasami zawód hakera na zlecenie wcale nie oznaczał takich kokosów.

Niewiele czasu zajęło Razz odszukanie Alexa, który kręcił się na skraju berlińskiej Plaży Kaos. W jej opinii może był naprawdę wystrzałowym łowcą procesów, ale już po paru sekundach wiedziała, że jest dziewcziną w Czarnej Sieci, kompletnym amatorem.

Na początek podał Razz swoje prawdziwe nazwisko. A później wyklepał prosto z mostu, czego chce: pomocy w złamaniu zamknięcia okokamery CySatu. Razz chciała zwrócić mu uwagę, że jeśli CySat zakodował i zapieczętował kamerę, to

1 EU

pewnie mu zależy, żeby pozostała zamknięta, ale postanowiła oszczędzić sobie fadygi. Jeśli nie znał ryzyka, to jego problem.

Nie miała pojęcia, jak duży.

Wystarczyło jej jakieś trzydzieści sekund na przekonanie Alexa, żeby powiedział jej wszystko, co wie o zeissowskim okablowaniu neuralnym - czyli prawie nic - a potem zniknęła, zabierając wiedzę, ulotniła się bez śladu. Był tak niewinny, że dopiero po następnych pięciu minutach dotarło do niego, że Razz nie wróci.

Dał się nabrać.

Od tamtej pory Alex szukał jej usilnie, wręcz desperacko. Razz weszła on line zobaczyć, za jakie sznurki pociągał, i wbrew sobie była pod wrażeniem. Niewątpliwie Alex był zielony jako haker, za to jako łowca świadków był czarodziejem.

Tropił ją tak samo jak innych świadków, za pomocą inżynierii socjalnej wykrywał jedno słabe ogniwo po drugim - osaczał ją. Wiedział, jaki kraj, wiedział, jakie miasto. Niedługo będzie wiedział, jaka dzielnica, a potem - jaki blok mieszkalny.

Z westchnieniem Razz przypięła klawiaturę do nadgarstka, wzięła gogle Zeissa i powiedziała walkwearowi Sony, żeby przyjął, wiadomość. Przekaz od pana Tg był krótki - wręcz eliptyczny - ale nie szkodzi. Razz miała talent do szyfrów słownych. Chyba powinna się spotkać z pewną osobą, jeśli ten ktoś jeszcze żyje. Co wydawało się mało prawdopodobne.

Więc jeśli Razz jest zainteresowana, powinna się pospieszyć.

Razz była zainteresowana... i posłuchała rady. Ściągnęła koszulkę Versacego i przebrała się w szmaty i amulety ulicznej naciągaczki, wiedząc z chłodną pewnością doświadczenia, że w tym stroju stanie się niewidzialna. Nie ma jak ubogi wygląd, żeby ludzie przestali cię zauważać.

IL,. Retusz miejsi

Różaniec dogonił Alexa, kiedy łowca procesów skręcił w prawo w Oxford Street i brnął ciężko jak pijak przez skłębiony tłum spływający w dół do metra.

Na skraju tego tłumy pięciu czy sześciu mężczyzn usilnie próbowało wtopić się w otoczenie, z fatalnym skutkiem...

Różaniec zaklął po łacinie, cicho i zjadliwie.

Najpierw Alex. Teraz wyprzedza go ta banda. Istne popołudnie amatora, cholera. Z postawionymi kołnierzami, niezdarnie zakrywającymi zewnętrzne laryngofony, równie dobrze mogli wymachiwać transparentami z napisem POLICJA.

Identyczne tlenione krótkie fryzury i standardowe gogle raybany identyfikowały ich jako tajniaków,

cholernie zadowolonych, że poszczęściło im się z Alexem. Widocznie ktoś w Anglii postanowił dopilnować, żeby CySat odzyskał swoje dowody. A może nie. Może chcieli je zatrzymać dla siebie. Różaniec pozwolił sobie na wybuch wściekłości, podczas gdy jego umysł chłodno rozważał szanse i zaczynał planować dywersję.

Nie zwalniając kroku, Różaniec błyskawicznie sięgnął ręką ku twarzy ślicznej szwedzkiej dziewczynki, dźwigającej w ramionach torby z zakupami. Monomolekularne ceramiczne ostrze rozcięło ciało i nagle czerwień chlusnęła na spódniczkę

1 EE

i koszulkę. Cała piątka gliniarzy zamarła, kiedy matka dziewczynki wrzasnęła. Potem porzucili kamuflaż, spanikowani jak bydło w rzeźni.

Jeden usiłował zatamować sikającą krew, wrzeszcząc do mikrofonu po karetkę, a pozostali próbowali wyluskać świadków z otaczającego ich tłumu wstrząśniętych, przerażonych turystów. Ale nie znajdują żadnych świadków. Różaniec był zbyt dobrym zawodowcem. Szybkie ciach! po gardle dziewczynki japońskim nożem grawitacyjnym i zanim upadła na chodnik, on już oddalił się o dziesięć kroków.

Kiedy wreszcie Alex obejrzał się, żeby sprawdzić przyczynę zamieszania, wszyscy oprócz Różańca patrzyli w drugą stronę.

Pojedynczy odmierzony cios obciążoną rękojeścią noża i Alex z przymkniętymi oczami zatoczył się na ścianę pubu. Różaniec spokojnie wziął niedopitą szklankę z opuszczonego stolika na chodniku i oblat ciepłym piwem koszulkę Alexa. Potem wezwał czarną automatyczną taksówkę i polecił, żeby zawiozła go wraz z pijanym przyjacielem w pobliże nowego kompleksu miejskiego ratusza, przed dworzec Waterloo.

•
Gdzie Różaniec dokończył zadania.

To była dobra robota.

Wręcz artystyczna.

To prawda, zaśmiecony parking zastawiony koparkami i pospiesznie upchniętymi dżipami nie stanowił zbyt eleganckiej scenerii, ale czasami w śmierci, jak i w życiu, trzeba chwycić każdą fotograficzną okazję. A jakaż publiczność nie zachwyci się połączeniem poszarpanego ogrodzenia, droida JCB i niedawno ukrzyżowanego ciała?

Różaniec szeroko otworzył szare oczy i próbował spojrzeć na tę scenę świeżym wzrokiem.

127

Boże, nawet zdjąłby dla nich w tle gmach Parlamentu i Big Bena na drugim brzegu Tamizy. Nie mówiąc o aktualnych walorach medialnych, z tym polimerowym i ferro-marmurowym kompleksem miejskiego ratusza, który wznosił się w swej obojętnej posthumanitarnej brutalności po drugiej stronie ogrodzenia parkingu.

Jego artyzm będzie główną atrakcją-jutrzejszych wiadomości.

Gwałty na zwierzętach, seryjne okaleczenia, dziecięca prostytutka - na dobrą sprawę w Londynie niczego nie brakowało. Ale nawet tutaj ukrzyżowanie miało posmak nowości. A nowość, twarda czy miękka, stanowiła podstawowy żer dla mediów.

Ponad siedem tysięcy pirackich stacji krzyżowało częstotliwości i wypalało londyński eter, ich ostre programy stanowiły antidotum na wykastrowaną anodynową wizję świata CySatu. Do wieczora historia ukrzyżowania Alexa zostanie przełożona na dub reggae, rai, zouk i dziesięć innych stylów, istniejących zbyt krótko, żeby otrzymać własne nazwy.

Wszystkie przenośne pudła i odtwarzacze w hoverach będą wypluwały szczegóły śmierci Alexa dla tych, którzy nie umieją czytać albo nie mają na gazety, którzy nie znają angielskiego albo na co dzień posługują się gwarą uliczną.

Elektroniczne plotki - czad i odjazd.

Za życia Alex Gibson był tylko kolejnym samodzielnym łowcą procesów, wyszukującym gorące dowody. Ale po śmierci stanie się sławny. Główna wiadomość dnia. Na wszelki wypadek Różaniec wyciągnął spod płaszcza miniaturową zeissowską holokamerę, uspokoił drżące palce i nakręcił krótką trójwymiarową cyfrową sekwencję.

Krew prawie całkowicie pokryta udreńczoną twarz mężczyzny, ale każdy widz będzie miał ogólne pojęcie. Ból, podobnie jak głód, dobrze wychodził na fotografiach.

W górze na wysokiej orbicie, wśród wirującego pierścienia kosmicznych śmieci, zawierających odrzucone człony amery-

12B

kańskich rakiet i wybrakowanego sowieckiego satelitę ostatniej generacji, który potrafił jeszcze odczytać gazetowe nagłówki, gdyby komuś chciało się próbować, tkwił nowy, znacznie bardziej zaawansowany technicznie europejski satelita IntraPol Comms.

Różaniec wklepał koordynaty na zeissowskiej klawiaturze i wykonał wysoce nielegalny przeskok z satelity, zawieszzonego nad miastem na stałej geosynchronicznej orbicie, prosto do jednej z czasz CySatu w Wapping.

Potrzebował wręcz chorobliwego zainteresowania ze strony Netu i CySatu, co zagwarantował sobie, używając tego konkretnego satelity... Więc miał już zdjęcie „przedtem” - „potem” będzie gotowe za parę minut.

Przymrużonymi oczami Różaniec zmierzył swoje nędzne otoczenie. Porozrzucane czarne torby z odpadkami, butwiejące skrzynie i przedpotopowy wypalony wrak forda jeepstera zaśmiecały najpopularniejszy niegdyś publiczny park Londynu. Lecz przynajmniej raz degradacja nie budziła w nim odrazy. Wiedział, jak stosowne i wstrząsające wrażenie wywiera urbanistyczna pustynia. Nie wybrał tego miejsca przypadkowo. Okiem artysty potrafił ocenić idealną scenerię.

Czas zakończyć robotę, odebrać to, co Alex Gibson ukradł swojemu panu - informacje, sekrety.

Słodkie jak czekolada i równie mdłące, wszystko, co dobre, musi się skończyć, nawet śmierć.

Skurcze głodu szarpały już wnętrzności Różańca, chociaż poprzednie doświadczenia ostrzegły go, że zwykłe jedzenie nie x wypełni tej próżni. Podobnie jak wymioty nigdy nie uwolnią go od mdłości, które wkrótce zaczną skrećać jego chude, żylaste ciało.

Jeszcze raz spróbował przedłużyć swoją radość, bardziej niż mógł sobie pozwolić. Potrzebował ciemności, snu i niezbyt chętniej kobiety. Albo młodego chłopca - jedno czy drugie nada się równie dobrze.

Prychnąwszy z niesmakiem pod własnym adresem, Różaniec sięgnął do kieszeni płaszcza. Inhalator pomógł, bo wdmuchnął mu głęboko do gardła kokainę zmieszaną z czystym tlenem. Chociaż ręce dalej trzęsły mu się gwałtownie, kiedy wsuwał inhalator z powrotem do kieszeni.

Wciąż zdenerwowany Różaniec kopnął Alexa w kolano i roztrzaskał mu rękę obciążonym obcasem ręcznie szytego buta. A potem nagle uśmiechnął się, przypominając sobie, skąd ma te buty.

Ręcznie uszyte ze skóry kozłęcia, stanowiły dzieło sztuki, absolutnie niepowtarzalne. Między innymi dlatego, że Różaniec poderżnął gardło szewcowi zaraz po ukończeniu roboty.

Różaniec, rzecz jasna, pojechał do Stambułu właśnie' po to, żeby poderżnąć gardło temu człowiekowi. Odłożenie morderstwa na tydzień, kiedy nieświadoma ofiara trudziła się nad swoim ostatnim arcydziełem, zaspokoilo poczucie ironii Różańca. Chociaż sam Pablo Jemel chyba nie doceniłby żartu, gdyby miał taką szansę...

Oczywiście „Różaniec” to nie było prawdziwe nazwisko pana Różańca, podobnie jak emerytowany morderca, którego miał zabić, naprawdę wcale nie nazywał się Pablo Jemel. Ale pan Różaniec lubił myśleć o sobie jako o „Różańcu”. Taką przybrał tożsamość. Zabójcze narzędzie, wyszlifowane do białości jak suche szkielety na pustyni.

Wielkie nieszczęście długiego i coraz bardziej nużącego życia pana Różańca polegało na tym, że chociaż każdego kolejnego zabójstwa dokonywał z większym kunsztem niż poprzedniego, praca przestała go cieszyć. Świadomość tego otworzyła przed nim pustkę, którą tylko Książę rozumiał. Pomimo całej subtelności dotyku i bogactwa wyobraźni, Różaniec nie miał żadnych artystycznych talentów poza śmiercią. Nie miał powołania.

1

Dlatego też od wczesnych lat zmuszony był sprzedawać swoje nieliczne proste umiejętności.

Zasnurował wąskie wargi, wciągnął powietrze przez zęby, białe ceramiczne implanty wzmocnione niewidoczną krystaliczną matrycą białego tytanu.

Pewnego razu, dawno temu na Bahamach, posłużył się tymi zębami, żeby przegryźć gardło dziecku, ponieważ ochroniarze dziecka rozebrali Różańca do naga i nie tylko zabrali mu garotę, ale również znaleźli i wyjęli ceramiczny shaoliński kolec, który ukrywał w odbycie.

Oczywiście nie było winą czteroletniego chłopczyka, że odziedziczył większość udziałów szwajcarskiej firmy farmaceutycznej. To była wina dziadka, który nie zapewnił wnuczce należytej ochrony. Niestety staruszek został zamordowany na rozkaz swojej marnotrawnej synowej, zanim zdążył włączyć do testamentu klauzulę bezpieczeństwa.

Więc prawnicy reprezentujący ojca chłopca wezwali pana Różańca. Sprawa sprowadzała się do pełnomocnictwa, ponieważ sam ojciec przebywał pod kluczem w marokańskiej klinice na odwyku od koki.

Skoro dziadek i córka już nie żyli, wystarczyło usunąć dziecko, żeby prawnicy ojca w Bernie zatrzymali swoje nadzwyczaj lukratywne konto. Oczywiście gdyby matka dziecka nie zatrudniła nowojorskiego prawnika, który chciał przenieść konto, żadna akcja nie byłaby potrzebna. No, ale interes to interes.

Na zawsze zmieniło życie Różańca odkrycie, że super-bogacze chętnie płacą za zemstę i nawet nie muszą rozważać legalnych aspektów ani liczyć się z kosztami.

W ciągu pięciu znieczulających lat tej świadomości dzieciak z barrio nauczył się nosić garnitur, pić białe wino, dawać napiwki kelnerom - dokładnie wpasował się w korporacyjną kulturę. Następne pięć lat zabrało mu wykombinowanie, jak zmusić korporacyjne walory, żeby na niego pracowały, co obecnie

1

przyjmował za naturalne. Ponadto zdobył tytuł magistra ekonomii z Harvarda, członkostwo Ivy League, linie kredytowe oraz, co najważniejsze, listę pięciu nazwisk - dyrektorów, polityków, urzędników tak wpływowych, że prawo omijało ich szerokim łukiem. Oni byli jego klientami, on - ich jedyną prawdziwą słabostką.

Byle tani chuligan z barrio mógł popełnić morderstwo, ale Różaniec wzbogacał każdą karę własną wyobraźnią i miał bardzo realistyczne wyczucie właściwych środków wyrazu. A klienci to uwielbiali. To byli prawdziwi koneserzy, kolekcjonerzy sztuki, założyciele dynastii medialnych. I dobrze się składało, ponieważ za honoraria Różańca można było kupić Rothkę, Hockneya albo Warhola ze środkowego okresu.

Oczywiście śmierć, nawet rozpustnie barokowa, nie zawsze stanowiła najlepsze rozwiązanie. Czasami bardziej okrutną karą było życie w beznadziejnym, bezradnym strachu. Chociaż Różaniec najwyżej cenił sobie ten krótkotrwały, zbyt szybko przemijający stan pośredni, kiedy życie powoli osuwa się w śmierć - jak teraz...

Różaniec wiedział, że jego tłusta wytupiastooka ofiara próbowała krzyczeć; z jakiego innego powodu żyły tak mocno wystąpiły na grubej szyi? Niestety nie mogła wydawać żadnych dźwięków. Dopilnowała tego nasączona glikolem szmata wepchnięta do gardła, która zredukowała mękę Alexa do ponawianych, lecz bezgłośnych ataków dławienia.

Różańcowi szczególnie podobała się ta szmata.

Niesamowite improwizacje to było to. Nikt nigdy nie mógł zarzucić Różańcowi ograniczenia do klasycznych pomysłów, kiedy chodziło o dekoracyjne szczegóły wykończenia.

Gdyby Alex miał możliwość błagania, z pewnością prosiłby o wyjęcie object trouvé, który go dusił tak, że krew zbierała mu się w gardle. Ale, jak już mu wypomniał Różaniec, jego pan mocno wierzył, że ludzie powinni pilnować własnych interesów.

1 BE

Niewidzialność stanowiła bardzo kosztowny sekret i Książę chciał, żeby tak zostało. Alex głupio zrobił, że wkręcił się do więzienia na rozmowę z francuskim trampedem. Ale największe głupstwo popełnił, kiedy nakręcił okokamerą zeznania trampa o „niewidzialnym duchu-mordercy” - a potem zwiął z dowodami.

Różaniec nie wątpił, że Alex zaprzeczyłby stanowczo, może nawet twierdziłby, że działał w interesie publicznym. Niestety jednak nie mógł protestować, nie z tłustymi ramionami wykręconymi na boki i ze stalowymi ośmiocalowymi gwoździemi polakierowanymi enzymami,

które przyszpilały jego dłonie do ciężkich drewnianych drzwi szopy.

Krew kapiała leniwie z rozbitych warg ofiary i krzepła na brodzie w długich lepkich strużkach, jak roztopiony wosk ze świecy wetkniętej w butelkę po winie. Pomysłowe, ale to jeszcze nic.

Różaniec cofnął się trochę i zastanawiał się nad swoim zadaniem. Nie wykonał tego ukrzyżowania na zamówienie klienta żadnego zemsty. Żadne pieniądze nie wpłyną na konto Różańca w Zurychu, żadna informacja nie dotrze do jego zakodowanej skrzynki w pewnym bezimiennym kolumbijskim rajach danych.

Zabicie Alexa stanowiło akt posłuszeństwa wobec Księcia. Coś, co zdziwiłoby jego zwykłych klientów, którzy nic nie wiedzieli o księciu Sabatinim i sądzili, że na orbicie czystego, wykalkulowanego zła Różaniec zawsze działa w pojedynkę.

Dla nich sam pomysł, że Różaniec ma pana, równał się sugestii, że Szatan abdykował z piekielnego tronu. A jednak taka była prawda. Została jeszcze na świecie jedna osoba, przed którą Różaniec dobrowolnie skłaniał głowę. Akceptacja tego faktu dała mu powód do życia.

A ten żalony łowca procesów obraził Księcia. Nie, jeszcze gorzej, wręcz go zdenerwował.

Różaniec miał za zadanie odebrać to, czego Alex w ogóle nie powinien posiadać - zeznanie trampa.

133

<r_m

Niewidzialność stanowiła bardzo kosztowny sekret i Księżę chciał, żeby tak zostało. Alex głupio zrobił, że wkręcił się do więzienia na rozmowę z francuskim trampem. Ale największe głupstwo popełnił, kiedy nakręcił okokamerą zeznania trampa o „niewidzialnym duchu-mordercy” - a potem zwiął z dowodami.

Różaniec nie wątpił, że Alex zaprzeczyłby stanowczo, może nawet twierdziłby, że działał w interesie publicznym. Niestety jednak nie mógł protestować, nie z tłustymi ramionami wykręconymi na boki i ze stalowymi ośmiocalowymi gwoździami polakierowanymi enzymami, które przyszpilały jego dłonie do ciężkich drewnianych drzwi szopy.

Krew kapiała leniwie z rozbitych warg ofiary i krzepła na brodzie w długich lepkich strużkach, jak roztopiony wosk ze świecy wetkniętej w butelkę po winie. Pomysłowe, ale to jeszcze nic.

Różaniec cofnął się trochę i zastanawiał się nad swoim zadaniem. Nie wykonał tego ukrzyżowania na zamówienie klienta żadnego zemsty. Żadne pieniądze nie wpłyną na konto Różańca w Zurychu, żadna informacja nie dotrze do jego zakodowanej skrzynki w pewnym bezimiennym kolumbijskim rajach danych.

Zabicie Alexa stanowiło akt posłuszeństwa wobec Księcia. Coś, co zdziwiłoby jego zwykłych klientów, którzy nic nie wiedzieli o księciu Sabatinim i sądzili, że na orbicie czystego, wykalkulowanego zła Różaniec zawsze działa w pojedynkę.

Dla nich sam pomysł, że Różaniec ma pana, równał się sugestii, że Szatan abdykował z piekielnego tronu. A jednak taka była prawda. Została jeszcze na świecie jedna osoba, przed którą Różaniec dobrowolnie skłaniał głowę. Akceptacja tego faktu dała mu powód do życia.

A ten żalony łowca procesów obraził Księcia. Nie, jeszcze gorzej, wręcz go zdenerwował.

Różaniec miał za zadanie odebrać to, czego Alex w ogóle nie powinien posiadać - zeznanie trampa.

133

Podszedł do nagiego ciała, które wisiało tłuste i sflaczałe na drewnianych drzwiach - głowa opuszczona, genitalia skurczone ze strachu - jednym ruchem otworzył laserowy skalpel i wykonał szybkie cięcie wokół czarnej szklanej soczewki lewego oka Alexa.

Braunowskie ostrze wzmocnionych fotonów przepaliło skórę i siatkę mięśni, wykroiło sferyczną soczewkę i jej chip z lewego oczodołu Alexa. Różaniec włożył oko do kieszeni, nachylił się i grzebał palcami w krwawej mazi, dopóki nie wymacał małej czarnej kostki danych, przyłączonej do gniazda z boku głowy Alexa. Ciało ofiary wygięło się w łuk, kiedy Różaniec wyrwał kostkę. Rozszedł się ohydny smród, kiedy zwieracz mężczyzny rozluźnił się i zawartość kiszki stolcowej wypłynęła na ziemię wokół jego okaleczonych stóp.

Pora złapać następną trójwymiarową sekwencję. Różaniec kiwnął głową. Tylko tego potrzebował, trochę zwykłego, staroświeckiego gówna, żeby dopełnić dzieła.

W drodze do wyjścia Różaniec natrafił na uśmiech losu, niespodziewaną dodatkową premię,

stanowiącą ukoronowanie dnia. Coś, co wziął za skrobanie szczura za wypalonym daihatsu, okazało się ulicznym dzieciakiem ukrytym wśród wysokiej szorstkiej trawy rosnącej pod płotem. Fatalnie dla niej, że ostatnio znowu wzmocnił sobie słuch.

Podniosła na Różańca ogromne czarne oczy, rozszerzone od szoku i szkliste od tanich narkotyków. Niekontrolowane drgawki wstrząsające jej niedożywionym ciałem świadczyły, że zobaczyła więcej, niż mogło jej wyjść na dobre - albo jemu.

Kuliła się obok nędznej nory, wykopanej w ziemi i wyłożonej pasami włókna szklanego oddartego z płotu. Cała konstrukcja była przykryta upstrzonym plamami słońca polietylenem, obciążonym na brzegach kamieniami i półcegłówkami. Sze-

13L,

rokie kości policzkowe dziewczyny, dtugie brudne dredloki i głęboki brąz skóry świadczyły o mieszanej krwi.

Wyglądała na azylantkę.

Zmierzył ją wzrokiem, jego twarde szare oczy z miażdżącą pogardą zauważyły pęczek tanich celtyckich krzyży, egipskich amuletów i hologramowych paciorków na rzemykach otaczających chudą szyję dziewczyny. Jeśli liczyła na ich ochronę, to miała pecha.

Kopnął ją, a potem, kiedy próbowała się podnieść, znowu mocno walnął ją butem, zanim zdążyła się wyprostować. Skomląc z przerażenia, dziewczyna zwinęła się w ciasny kłębek, akurat odpowiedni do zabicia.

Z lekkim uśmiechem Różaniec ukląkł naddrżającym ciałem i szybkim ruchem rozłożył brzytwę o rękojeści wykładanej masą perłową. Nie zamierzał marnować laserowo-światłistej elegancji Brauna. Pewnie nawet by jej nie rozpoznała. Lekko przyłożył lśniąca brzytwę do pulsującego gardła dziewczyny w ten sposób, żeby popołudniowe słońce odbijało się w ostrzu, które przesuwiał delikatnie po brązowej skórze, aż kropelki krwi zabłyśły wokół szyi jak koraliki.

Potem przemówił głosem miękkim jak aksamit:

- Spójrz na mnie.

Dziewczyna daremnie próbowała powstrzymać się od płaczu.

Więc Różaniec chwycił ją, mocno wczepił długie eleganckie palce w jej gęste ciemne włosy i szarpnięciem podniósł ją na kolana. Ostrze brzytwy drasnęło jej napięte gardło.

Zapadło długie milczenie, aż wreszcie skamieniała dziewczyna najpierw przestała szlochać, a potem opornie otwarła przerażone oczy.

- Tak lepiej - orzekł Różaniec. - Nie zamierzam cię zabić. To obietnica. Rozumiesz?

Dziewczyna przytaknęła nerwowo.

135

- Dobrze. Skoro to sobie wyjaśniliśmy... - Drugą ręką odnalazł gruby bawełniany ściągacz w wycięciu jej bluzy, wiszącej na niej jak namiot.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Ja... ee... R... Razz.

Pewnie podała fałszywe imię, ale to bez znaczenia. Każdy powinien mieć co najmniej jedno fałszywe imię. Różaniec miał dziesiątki.

Zacisnął palce na wycięciu bluzy i pociągnął. Zbutwiały od potu materiał rozdarł się równo, kiedy Różaniec szarpnął struchlałą dziewczynę do siebie. Bez namysłu odepchnął ją i kiedy znowu wybuchnęła płaczem, dokładnie obejrzał jej ciało.

Szesnaście, może siedemnaście lat... trudno ocenić z powodu niedożywienia i mieszanej krwi.

Miała na lewym biodrze hakerskie oparzenie, a przez jej prawe ramię biegła jak zamek błyskawiczny ciemna blizna po starej ranie od noża.

- Rozbieraj się - polecił i delikatnie zahaczył brzytwę w nozdrzu dziewczyny, żeby nie miała wątpliwości co do alternatywy.

Nie nosiła nic pod podartymi lewisami i nie miała skarpetek na stopach tkwiących w tanich koreańskich tenisówkach. Wystarczyło jej kilka sekund, żeby zsunąć podarte dzinsy i przykucnąć z drzeniem u stop Różańca.

Nawet naga, z ubraniem rzuconym na kupkę za plecami, wydzielala kwaśny odór brudu, zmieszany

z nową wonią narastającego strachu.

Nadawała się.

Strzelił palcami, a ona podniosła się niezgrabnie i stanęła przed nim ze spuszczoną głową, zasłaniając piersi skrzyżowanymi ramionami.

- Nałóż to - rozkazał Różaniec i ruchem ramion zrzucił oryginalne astrachańskie futro, warte 350 000 kredytów - zdarte z prawdziwych kozich embrionów, nie wyhodowane na 13E

- Dobrze. Skoro to sobie wyjaśniliśmy... - Drugą ręką odnalazł gruby bawełniany ściągacz w wycięciu jej bluzy, wiszącej na niej jak namiot.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Ja... ee... R... Razz.

Pewnie podała fałszywe imię, ale to bez znaczenia. Każdy powinien mieć co najmniej jedno fałszywe imię. Różaniec miał dziesiątki.

Zacisnął palce na wycięciu bluzy i pociągnął. Zbutwiały od potu materiał rozdart się równo, kiedy Różaniec szarpnął struchlałą dziewczynę do siebie. Bez namysłu odepchnął ją i kiedy znowu wybuchnęła płaczem, dokładnie obejrzał jej ciało.

Szesnaście, może siedemnaście lat... trudno ocenić z powodu niedożywienia i mieszanej krwi.

Miała na lewym biodrze hakarskie oparzenie, a przez jej prawe ramię biegła jak zamek błyskawiczny ciemna blizna po starej ranie od noża.

- Rozbieraj się - polecił i delikatnie zahaczył brzytwę w nozdrzu dziewczyny, żeby nie miała wątpliwości co do alternatywy.

Nie nosiła nic pod podartymi lewisami i nie miała skarpetek na stopach tkwiących w tanich koreańskich tenisówkach. Wystarczyło jej kilka sekund, żeby zsunąć podarte dżinsy i przykucnąć z drzeniem u stop Różańca.

Nawet naga, z ubraniem rzuconym na kupkę za plecami, wydzielala kwaśny odór brudu, zmieszany z nową wonią narastającego strachu.

Nadawała się.

Strzelił palcami, a ona podniosła się niezgrabnie i stanęła przed nim ze spuszczoną głową, zasłaniając piersi skrzyżowanymi ramionami.

- Nałóż to - rozkazał Różaniec i ruchem ramion zrzucił oryginalne astrachańskie futro, warte 350 000 kredytów - zdarte z prawdziwych kozich embrionów, nie wyhodowane na

E

blokach kolagenu. Kosztowało więcej, niż ona zarobi przez całe życie. Ta myśl sprawiła mu przyjemność.

Hover daimler Różańca był zaparkowany w wąskiej bocznej uliczce, na tyłach wielkiego opuszczonego dworca kolejowego. W sumie droga powrotna zabrała im dwadzieścia minut, przez duszne tunele i rozpalone boczne uliczki. Lecz nawet kiedy mijali szalasy sklecone z tektury na brudnych, zaśmieconych peronach dworca Waterloo, żaden włóczęga nie spojrzął na nich po raz drugi. Taki wpływ na ludzi wywierał Różaniec.

Rzucił paczuszkę taniej koki ulicznikowi pilnującemu daim-lera, a po namyśle oddał mu amulety i talizmany z szyi młodej kobiety.

Nie będzie ich potrzebowała tam, dokąd pojedą.

Przytłoczona przez ciężkie fałdy astrachańskiego futra, Razz przycupnęła na skórzanym fotelu pasażera, ciasno oplotła chudymi ramionami kolana pokryte skorupą brudu, mocno ścisnęła w dłoni mały pakiecik wizzu.

Nawet przy nastawionej na full superwydajnej niemieckiej klimatyzacji hovera pot ciągle zalewał ciemne oczy Razz. Zagadką było dla niej, jakim cudem Różaniec wytrzymał w takim futrze podczas upalnego lata.

Ale co mogła poradzić? Nie mogła podróżować nago, zresztą-bywała już w gorszych sytuacjach.

Przynajmniej zdążyła skasować i wyrzucić swój rdzeń danych. Więc nikt jej nie udowodni, że nie trafiła tutaj przez przypadek. I żyła, czego nie mogła powiedzieć o Angliku, który o nią wypytywał. Kiedy Różaniec zatrzymał wielkiego daimlera przed blokadą drogową na podjeździe do tunelu La

Manche, dziewczyna tylko uśmiechnęła się do policji wielkimi, szklistymi od prochów oczami. Wyczerpanie, szok i amfetaminowe drgawki przytępiły jej system nerwowy tak skutecznie, że nawet nie przyszło jej do głowy, żeby zawołać o pomoc.

137

Oficer zajrzał do środka, zobaczył młodą czarną dziewczynę i zaklął pod nosem. Ale Różaniec tylko mignął mu jakimś oficjalnym laminatem i włączył dopalacz, więc oficer pospiesznie odstąpił do tyłu.

W tunelu daimler automatycznie przełączył się na soft drogowy i jechał samodzielnie. Sensory na przednim zderzaku odczytywały węzły koordynacyjne osadzone w jezdni i natychmiast aktualizowały szybkość, lokalizację i warunki jazdy w pamięci operacyjnej samochodu.

- I co teraz będzie? - zapytała spokojnie dziewczyna, kiedy chłodny, pokreślony świetłówkami mrok tunelu ustąpił przed płaskim francuskim krajobrazem, spieczonym niemal na brąz w popołudniowym słońcu.

- Wykapiesz się - powiedział Różaniec. - A potem... - uśmiechnął się ponuro, jego szare oczy były twarde jak diamenty. - Zacznę cię uczyć twoich nowych obowiązków.

Zanim daimler dotarł do przedmieść Paryża, gdzie Różaniec wyłączył soft drogowy i przestawił hovera na kierowanie ręczne, jego plan zaczął dojrzewać. Chociaż on sam jeszcze tego nie wiedział. Z jedną ręką na kierownicy, a drugą wciśniętą brutalnie pomiędzy drżące uda dziewczyny, myślał o innych rzeczach.

Nie zdawał sobie sprawy, że amerykański łodziarz nazwiskiem Mayer dopilnuje, żeby zdjęcia Gibsona „przedtem” i „potem” nigdy nie opuściły sali montażowej CySatu. Że w żadnym razie ukrzyżowane ciało Alexa Gibsona nie zostanie odnalezione. Że właśnie popełnił największy błąd swojego życia.

Oferta sieciowa na Alexa Gibsona ukazała się tego samego wieczoru, wkrótce po wiadomościach C3N, o dziewiątej czasu londyńskiego.

Wiadomościach, w których pokazano dwa tysiące sportowców na uroczystości zamknięcia Igrzysk Olimpijskich w Syd-

ney, reportaż z Moskwy o zreformowanej Dumie i ostatnie migawki z trójstronnej wojny domowej w Sudanie, lecz ani słowem nie wspomniano o mężczyźnie ukrzyżowanym w pobliżu nowego londyńskiego ratusza.

Oferta Gibsona, jak ją nazwano, wystana z podpisem doktora Makai, była dostatecznie prosta i jasna, żeby wiadomość

0 niej rozeszła się po Czarnej Sieci niczym nowy wirus. Ogłoszono zakontraktowaną fatwę przeciwko ciężko rannemu angielskiemu łowcy procesów nazwiskiem Alex Gibson. Każdy potwierdzony zamiar na Anglika zostanie wynagrodzony informacjami równej wartości.

Nawet martwy był wart więcej, niż większość dżokejów mogła wyhaczyć przez rok, ale udowodnij, że facet żyje,

1 zarobisz dziesięć razy więcej. Podaj jego miejsce pobytu i możesz dyktować cenę, w informacjach albo kredycie.

Różaniec protestował, że nigdy nie poniósł porażki, że fatwa do niczego nie doprowadzi. Alex Gibson bez wątpienia już nie żył.

Tylko lojalność i pierwsze słabe ukłucia strachu powstrzymały go od pokazania Księżciu, jak bardzo nie lubi kwestionowania własnej kompetencji. Ale jego sprzeciwy nic nie znaczyły. Owszem, zdobył okokamerę Zeissa, ale ukrzyżowanie stanowiło również ostrzeżenie Księcia dla wścibskich natrętów, a teraz to ostrzeżenie nie dotrze do nikogo.

Co gorsza, jeżeli Alex Gibson jeszcze żyje, byle neuro-mechanik może wydobyć z niego niekoniecznie sam wywiad, ale przynajmniej wspomnienia o wywiadzie. Jasne, taka procedura przypuszczalnie zabije Alexa Gibsona, ale tym nikt nie zamierzał się martwić.

Nie: Różaniec w jakiś sposób zawiódł i Księżę o tym wiedział.

Różaniec pozostanie jego sługą, wciąż przydatny, zawsze groźny - lecz nigdy więcej pan nie obdarzy go całkowitym zaufaniem. Razz miała pecha, że była z Różańcem, kiedy to zrozumiał...

1 5. Haff Schrodningara

Bauhausowskie krzesło skrzyknęło lekko pod ciężarem lady Clare, nawet tak niewielkim. Krzesło było oryginalne, bardziej dekoracja niż sprzęt użytkowy.

Patrzyła, jak mały czarny kociak imieniem Chi ostrożnie wybiera drogę pomiędzy na wpół opróżnionym kieliszkiem wina z Bohemii a świeżo otwartą butelką Mumma Cuvée Napa. Chi przystanął, żeby powąchać hydroponiczne oliwki z czosnkiem w miseczce obok ciemnozielonej butelki, z obrzydzeniem otrząsnął wąski grzbiet i kichnął głośno.

Clare parsknęła śmiechem.

Skórzane buty z ostrogami na nogach jej gościa, arogancko zarzucone na brzeg conranowskiego stołu, który służył Clare za biurko, zagroziły drogę kotu, ale Chi nawet się nie zawahał. Śmiało przeszedł na wyłot przez oba obcasy.

Makai uśmiechnął się i podniósł kieliszek w toaście do kota. „Pił” z holograficznej wysokiej szampanki, którą napełniał z identycznej, lecz całkowicie iluzorycznej butelki.

Różnica polegała na tym, że Clare widziała Makaiego w całej krzykliwej chwale nowojorskiego kowboja. Nie miała pewności, czy Chi w ogóle dostrzegał gościa. Jeśli kociak wiedział o Makaim, niczym tego nie okazywał. Może miał zbyt dobry gust.

1 UD

Życie zmieniało się na lepsze; po pierwsze, Clare uniknęła śmierci.

Nadal lekliwie oglądała się przez ramię za każdym razem, kiedy wychodziła z domu; nie mogła uwierzyć, że Basen nie wysłał za nią jakiegoś owiniętego w plastique ulicznego samuraja. Ale w ostatnim tygodniu zaczęła sypiać, a od kilku dni mogła nawet przełknąć miskę shiuki z makaronem i nie zwymiotować natychmiast.

Częścią umysłu Clare wiedziała, że zanadto polega na Makaim, ale przywykła do tego wytrzeszczającego oczy, szybko mówiącego nastolatka i zaczynała za nim tęsknić, jeśli nie towarzyszył jej niewidzialnie. Nie znaczyło to jednak, że mu ufa, czymkolwiek był...

Minęły dwa tygodnie, odkąd pożegnała Szczurka i Winstona w drzwiach poczekalni dla VIP-ów na Gatwick, z danymi Gibsona bezpiecznie schowanymi w torebce. I pięć dni, odkąd Makai nakłonił ją, żeby obejrzała swoje nowe biuro, dyskretnie ukryte wśród ciemnych, krętych uliczek starej żydowskiej dzielnicy Marais, na północ od Sekwany.

Clare dokładnie wiedziała, czego się spodziewać po paru-setletnim instytucie, założonym na mocy cesarskiego edyktu dla studiowania zjawisk paranormalnych. Kilka zapuszczonych pokoików w odrapanym budynku Inns of Court, zapewne wykładanych tanim klonowanym dębem i rzędami rozsypujących się w kurz starożytnych drukowanych powieści, z rodzaju kupowanego przez dekoratorów do wytapetowania gabinetów trzeciego pokolenia handlarzy kokainą.

Lecz rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Chociaż początkowo Clare o tym nie wiedziała, ponieważ kiedy po raz pierwszy odwiedziła swoje biuro, była zbyt zajęta zwalczaniem mdłości, żeby przejść przez bramę. Co więcej, nie potrzebowała nawet wkładać palców do gardła, żeby osiągnąć taki skutek. Odruch nastąpił całkowicie automatycznie.

- Och, słodki Jezu.

Krzyszcząc się, lady Clare ciasno objęła pusty brzuch chudymi ramionami i ponownie zerknęła na bramę dziedzińca. Z niedowierzaniem, powoli kręciła głową na boki.

Podstarzała szlachcianka z jamnikiem i tajwańskim ochroniarzem o wzmocnionych mięśniach, idącym dwa kroki za nią, zmarszczyła brwi słysząc bluźnierstwo. Potem spostrzegła to, co zobaczyła Clare, sama zaklęła szpetnie i zeszła z chodnika, żeby ominąć wejście. Nawet jej ochroniarz, ostentacyjnie rozebrany do pasa mimo styczniowego chłodu, z enzymatycznie przyciemnioną skórą twardą jak rzemień i gładką jak szkło, nagle zrobił niewyraźną minę.

- Ładne, co? - wyszczerzył się Makai. Tym razem nosił czarną skórzaną kurtkę nabijaną ćwiekami, z pojedynczym fluoryzującym japońskim ideogramem „My postłudzie” wytrawionym na plecach. Tlenioną fryzurę na jeża w połowie zakrywała czerwono-biała lureksowa bandana. Poprzedniego dnia był gotem, w burgundowym trenczu, z długimi czarnymi lokami spadającymi w

nieładzie na olbrzymie lustrzane okulary. Jeśli w jego zmianach kostiumów tkwiła jakaś logika, Clare jeszcze jej nie odkryła.

- Obejrzyj sobie! - ćwierknął Makai, wskazując bramę Instytutu. Clare nie mogła: była zajęta wymiotowaniem.

Przysadzisty solidny łuk, maszynowo wycięty z bladożółtego betonu stylizowanego na rzeźbiony kamień z Normandii, obejmował ciężkie dwuskrzydłowe drewniane drzwi.

Na pierwszy rzut oka wyglądał jak jeden z setki odnowionych lub odbudowanych łuków rozproszonych po Marais, pamiątek po wiekowej obsesji paryżan na punkcie prywatności, którą postęp, niezliczone uliczne kamery i rząd opętany potrzebą bezpieczeństwa tylko spotęgowały. Każdy łuk stanowił wejście na oddzielny dziedziniec. Niektóre dziedzińce w Marais były puste i zniszczone, z wybitymi oknami

1UE

spoglądającymi na umierające platany lub cuchnącą, nieużywaną fontannę. Lecz większość ukrywała państwowe burdele, urzędnicze gniazdko, polityczne bezpieczne domy, czasami nawet dom książe. Zgodnie z tradycją wszystkie bramy dziedzińców w Marais pyszniły się ozdobnymi maskaronami z kutego żelaza, które wytrzeszczały oczy na przechodniów.

Niepotrzebne, kosztowne, dostępne tylko nielicznym, lecz wciąż imponujące, wielkie żelazne kołatki spełniały wszelkie wymogi tradycji. Nieważne, że sumę równą kosztom ich renowacji można było obrócić na lepszy użytek.

Lecz nawet w epoce widfonów, zamków sprawdzających siatkówkę i inteligentnych drzwi reagujących na wzór dłoni, francuska szlachta chełpiła się, że na paryskich bramach przedstawiono wszystkie zwierzęta znane zoologii i kilka nieznanych. Nawet jeśli dwucalowa bomboodporna polimerowa mikrosiatka i wgłębione tytanowe zasuwki chroniły same drzwi za maskaronem.

Żeby wejść do Instytutu, Clare musiała najpierw minąć dwa maskarony osadzone centralnie w podwójnych odrzwiach. A głos w głębi jej duszy, cichy głosik z czasów dzieciństwa, ostrzegał, żeby nie wchodziła tam, cokolwiek powie Makai.

Tam zaczął się koszmar...

Clare nie mogła jasno myśleć, ponieważ ściśle skupiony wzorec fali emanujących spoza drzwi wydobyl prymitywne wspomnienia z jej ciała migdałowatego, struktury nerwowej w kształcie migdału znajdującej się tuż nad pniem mózgu.

Lecz ogarnięta paniką- nie zdawała sobie z tego sprawy. Widziała tylko dwie wrzeszczące głowy sterczące z podwójnych drzwi Instytutu, po jednej z każdej strony. Wybałuszone oczy ślepe z przerażenia, wargi ściągnięte nad zębami wyszczerzonymi w krzyku, zęby zaciśnięte mocno na solidnych żelaznych pierścieniach. Aureole węży Meduzy zamiast włosów.

1L.3

Rozdygotana Clare cofnęła się instynktownie. Pot spływał jej po krzyżu i pod pachami.

Miała cztery latka i słyszała własny krzyk. Krew sączyła się po chodniku. Chłopiec objął jej chude ramiona, odprowadził ją od jeszcze gorszego dźwięku, skowytu zakapturzonego bandyty, któremu pałki łamały kości, którego policja tłukła na śmierć.

Obrazy napadu, dziecięcej samotności, dojmującego bólu wirowały w jej głowie. Lady Clare nie mogła się zmusić, żeby dotknąć śliskiej, szarej powierzchni drzwi, ale instynktownie wiedziała, że będą ciepłe i miękkie jak ciało.

Mimo woli zrobiła następny krok do tyłu, byle dalej od drzwi. Żołądek podjeżdżał jej do gardła. Widziała esencję wszelkiego ludzkiego cierpienia. Żadna mityczna wężowłosa Meduza nie była tak nieszczęśliwa, żadna ohydna bestia tak samotna, żaden olbrzym tak zrozpaczony. Maski udreki, twarze i uczucia ze wszystkich jej najgorszych koszmarów.

- No i jak? - zapytał z dumą Makai. - Przeciążenie ciała migdałowatego. Nieźle, co?

Clare czuła, jak napływająca kwaśna żółć pali ją w gardle. Gorączkowo przełykała ślinę, jeszcze i jeszcze, żeby się pozbyć ohydneho smaku.

- Samowzbudzana blokada subpsychiczna - oznajmił Makai rzeczowym tonem. - Całkiem

prosta rzecz. Działa wyłącznie wtedy, jeżeli naprawdę popatrzyś na maski, a nie tylko zerkniesz. - Przerwał i zmarszczył brwi, zarys jego sylwetki lekko drgnął. Szybki ruch głowy i znowu był wyraźny. Jeszcze bardziej jaskrawy. Clare zgięła się wół i znowu rzygnęła do rynsztoka. Ciągłe nie mogła się przyzwyczać do zmian częstotliwości ani do faktu, że Makai jest przezroczysty dla niej i niewidzialny dla innych. Ani do jego cholernych przerażających drzwi...

- Załatwię ci chirurgicznie założoną blokadę neuralną - zaproponował. - Jeśli sobie życzysz...? Prosty filtr synaptyczny
1UL.

w korze mózgowej. Wtedy drzwi już cię nie przestraszą. Załatwię to od ręki, jeśli chcesz? - Nie - odparła stanowczo Clare, znacznie bardziej stanowczo, niż czuła. - Wcale nie chcę. Na ułamek sekundy migdałowe oczy Makaiego zrobiły się zimne, nieludzkie, a potem chłód zniknął i przez resztę tygodnia Makai skakał koło niej, jeszcze bardziej dziecinny niż zwykle. Kompromisowo zgodzili się na biochip - stała dermę - wszczepioną w zagłębienie pod spodem nadgarstka, wykonaną na specjalne zamówienie Makaiego przez Węża, krzepkiego siwobrodego amerykańskiego sym-ćpuna, który przesiadywał w Kaff Schrödingera, symowym barze na północnej granicy Marais, od strony Beauborg. Makai nie powiedział Clare, skąd wie, gdzie znaleźć Węża, a ona nie pytała.

Wytropienie Węża i namówienie go na zrobienie chipu przestraszyło Clare. Wolałaby nazwać to wstrętem, ale tak naprawdę czuła strach. Jasne, miała tytuł, ale nigdy nie lubiła włączyć się po mordowniach. Chociaż bawiło ją wyobrażenie sobie, co by powiedział Claude na wiadomość, że była w sym--barze. Oczywiście sama się nie podłączyła.

Przy tej okazji Wąż zrobił drugi, bardziej skomplikowany chip, również według szczegółowej specyfikacji, którą Clare otrzymała od Makaiego. Kiedy zaproponowała mu chipy jako zapłatę, odmówił z leniwym uśmiechem, przysunął się trochę bliżej i objął ciężką łapą jej ramiona. Popelnił fatalny błąd.

Na jego ryk cała knajpa zamarła, kiedy Clare okręciła się na pięcie i jednym płynnym kata tai-chi prawie złamała mu rękę w łokciu. Lecz coś kazało jej powstrzymać cios w ostatniej chwili i zostawić Węża skomlącego z bólu na brudnej podłodze baru.

1U5

Później nie mogła zdecydować, czy powinna się wstydić, czy po prostu złościć na siebie, że nie zastosowała się do nauk swojego instruktora tai-chi. Po tym, co ją spotkało w suterenie Sekcji Trzeciej, powinna jeszcze rozwalić draniowi kolano dla równego rachunku.

Podłączona Clare bezpiecznie przepłynęła obok dwóch żelaznych maszkar, nie zwracając na nie uwagi, myśląc tylko

0 wejściu do Instytutu.

Dziedziniec był śliski, pokryty grubą warstwą gnijących liści

1 śmieci. Mulista kałuża w narożniku świadczyła, że przynajmniej jeden odpływ już się zatkał. Całe miejsce wydzielalo kwaśny fetor, ciężki zapach wilgotnej ziemi zmieszany ze znacznie gorszą wonią: kocura albo włóczęgi.

Pozółkłe kamienne mury Instytutu były poplamione i splekane od mrozu i wilgoci, płaty tynku odpadały z nich jak oblażaca skóra. Toteż siatkówkowy zamek Chubba z wzorem źrenic Clare już zaprogramowanym w pamięci oraz świetlówki Mazdy, które włączyły się natychmiast po zamknięciu drzwi, trochę ją zdziwiły.

Lecz nie tak bardzo, jak wewnątrz Instytutu. Po pierwsze, cały parter został opróżniony i zastawiony od ściany do ściany najnowszymi Commsami. Po drugie, nie spotkali żadnego personelu. Oba piętra i parter byty zupełnie puste i nieskazitelnie czyste.

Para bezpośrednich wejść światłowodowych, szereg sprzężonych rdzeni danych Matsui oraz rzędy za rzędami równoległych procesorów RISC wypełniały pierwsze piętro. Wszystko nowiuteńkie.

Na ostatnim piętrze pod ścianą leżały zapakowane czasy antenowe w liczbie wystarczającej, żeby zbudować podstację satelitarną Comms. A w kącie, niestosowny i bulgoczący, stał ekspres do kawy Brauna. Obok pustej lodówki.

- I tak pijesz bez mleka - powiedział Makai.

1

Mimo to Clare kupiła mleko następnego ranka, wkrótce po tym, jak znalazła Chi schowanego w mokrym kartonowym pudle na dziedzińcu. Przepiłowanie prymitywnej obroży kotka, zrobionej ze zgiętego wieszaka, kosztowało ją dziesięć minut pracy i zniszczone cążki do paznokci od Bloomingdale'a.

Makai nie miał nic przeciwko kociakowi, a jeśli miał, nic nie powiedział. Za bardzo pochłaniały go próby nauczenia Clare, jak ustawić anteny satelitarne i podłączyć je do sprzętu Comms.

Lecz chociaż bardzo się starała i chociaż Makai wyłączył ze skóry, nie potrafiła tego zrobić. Po prostu nie miała smykałki do techniki. W końcu musiała wrócić do Kaff Schrödingera i przekupić Węża, żeby z nią pojechał. Wcale się do tego nie palił.

Może termoplastyczny gips na jego złamanym ramieniu wywołał w Clare wyrzuty sumienia, bo wyszła stamtąd z paskudnym uczuciem, że obiecała mu więcej, niż zamierzała.

- Z wami, szpanerami, jest taki kłopot - powiedział zgryźliwie Wąż, kiedy stanęli przed kamienną bramą Instytutu - że chcecie zdobyć świat, ale nie umiecie go poskładać. Pewnie uważacie, że jesteście ponad tek.

Obrzucił pogardliwym spojrzeniem żelazne maski i minął je, niedbale poprawiając przełącznik za uchem.

- A w ogóle co to za miejsce?

- Instytut Józefa Bonaparte - oznajmiła Clare starannie neutralnym tonem.

Wąż uniósł jedną brew, ale widziała, że zrobiła na nim wrażenie. Wszystko z nazwiskiem „Bonaparte” działało tak na ludzi albo sprawiało, że sięgali po broń.

- A ty jesteś...?

- Lady Clare Fabio.

- Bez jaj! - Obejrzał ją od góry do dołu z nowym zainteresowaniem. - I zawsze kręcisz się po sym-barach, żeby komuś dokopać...?

Clare zaczerwieniła się.

1U7

- Mam dla ciebie robotę - rzuciła opryskliwie. - Bierzesz czy nie?

- Aha, teraz to robota?

Obdarzył ją leniwym uśmiechem, który pogłębił cienkie zmarszczki wokół szarych oczu. To, co wzięła za nobliwe oznaki starzenia, w rzeczywistości stanowiło produkt kosztownej chirurgii. Co oznacza, pomyślała z zaskoczeniem, że ten facet kiedyś dysponował poważnym kredytem.

Odruchowo zrewidowała swoją opinię o Wężu, a potem znowu poczuła przemożne zakłopotanie.

- Rusz się - warknęła i zamasyżowała weszła do Instytutu, nie oglądając się za siebie.

Makai czekał, siedząc na stosie pustych kartonowych pudeł i machając nogami.

- W samą porę - burknął z rozdrażnieniem. - Powiedz Wężowi, żeby przestał się na ciebie gapić i podłączył anteny. Potem załaduj archiwum Genetyków do rdzeni Matsui i przefiltruj całość przez RISCi. Jeśli to zawiedzie, uruchomisz narodowe medyczne bazy danych, zaczynając od Europy.

- Alex? - upewniła się Clare.

Makai przytaknął.

- Nie obchodzi mnie, czy zmienił nazwisko, płeć i rasę. Jeśli żyje, ty go dopadniesz. Nawet gdybyś musiała wytropić jedną jedyną cholerną sekwencję DNA.

- A ty? - zapytała Clare z przekąsem. - Co ty będziesz robił?

Ale Makai już zniknął.

IB. SEMHI

Gangsterzy czekali na Johnniego na drugim końcu tunelu, w który skręcił pod wiaduktem Expressway. Tylko dwaj, po prostu tam stali. Niczym wojownicy z cienia.

Żadna niespodzianka.

Najpierw dotarł do niego ich zapach, ordynarna mieszanka utleniającej się wody kolońskiej i

świeżego potu, którą wiatr przyniósł przez tunel.

Mewy już wcześniej go ostrzegły. Nie dosłownie ostrzegły, ale potrafił odczytać niepokój ptaków - ciemność, duże zwierzęta, nieruchome, więcej niż jedno. A ptasi blox myślowy był taki prosty, że Johnnie T wiedział, co widzą mewy, nawet jeśli one same nie wiedziały.

Myślowy blox. Dumny był z tego rozszerzenia. Miesiące trwało, zanim znalazł częstotliwość dostrojoną do prymitywnej kory ptasiego mózgu, a jeszcze dłużej, zanim przerobił psychotropiczny software do tego stopnia, żeby rozpoznawać dwanaście obrazów w myślach ptaka.

Nawet wtedy jego system był niewiarygodnie prymitywny, tylko z jednym neuroglifem na nietlotne formy życia. Chociaż o ile Johnnie wiedział, same ptaki mogły nie odróżniać ssaków od gadów czy ludzi od jptów.

ILfl

Odkrył rozszerzenie do transferu nieludzkiej myśli, kiedy pichcił wiralną seks-inteligencję w kuchniach neoAddixu. Szukał czegoś dostatecznie prostego, żeby chętne pary mogły przeżywać nawzajem swoje orgazmy. Niemal permanentny haj z pętli neuralnej. Coś do sprzedawania w klubach.

Tylko że miał szczęście i trafił na coś więcej. Na realną wartość rynkową. Wartość do tworzenia multiNacjonali, do zbijania szmalu, do negocjowania z ważniakami.

Wydawało się, że na najbardziej podstawowym poziomie pewne emocje są wspólne. W kategoriach badawczych tylko mały krok dzielił odczytanie ptasich wzorców od tego samego dla ssaków, najpierw szczura, potem człowieka. Potrzebował tylko ostrego sprzętu do badań i trochę ciężkiego kredytu włożonego w ten pomysł. Odkrył komercyjną i polityczną bombę. Pytanie tylko, do kogo pójść, co z tym zrobić.

Jego numer drugi, Lou, koniecznie chciał rzucić ten pomysł na otwarty rynek, urządzić licytację.

No, ale Lou był tylko tępym cwaniaczkiem, podczas gdy Johnnie uważał się za cwane go bystrzaka.

Jedno było pewne. NeoAddix nie zamierzał nikomu tego wysłać. Nie, dopóki Johnnie był szefem.

Wytłumaczył Lou jasno i wyraźnie, że jak tylko pierwszy metaNacjonal wyniucha ten pomysł, natychmiast ich wyroluje, wykantuje i oskubie do czysta.

Natomiast nie przyznał się temu małemu sprytnemu gnojce, że już dyskretnie wy badał możliwości w sieci. Ponieważ ten wyjątkowy numer miał mu zapewnić bezzwrotny, imienny bilet w jedną stronę ze śródmieścia Edo. Tak mu obiecał profesor Makai.

No, taki miał plan, zanim zjawiły się te dwa golemy w niebieskich garniturach. Za plecami Johnniego przy betonowych nabrzeżach portu Edo tłoczyły się lśniące czarne towarowe transportowce, każdy oznaczony podwójnym N, logo Napon-shi. Gdzieś z przodu pociąg-pocisk serii 450 Nazomi wy-

1

Odkrył rozszerzenie do transferu nieludzkiej myśli, kiedy pichcił wiralną seks-inteligencję w kuchniach neoAddixu. Szukał czegoś dostatecznie prostego, żeby chętne pary mogły przeżywać nawzajem swoje orgazmy. Niemal permanentny haj z pętli neuralnej. Coś do sprzedawania w klubach.

Tylko że miał szczęście i trafił na coś więcej. Na realną wartość rynkową. Wartość do tworzenia multiNacjonali, do zbijania szmalu, do negocjowania zważniakami.

Wydawało się, że na najbardziej podstawowym poziomie pewne emocje są wspólne. W kategoriach badawczych tylko mały krok dzielił odczytanie ptasich wzorców od tego samego dla ssaków, najpierw szczura, potem człowieka. Potrzebował tylko ostrego sprzętu do badań i trochę ciężkiego kredytu włożonego w ten pomysł. Odkrył komercyjną i polityczną bombę. Pytanie tylko, do kogo pójść, co z tym zrobić.

Jego numer drugi, Lou, koniecznie chciał rzucić ten pomysł na otwarty rynek, urządzić licytację.

No, ale Lou był tylko tępym cwaniaczkiem, podczas gdy Johnnie uważał się za cwane go bystrzaka.

Jedno było pewne. NeoAddix nie zamierzał nikomu tego wysłać. Nie, dopóki Johnnie był szefem.

Wytłumaczył Lou jasno i wyraźnie, że jak tylko pierwszy metaNacjonal wyniucha ten pomysł, natychmiast ich wyroluje, wykantuje i oskubie do czysta.

Natomiast nie przyznał się temu małemu sprytnemu gnojkiowi, że już dyskretnie wybałał możliwości w sieci. Ponieważ ten wyjątkowy numer miał mu zapewnić bezzwrotny, imienny bilet w jedną stronę ze śródmieścia Edo. Tak mu obiecał profesor Makai.

No, taki miał plan, zanim zjawiły się te dwa golemy w niebieskich garniturach. Za plecami Johnniego przy betonowych nabrzeżach portu Edo tłoczyły się lśniące czarne towarowe transportowce, każdy oznaczony podwójnym N, logo Napon-shi. Gdzieś z przodu pociąg-pocisk serii 450 Nazomi wy-

15D

strzelił z Hamamatsucho, pchając przed sobą głośno wyjąca poduszkę supersprężonego powietrza, żeby zabrać następną turę pasażerów dojeżdżających do pracy wczesnym rankiem.

Ponad tym wszystkim wznosiły się stalowe i lustrzane biura „Japan Times” - miejsce, do którego zawsze chciał się włamać, a teraz pewnie już nie zdąży. I spinająca wszystko, oddzielająca port, monoszynę i redakcje gazet od szklanych drapaczy chmur samego Edo, rozległa przestrzeń dworca przetokowego Shinagawa, płatanina torów wyszlifowanych do srebrnego blasku przez nieustanny nacisk kół.

Dworzec przetokowy Shinagawa stanowił prywatny plac zabaw Johnniego w dzieciństwie, miejsce, dokąd uciekał z grą Szybka Śmierć, kiedy powinien być w szkole.

Cesarska Japonia zaczynała się po drugiej stronie torów kolejowych. Ten teren, jego teren, stanowił strefę cienia, gdzie marynarze gaijin, których pot śmierdział zjełczatym masłem, po pijanemu jeszcze bardziej głupieli i dźgali się nożami w zadymionych barach, a prawo nie kiwnęło palcem, ponieważ nie warto się przejmować cudzoziemskimi robotami i mętami domowego chowu.

Policja nie przejmie się również jego trupem... jeśli go znajdą.

Ale co tam...

Johnnie T wywołał na twarzy swój firmowy uśmiech. Pułapka to pułapka. Takie jest życie, nie ma co się rozczulać.

Byrks. Docks/deal - NeoA wz 4 s/ware

Oferta transakcji została pogardliwie zrzucana do sektora off-limits i tak już dobrze zalodzonej strony startowej neoA. Dołączono obraźliwą notkę z ostrzeżeniem dla Johnniego, żeby sprawdził, czy zielenina na pewno jest świeża, nie stara

151

czy rozgotowana. Jakby neoAddix kiedykolwiek handlował tandetą...

Podtrzymując trzydziestoletnią farmaceutyczną tradycję, NeoA prowadzili najczystsze, najszczelniejsze kuchnie w Edo. Od zawsze. Jak chodziło o żonglowanie strukturami molekularnymi, nikt im nie podskoczył. Nawet yaki to przyznawali.

Wiadomość stanowiła wyrachowaną zniewagę. To znaczy jeżeli przysłali ją Bykersi. Jeśli nie, sprawa robiła się jeszcze bardziej niebezpieczna.

Z Bykersami dałby sobie radę. Prymitywy opętane hardwa-rem, sam szum, żadnego sygnału.

Retrośmiecie, dla których własność równała się pozycji. Poczynając od ich nadmiernie chromowanych, chwiejnie zbalansowanych motocykli Kawasaki.

NeoA byli handlarzami rozszerzeń, augmentorami, neuro wojownikami. Z tego jednego powodu dwa gangi trzymały się na dystans.

Nie dlatego, że były wrogie. Nie były. Po prostu nie miały powodów do walki, a tym bardziej do przyjaźni. Johnnie jednak zdawał sobie sprawę, że na wiadomość trzeba odpowiedzieć. Co z tego, że praktycznie znał się lepiej na medycynie niż większość robo-chirurgicznych, komputerowo wspomaganych lekarzy - to nie miało znaczenia. Żadnego znaczenia. Dowodząc gangiem tak znacznym jak neoAddix, nie mógł pozwolić, żeby banda fajansiarzy zababrała mu opinię.

No i wspomniano o softwarze. Johnnie nigdy nie przepuścił żadnego interesu związanego z oprogramowaniem. Jedyne towar, którym handlowano na skalę globalną, bez konwersji, bez doli dla celników czy policji, nawet bez wychodzenia z pokoju.

To była pułapka. Jasna sprawa. Ale skłamałby, gdyby udawał, że gdzieś głęboko w środku nie wiedział o tym od początku, nie potrzebował właśnie czegoś takiego.

Inaczej po co się w to pakował? Stosując tylko najbardziej podstawowe zabezpieczenia. Jak para nunczaku z włókna

15 E

neoprenowego i skórzana kurtka z mikrosiatkową podszewką. Przyszedł sam, o północy, przez tunel Juki. Na śmierdzące, poplamione betonowe rampy załadunkowe, gdzie rdzewiejące automatyczne dźwigi stały bez ruchu niczym wysokie, długonogie, śpiące ptaki.

Po pięciu lucky strike'ach połową świadomości zastanawiał się, gdzie są Bykersi, podczas gdy druga połowa wiedziała, że wcale nie przyjdą, że to nawet nie ich działka. Po kolejnych dziesięciu wypalonych jednym ciągiem obie połowy doszły do porozumienia. Bykersi nie przyjdą.

Więc zrobił coś, czego nie robił od dzieciństwa: zaryzykował kamery bezpieczeństwa Niponshi i przekradł się na kładkę, żeby popatrzeć, jak słońce wschodzi w całym pomarańczowym splendorze nad srebrzystym lśnieniem zatoki Edo.

Załatwianie interesu w pojedynkę to głupota, no, ale ostatnio robił wiele niezbyt mądrych rzeczy. Chociaż sam o tym wiedział.

A teraz to.

Johnnie zaciągnął się ostatnim papierosem, wessał głęboko do płuc nikotynowy dym wolny od substancji rakotwórczych, potem zgniótł niedopałek obcasem wzmocnionego stają buta.

Dwadzieścia sześć lat to za dużo, żeby rzeźbić w gównie. Świat się starzał wokół niego. Johnnie chciał się wyrwać. Kłopot, w tym, że zdawał sobie sprawę, że załatwi go, jeśli chociaż na chwilę osłabi czujność, ale było mu wszystko jedno. Paru ludziom dał się we znaki. Holował ich za sobą jak stalowe okrętowe kontenery. Starzy przyjaciele, którzy przestali być przyjaciółmi, ludzie, których odtrącił, wszyscy tylko czekali na swoją szansę.

Johnnie nie był głupcem, nie zapomniał jeszcze, w jaki sposób sam został szefem. Dobrze pamiętał, jak splukiwał szlauchem krew Miko ze swoich wojskowych butów.

No cóż, ktoś potraktuje go tak samo, raczej prędzej niż później. Johnnie dotarł do punktu, gdzie nie chciało mu się

ich powstrzymać. Równie dobrze mógł wytatuować sobie na czole „WYPALONY”.

Stat się żywym celem. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że płatni mordercy właśnie przybyli. Istnieje koncepcja nazywana horyzontem zdarzeń. John-niemu zawsze wydawało się, że kiedyś naprawdę rozumiał tę koncepcję, ale później zapomniał.

Miał przecucie, że zaraz sobie przypomni.

Zdjął nunczaku z szyi i wykonał kilka próbnych wymachów na rozgrzewkę, przekładając z ręki do ręki wirujące ciężarki połączone łańcuszkiem, które utworzyły wokół niego rozmazany ochronny łuk. Przerwał, kiedy uznał, że zrobił dostateczne wrażenie na zabójcach. Nie ma sensu męczyć się przed rozpoczęciem prawdziwej walki.

Wyprostował się na całe pięć stóp i dziesięć cali wzrostu - przerastał większość ludzi o głowę, z pewnością przerastał obu czekających gangsterów - i ruszył w ich stronę pochylony do przodu, przenosząc ciężar ciała na palce stóp.

Wyglądał twardo, gotowy na wszystko. To był jego znak firmowy. Obcy nie powinni wiedzieć, jak bardzo zużyła się ta skorupa.

Patrzyli, jak nadchodzi. Czekali na niego. Szerokie twarze bez wyrazu za kosztownymi szylkretowymi okularami i zastygłymi uśmiechami. Teraz, kiedy Johnnie podszedł bliżej, widział smoki irezumi wytatuowane na ich nadgarstkach, kręte zwoje znikające pod wykrochmalonymi mankietami, zapiętymi na złote spinki z krwawnikami.

Co nie miało żadnego sensu. Ponieważ jeśli chcieli śmierci Johnniego, musieli tylko poinstruować młodszego kobuna, żeby nie wracał, dopóki nie wykona zadania. I zadanie zo-

To byli yaki. Ludzie z pozycją.

15

stałoby wykonane. Lecz z niewiadomych powodów zamierzali go zabić osobiście.

Johnnie przystanął i uklonił się, zawstydzony swoim dziecinny pokazem sztuk walki. Potem wiedząc, że najważniejsze to zachować twarz, wyprostował się i spojrzał im w oczy.

Obserwowali go niemal z rozbawieniem.

- Murakami, Tetsuo?

Johnnie przypomniał sobie w porę, że tak się nazywa. Tak brzmiało jego prawdziwe, legalne nazwisko. Nosił ksywę Johnnie T od tak dawna, że prawie zapomniał, iż miał kiedyś inne. W wieku jedenastu lat trafił na nazwisko Johnnie T na ulicznym straganie, na tylnej okładce jakiegoś starożytnego bootlegowego amerykańskiego kompaktu. Wtedy przez krótki czas trzymał się z retrorockową kapelą. Dopóki nie wyrzucili go za rozwalenie jego starej kopii Les Paula. Bez gitary był niczym.

Ale zatrzymał swoją nową ksywkę.

Zauważył wyraźne wybrzuszenie pod lewym rękawem czarnej jedwabnej marynarki małego yaka. Natomiast wyższy trzymał ramię luźno opuszczone przy boku, dłoń obróconą wierzchem do przodu, palce lekko zgięte z tyłu w sposób, który Johnnie rozpoznał.

Gdyby uzbroił się w nóż do rzucania, trzymałby go tak samo.

- To ja - przyznał, z roztargnieniem przygryzając paznokieć kciuka. Obcy mogli uznać to za zbyt wyraźną oznakę słabości i wykonać swój ruch. Ale musiał zaryzykować.

Desykat enzymu wepchnięty pod naskórek rozpuścił się natychmiast w zetknięciu ze śliną, przeniknął do krwi i subtelnie, lecz błyskawicznie zrekonstruował molekule adrenaliny. Puls Johnniego ustabilizował się na dziewięćdziesięciu pięciu, świat wokół niego skryształizował się w ostrych krawędziach.

Wszystko nagle zrobiło się hiperwyraźne. Szorstkie ściany tunelu natychmiast nabrały ostrości, błękit nieba nad głową

155

stat się bardziej jaskrawy. Czas zwolnił lekko, kiedy świadomość i podświadomość Johnniego skupiły się na parze przeciwników.

Wiedział, że jego kolczasta, gotycko czarna fryzura nie wygląda najlepiej. Ale nie pora martwić się o zdjęcia z kostnicy. Jego chirurgicznie wzmocnione purpurowe oczy przywarły do luźno wiszącej ręki wyższego yaka.

Johnnie lekko zabębnił palcami po uchwycie nunczaku. Czekał. Z hiperwyostrzeniem powinien zobaczyć ruch, zanim jeszcze ten zostanie wykonany.

- To dla ciebie... - Niski yak z dużymi spinkami w mankietach wsunął dłoń pod marynarkę i reakcje Johnniego przełączyły się na chemiczny dopalacz. Padł na ziemię i odtoczył się na bok, jedną ręką kręcąc nunczaku zerwane z szyi, zanim tamten zdążył sięgnąć do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Kiedy Johnnie wstał z ziemi, teraz już na dobre rozkręcając neoprenowe nunczaku, yak wychylił się do przodu i lewą ręką chwycił atakujący ciężarek, który śmignął ku niemu jak rozmazana smuga ruchu w zastygłym powietrzu.

Johnnie zachłysnął się.

To było niemożliwe.

Mały yak uśmiechnął się, pokazując kosztowne, ultrabiałe ceramiczne zęby. Z bliska Johnnie zauważył, że okulary od Versacego są podłączone do dyskretnie zabarwionych kontaktów w elegancko siwiejących skroniach mężczyzny.

- Nie tylko ty używasz enzymatycznego wzmocnienia - oznajmił zwięźle yak. Powoli wyciągnął rękę spod marynarki i podał Johnniemu płaski prostokąt lepkiego szarego biochipu wielkości karty kredytowej.

Bioglina. Johnnie próbował zgadnąć, ile musiała kosztować

- Że jak, moja? - zapytał z wyschniętymi wargami. Yak przytaknął. taka grudka.

- Co?

- Ty nam powiesz - oświadczył stanowczo yak.

Johnnie popatrzył niepewnie na cienki jak opłatek, podobny do gliny chip w jego palcach. Podłoże koloru błota przenikały na wylot splątane, zaskorupiałe glisty

żywych obwodów. Skóra biogliny była śliska jak proteina awidyny, z oleistym połyskiem, który mienił się tęczo jak plama benzyny na powierzchni kałuży.

- Honor - powiedział smutno Johnnie, wpadając w styl ulicznych yaków. - Niezbędna głęboka refleksja...

- Dwa dni - oznajmił yak.

- Pięć - zażądał Johnnie, zaszokowany własną bezczelnością.

Yak pokręcił głową i przez chwilę wyglądał autentycznie smutno.

- Dwa to wszystko - powiedział cicho. - Potem zaszczycimy cię naszą obecnością.

Johnnie w milczeniu kiwnął głową. Albo się zgodzi, albo skończy jako pokarm dla tłustych karpia w jakiejś sadzawce w ogrodach Hama Rikyu.

17. martdiEU \

- Nie. Przestań!

Książę Sabatini siedział w skórzanym fotelu z wysokim oparciem, ściskając patykowatymi palcami czerwoną obtartą skórę swoich ramion.

Nieświadomie starzec kręcił głową z boku na bok. Jakby wyrażał życzenie, żeby zabójca nie uderzył. Lecz w snach młodzieniec o wąskiej twarzy, w czarnym surducie, nie słuchał.

Koncentrował się na srebrnym połysku morderczej klingi. I nagim kształcie młodej dziewczyny, leżącej przed nim, pogrążonej we śnie.

Strach zmaćcił myśli starego człowieka. Dysfunkcje neuronów przegryzały wiekowe synapsy niczym elektryczny rak. Zabijały go wspomnienia i marzenia. Niebezpieczne i nieproszone. Czarne żądze, grzechy i zbrodnie... równie słodkie i świeże jak wspomnienia dzieciństwa.

Chociaż tak naprawdę nie pamiętał swojej młodości i nie chciałby pamiętać, gdyby miał wybór.

Był bliski śmierci. Nie dość bliski jak na swoje wymagania, ale znacznie bliższy, niż to odpowiadało panu Różańcowi. Książę czuł zepsucie pełzające po kościach i zakończeniach nerwów: śmierć komórek, kiedy jądra kończyły swoje naturalne życie bez replikacji. Nie miał złudzeń co do swojego stanu

1 Bfl

i pogodził się z tym. Dostyc już transfuzji krwi, splatania genów, kroplówek i pigulek przedłużających życie. W rezultacie i tak czuł się fatalnie. Zresztą starość zawsze jest fatalna, pomimo obietnic i kłamstw.

Pogodził się ze śmiercią, ale te poplątane sny... Gdyby wiedział, że czekają tam na niego całą gromadą, nie rozkazałby swoim lekarzom tak spokojnie, z takim patrycjuszowskim opanowaniem, żeby pozwolili mu umrzeć.

Zabójca w czarnym surducie odwrócił się i Książę zobaczył, że nie jest taki młody, jaki wydawał się na początku. Cienkie bruzdy smutku ciągnęły się od kącików zbyt wąskich ust, a zapadnięte oczy miały bardzo dorosły, twardy wyraz.

Lecz Książę nie mógł się zmusić do patrzenia. A kiedy znowu spojrzął, było już za późno.

Znajdował się w małej, wilgotnej piwnicy, z żelaznymi kratami w oknach. Pomimo mocnego zapachu aromatycznych ziół, powietrze w pokoju przenikał dochodzący z zewnątrz smród rynsztoka.

Odkryte misy pełne płatków różanych stały na dębowym stole, a jaskrawy porcelanowy pomander wisiał na sizalowym sznurku na krzywym gwoździu wbitym niezdarnie w poźółkły tynk.

Na stole zobaczył ludzkie serce. Pływało leniwie w słabym roztworze soli. A coś podobnego do embriona pływało w dru-

giej, mniejszej szklanej misie stojącej obok.

Oba z nagiej dziewczyny, Książę nie miał co do tego wątpliwości. To była kryjówka zabójcy.

Potwierdzały to płaszcze i kostiumy wiszące na kołkach wbitych w ścianę. Rzeźnic-kie fartuchy, lekarskie kitle, nawet długi ciemnoniebieski płaszcz policjanta. I sterty butów, i długie jedwabne szaliki do zawiązywania przerażonych oczu albo krępowania za plecami rąk jakiejś drżącej ofiary...

Za zwykłą okienną szybą długa, wąska ulica wznosiła się równomiernie w stronę lodowato cukrowej bieli bazyliki Sacre

15R

1

Coeur. Tylko francuskie mieszczaństwo, pomyślał Księżę z niesmakiem, mogło zbudować taką sacharynową ozdóbkę dla upamiętnienia masakry, jaką armia urządziła rzeszom ich własnych obywateli.

Pomiędzy nim a koszmarem z cukrowej waty rozciągał się La Butte Montmartre, mrowisko nękanymi chorobami bocznych uliczek, gdzie głodujące rodziny odziane w łachmany mieszkały, spały, pieprzyły się i tłukły do nieprzytomności w jednym wilgotnym, cuchnącym pokoju, a osiem lub więcej takich rodzin zajmowało jeden duszny, wysmarowany ekskrementami budynek.

To były ostatnie paryskie slumsy. Jedyny kawałek Paryża, którego baron Haussmann nie zniszczył w swoim dążeniu do usunięcia przemysłowej biedoty z centrum miasta. Niewątpliwie zrównałby z ziemią również La Butte, gdyby wcześniej nie powieszono go na ozdobnym bocznym przęciu jednej z jego własnych żelaznych ulicznych latarni podczas rządów Komuny Paryskiej w 1871 roku.

Na tych uliczkach grasował teraz zabójca w ciemnym surducie. Bezpieczny w swojej wierze, że niebo istnieje albo nie, lecz piekło jest już tutaj. Gdyż nawet w młodości Księżę kochał ciemność, a w zamian ciemność chętnie go przyjmowała.

- D-dziadku!

Dziewczęcy głos brzmiał natarczywie, pełen lęku. Starzec nerwowo potrząsnął głową, żeby się pozbyć wyraźnego kwaśnego posmaku, który rozlewał mu się po języku. Wspomnienia krwi.

- O-obudź się. - Maxine szorstko potrząsnęła jego chudym ramieniem. Wielkie znajome oczy spjrzały na niego, ciemne źrenice rozszerzone strachem i czymś bardziej niepokojącym, wiedzą...

- Daj mi spokój.

1 GD

Odepchnął dziewczynę, ale natychmiast tego pożałował, bo oczy Maxine zaszyły łzami. Zawsze, kiedy płakała, za bardzo przypominała mu swoją prababkę.

- Zły sen - wyjaśnił jak najłagodniej, sięgając po jej pulchną rękę. - Po rokforze i burgundzie zawsze mam rozstrój żołądka.

Nie życzył sobie jej obecności teraz, kiedy ciemne opary wspomnień wciąż wisiały niewidocznie w powietrzu. Gdyby nie hipokratesowe skrupuły cholernych lekarzy, nie czekałby tak długo na śmierć. Choć to nie całkiem prawda. Nie mógł jeszcze umrzeć. Pozostała kwestia sukcesji.

Maxine nie pozwalano wchodzić do gabinetu Księcia, jeśli sam jej nie wezwał, czego nie robił bez wyraźnej potrzeby, ponieważ wiedział, że jego pokój przeraża wnuczkę. Ale teraz stała uparcie przed jego fotelem, z długimi czarnymi włosami splecionymi z tyłu w gruby warkocz; jej krótkie serdelkowate palce niespokojnie obracały srebrną arabską bransoletkę na przegubie. Bogu wiadomo, że ją kochał, ale nawet on nie mógł udawać, że odziedziczyła chociaż trochę urody po matce.

- K-krzyczałeś - oświadczyła z rozdrażnieniem. - Philippe usłyszał cię z k-korytarza. Dz-dzwoni po doktora.

- Nie. - Starzec potrząsnął głową. - Idź go powstrzymać - rozkazał, ale Maxine nie ruszyła się z miejsca i dalej patrzyła na niego. Ze strachem w oczach.

Tamtego wieczoru, kiedy lekarz wyszedł i dziadek wrócił do łóżka, żeby recytować wersy z Les Fleurs du Mai, książeczki, którą wciąż uważał za wzruszająco dziecinną, Maxine prze-kradła się przez opustoszały dom i zanurkowała w kojącą ciszę wietrznego dziedzińca Ile St. Louis. Od uporczywej wczesnowiosennej mżawki kamienie bruku zrobiły się śliskie i zdradliwe, ale nocne powietrze było chłodne po klasztornej zaduchu wielkiego domu.

IGI.

Wysoko za jej plecami, za tymi ciężkimi aksamitnymi kotarami, Philippe na pewno siedział przy Księciu. Ale żadne draperie nie zasłaniały okien w skrzydle, gdzie mieszkali pan Różaniec i Razz. Nawet o tak późnej porze światło zalewało ich stronę dziedzińca.

Wbrew sobie Maxine zajrzała do środka i jak zawsze uderzył ją przede wszystkim niezwykle porządek w pokoju pana Różańca. Denerwujący porządek.

Po jednej stronie białego marmurowego kominka w niszy spoczywały równiutkie rządki CD ROM-ów. Sam kominek wypełniała minimalistyczna wystawa suchych brzoźowych gałązek. Poza małym ptaskoekranowym sony, zawieszonym nad dębowym biurkiem, białe ściany były całkowicie nagie. Podłogę pokrywał szary berberyjski dywan, dokładnie dopasowany odcieniem do matowej okleiny uchylonych drzwi i jedwabnego obicia sofy, na której leżała jedna biała poduszka. Żadnych książek, żadnych ozdób i żadnego sprzętu muzycznego.

Maxine zadrzała. Z tego miejsca wiało pustką, ale ona wiedziała, że to nieprawda. Spoza uchylonych drzwi dochodziły niedwuznaczne odgłosy ciała uderzającego o ciało, prawie zagłuszające zdławione szlochy Razz.

Dziadek ostrzegał ją niejednym razem, że cokolwiek się dzieje pomiędzy panem Różańcem a Razz, jest wyłącznie sprawą Razz i pana Różańca. Ale Maxine nie była taka głupia, żeby sobie wmawiać, że Razz ma jakiś wybór.

Sama jeszcze nie wiedziała, co powinna zrobić, ale w odpowiedniej chwili zamierzała zrobić coś, żeby zmienić sytuację. Coś okropnego, żeby odplacić panu Różańcowi za wszystkie straszne rzeczy, które wyrządził Razz. Maxine nie wiedziała dokładnie, co robi, ale na pewno coś wymyśli. Za dziedzińcem Hôtel Sabatini ciągnęła się pusta, smagana wiatrem Quai de Bethune, śliska od deszczu. Po prawej na

1

nocnym niebie rysowała się czarna sylwetka południowej strony Notre Dame, eleganckie łuki przyporowe, smukłe i groźne niczym łapy gigantycznego kamiennego pająka.

Może komunistyczna propaganda miała rację, pomyślała nagle Maxine, może Kościół katolicki naprawdę czyha nad Paryżem jak jadowity pająk. Jeśli tak, ona się nie bała.

Ciemność była jej żywiołem, jej pociechą.

Tutaj się ukrywała. Tu, gdzie może nigdy nie liczyły się brak urody, pieniędzy i nawet zdrowych zmysłów. Co z tego, że widziała koty w smugach cienia, zanim zdążyły ją zobaczyć, że słyszała myszy i szczury dużo wcześniej, zanim wyczuły jej obecność?

To było jej cesarstwo. Tutaj, gdzie spotykały się ciemność i rzeka, w niektóre noce wzrok Maxine tak się wyostrzał, że widziała nawet wiatr świszczący nad wodą.

IB. HinhEnseyi (piEniarizE-kijlariza-palitgha)

Sen stanowił luksus, bez którego Johnnie często się obywat. No i dobrze. Skoro ciężkie gównu yakuzy miało trafić w przysłowiowy wentylator.

Poważne wiralne podkręcenie oznaczało, że jego metabolizm wytrzymał czterdzieści osiem godzin, zanim wątroba zaczynała dławić się toksynami. W razie konieczności Johnnie mógł nie spać pięć dni z rzędu. Całe szczęście, kurwa, skoro badania deprywacji sensorycznej wykazały, że paranoja i halucynacje zwykle wchodzą po trzech dniach.

Tylko że nie miał pięciu dni, nie miał nawet trzech. A dwa, które dostał, prawie się skończyły.

No, ale przy jego obecnym podejściu do życia czas, który mu został, i tak wyglądał jak wypalenie w jednym chorym amfowym odlocie.

Lou zareagował dziwnym krzywym uśmiechem, kiedy Johnnie po raz pierwszy wspomniał o dwóch yakach. Potem szybko ściągnął rolety z polisiatki, podłączył elektroniczne alarmy do wszystkich drzwi w bezpiecznym domu i zapędził szefa na dół, do opuszczonego tunelu metra.

Tego, którego

1 BU

naprawę zarząd metra uznał za nieopłacalną przed sześćdziesięciu laty.

Wypalony dupek czy nie, jeśli yakuza chciała Johnniego, to neoAddix potrzebowali go bardziej. Porażka jednego neoA oznaczała przegraną dla wszystkich. W wieku dziewiętnastu lat Lou był dostatecznie oblatany, żeby wiedzieć, że jeśli Johnnie nawali, reszta też może się pożegnać z własnymi tyłkami.

Pod okiem Lou i pół tuzina innych punków, tworzących twarde rdzeń neoA, Johnnie odgrzebał umiejętności, które kiedyś zrobiły z niego szefa.

Zaczął powoli, niezdarnie wymacując drogę przez biochip, ociekając potem od niecodziennych

żądań, jakie koncentracja dłuższa niż dziesięć minut stawiała jego wypalonym od amfetaminy synapsom. Ale potem wzory zaczęły się splatać, jak zawsze, i zapomniał o tamtych.

Biochip nie przypominał niczego, co Johnnie widział przedtem. Archeologia splątanej złotej nerwacji ze lśniącymi jak klejnoty błyskami diamentów i rubinów, zagrzebana w cienkim jak opłatek podłożu, wilgotnym i śliskim jak sprasowane błoto.

Ten przedmiot wyglądał jak kretyński dowcip jakiegoś pseu-doartysty, ostatnie słowo w postludzkiej biżuterii.

Cały dzień zabrało mu zidentyfikowanie częstotliwości pasującej do biogliny i zużył prawie cały następny dzień, zanim podłączył chip do deku z trodami i delikatnie prześliznął się przez czarny lód, który ktoś ułożył warstwami w zabójczych kręgach wokół centrum. Ktokolwiek to opracował, cholernie pilnował swojej prywatności.

- Droga wolna!

Johnnie wyszczerzył się jak trupia czaszka, kiedy program antywirusowy wreszcie się rozstał, żeby go przepuścić. Wypalony, a takiego! Żył i hakował razem z najlepszymi...

Kiedy wreszcie limuzyna zahamowała płynnie w wąskiej uliczce przed bezpiecznym domem neoA i Lou poszedł na

górze, żeby wpuścić gości, Johnnie podśpiewywał na haju, który przynajmniej raz zawierał absolutne zero chemii.

Nie zważając na dwóch yaków, którzy powoli złazili po zardzewiałej drabinie, przykucnął nad ulubionym dekiem, z trodami wsadzonymi byle jak do gniazda w czaszce. Afekta-cja, którą Lou jawnie pogardzał - ale wciąż sprawiała przyjemność Johnniemu.

Świadomość zen nigdy nie była mocną stroną Johnniego. Więc nie przyszło mu do głowy zastanowić się, co sobie pomyślał yaki, kiedy go zobaczą w tym stanie. I całe szczęście. Jego najlepsza jedwabna koszula, czarna z meksykańskimi filigranami na rogach kołnierzyka, miała pod pachami plamy soli od zastarzałego potu. Pot spływał mu strumieniami po twarzy, rozmazywał na policzkach ciemne smugi trzydniowego tuszu do rzęs i czarnej farby do włosów.

Obojętny na szydercze docinki Lou, jego dwunastoletni brat imieniem Ryuichi, z długimi gotyckimi włosami wygolonymi na czubku jak u Johnniego, obmywał oczarem wirgińskim spoconą twarz swojego bohatera. Krople płynu kapwały regularnie na meksykańską koszulę Johnniego, brudząc ją jeszcze bardziej.

Kropiółka do glukozy wpuszczała stały strumyczek metamfe-taminy do ceramicznego gniazda w chudym nadgarstku Johnniego, a cewnik z przezroczystego plastiku wychodził przez rozcięcie u góry w nogawce spodni. Drżące palce o obgryzionych paznokciach śmigały z przerażającą prędkością nad szarą klawiaturą mitsuki, z boku znajdowała się kula manipulatora.

Pomiędzy trodami a dekiem Johnnie był wewnątrz i szukał. Tylko że „wewnątrz” nie było odpowiednim słowem. Ponieważ, dokładnie biorąc, nie można było wejść do wnętrza Cy; to, co widziałeś, stanowiło konwencję, i w dodatku retro.

Podobnie jak litery grupują się w słowa, które ustawione w szeregu pozwalają ludziom czytać, podobnie jak stowa--obrazki starożytnego Egiptu, Chin i Japonii zostały przemie-

1 B

lone i wyplute tysiące lat później, żeby stworzyć komiksy, tak samo Cy miała własne konwencje, własny kod wizualny.

Ale wiedzieć, że postrzegasz wyłącznie konwencję, i przyjmować to za twardy zimny fakt - to dwie zupełnie różne sprawy.

W tamtej chwili Johnnie utożsamiał się z Cy. Daleko w dole wisiał złoty koronkowy glob. Gdzieś za jego plecami, niewidzialna, lecz nieunikniona, znajdowała się ostatnia ściana. Granica. Choć nigdy jej nie znalazł - ani nikt inny.

Niektórzy kolesie mówili, że jazda na Cy przypomina pływanie we wnętrzu ogromnego balonu z widokiem na mniejszy w dole. Ale to był zwykły kit.

To był srebrny surfing dla technomózgów.

Tę złocistą piłkę plażową otrzymywałeś, kiedy zrobiłeś odwzorowanie jednoczesnego przepływu

całej globalnej i satelitarnej informacji, a potem usunął glob.

Patrzysz na kulę i wydaje ci się materialna, zbliżasz się i widzisz, że jest utkana z migotliwych strumieni danych, które pulsują wokół Cy niczym krew płynąca przez naczynia włoskowate. Johnnie kliknął zbliżenie. Raz, potem jeszcze raz, spadał pomiędzy liniami światła, w dół do wnętrza spletanego gordyjskiego węzła. Gdyby podniósł wzrok, jak na niebo, mógł wyliczyć znajomy zodiak infokonstelacji, które znał od dawna. Zagmatwane i skomplikowane, najjaśniejsze na krawędziach trójkąta, który łączył Edo z Londynem poprzez ciąg Boston-Atlanta.

Wyglądały tak samo jak zawsze. Ale odbierał je jakoś inaczej. Silniejsze. Bardziej przerażające. Bardziej żywe.

Johnnie wyłączył się i stwierdził, że yaki obserwują go w milczeniu. Uśmiechnął się blado i szybko wszedł z powrotem na deku, który nie był podłączony do biochipu, żeby porównać wrażenia. A jednak tak jak zawsze...

Wyskoczył i natychmiast wrócił przez pierwszy dek. Wyglądało identycznie, wydawało się cholernie zakrecone. Zmiana nie była wizualna ani nawet informacyjna. Była emocjonalna.

IB 7

Johnnie wyczuwał matrycę jako ogromną przezroczystą kopułę nad głową, zamykającą wewnętrzną pustkę, gdzie wisiał wśród strumieni danych krążących po obwodzie niczym jakiś zabójczy wiatr słoneczny.

A dalej rozciągała się inna przestrzeń. Zimna i odległa, poza granicami świetlistej mandali utworzonej przez globalną informację. Nigdy jeszcze, uświadomił sobie Johnnie, nie poczuł samych wymiarów przestrzeni informacyjnej, jej niepojętego i niezmiernego ogromu.

Pod wpływem impulsu przeskoczył do przodu, celując na dzielnicę Ninjuku centralnego Edo. Jego palce instynktownie śmigały po niewidocznych klawiszach.

Wyrosła przed nim ściana światła niczym oderwany skrawek nieba, a potem był wysoko nad liniami i jeszcze raz spoglądał z góry na mimetyczny pejzaż miasta, który był zestalonym przepływem informacji.

Z przyzwyczajenia spojrzął na dzielnicę portową, żeby określić własną pozycję. I odkrył ze wstrząsem, że wcale nie jest jak zawsze. Chociaż cienka stalowoszara piramida, która stanowiła ikonę kwatery głównej neoA, stała na swoim miejscu, żadna świetlna pępowina nie prowadziła od niej w głąb matrycy.

Był niewidzialny!

Wszystko inne znajdowało się na miejscu.

Ale jego tam nie było...

- Możecie mi naskoczyć!

Ochrypli wrzask Johnniego wypełnił zimny tunel, aż wszyscy się obejrzel i nawet mały yak zrobił zaskoczoną minę. Ale Johnnie nie widział go i zresztą miał to gdzieś.

Centrala yakuzy leżała tuż pod nim i tylko czekała: nie mógł się powstrzymać. Nabuzowany dermami i pijany z podniecenia, zanurkował prosto w ścianę zabójczego czarnego lodu.

Logika ostrzegała, że powinno go usmażyć, sięgnąć przez trody i wypalić mu synapsy w korze mózgowej. Co z tego?

1 B

Nie będzie pierwszym dżokejem obróconym w popiół przez Cy. istniały gorsze sposoby odejścia niż błyskawiczne skasowanie przy deku.

Rysy jego twarzy zastygły w maniakalnym uśmiechu trupiej czaszki, kiedy spadał jak kamień w stronę lodu. Czuł jego palenie, a potem przestał czuć. Zimny słoneczny wiatr owinał się wokół niego, a lód rozchylił się jak płatki kwiatu i znowu się za nim zamknął.

Przeszedł.

Oprócz tej pierwszej nanosekundy kontaktu, stopień A, czarny lód go zignorował. Co więcej, gładka, lśniąca powierzchnia czarnej ściany za jego plecami świadczyła wyraźnie, że lód zapomniał nawet o tym pierwszym krótkim zetknięciu.

Johnnie wyszczerzył zęby. Błyskawiczna niewidzialność wewnątrz Cy! To było lepsze niż prochy,

szybsze niż życie. Nie miał pojęcia, czy było lepsze od seksu; od jakiegoś czasu mu nie stawał, przez wizz.

Ale to przewyższało wizz pod każdym względem. Wszedł prościutko do Cy yakuzy, podczas gdy w realnym świecie dwaj yaki stali mu za plecami i patrzyli, jak jego palce tańczą po klawiaturze, i nie mieli zielonego pojęcia, gdzie Johnnie jest i co tam robi.

Wyskoczył i uśmiechnął się do nich. Obaj poważnie kiwnęli głowami i niższy zaczął mówić.

Johnnie znowu się włączył... Nie będą tym zachwyceni, ale kit im w oko.

Podjechał bliżej do strumienia danych yakuzy i patrzył, jak linie światła splatają się i rozplatają; świetne nici istniały przez cały czas, ale były widoczne tylko podczas aktywacji.

Coś dużego odbywało się pomiędzy centralą yakuzy w Edo a chińskim bankiem holdingowym w ciągu Boston-Atlanta. Johnnie dokleił się i zaraz odskoczył, spocony jak mysz.

Nie potrzebował wiedzieć takich rzeczy. Lubił żyć.

Informacja wchodzi, informacja wychodzi. W uproszczeniu, ponieważ jedno i drugie zachodziło równocześnie, ale przepływ danych zawsze robił na nim cholerne wrażenie, już odkąd zdobył swój pierwszy pęknięty cyfi dek Zanussi z trzeciej ręki, cały z chromu i matowego czarnego plastiku.

Najlepszy numer, że czarny mat znowu wchodził w modę. Coś w rodzaju retro-retro-retro.

Johnnie już chciał stamtąd wyjść, przez lód do jakiegoś mniej groźnego miejsca, kiedy na skraju pola widzenia zauważył węzową neonową linię. Gdy skupił na niej wzrok, zniknęła.

Próbował patrzeć na nią, nie patrząc, aż zaczęło go łupać w głowie. A jednak coś widział. Ktoś przeprowadził linię do centrali yakuzy. I bardzo się starał, żeby zrobić ją niewidzialną.

Nasuwało się pytanie, czy dokleić uchwyt, a jeśli tak, czy warto ryzykować? Yakuza była niebezpieczna, każdy dzieciak z ulicy o tym wiedział, ale spłacała swoje długi równie skrupulatnie, jak ściagała należności. Jeśli to przetnie, zdobędzie sporo punktów na swoją korzyść. Może nawet życie.

Nieprzelamywalne nie istnieje, jeśli w grę wchodzi kody. Niektóre szyfry po prostu są trudniejsze od innych, co znaczy, że mając dość czasu, mógł się podczepić pod to połączenie, może nawet wysledzić jego źródło.

Jeśli lód wcześniej go nie zabije.

Johnnie zaczął rozważać swoje opcje, wisząc w przestrzeni wewnętrznej niczym dziecko w łonie matki. Jeśli wygra, wyrwie się z kieratu. Z wystarczającym kredytem, żeby żyć legalnie. Jeśli przegra, jest załatwiony, ale w końcu każdego przywódcę ulicznego gangu, który przekroczył dwadzieścia pięć lat, można spisać na straty.

Jedyny kłopot, że nigdy jeszcze nie próbował czegoś takiego. Cholera, podejrzewał, że nikt nie próbował. Tak naprawdę potrzebował dobrej rady...

- Hej, Johnnie, kolego.

170

Johnnie obrócił się gwałtownie i ujrzał uśmiech, który zobaczył po raz pierwszy w wieku jedenastu lat na odwrocie importowanej płyty kompaktowej.

Ciemne okulary podsunęte na długie czarne włosy, czarna skórzana kurtka, czarne dzinsy, czerwony stratocaster zarzucony na plecy jak zabójcza katana. Facet uśmiechnął się leniwym, swobodnym uśmiechem, który nie dotarł do ciemnozielonych oczu.

- Potrzebujesz pomocy, koleś?

Johnnie wyptaszczył na dwadzieścia osiem sekund, zanim Ryuichi zdołał zerwać mu z głowy dymiące trody i przycisnąć kieszonkową maskę tlenową do ust i nosa.

Kiedy Ryu trzymał maskę, ignorując bąble od oparzeń na wewnętrznej stronie dłoni, Lou pospiesznie wsadził wtyczkę do chirurgicznie wszczepionego gniazda w klatce piersiowej Johnniego, a potem wydobyl tyle mocy ze starego defibrylatora Matsui, żeby odpalić dwie elektrody już zamocowane po obu stronach serca Johnniego. Nikt nie dawał gwarancji na wypłaszczenie, ale ktoś przewidujący i z forsą mógł zastosować rozsądne zabezpieczenia.

Trzy wstrząsy później serce Johnniego, bryła mięsa rozmiarów pięści, zadygotało i chociaż takie prymitywne, opornie zaczęło pompować krew. Ryuichi natychmiast przeprowadził całkowitą transfuzję, używając mieszanki plazmy i wysterylizowanej zamrożonej krwi, którą Johnnie pobrał

od siebie samego na wypadek takiej konieczności.

Dwaj yaki wyglądali na bardzo niezadowolonych z Johnniego, kiedy wreszcie chwiejnie wstał z leżanki. Zły znak. Okazywanie emocji traktowano jak stratę pozycji.

Johnnie starł z twarzy głupi uśmiech, spojrział na nich i próbował się uklonić, lekko spuszczać niebieskie oczy. W odpowiedzi ograniczyli się do najkrótszego kiwnięcia głową.

171

Szeroko otwarli oczy, kiedy Johnnie doczłapał do deku i natychmiast włączył się z powrotem, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać.

Ciszę podziemnego tunelu maćił tylko uparty klekot odbieranego faksu i jaszczurcze trajkotanie modemu Della. W górze mrugały świetlówki. Energię elektryczną ściągali prosto z prywatnej linii Niponshi, ale instalacje były prymitywne, odratowane ze śmieciarek i wyszabrowane z opuszczonych fabryk. NeoA podnieśli bricolage do rangi sztuki.

Skórzana Kurtka czekał.

- Jestem Johnnie - powiedział Johnnie z nadzieją, że to nie zabrzmiało zbyt głupio.

Przezroczysta postać w okularach i skórzanej kurtce przechyliła głowę.

- Ach tak? - powiedziała. - No, a ja jestem Makai... Uważaj na tego małego yaka. To wredny skurwiel.

- Makai, profesor Makai?

Jak ptasi blox myślowy, jego przepustka z Edo... Johnnie był zaszokowany w widoczny sposób.

Poza wszystkim ta zjawia przecież nie mogła wiedzieć, co się dzieje na zewnątrz.

- Mały yak jest najwyższym oyabunem - wyjaśnił duch w skórzanej kurtce. - Prezesem Stowarzyszenia Zimowej Wiśni. Tylko krańcowa konieczność mogła go zmusić do wyjścia w teren. Johnnie nie potrzebował nic więcej. Do tej chwili myślał, że ten człowiek istnieje tylko w ulicznej legendzie. Powiadano, że ta ranga stanowiła ucieleśnienie władzy. Oyabun yakuzy musiał tylko wydać rozkaz, aby jego kobun umarł bez szemrania.

- Od piętnastu lat nie widziano go poza murem posiadłości - ostrzegł duch. - Ale pięć dni temu poradził się wyroczni i wyrocznia kazała mu odwiedzić cię osobiście.

- Dlaczego?

1

Duch wyszczerzył zęby.

- Może rozmowy z mewami to będzie następny wielki hit!

NeoA i yakużę dzieliła przepaść znacznie większa od geograficznej. Tworzyło ją kilka warstw społecznych i nieskończone odcienie statusu.

Dostojnik yakuzy mógł zauważyć neoA tylko wtedy, gdyby ten wszedł mu w drogę i gdyby należało go usunąć. W zasadzie żaden yak, poza ulicznymi żołnierzami najniższej rangi, nawet nie odróżniał jednego gangu od drugiego.

Skórzana Kurtka spojrział znacząco na jaskrawe neonowe wieżowce informacji i grube pulsujące pasma danych, które wciąż łączyły Edo z tajwańskim bankiem holdingowym w ciągu Boston-Atlanta. Niewyobrażalnie olbrzymie ilości kredytu pospiesznie przechodziły z rąk do rąk.

- Na jego miejscu ty też osobiście dopilnowałbyś interesu, kurwa. Nawet za cenę spotkania z jakimś durnym ulicznym punkiem, który nie potrafi znaleźć lepszej kryjówki od rynsztoka.

- Ale jak mnie znaleźli? - zapytał Johnnie, zanim wyciągnął trody. Skórzana Kurtka nie odpowiedział. Johnnie zrozumiał, że Makai nie musi odpowiadać. Każdy z funkcjonującą chociaż potową mózdzku mógł się domyślić, że sam Makai stanowi odpowiedź. - Szacunek - wymamrotał Johnnie, skupiając całą uwagę na mniejszym yaku. Z trudem opanował drżenie. Pocięła go tylko świadomość, że oyabun nie wiedział, że Johnnie wie.

Nie dawało mu spokoju natrętne wspomnienie faktu, że próbował rozwalić małemu yakowi głowę za pomocą nunczaku. Miał szczerą nadzieję, że oyabun nie żywi do niego urazy.

Lou trzymał się z tyłu i obserwował Johnniego oraz dwóch yaków z niezdrowym zainteresowaniem. Johnnie nie miał wątpliwości, że Lou ciężko główkuje, jak wyciągnąć z tej sytuacji korzyść dla siebie. To aż biło w oczy, zupełnie jakby

gnojek wysprejował swoją ofertę na murze albo dat ogłoszenie w „Japan Times”.

No, sprawa jeszcze nie jest przegrana. Johnnie wziął głęboki oddech, uspokoił nerwy i spojrzał małemu yakowi prosto w oczy. Miał tylko jedną szansę, żeby wszystko wyprostować. Ale to mu wystarczy, wiedział o tym. Ktoś wysysał z nich krew, a on - jeden jedyny, najlepszy z neoA - znał rozwiązanie.

- Program wampir - powiedział przepaszającym tonem. - Wasi wrogowie was wykrwawiają. Odsączają kredyt, który przepływa pomiędzy Edo a ciągiem. Na pewno to wiecie.

Zaden yak nie odpowiedział. Lecz oczy oyabuna zwięziły się w szparki, chociaż sam tego nie zauważył, a ręce nagle zwisły luźno po bokach. Widocznie zaczynał jako uliczny samuraj, pomyślał Johnnie. Czyli był całkiem dobry, kurwa, więcej niż dobry, skoro zaszedł tak wysoko i pozostał przy życiu.

To zrobiło na Johnniem wrażenie. Prawie tak silne, jak jedyny palec lewej ręki odcięty w stawie, akt yubitsume. Przez całą drogę od ulicznego samuraja do oyabuna popełnić tylko jeden błąd, który wymagał takiego aktu skruchy - to świadczyło o dużej klasie.

- Kto? - zapytał niski yak głosem ochryplym z emocji. Żyła na jego skroni wystąpiła jak podskórny implant i pulsowała w rytm uderzeń serca.

- Nie wiem - przyznał Johnnie.

- Więc się dowiedz - warknął yak.

- Mogę.

Johnnie odpowiedział gładko, o wiele za gładko. Nagle stracił swój uliczny przeciągły akcent.

Wszyscy wlepili w niego oczy. Zwłaszcza Lou. Tym gorzej. Johnnie zamierzał załatwić sobie prawdziwe życie i Lou w żaden sposób nie zabroni mu odejść z towarem. Może nawet zabierze ze sobą Ryu.

- Mogę zatruć krew, nastraszyć wampira - zaproponował głosem starannie wypranym z emocji.

U

Stalowszare oczy wpiły się w jego twarz, jedna brew uniosła się nieznacznie.

- Wirus - podsunął beznamiętnie Johnnie.

- Zabójczy?

Johnnie przytaknął.

Wargi oyabuna drgnęły, pulchna upierścieniona dłoń niecierpliwym gestem rozkazała przywódcy gangu wziąć się do roboty.

Pomimo oślepiającego bólu głowy i gwałtownego ataku dreszczy Johnnie odetchnął z ulgą.

Skórzana Kurtka miał rację. Yaków można podpuścić.

Z pokerową twarzą, ukrywając podniecenie, Johnnie przedstawił im swój plan. W uproszczeniu.

Yaki nie mieli czasu dla dżokejów.

Kiedy potrzebowali know-how, kupowali je - za zielone, wizz lub rozgrzeszenie. Dżokejów i gangi tolerowali jako zło konieczne, nic więcej.

Niemniej Johnnie widział wyraźnie, że oyabun połknął przynętę. Tłumacząc yakom swój plan, starał się nie okazywać zmęczenia. Nie-dżokeje nie mieli pojęcia, jaka wyczerpująca jest Cy.

Zapadło milczenie. Johnnie wyczuwał, że yaki milcząco rozważają jego propozycję. Wymienili błyskawiczne spojrzenia, a potem niższy zabrał głos.

- Jak się dowiemy, kto nas wysysał? - zapytał.

Johnnie uśmiechnął się.

- Rozglądajcie się za zwłokami.

To podziałało. Nawet lepiej, wywaliło dziurę w Cy i skasowało całą wirtualną archeologię sieci w jednym spektakularnym wybuchu straconych danych.

Johnnie podłączył płaski ścienny monitor, żeby wszyscy obejrzeni przedstawienie. Wszedł do środka, żeby wykonać połączenia, a potem wyszedł, żeby nacisnąć klawisz.

Podłączył swój uchwyt prosto do najbardziej zabójczego lodu Berlińskiego Zarządu Fuzji.

Powstrzymał napór, a potem

wypuścił, kiedy ciśnienie za blokadą dostatecznie urosło. Fala runęła przez uchwyt, błysk światła pędzący z szybkością informacji przez Cy, dopóki nie uderzył w raj danych Chinatown w San Francisco.

Wszystko skończyło się w sekundę. Biliony kredytu wymazane z sieci, megabajty gigabajtów informacji, złącza i pamięć wyczyszczone w pojedynczym rozbłysku energii.

Każdy próbujący wykrzyć, co się stało, musiał dojść do nieprawdopodobnego wniosku, że Berlin właśnie rozwalił holding Triady.

Nic nie wskazywało na związek z yakuzą.

- Szacunek - powtórzył Johnnie. Z najwyższym wysiłkiem powstrzymywał się od uśmiechu. Oyabun uśmiechnął się ponuro, sięgając do wewnętrznej kieszeni eleganckiego szarego garnituru. Lou z napięciem obserwował całą scenę. Johnnie mógł przysiąc, że ten mały kutas wstrzymał oddech.

Wciąż z uśmiechem oyabun wyciągnął rękę i kciukiem odsunął bezpiecznik na małym, eleganckim szarym rewolwerze. Pękata lufa celowała prosto w głowę Johnniego.

- Świat idzie naprzód - powiedział cicho Lou z boku. - Style się zmieniają. I tak na to czekałeś.

Przywódca gangu spojrział z niedowierzaniem najpierw na Lou, potem na uzbrojonego yaka.

Turkusowe oczy Johnniego napotkały zimny szary wzrok starszego oyabuna i Johnnie zadygotał.

Nagle przestał widzieć cokolwiek poza czarnym natrętym kółkiem lufy.

Drań nie tylko zamierzał go sprzątnąć, chciał go rozwalić własnoręcznie. Teraz już za późno, żadna oferta Johnniego nie przerwie odliczania.

Na ułamek sekundy przed wystrzałem oyabun lekko przesunął ramię i chrząknął z satysfakcją, kiedy kula kalibru 22 trafiła Johnniego w serce.

IR. mnrtdiEU Li

Maxine patrzyła na ekran; nie mogła się powstrzymać. Chociaż wcale nie chciała oglądać tego, co widziała. Wcale. Łzy spływały bezgłośnie z jej spuchniętych oczu, ale nie płakała nad sobą, stwierdziła gniewnie, płakała nad Razz.

Nie miała żadnej innej przyjaciółki, a teraz, kiedy pan Różaniec wyjechał, Razz była zbyt zajęta robieniem z siebie idiotki, żeby odwiedzić Maxine. I Boże, naprawdę zachowywała się idiotycznie. Razz uśmiechała się. Niezbyt miło. I mówiła coś, co Maxine rozpoznała jako rodzaj żargonu.

- No, facet - zagadnęła obserwującego ją chłopca - jak twoje dzidzi?

- Co?

- Dziidzi - Razz wyszczerzyła zęby i rozłożyła ręce, pokazując coś małego. Zaostrome czerwone paznokcie błyszcząły od metalicznego lakieru. - Wiesz, co to dzidzi? - zapytała drwiąco. Chłopiec z irytacją wciągnął powietrze przez zęby. Przed dwudziestką przeszczepił sobie załączki zębowe i przy każdym grymasie odsłaniał ostre górne kły Drakuli. Wszystko w nim mówiło „gwiazdor”, od pojedynczego rubinowego ćwieka

w uchu do mandali wygolonej w krótko ostrzyżonych czarnych włosach. Był gońcem pana Różańca i Maxine zauważyła go już wcześniej, ale Razz nigdy się nim nie interesowała.

- Nii mom dzidzi - odparł. Gniewne ciemne oczy ostrzegły Razz, żeby się nie sprzeciwiała.

- Nii? - powtórzyła Razz. - I nii mo matki dzidzi?

Szyderczo potrząsnęła głową, krótkie naoliwione dredloki

zachybotaty powoli jak kolce jeżozwierz. Ubrana była do walki albo dla efektu. Srebrna skóra jej twarzy i ramion błyszcząca mocno od śliskiego żelu, jakiego używali ochroniarze, żeby lepiej uwydatnić mięśnie i utrudnić przeciwnikowi chwyt.

Miała na sobie nanitowy top utkany z przejrzystej pajęczyny, zmodyfikowanej genetycznie i zawierającej włókna boru. Tkanina odbijała każde ostrze. Natomiast jako okrycie nie-bardzo się sprawdziła. Najwyżej dodatkowo podkreślała krągłości i mięśnie Razz, pomyślała Maxine.

Co nie znaczy, że Razz potrzebowała takich sztuczek. I tak miała zabójcze kości policzkowe oraz płynne, starannie kulturowane ruchy kosztownego drapieżcy.

- Nii mo dzidzi? - Rozciągnęła pytanie, jakby smakowała każde słowo. I patrzyła z wystudiowanym spokojem, jak rozszoszczony chłopak robi krok w jej stronę.

Wojownicza postawa nie uszła jej uwagi.

- Noo - szeroko rozłożyła ręce - jak tam dzidzi?

- Moje nii dzidzi - ustąpił nagle chłopak, przyznając się do porażki, mimo woli dumny.

Opuścił rękę na wysokość kolan i uśmiechnął się. - On już taki duży.

- Wyjście - rozkazała Maxine z łóżka i patrzyła, jak stary ścienny ekran toshiby przerywa wideopłączenie i automatycznie przestawia się na przedpotopowy wygaszacz z falami tłukącymi o bretońską plażę.

Przy zaledwie 64 bitach morskie bałwany były bardziej stylizowane niż realistyczne, ale Maxine nie oglądała pejzażu,

17f1

chodziło jej o podkład muzyczny z nawiedzonym utworem na harfę, Marv Pontkalleg. Celtycka harfa zawsze pomagała Maxi-ne opanować rozbuchane wizje w głowie. Szkoda tylko, że nie mogła ukoić tęsknoty w brzuchu...

Zanim nadeszły koszmary, Maxine zawsze potrafiła uciec w muzykę lub marzenia. Wywołać z wnętrza głowy miejsce bardziej rzeczywiste, czystsze, chłodniejsze od wszystkiego, co świat mógł ofiarować albo CySat odważył się wrzucić do programu.

Lecz bez prostoty swoich marzeń jak mogła wytrzymać rygor i nudę egzystencji samotnego dziecka w Hotel Sabatini? Jeżeli zamknięcie za kuloodpornym pleksiglasem w przeładowanym ozdobami, pozłacanym więzieniu w stylu Ludwika XIV, z dziadkiem i Philippe'em, liczyło się jako samotność. Niewdzięczne słowa. Maxine wiedziała o tym, ale nic nie mogła poradzić. Odrzuciła włosy do tyłu i natychmiast poczuła się śmieszna, chociaż nikt nie widział jej smutku i gniewu. W tej części domu nie było nikogo.

Ze złością kazała toshibie przywrócić wizualne połączenie. Bezwstydnie podglądała. Szpiegowała Razz, więc powinna się spalić ze wstydu, ale nawet się nie zaczerwieniła. Robiła to od tak dawna, że już się przyzwyczaiła.

Według dziadka, pana Różańca, Philippe'a i Razz oryginalne domowe kamery wysiadły już dawno, podobnie jak starożytne urządzenia poczty pneumatycznej czy trochę bardziej nowoczesny system e-maila. Może dla nich systemy nie działały, ale działały dla Maxine. Kiedy mówiła do domu, dom zawsze odpowiadał.

Maxine przygryzła dolną wargę. Przeszukała w domu wiele zakamarków, do których nie powinna zaglądać, czasami dziwnych, czasami jeszcze dziwniejszych. Kilka pokoiów obejrzała tylko przez wewnętrzne kamery, inne, bardziej interesujące, zwiedziła osobiście. Lecz zdecydowanie

17

najważniejszy był gabinet dziadka na drugim piętrze, z wysokim oknem wychodzącym na dziedziniec i kręte uliczki Dzielnicy Łacińskiej nad brzegiem rzeki.

Dziadek był zbyt staroświecki, żeby używać inteligentnych zamków. A ona wiedziała, że zapasowy komplet kluczy do gabinetu znajduje się w małym saloniku na parterze, ukryty w pustej pokrywie ogromnej kremowo-błękitnej chińskiej wazy, która niegdyś należała do • Ludwika XIV. Znalazła klucze pewnego samotnego popołudnia, kiedy miała dziesięć lat.

- Wizja - poleciła Maxine i patrzyła, jak szary ekran budzi się do życia. To był błąd. Chudy czarny chłopak wsadził rękę z przodu za ultrazamszowe levisy Razz, a wyraz intensywnego skupienia na jej twarzy świadczył, że nie zamierzała protestować.

Maxine wiedziała wszystko o grze wstępnej ze swojego ukradzionego CD z Napoleoniką.

Wiedziała, do czego służy

- do nawilżenia. I z czego wynika - z instynktu. Po prostu nie potrafiła sobie wyobrazić, jakie to uczucie, i za bardzo się wstydziła, żeby sama się dotknąć na próbę.

Karta dźwiękowa ściennego ekranu przekazywała urywany oddech Razz w zbyt doskonałej wersji stereo. Z każdą chwilą coraz głośniejszy i bardziej urywany. Zirytowana Maxine kazała toshibie

wyłączyć dźwięk. I patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak teraz milcząca Razz gwałtownie szarpie wielką srebrną klamrę na skórzanym pasku chłopca.

Przepaść pomiędzy Maxine a Razz nie ograniczała się tylko do kilkuletniej różnicy wieku, nawet Maxine o tym wiedziała. Po swojej stronie miała pozycję społeczną i wykształcenie. Razz ze swojej strony dysponowała augmentacją egzotyka

- i doświadczeniem. Maxine nie była taka głupia, żeby zakładać, iż wszystkie doświadczenia - czy nawet większość

- były pozytywne.

iaa

Siedziała na łóżku objawszy kolana ramionami i kołysała się w przód i w tył, ani na chwilę nie odrywając brązowych oczu od cichego ekranu. Razz wypełniała świat Maxine, na dobre czy złe. I Maxine nie miała pewności, czy podoba jej się taka sytuacja. Ale z drugiej strony nie podobało jej się wiele rzeczy, na przykład wiadomość, że Paryski Rozpruwacz znowu zabił.

Pisano o tym w artykule wstępnym porannej ściągniętej z sieci edycji „Le Monde”, którą znalazła na biurku dziadka w gabinecie. Morderca zostawił świeże, ale już gnijące zwłoki prostytutki na stopniach katedry Notre Dame. Smród zaalarmował policję.

Na kolorowym polikrystalicznym ekranie toshiby Razz bezgłośnie podrygiwała na krawędzi pustego kuchennego stołu. Pajęczynowy top miała podciągnięty wysoko nad piersi. Z szeroko rozwartymi kolanami i ustami, z głową odrzuconą do tyłu wyglądała jak kościelny posąg świętej Teresy.

Nagi teraz chłopiec poruszał się między jej nogami, jego plecy błyszcząły od potu, głowę przekręcił na bok, łączywie szukał wargami jej małych srebrnych sutek. Kopulacja wyglądała mniej obrazowo niż conocna porcja dzieci i psów emitowana z Holandii. I znacznie mniej drastycznie niż rytuały zbliżeń oferowane w budkach z holopornosami na rue St. Denis. Ale Maxine tego nie wiedziała.

Z furją krzyknęła na ekran i zawiesiła system. Wystarczy tego dobrego, jak by powiedziała Razz. Maxine tego nie potrzebowała.

Tylko że potrzebowała. Otwarte usta Razz. Srebrne umięśnione ciało twarde jak stal. Maxine nie mogła odepchnąć tego wspomnienia. Szlachectwo i wiedza nic nie znaczyły. Nawet jej moce, nad którymi Maxine prawie się nie zastanawiała, nie miały większego znaczenia. Liczyła się Razz. Razz, która pod każdym względem stanowiła przeciwieństwo Maxine - żywa, niebezpieczna, obdarzona ulicznym sprytem.

1B1 -

Żywa. Pewna siebie.

Gorszy od kipiącego gniewu na samą siebie i naglej zimnej pogardy dla własnej słabości był nowy, dotkliwy ból między nogami. Maxine nie musiała badać własnego serca, żeby wytłumaczyć to uczucie: najwyraźniej głód wreszcie ją dopadł. Maxine była zakochana.

Dział Napoleoniki dotyczący psychologii dziecięcej, ze starannie ujednoczoną mieszanką opinii ekspertów i propagandy, powiedziałby jej, że dzieci przestrzegają surowszych zasad moralnych niż dorośli. Ale tego Maxine również nie wiedziała.

Nieopanowany szloch wstrząsnął jej ciałem w dzikim spazmie odprężenia. Maxine mocniej objęła kolana i zwinęła się w ciasną, rozkołysaną kulkę. Życie było stanowczo zbyt skomplikowane i nawet Razz za bardzo zajęła się dorastaniem, żeby jej pomóc.

Maxine nieświadomie przywołała obraz Razz, jej przekłutych srebrnych sutek, twardych małych piersi i zwartej umięśnionej talii, która wydawała się raczej wytrenowana niż szczupła. A potem przypomniała sobie własne ciężkie biodra i brzydka, miękka wypukłość brzucha, i znowu wybuchnęła płaczem.

\ 1

ED. Świt uj m'diniE

Alex Gibson ocknął się na ulicach M'diny, z wykasowaną pamięcią i nagi - bez jednego oka, jednej nerki i połowy wątroby. Ubranie leżało obok niego rzucone na brudny stos. Pierwsze, co poczuł, to kolce wbite w dłonie i stopy, tylko że nie było żadnych kolców. Natomiast były rany po nakłuciach. Otwarte i krwawiące, pokryte grubą, lśniąca, ruchliwą warstwą uczujących much.

Siedząc na wytartych kamiennych stopniach bazyliki św. Michała w najbogatszym niegdyś mieście północnej Afryki, pomachał okaleczonymi dłońmi, ale muchy dalej się trzymały, mocno wczepione zagiętymi nóżkami w jego brudną skórę.

- Spadajcie! - krzyknął. Ale one wciąż się trzymały.

Przesunął ciężar ciała na kolano, które zostało brutalnie złamane i jeszcze gorzej naprawione, zaklął ordynarnie po arabsku i bez namysłu klasnął w dłonie. Na mgnienie udało mu się odpędzić muchy, zanim oślepiający ból pozbawił go przytomności.

Wokół jego bezwładnego ciała starożytne autotaksówki M'diny trąbiły i walczyły o miejsce, i nadal w żółwym tempie wspinały się na wzgórze Ifrigiyah, miały marmurowe frontony klimatyzowanych biur „Time Warner” i pęzły w stronę góręjszej,

1 B3

tańszej archeologii z szarego betonu, która mieściła miejscową kolekcję pomniejszych kompanii produkcyjnych sieci.

Bystrzy młodzi Arabowie w luźnych lnianych garniturach, z gruszkowatymi pertami w uszach i kucykami, którzy nie byli tacy bystrzy ani młodzi, kiedy podeszło się bliżej, szybko maszerowali do pracy i zatrzymywali się w alei Idrisid na obowiązkowe cappuccino i świeżego croissanta z „paryskich” ulicznych straganów.

Z tymi medialnymi maniakami dzieliły chodnik kinder-kurwy. Chude od amfetaminy nieletnie striptizerki z południowej Hiszpanii, niedbale obsceniczne w złotych legginsach tak obcisłych, że mogłeś czytać z warg, i nadąsani portugalscy chłopcy do wynajęcia, których depresja wypędziła na południe, pracujący dla podstarzałych brutalnych alfonsów z Kampanii, zazdrośnie przykucniętych nad flaszkami metadonu. Tatuże camorry bładły pod krostami na ich ramionach, pokrytych bliznami po mięsachach.

Jeżeli wolny port M'dina stanowił złote jabłko Maghrebu, to nędzny dolny kraniec Idrisid w pobliżu doków stanowił kloakę M'diny, a alfonsi i bandyci byli jak muchy rojące się na krawędzi i nie zważające na smród.

Alex Gibson nie pamiętał, gdzie jest. Nawet kiedy obudził się po raz drugi. Ale wszystko wyglądało dla niego oszałamiająco świeżo, pomimo upału i kurzu. Za jego plecami stała bazylika

0 pociesząco znajomym kształcie, tylko ściany miała z wybielonego słońcem północnoafrykańskiego tynku, zamiast z czerwonej londyńskiej cegły, jakiej się spodziewał. Niebo nad głową jaśniało czystym lazurem, ani jednej chmurki w zasięgu wzroku.

1 ani jednego ptaka, tylko niemożliwie maleńkie srebrne samoloty, jeźdźcy fali wstrząsowej, która pokreśliła wysoki błękit siatką smug kondensacji, cienkich jak białe bawełniane nici.

1 BU

Lekkie drganie gorąca unosiło się z brudnego chodnika. W pełni lata asfalt rozgrzeje się dostatecznie mocno, żeby parzyć skórę, teraz jednak był tylko ciepły, nawet w południe. Późna wiosna w M'dinie traktowała wszystkich łagodnie, nawet żebraków.

Jeżeli nawet prosty, wzmocniony krzyk z odległego minaretu, wznoszący się i opadający niczym lament staruszki, dotarł do uszu Alexa, w najmniejszym stopniu nie zmienił wyrazu jego chudej, pociętej bliznami twarzy. Ani twarzy innych ludzi. No, ale to była M'dina - wierni już odmawiali modlitwę. Wszyscy inni byli zbyt zajęci, żeby zwracać sobie głowę.

W stronę Alexa szła osadniczka o skórze pomarszczonej i wygarbowanej na mahoń przez lata ostrego słońca. Mamrocząc do siebie, stara kobieta ostrożnie ominęła czarny plastikowy worek na śmieci i zobaczyła, że drogę do kościoła zagradza jej skulony nagi włóczęga. Alex bezmyślnie wyciągnął dłoń, wnętrzem do góry.

Zirytowana siostra Maria Begley niezręcznie pogrzebała w torebce, szukając kredytowego chipu, ale nie za dużego. Ci wszyscy żebracy żądali więcej, niż mogła sobie pozwolić. A jednak jałmużna to dzieło Boże, nawet jeśli jej skromne datki wystarczały tylko na najtańszy przemysłowy alkohol,

który wlewali sobie prosto do gardła.

Siostra Begley gniewnie wzruszyła ramionami i upuściła prawie opróżniony chip na brudną zebrzącą dłoń. A wtedy zobaczyła znaki Naszego Pana. Wyraźne jak słońce, nawet dla jej zmęczonych oczu.

Młody Arab zaklął ze złością, kiedy siostra Begley pospiesznie odstepiła na bok i potrafiła go niechęć. Potem spojrział tylko raz na jej habit i splunął na dodatek. Nic nowego dla siostry Begley. Zakonnice nie były popularne w M'dinie, ale przynajmniej je tolerowano. Gdzie indziej fundamentalisci i bezwzględna policja wypędzili je prawie ze wszystkich nadbrzeżnych miast Afryki Północnej.

1B5

Przez sekundę siostra Maria spoglądała prosto w pokiereszowaną twarz i samotne, umęczone niebieskie oko nagiego, rannego żebraka. To był błąd. Zanim zdążyła się powstrzymać, upadła na kolana i obrzygała stopnie kościoła.

Powinna się wstydzić, ale wstrząs był zbyt silny - podobnie jak ulga. Przez całe życie wierzyła szczerze i prawdziwie, najpierw w Kościół papieski, potem w Kościół Genetyków Chrystusa. Wreszcie jej wiara została nagrodzona. Otrzymała to, czego zawsze najbardziej pragnęła: znak, prawdziwy, niewątpliwy znak.

Maria Begley wycofała się z płaczem, zabierając ze sobą nie nagość Alexa Gibsona, smród i zaskoczona twarz, zmierzwiłone włosy i brodę upstrzoną resztkami jedzenia, lecz wspomnienie jego uniesionych, pokrytych muchami stygmatów i jego oczu. Jedno jak czarna dziura wydłubana w szkieletowej twarzy, drugie czyste, błękitne i zdumione. Oko, które spojrzało na Marię Begley, jakby była pierwszą istotą ludzką napotkaną przez żebraka.

- Słodki Jezu Nazareński.

Nie całkiem rozbudzony tuareski ksiądz sprawdził cyfrowy odczyt na zegarku obok łóżka i znowu zaklął. Pora lunchu - a on przykazał gospodyni, żeby nikomu nie pozwoliła go budzić przed kolacją, kiedy to wielbny doktor Volubilis zwykle zaczynał swój dzień pracy. Albo ktoś umierał, albo Safona znowu ma kłopoty z policją.

W końcu ile razy może wyciągać za kaucją rozpolitykowaną córeczkę swojej gospodyni, zanim wreszcie walnie głową w mur? Zresztą gdyby nie był Genetykiem, natrafiłby na ten mur dużo wcześniej. Ale na szczęście dla Safony mufti M'diny lubił Kościół Genetyków. I nic dziwnego. Bóg wie, że dosyć mu płacili za ochronę.

ibe

Volubilis znowu zaklął, po czym uderzył w przycisk wizji na swoim widfonie.

- Słucham - rzucił kwaśno.

To nie była Safona, jej matka Etta ani religijna policja muftiego. Przed soczewką kamery stała stara zwariowana irlandzka zakonnica, siostra Maria Begley. Widział, jak gorączkowo porusza ustami. Guzik „dźwięk” przyniósł jej głos, skrzeczący do niego przez porządnie zużyta kartę dźwiękową panasonica.

- Ojczy? To ty? Śpisz?

- Spałem - burknął Volubilis i sięgnął po stary bawełniany szlafrok. Po namyśle zrezygnował, wciągnął świeże lewisy 501 i narzucił przez głowę obszerny podkoszulek z napisem BÓG OŻYJE. Potem klepnął otwartą dłońią w nowiutki czytnik Matsui i polecił komputerowi bloku operacyjnego, żeby od-ryglował drzwi na dziedziniec.

Stara kobieta poczłapała po wyszorowanym bruku dziedzińca prosto do klimatyzowanego chłodu kuchni. Czekala już na niego, siedząc za stołem, kiedy wszedł; zmarszczyła brwi tak potępijąco, że Volubilis prawie się zatrzymał. Chodzi o te nowe lewisy, pomyślał z irytacją. Od swojego kapłana oczekiwała co najmniej ciemnego garnituru, a najlepiej ciężkiej wełnianej sutanny. I skoro o tym mowa, pewnie chciała, żeby zwracał się do niej „siostrzo”.

Wielbny doktor Volubilis nie dla wszystkich stanowił ideał księdza. No, ale przysłał go generał-audytora, więc to im musi wystarczyć. Nie jego wina, że był również wojownikiem Tua-regiem w mieście pełnym Arabów o oliwkowej skórze, niebieskookich Berberów z gór Riff i gderliwych, zubożałych francuskich colons.

Westchnął znacząco i kiedy siostra Maria nie patrzyła, ukradkiem zgarnął z tacy na stole kilka tabletek betaB. Popił je szklanką schłodzonej wody Evian z kuchennego zbiornika

167

Brauna. Potrzebował paru minut, żeby świat znieruchomiał, ale kiedy blokada podziałała, poczuł się dobrze.

- No więc - zapytał energicznie - w czym kłopot?

Zanim siostra Maria skończyła, pożałował, że zapytał. Oczywiście musiał pójść sprawdzić, znaleźć jej cudownego krwawiącego żebraka. Nie dlatego, że ten człowiek nosił stygmaty Naszego Pana, ale ponieważ był ranny, a Genetycy byli zakonem medycznym.

Volubilis był praktycznym, pragmatycznym człowiekiem. Najlepszym chirurgiem na roku w École de Médecine na Sorbonie. Przesady tylko go drażniły, podobnie jak większość kapłanów w tych czasach. Ale jeśli historia starej Irlandki jest prawdziwa, pomyślał, co wtedy? Jeżeli stygmaty tego człowieka to więcej niż zwykła sztuczka, żeby oskubać naiwnych? Kościół Genetyków Chrystusa interesował się wyłącznie absolutną, obiektywną, naukową prawdą.

Odprawiwszy siostrę Marię z westchnieniem i wymamrotanym błogosławieństwem, Volubilis wrócił do swojego pokoju, żeby się przebrać. Zapiął rzepami na szyi koloratkę i napierśnik, które częściowo przykrył starą luźną dżelabą, sięgającą prawie do ziemi.

Dżelaba miała podszewkę z nano-wytworzonego jedwabiu, który owijał się wokół każdej kuli trafiającej w ciało i nie tylko hamował balistyczny spin, ale także ułatwiał wyjęcie kuli przez pociągnięcie za nitki. Pomysł nie był nowy; Mongołowie stosowali coś podobnego przeciwko strzałom w trzynastym wieku.

Volubilis nosił proste, zapinane na pasek sandały z neopre-nu. Tylko z bliska można było zobaczyć, że podeszwy sandałów są nabijane ciemnymi mosiężnymi nitami, a wtedy z reguły było już za późno. Umiejętności nabyte przez Volubi-lisa w Paryżu nie ograniczały się do medycyny. Ciemną stronę kick boxingu poznał w tajskiej sali gimnastycznej w St. Denis.

iaa

Kościół Genetyków Chrystusa nie miał żadnych zatargów z muftim M'diny - bynajmniej. Ale Front Dżihad infiltrował państwo M'dinę od dziesiątków lat i chrześcijańscy księża - nawet bogaci Genetycy - często kończyli z poderżniętymi gardłami. Chociaż gardła podrzynano nie tylko księżom czy nawet chrześcijanom; intelektualiści wszelkich orientacji od dawna stanowili tradycyjne cele przemocy.

W ramach dodatkowego zabezpieczenia Volubilis wetknął pod szatę mały colt automat i wrzucił do kieszeni osiem dodatkowych metalowych strzałek oraz krucyfiks na szczęście. Potem połączył się przez sieć z Zurychem i wykupił dodatkowe całodzienne ubezpieczenie na wypadek, gdyby musiał zboczyć z głównej ulicy.

Alex Gibson nawet nie zauważył nadchodzącego księdza. Zmysły miał przeciążone, kręciło mu się w głowie od gęstego fetoru błota z zatoki przy odpływie, mocnego zapachu smażonych breiks z serem feta i blasku słońca.

Ze wszystkich stron napierał na niego elektroniczny hałas, beat rai z otwartych drzwi barów i donośne klótlive głosy po arabsku, francusku, hiszpańsku i japońsku, wygłaszające kwestie z tuzina różnych popołudniowych seriali. Małżeństwo, rozwód, niewierność, narodziny - nawet nie znając języków, nie musiał włączać CySatu, żeby wiedzieć, o co chodzi.

A ponad wszystkim naddźwiękowy grzmot odremontowanych migów lecących na południe bronić granicy i warkot autotaksówek, które wciąż powoli gramoliły się na wzgórze Ifrigiyah.

Alex niejasno zdawał sobie sprawę, że coś zmieniło się w jego życiu, coś ważnego. Ale nie mógł zebrać myśli, bo głowa pękała mu z bólu.

Pijaństwo również nie pomagało. Przynajmniej funkcjonująca część jego umysłu zakładała, że był pijany: czuł się

las

Kościół Genetyków Chrystusa nie miał żadnych zatargów z muftim M'diny - bynajmniej. Ale Front Dżihad infiltrował państwo M'dinę od dziesiątków lat i chrześcijańscy księża - nawet bogaci Genetycy - często kończyli z poderżniętymi gardłami. Chociaż gardła podrzynano nie tylko

księżom czy nawet chrześcijanom; intelektualiści wszelkich orientacji od dawna stanowili tradycyjne cele przemocy.

W ramach dodatkowego zabezpieczenia Volubilis wetknął pod szatę mały colt automat i wrzucił do kieszeni osiem dodatkowych metalowych strzałek oraz krucyfiks na szczęście. Potem połączył się przez sieć z Zurychem i wykupił dodatkowe całodzienne ubezpieczenie na wypadek, gdyby musiał zboczyć z głównej ulicy.

Alex Gibson nawet nie zauważył nadchodzącego księdza. Zmysły miał przeciążone, kręciło mu się w głowie od gęstego fetoru błota z zatoki przy odpływie, mocnego zapachu smażonych breiks z serem feta i blasku słońca.

Ze wszystkich stron napierał na niego elektroniczny hałas, beat rai z otwartych drzwi barów i donośne kłótlive głosy po arabsku, francusku, hiszpańsku i japońsku, wygłaszające kwestie z tuzina różnych popołudniowych seriali. Małżeństwo, rozwód, niewierność, narodziny - nawet nie znając języków, nie musiał włączać CySatu, żeby wiedzieć, o co chodzi.

A ponad wszystkim naddźwiękowy grzmot odremontowanych migów lecących na południe bronić granicy i warkot autotaksówek, które wciąż powoli gramoliły się na wzgórze Ifrigiyah.

Alex niejasno zdawał sobie sprawę, że coś zmieniło się w jego życiu, coś ważnego. Ale nie mógł zebrać myśli, bo głowa pękała mu z bólu.

Pijaństwo również nie pomagało. Przynajmniej funkcjonująca część jego umysłu zakładała, że był pijany: czuł się

lfIR

•i

1T *aM

Kościół Genetyków Chrystusa nie miał żadnych zatargów z muftim M'diny - bynajmniej. Ale Front Dżihad infiltrował państwo M'dinę od dziesiątków lat i chrześcijańscy księża - nawet bogaci Genetycy - często kończyli z poderżniętymi gardłami. Chociaż gardła podrzynano nie tylko księżom czy nawet chrześcijanom; intelektualiści wszelkich orientacji od dawna stanowili tradycyjne cele przemocy.

W ramach dodatkowego zabezpieczenia Volubilis wetknął pod szatę mały colt automat i wrzucił do kieszeni osiem dodatkowych metalowych strzałek oraz krucyfiks na szczęście. Potem połączył się przez sieć z Zurychem i wykupił dodatkowe całodzienne ubezpieczenie na wypadek, gdyby musiał zboczyć z głównej ulicy.

Alex Gibson nawet nie zauważył nadchodzącego księdza. Zmysły miał przeciążone, kręciło mu się w głowie od gęstego fetoru błota z zatoki przy odpływie, mocnego zapachu smażonych breiks z serem feta i blasku słońca.

Ze wszystkich stron napierał na niego elektroniczny hałas, beat rai z otwartych drzwi barów i donośne kłótlive głosy po arabsku, francusku, hiszpańsku i japońsku, wygłaszające kwestie z tuzina różnych popołudniowych seriali. Małżeństwo, rozwód, niewierność, narodziny - nawet nie znając języków, nie musiał włączać CySatu, żeby wiedzieć, o co chodzi.

A ponad wszystkim naddźwiękowy grzmot odremontowanych migów lecących na południe bronić granicy i warkot autotaksówek, które wciąż powoli gramoliły się na wzgórze Ifrigiyah.

Alex niejasno zdawał sobie sprawę, że coś zmieniło się w jego życiu, coś ważnego. Ale nie mógł zebrać myśli, bo głowa pękała mu z bólu.

Pijaństwo również nie pomagało. Przynajmniej funkcjonująca część jego umysłu zakładała, że był pijany: czuł się

lfIR

zdecydowanie dziwnie. Kolejnych parę sekund zabrało mu odgadywanie, co się zmieniło; a tymczasem wysoki mężczyzna w luźnej dżelabie z koloratką podszedł już całkiem blisko.

Niczym tafla szkła implodująca w głębi oka albo ściana pękająca w mózdzku Alexa, pojawiło się zrozumienie, że to, czego nie wiedział, jest ważniejsze od tego, co wiedział - czyli zera. Po raz pierwszy od sześciu miesięcy uświadomił sobie, że jego umysł jest czystą kartą, a świadomość tego wszystko zmieniła.

Nieważne, że nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, że dzisiejsza data stanowiła zagadkę. Nieważne,

że w tej chwili nie wiedział nawet, jak się nazywa. Liczyła się świadomość, że nie wie... Alex gorączkowo podparł się jedną ręką na stopniu, a drugą chwycił pasiąstą dżelabę księdza, pozostawiając na niej zgniecione muchy i skrzepy krwi.

Chrześcijańskie miłosierdzie Volubilisa zostało narażone na ciężką próbę, bo w pierwszym odruchu miał chęć skrócić Alexowi kark; wyszło zwycięsko z jeszcze cięższej próby, kiedy zaoferował mu mały pokój poza dziedzińcem, chociaż mógł go bezpiecznie wpakować do chrześcijańskiego hospicjum w św. Krzyżu.

Owszem, pokój zaproponowany Alexowi cuchnął wilgocią, jedyne okno wychodzące na świat już dawno zostało zamurowane i było jak otynkowane, ale to była przestrzeń, miejsce, a w M'dinie przestrzeń była cenna. Właściwie w tych czasach przestrzeń była cenna wszędzie.

Próbki krwi, które pobrał Volubilis, dały wynik negatywny na retrowirusa i wykazały znacznie mniejsze zużycie komórek, niż się spodziewał. Bez ubezpieczenia niewiele dało się zrobić ze złamanym kolaniem.

Na nadgarstku żebrak miał duńskie gniazdo rdzenia danych o niewiadomym przeznaczeniu, prawie całkiem zarośnięte.

1RQ

Co znacznie bardziej interesujące, korzeń ostatniego górnego lewego trzonowca miał wydrążony i zastąpiony drugim miniaturowym rdzeniem danych. Pewnie podłączonym do jakiejś kamery, pierwotnie umieszczonej w pustym teraz oczodole. Cokolwiek rejestrowało oko, standardowy podprogram zrzucał do drugiego rdzenia.

Więc dziennikarz - taki, który za cholerę nie ufa swojemu pracodawcy. Większość nowych kontraktów nie zezwalała na zatrzymywanie kopii danych, ale w ten sposób otrzymywało się lepszą gwarancję zapłaty, jeśli wynikły wątpliwości prawne, kto właściwie dostarczył zdjęcia.

Volubilis był coraz bardziej zainteresowany, więc zalogował odwzorowanie DNA do komputera Genetyków i przekazał polecenie do szpitala, żeby dali temu człowiekowi nowe oko, nie mówiąc o taniej syntetycznej nerce w miejsce tej, którą widocznie sprzedał albo mu ukradli.

Obciążył rachunkiem własne konto.

To był dobry pomysł i fatalny błąd, przynajmniej biorąc pod uwagę długoterminowe perspektywy Alexa Gibsona. Agent wywiadu S3 natychmiast i całkowicie nielegalnie wyciągnął profil DNA z bazy danych Genetyków. Po otrzymaniu informacji minister spraw wewnętrznych Pierre Nexus przekazał wezwanie pocztą głosową bezpośrednio do pana Różańca.

Oczywiście do tej pory połączony szeregowo bank RISC-ów lady Clare również wyłapał profil.

Alex Gibson może nie wiedział, kim jest, ale teraz co najmniej trzy inne osoby wiedziały. Pechowo dla Alexa, dwie z nich zdecydowanie pragnęły jego śmierci, natomiast trzecia właściwie nie chciała go zabić, ale w razie konieczności zrobiłaby to bez żadnych oporów.

Ściągnięty przez Volubilisa raport o stygmatach Alexa Gibsona był krótki i raczej pobieżny.

Chociaż kiedy Volubilis wezwał starszego etiopskiego chirurga, który prowadził

IRI

badania patologiczne, lekarz upierał się, że podał wszystkie znane fakty, że niczego nie zataił.

Jakiś niezidentyfikowany inhibitor nie pozwalał mięśniom dłoni odbudować się i zrosnąć. Komórki nie gnęły ani nie umierały, ale też nie wypełniały ubytków. Rany posiadały wszelkie cechy nieukończonego eksperymentu albo wyrafinowanego medycznego żartu. Tak czy owak niczego więcej nie stwierdzono.

Co zadowalało Volubilisa. Nie szukał cudów i nie chciał, żeby zwałały mu się na głowę. Nie miał czasu.

Wszyscy księża Kościoła byli zatrudnieni przy największym projekcie naukowym wszech czasów, mapowaniu i replikacji ludzkiego genomu, pustych sekwencji danych i całej reszty; dopiero wtedy mogli zbadać fragmenty DNA pobrane z Całunu Turyńskiego, Święte Ciernie i jedyną ocalałą drzazgę z Krzyża Świętego, szukając oznak boskości. Chociaż za projektem stał cały Kościół i fundusze z Kodansha-Edo, Harvard Philips i Cambridge-La Rochelle, jeszcze sześć lat miało potrwać sekwencjonowanie, replikowanie i resekwencjonowanie wszystkich dwudziestu trzech chromosomów.

Wtedy zakończą się tradycyjne badania. Kościół Genetyków rozpocznie swoją misję odtworzenia DNA naszego Zbawiciela.

Najpierw zsekwencjonuje chromosomy echa, tę wiązkę lustrzanego widmowego DNA, którego istnienia nie chciała uznać połowa światowych naukowców.

Buddyści oczywiście mieli własny program nieskończoności, z wielką mainframą Craya w Lhasie elektronicznie recytującą wszelkie możliwe permutacje znanych imion Boga. Dalajlama twardo oczekiwał, że gwiazdy zaczną gasnąć jedna po drugiej jak lampy, kiedy program dobiegnie końca. Koncepcja ani mniej, ani bardziej nieprawdopodobna niż drugie przyjście Chrystusa jako produkt inżynierii genetycznej...

Przez trzy dni Volubilis pracował jak zwykle w laboratoriach, ignorując pytania swojego patrona z Cambridge-La Rochelle

IRE

i potępiające miny przyjaciółek Etty, matki Safony - grupki pobożnych, wysuszonych słońcem wdów, których zdaniem Etta tak odważnie starała się zaspokoić wszelkie potrzeby swojego zgryźliwego czarnego pastora.

Chociaż nie mam wielkich potrzeb, przyznał kwaśno Volubilis. Wprowadzie betaB skutecznie stabilizowała jego świat na osi, ale zabijała również wszelkie fizyczne żądze.

Trzeciego wieczora nadąsany Volubilis siedział w swoim bielonym gabinecie. Przed nim na wiklinowym stoliku stała wysoka szklanka piwa Sapporo i szachownica z niedokończoną partią. Piwo było rzeczywiste, podobnie jak starożytne figury szachowe z kości słoniowej, ale sama gra stanowiła zwykłą błagę.

Volubilis pogodził się ze wścibstwem Etty, z jej nieustannym zrządzeniem i narzekaniem, ale zbudował sobie mechanizm obronny, żądając, żeby wieczorami zostawiała go w spokoju przy ulubionych szachach.

Pod koniec dnia, kiedy zrobiło się chłodniej i Etta krzątała się przy swoim ceramicznym piecu, gotując na parze świeże jarzyny albo dusząc organiczne mięso - luksusy dostępne tylko dzięki hojnemu grantowi z Cambridge-La Rochelle - Volubilis siedział wpatrując się w zakurzoną szachownicę.

Komputer wykonał ostatni ruch i zaszachował go, a teraz, trzy miesiące później, wciąż czekał cierpliwie na odpowiedź. Gra z komputerem nudziła Volubilisa, ale nie potrafił grać sam ze sobą bez oszukiwania.

Zamiast tego słuchał staromodnego wieczornego radia. Opery Brittena i Glassa, dziewięta Góreckiego. Coś z pogranicza Eno. Chociaż pirackie radio nie było już takie dobre jak dawniej. Ale Volubilis nie lubił CySatu i pomimo swojej młodości był dostatecznie staroświecki, żeby nie ufać symom.

Wieczne nieróbstwo przed szachownicą stanowiło raczej skromną formę dogadzania sobie, ale ważną dla Volubilisa.

na

Więc kiedy tuż przed kolacją rozległo się pukanie do drzwi, ksiądz nawet nie próbował odpowiedzieć uprzejmie.

- Nie. Odejdź.

Pukanie powtórzyło się, podobnie jak jego odpowiedź, a potem drzwi otwarty się powoli. Do gabinetu wtarabanił się żebrak, powłócząc chorą nogą. Włosy nadal miał zmierzwiłone i nieumyte, ale był ubrany i nie śmierdział już alkoholem z dreksiaka. Po prostu śmierdział.

- Jestem zajęty - oznajmił Volubilis. - Przyjdź jutro.

Alex Gibson nie poruszył się, chociaż kiedy spostrzegł szachownicę, błysk zainteresowania przemknął po jego twarzy.

- Odejdź - powtórzył zirytowany Volubilis. - Nie możesz tutaj włączyć, kiedy ci przyjdzie ochota.

Alex kiwnął głową w stronę szachowego komputera.

- Przesuń swojego hetmana na f5 - zaproponował.

Volubilis przestał się nudzić.

Więc kiedy tuż przed kolacją rozległo się pukanie do drzwi, ksiądz nawet nie próbował odpowiedzieć uprzejmie.

- Nie. Odejdź.

Pukanie powtórzyło się, podobnie jak jego odpowiedź, a potem drzwi otwały się powoli. Do gabinetu wtarabanił się żebrak, powłócząc chorą nogą. Włosy nadal miał zmierzwione i nieumyte, ale był ubrany i nie śmierdział już alkoholem z dreksiaka. Po prostu śmierdział.

- Jestem zajęty - oznajmił Volubilis. - Przyjdź jutro.

Alex Gibson nie poruszył się, chociaż kiedy spostrzegł szachownicę, błysk zainteresowania przemknął po jego twarzy.

- Odejdź - powtórzył zirytowany Volubilis. - Nie możesz tutaj włączyć, kiedy ci przyjdzie ochota.

Alex kiwnął głową w stronę szachowego komputera.

- Przesuń swojego hetmana na f5 - zaproponował.

Volubilis przestał się nudzić.

2 1 . Safbna

Wiedziała z lekcji biologii, że domowy kurz to tylko płatki ludzkiej skóry, odpryski włosów i wyschnięte ciała martwych roztoczy, ale nie mogła go nie podziwiać, kiedy wirował leniwie w smugach wieczornego słońca przefiltrowanych przez łupkowe okiennice.

Słyszała zniszczone skórzane sandały mamy człapiące po dziedzińcu na dole. Pewnie kolejna porcja hariry dla żebraka, świeża zupa dla poprawy zdrowia.

Wczoraj rano ksiądz zrobił coś sprytnego z okaleczonymi dłońmi żebraka. Mama próbowała wyjaśnić to Safonie, ale Safony to wcale nie interesowało, chociaż przypominało wydrażenie jabłka, usunięcie gniazda nasiennego i zastąpienie go nowym, a potem nałożenie skórki. Niemniej Safo-na domyśliła się, że ksiądz jest z siebie zadowolony, bo przez cały dzień kręcił się po domu podśpiewując urywki z Missa Luba.

Mama lubiła medyczne słowa, wszelkiego rodzaju nano-to, onko-tamto, które podłapała od doktora Volubilisa. Zawsze wtrącała do rozmowy określenia z tekstu, zupełnie jakby wiedziała, co znaczą, ale Safona tylko dostawała dreszczy od tej całej nauki. Gdyby miała wybór, wołałaby, żeby mama nie pracowała u Volubilisa.

1H5

Nie przeszkadzał jej kolor jego skóry, nie przeszkadzało jej nawet, że był księdzem. Nie za bardzo. Chodziło o jego obsesję na punkcie tekstu, genetyki. Jakby to mogło dostarczyć odpowiedzi, po tym całym czasie. Młoda kobieta wciągnęła powietrze przez zęby w uniwersalnym grymasie odrazy, nieświadomie naśladowując ulicznych cwaniaków z drugiego końca świata.

Siostry Gai może były niekochane i niedotowane, i w dodatku niemodne wśród tych, którzy się liczyli, ona jednak wciąż zdecydowanie je popierała.

Safona nie lubiła w Volubilisie jeszcze jednego: że przedrzeźniał jej sposób mówienia. Jego czysta, nieakcentowana francuszczyzna ostro kontrastowała z jej brzydkim nosowym pied noir. Ale Safona nie była głupia i wiedziała, że posada księżej gospodyni to więcej, niż jej mama mogła się spodziewać. Mama była tylko kolejną ubogą wdową colon - więcej pretensji niż kredytu - a posada to posada. Genetycy przynajmniej mieli klasę, no i posłuch u muftiego, jeśli wierzyć bazarowym plotkom.

Nie fatygując się podłączaniem, Safona bez powodzenia przerzucała kanały i jednym okiem zerknęła na swój rfały trójwymiarowy ekran. Nic. Albo wysiadły transmitters w górach Atlas, albo fundamentalści znowu zagłuszają zagraniczne stacje.

Przez cały dzień powietrze było naładowane elektrycznością. Wiatr ustał i ciśnienie narastało za oczami mieszkańców M'diny. Późne popołudnie markotnie przechodziło w wieczór, a czerwona burza daleko nad Morzem Śródziemnym prawie już doszła do wrzenia.

Zapowiadała się brzydka noc. Pierwszy czerwony wiosenny wiatr zawsze wyzwał we wszystkich najgorsze instynkty. Napięcia i uprzedzenia, zwykle złagodzone w miejskiej atmosferze leniwego komfortu, wybuchały z całą gwałtownością:

HE

rozpadały się przyjaźnie, sąsiedzi wszczynali bójki. Od pogody zależało, czy sprawy przybiorą bardzo zły obrót.

Różowa burza prowokowała złamane kończyny, gwałty i rozwody; lecz trupy, otwarty bunt i krwawe waśnie wywoływał jedynie pełnowymiarowy, wszędzie przenikający barbarossa. Właściwie nikt nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje. Starzy obwiniali zachodnich naukowców, młodzi uważali burze za rzecz naturalną i nie winili nikogo. Kilka lat wcześniej grupa z Uniwersytetu M'diny sugerowała, że burze wynikają z mikroklimatu miasta, leżącego pomiędzy morzem a górami. Konkurencyjna akademicka grupa twierdziła, że to kompletna bzdura. Obie grupy wystąpiły o dodatkowe granty na udowodnienie swoich teorii.

I nadał nikt nie znał odpowiedzi. Chociaż nikt nie wątpił, że barbarossa nadchodzi.

Na wszystkich ulicach w mieście policja drogowa ustawiła już w poprzek toyoty seraphimy z migającymi kogutami, samochodowe komputery wyszcze kiwały agresywne ostrzeżenia w trzech językach.

Safona, która instynktownie oskarżała o wszystko fundamentalistów, nie miała pojęcia, że to policja muftiego zagłusza nadchodzące sygnały satelitarne. Wkrótce generowany cyfrowo Lotusmorph pojawi się na wszystkich naziemnych kanałach z uspokajającą przemową o jedności i tolerancji. Chociaż ten gest nic nie pomoże. Kiedy uderzał barbarossa, słowa traciły wszelkie znaczenie. W całym mieście w kawiarniach i restauracjach podnoszono stalowe kraty, pospiesznie zwijano stoiska na suku ze szklanym dachem; a wysoko na M'dina Heights konsulaty i ambasady stawiały dodatkowych strażników w bramach i dwukrotnie sprawdzały, czy działają zapasowe generatory przy ogrodzeniach.

1H7

Po drugiej stronie miasta chudy, wysoki mężczyzna płynnie zatrzymał srebrnoszarą skodę i przejrzał się w lusterku. Różaniec miał starannie ostrzyżone włosy, garnitur kosztowny, lecz bez ostentacji. Kamizelka kuloodporna z ceramicznej siatki była tak dyskretna, że większość ludzi brała ją za zwykłą kamizelkę.

Mała emaliowana plakietka w klapie oznaczała ekskluzywną, apolityczną organizację dobroczynną, działającą na rzecz krajów słabo rozwiniętych. Członkostwo kosztowało -więcej,-niż przeciętna uboga rodzina w Stanach otrzymywała przez rok w kartkach żywnościowych z ubezpieczenia. W kieszeni marynarki miał policyjną przepustkę do wszystkich stref z miejscowej sekcji muftiego oraz szeroki chiński nóż sprężynowy z ceramicznym ostrzem.

Pod pętlami ogłupiacza Cirrusa zaprojektowanymi, żeby przekonać M-falowe komputery na lotnisku, iż widzą ubrania, karty kredytowe i przenośny komputer, walizka Samsonite zawierała broń i materiały wybuchowe w ilości dostatecznej do rozpoczęcia niewielkiej wojny domowej. Był tutaj i był gotowy. Szklane drzwi kompleksu Genetyków Chrystusa rozsunęły się, żeby wypuścić wieczorną zmianę, i pracownicy laboratoryjni wylegli z klimatyzowanego komfortu prosto w mroczną, upalną klaustrofobię nadciągającej burzy.

Instynktownie wybrał cel.

Młoda, poważny wygląd, okulary zamiast szkieł kontaktowych, włosy luźno związane pod tanią imitacją szala od Hermesa. Niezbyt wysokie stanowisko, ale z dostępem do informacji.

Urzędniczka, nie techniczka. Pewnie zaręczona, teraz w drodze do domu...

Uruchomił alarm w samochodzie, wyśliznął się zza kierownicy i przeciął jezdnię, otulając się ciasno ciężkim astrachańskim futrem.

Dogonił dziewczynę, kiedy zgarbiona walczyła z narastającym wiatrem, rozpoczynając żmudną wędrówkę do domu.

1HB

- Panno... - wyciągnął rękę.

Zrobiła zaskoczoną minę, potem podejrzliwą. Precyzyjnie wyłapał moment, kiedy zerknęła ponad jego ramieniem sprawdzając, kto jeszcze od Genetyków został na ulicy.

- Miles Fasbinder. - Ręka wciąż wyciągnięta, głos dostatecznie podniesiony, żeby przekrzyczeć wiatr, ale teraz lekko urażony. - Z Cambridge-La Rochelle. - Uśmiechnął się smutno. - Spotkaliśmy się, kiedy w zeszłym roku zwiedzałem laboratorium. Panno...

- Palmer, Leila Palmer.
- Tak, oczywiście. Spotykam tyle osób, trudno mi zapamiętać wszystkie nazwiska - wyjaśnił przepaszającym tonem.

Leila uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Szukam naszego dobrego przyjaciela, doktora Volubilisa. Poszedłem do szpitala, ale tam mi powiedzieli, że pewnie jest tutaj.

Dziewczyna pokręciła okrytą szalem głową, nadsciągający barbarossa szarpał końce jej włosów.

- W tym tygodniu jest w domu, lecz jakiegoś żebraka, którego znalazła siostra Maria. - Nagle zrobiła zakłopotaną minę. - Przynajmniej tak słyszałam...

- Trochę dziwny żebrak? - gładko zapytał Różaniec przyjaznym, nieagresywnym tonem. Leila przytaknęła.

- Dziury w rękach. Styzma... stygmaty - zająknęła się na obcym głowie. - Lekarz je wyleczył. Siostra Maria jest wściekła.

Uśmiechnęła się do siebie, a wysoki mężczyzna odpowiedział jej uśmiechem.

- Lepiej już pójdę - powiedziała.

Wysoki mężczyzna kiwnął głową i zaczął, aż dziewczyna się odwróci.

- Ojej!... - zawołał nagle.

Leila obejrzała się na niego, wciąż uśmiechnięta, nawet kiedy monomolekularne ostrze ceramicznej klingi rozcięło jej

gardło od ucha do ucha. Zanim chudy mężczyzna dotarł do swojej wynajętej skody, piasek i wirujący pył zaczęły już zasypywać jej ciało.

Safona nie pamiętała, po co w ogóle przyszła do pokoju Alexa. Pewnie z nudów i przez barbarossę. Pod każdym względem postąpiła głupio. No, ale Safona nigdy nie odznaczała się zdrowym rozsądkiem, jak niezmordowanie powtarzała jej matka. A żebrak chyba nie miał nic przeciwko jej obecności - kiedy już wyszedł z szoku.

Alex Gibson spał w kącie swojego pokoiku na dziedzińcu, rozciągnięty na brudnym płacie elastycznej polipianki, kiedy drzwi rozwarły się z trzaskiem i wysoka rudowłosa kobieta w długiej koszulce Sióstr Gai wysunęła głowę zza framugi.

Oczy podczernione antymonem spojrzały na niego z twarzy białej jak kreda, otoczonej strzechą rozczochranych włosów, które chyba od miesięcy nie widziały grzebienia.

Luźna koszulka nie ukrywała krągłości jej biustu. Kiedy dziewczyna się odwróciła, jej piersi zakołysały się lekko, sutki musnęły materiał od spodu. Jeśli spostrzegła, że Alex to zauważył, niczym się nie zdradziła.

Najwyraźniej była Europejką. Obficie użyte tradycyjne kosmetyki z Maghrebu nie mogły ukryć jej rasy. Taka zmiana wymagałaby chirurgii kosmetycznej oraz serii melaninowych dopalaczy.

- Myślałam, że jesteś starszy - odezwała się Safona. Pomaszerowała prosto do pianki i zwała się obok niego. Z przesadną swobodą oparła się bokiem o białoną ścianę.

- Drzwi - zasugerował Alex, pokazując palcem burzę na zewnątrz.

Safona wstała z westchnieniem. Dodatkowo zasunęła dwa prymitywne stalowe rygle. Jeden znajdował się na poziomie oczu, drugi niżej. Kiedy się pochyliła, żeby zasunąć rygiel

EDO

przymocowany do stalowych drzwi tuż nad podłogą, Alex odniósł wyraźne wrażenie, że nie nosiła nic pod koszulką.

- I myślałam, że będziesz brudniejszy... - dodała i znowu przysiadła obok niego. Jej piersi znów zakołysały się lekko pod tkaniną.

Alex zerknął na swoje brudne paznokcie. Potem popatrzył z namysłem na swoje brudne 501, rozdarte na kolanie. Upstrzony zaschniętymi resztkami jedzenia, niegdyś czarny podkoszulek prezentował się niewiele lepiej. Może powinien przyjąć bawełnianą dzelabę ofiarowaną mu w szpitalu Św. Krzyża, ale odmówił.

Obudził się w tym ubraniu. To mogło coś znaczyć. Albo i nie. Alex nie miał bladego pojęcia, skąd się wzięły dzinsy i podkoszulek. Pewnie ze śmietnika, sądząc po wyglądzie.

Żebrak żałośnie wzruszył ramionami, kiedy Safona zapytała, jak się nazywa. Uśmiechnęła się do

niego.

- Jestem Safona - powiedziała. - A ty?

Alex ponownie wzruszył ramionami.

- Więc mama miała rację - stwierdziła Safona z zadowoleniem.

- Mama?

- Gospodyni księdza. - Safona z irytacją skrzywiła usta. - To biskup audytor poradził jej, żeby została gospodynią. Nie wiedziała, że trafi akurat do niego, no nie?

Lecz Alex prawie jej nie słuchał. Burza zakryła już całe miasto, a deszcz ciągle nie nadchodził.

Słysząc było tylko suchy grzmot i szczękanie stalowych drzwi, które drżały w wielkich żelaznych zawiasach.

Budynek był stary - bloki żużlu obrzucone betonem, grube i solidne - a jednak wiatr walił weń jak pięść bębniąca po stole. Spod progu zaczęło nawiewać piasek.

- Często się zdarza, co? - zagadnął Alex, wskazując burzowe niebo.

EDI

Safona zerknęła na niego szybko i sprawdziła, czy nie robi sobie z niej żartów. Ale nie żartował.

Widocznie nie zdawał sobie sprawy, że jego pytanie zabrzmiało dziwnie.

- Co roku - odparła, kiedy jej podejrzliwość ustąpiła miejsca wątpliwościom. - Nie pamiętasz?

Alex nie pamiętał.

Niepamiętanie burzy jeszcze nie oznaczało, że nigdy burzy nie przeżył. Może po prostu nie mógł sobie przypomnieć. Alex nie chciał dalej drążyć tej kwestii, przynajmniej nie teraz, więc skupił uwagę na Safonie.

Niezbyt ładna, ale atrakcyjna w niedbały, agresywny sposób. Trudno ocenić jej wiek. Z długim ciałem, etnicznymi kolczykami ze srebra i lapis lazuli i mocnym maghrebskim makijażem Safona wyglądała jak piętnastolatka pozująca na dwudziestkę - albo dwudziestolatka rozpaczliwie czepiająca się nastoletnich wspomnień. Alex miał przeczucie, że chodzi

o to drugie.

Nie wiedział, jak to sprawdzić, ale nie chciał zapytać wprost.

1 właściwie było mu wszystko jedno. Z powrotem skupił uwagę na jej słowach i zorientował się zaskoczony, że Safona czeka na odpowiedź. Nie wiedział, na jakie pytanie, ale to nieważne. Jeśli nie otrzyma odpowiedzi, zapyta jeszcze raz.

- Pozwól mi zobaczyć.

- Co zobaczyć...?

- Twoje ręce. No, pokaż! - Przynęła się bliżej. - Na wymianę - zaproponowała, wyciągając małą paczuszkę zapuszczonego papieru.

Alex wziął papiera, rozwinął i spojrzał tępo na żółtawe kryształki w środku.

- Wizz - oznajmiła Safona. Zgniotła jeden kryształek w palcach, podniosła proszek do nosa i wciągnęła głęboko.

Alex próbował ją naśladować, ale zakrztusił się, kiedy szorstki pył podrażnił mu gardło.

Safona zerknęła na niego szybko i sprawdziła, czy nie robi sobie z niej żartów. Ale nie żartował.

Widocznie nie zdawał sobie sprawy, że jego pytanie zabrzmiało dziwnie.

- Co roku - odparła, kiedy jej podejrzliwość ustąpiła miejsca wątpliwościom. - Nie pamiętasz?

Alex nie pamiętał.

Niepamiętanie burzy jeszcze nie oznaczało, że nigdy burzy nie przeżył. Może po prostu nie mógł sobie przypomnieć. Alex nie chciał dalej drążyć tej kwestii, przynajmniej nie teraz, więc skupił uwagę na Safonie.

Niezbyt ładna, ale atrakcyjna w niedbały, agresywny sposób. Trudno ocenić jej wiek. Z długim ciałem, etnicznymi kolczykami ze srebra i lapis lazuli i mocnym maghrebskim makijażem Safona wyglądała jak piętnastolatka pozująca na dwudziestkę - albo dwudziestolatka rozpaczliwie czepiająca się nastoletnich wspomnień. Alex miał przeczucie, że chodzi

o to drugie.

Nie wiedział, jak to sprawdzić, ale nie chciał zapytać wprost.

1 właściwie było mu wszystko jedno. Z powrotem skupił uwagę na jej słowach i zorientował się zaskoczony, że Safona czeka na odpowiedź. Nie wiedział, na jakie pytanie, ale to nieważne. Jeśli nie otrzyma odpowiedzi, zapyta jeszcze raz.

- Pozwól mi zobaczyć.

- Co zobaczyć...?

- Twoje ręce. No, pokaż! - Przysunęła się bliżej. - Na wymianę - zaproponowała, wyciągając małą paczuszkę zapuszczonego papieru.

Alex wziął papiera, rozwinął i spojrział tępo na żółtawe kryształki w środku.

- Wizz - oznajmiła Safona. Zgniotła jeden kryształek w palcach, podniosła proszek do nosa i wciągnęła głęboko.

Alex próbował ją naśladować, ale zakrztusił się, kiedy szorstki pył podrażnił mu gardło.

EDE

- Niuchaj mocniej - poradziła mu Safona, rozgniatając następny kryształek dla siebie - inaczej dorobisz się wrzodów w gardle. A to cię wykończy. No już - zażądała - pokaż mi ręce, zanim będzie za późno.

- Za późno? - Alex znowu odpywał, jego świeżo podkrecony amfetaminą umysł próbował coś sobie przypomnieć, cokolwiek. Jeśli nie wie, kim jest, przynajmniej spróbuje zgadnąć, skąd się tu wziął.

- Mogę powiedzieć: zanim blizny się zagoją, ale to by było nieuczciwe wobec ciebie - oświadczyła poważnie Safona. - Mama mówi, że odejdziesz dużo wcześniej. Pewnie umrzesz.

Alex wytrzeszczył na nią oczy. Przyszło mu do głowy, że powinien coś powiedzieć, ale nie mógł wymyślić nic odpowiedniego.

- Ludzie cię szukają - ciągnęła Safona. - Niebezpieczni ludzie, mówi mama. Volubilis naraził Genetyków na ryzyko, mówi mama, że tak cię przygarnął. Wszystko jest w popołudniowym web-mailu od biskupa audytora. - Położyła ironiczny nacisk na zwrot „mówi mama”.

Alex zastanowił się przelotnie, skąd matka Safony wie, a potem przestał się zastanawiać. Pewnie ma dostęp do pliku.

- Lepiej pójdę - powiedział i wstał.

Safona natychmiast złapała go za podkoszulek i pociągnęła z powrotem na materac.

- Tam wieje barbarossa - rzuciła ostro. - Jeśli gliny z patrolu cię nie capną, załatwi cię burza. W każdym razie nie możesz odejść, dopóki nie zobaczę twoich rąk. Nigdy nie spotkałam prawdziwego świętego.

Alex był zmęczony. Chciał zapomnieć o różnych rzeczach, ważnych rzeczach, tylko że ich nie pamiętał. I nie był świętym.

Nie wtedy, kiedy Safona była naga pod koszulką.

Odlepiał czarne mikropórowe opatrunki od ran i wyciągnął ku niej ręce wnętrzem dłoni do góry.

ED3

Wyglądały jak relikwie albo wotywny dary, wyrzeźbione z białego wosku. Wosku, który został przebity gwoździami, a potem trzymany nad płomieniem, aż roztopił się po brzegach i w połowie wypełnił otwory.

Nie wiedział, jakiej reakcji się po niej spodziewał. Stał się świadkiem religijnej ekstazy. Oczy Safony się rozszerzyły, źrenice niemal eksplodowały, jakby ktoś przełączył ogniskową. Nie miało znaczenia, że on widział brzydkie, połowicznie zagojone blizny; kiedy Safona patrzyła na jego dłonie, widziała coś całkiem innego.

Dziewczyna odjeżdżała, uświadomił sobie wstrząśnięty, nie tylko na wizzie, ale naćpana jakimś mocnym towarem. Wewnętrzne strony jej nadgarstków były czyste, żadnych derm. Ale coś wzięła. Widział jej odjazd, zupełnie jakby patrzył na kogoś, kto próbuje opanować potężną, niepowstrzymaną emocję.

- Naprawdę wstępuję do Sióstr - ogłosiła Safona.

Kiedy Alex nie odpowiedział, ciasno objęta kolana, wykręciła

głowę i wbiła wzrok w pustą ścianę. Nie wiedział, co tam zobaczyła. Ale nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, że płacze.

Na zewnątrz lunął deszcz, ochładzając powietrze. Krople rykoszetowały od dachu jak salwy śrutu. Siedzieli, słuchając deszczu i terkotania karabinów maszynowych w oddali.

- Ktoś naruszył godzinę policyjną - wyjaśniła Safona. - Wiesz - dodała - tutaj u nas niedobrze, kiedy facet wygląda jak Chrystus, znaczy, jeśli nim nie jest.

Alex czuł, że dziewczyna ma rację...

Maszynka fryzjerska Brauna brzęczała cicho, sunąc po bokach jego głowy, długie pasma kręconych włosów spadały mu z ramion do starego popękane go zlewu.

EDL,

Stał w pokoju Safony, przed obtażącym lustrem z okresu Trzeciego Cesarstwa, na ostatnim piętrze czteropiętrowego miejskiego domu zajmowanego przez Volubilisa. Styszał deszcz bębniący po ptaskim dachu, jakby nigdy nie zamierzał przestać.

Po kilku sekundach wtosy miał krótko ostrzyżone. A potem, bez uprzedzenia, Safona sięgnęła do jego brody.

- Czekaj!

Alex chwycił ją za rękę - kruche kości nadgarstka w jego uścisku, cieńsze niż uważał za możliwe, gdyby się nad tym zastanawiał. Pomiędzy nimi braun dalej brzęczał, gniewnie jak rozdrażniona osa.

- W porządku - uspokoiła go Safona. - W porządku.

Szybko przyszyrzyła mu brodę, a potem różową ceramiczną jednorazową brzytwą oskrobała twarz do czysta; szorstka szczecina przetykana siwizną oblepiła podwójne ostrza.

Przeglądał się w lustrze, kiedy Safona obejrzała brzytwę i z pomrukiem niesmaku wrzuciła ją do zsypu.

Twarz, która na niego spojrzała, była starsza, niż się spodziewał. Z niewiadomych powodów czuł się o dziesięć lat młodszy, niż wyglądał. Oczy nie pasowały. Nowe miało za ciemny odcień błękitu. A okropna blizna wokół lewego oczodołu ściągnęła mu twarz z tej strony, więc wyglądał jak po wylewie.

Zawsze nieprzyjemnie czuć się bezbronnym, a Alex poczuł się straszliwie bezbronny, kiedy stał w pokoju Safony i wpatrywał się w swoje białe upiorne odbicie w wielkim lustrze o złożonych ramach.

Nie lubił tego uczucia.

- No? - zapytała Safona. - Kim jesteś?

Po raz pierwszy, odkąd się spotkali, w jej głosie zabrakło zwykłego tonu agresywnego szyderstwa. Oczywiście nie mógł odpowiedzieć. Nawet kiedy smutnie przesunęła jednym palcem po jego włosach, świeżo ostrzyżonych

ED5

na zapalkę. Miał teraz imię - przynajmniej tak mu powiedział ksiądz. Ale nadal nie wiedział, kim jest.

W kącie pokoju, za otwartymi drzwiami kabiny z mlecznego pleksiglasu, znajdował się mały prysznic napędzany przez wiekową pompę elektryczną. Lecz elektryczność nie działała i tylko rdzawe krople kapały z sitka na popękane polimerowe kafelki podłogi.

- Spróbuj na dachu - poradziła Safona, napotkawszy jego spojrzenie.

Spróbował.

Miasto M'dina skryło się za zasłoną deszczu, który usiłował rozpląszczyć Alexa na śliskich glinianych dachówkach.

Wąska uliczka przed domem była równie pusta jak dziedziniec. Deszcz oczyścił miasto z ludzi.

Alex mógł stać nago na krawędzi dachu, spoglądać na wyludnioną ulicę i mieć pewność, że nikt go nie zobaczy.

Ci spośród miejscowych policjantów, którzy nie pili za darmo w nielegalnych barach, chowali się w załomach murów i kleli elektryczną burzę, zmieniającą ich laryngofony w bezużyteczne kawałki plastiku i obwodów.

Wysoko nad głową Alexa nocne niebo wyglądało jak chaotyczny wir czarnych chmur, pulsujących niczym fraktale na tle jeszcze czarniejszego nieba. Zupełnie jakby tylko on jeden został przy życiu,

tylko on jeden witał deszcz.

Z twarzą wystawioną pod siekące krople, z ciałem obmywanym strumieniami deszczu Alex wiedział, że to jest jego burza, jego błyskawica. Przyszła go uwolnić, obmyć go do czysta.

A jednak, nawet pijany nieprawdopodobieństwem, nabuzowany wizzem i sponiewierany przez barbarosę, Alex znał prawdziwe pytanie, na które musiał znaleźć odpowiedź: uwolnić od czego...? EE. martwa natura z lądem

Ignorując wiatr, który łomotał w okiennice bloku operacyjnego, Volubilis ponownie spojrzął na wrak ciała na płycie kriogenicznej Samsung. Przyczyna śmierci była całkiem oczywista. Kula małego kalibru przebiła serce na wylot. Prawdopodobnie ceramiczny pocisk bez płaszcza. Meksykański albo japoński - nie potrafił określić bez kuli, która została usunięta. Przez zawodowca i prawdopodobnie kilka sekund po strzale, jeśli wierzyć odczytowi z rany mediSoftowego skanera. Przyczyną śmierci był szok, nie utrata krwi czy nieodwracalne uszkodzenie organów. Owszem, krwi brakowało, ale tylko dlatego, że ktoś wybrał Opcję Kobe i zastąpił ją mieszanką glikolu propylenowego i formamidu DMSO. Potem młody Japończyk został błyskawicznie zamrożony, żeby szok zmusił miękkie tkanki do samoistnego zawieszenia procesów życiowych, zanim indywidualne struktury komórkowe zdążą się rozłożyć.

Minęło już z górą stulecie, odkąd trzech japońskich uczonych z Kobe w Japonii udowodniło, że mózg ssaka można opróżnić z krwi, napełnić gliceryną i zamrozić na okres do sześciu miesięcy bez widocznych uszkodzeń.

To był prawdziwy początek japońskiej dominacji w kriogeniczności. Przy tym osiągnięciu oraz pionierskim amerykańskim

E07

eksperymentem na Milesie, zamrożonym orle, który po przywróceniu do temperatury pokojowej wstąpił i odmaszerował, nawet prace doktora Theodore'a Balthusa były zwykłą techniczną dłubaniną. Doktor Volubilis uśmiechnął się gorzko, naciągając bayerowskie rękawiczki chirurgiczne. Nie lubił Balthusa, nie ufał Balthusowi w czasach, kiedy grubas był jego promotorem na Sorbonie, ale mocno go zdumiała i poruszyła podana przez CySat wiadomość o śmierci grubasa. Pod względem psychologicznym francuski uczonec był emocjonalnym anorektykiem, pod względem technicznym był geniuszem. A inteligencja liczyła się bardziej niż moralność, przynajmniej dla Volubilisa, chociaż ksiądz przyznawał, że Kościół raczej nie pochwalałby takich poglądów.

Skoncentrował się na trupie Johnniego i przestudiował ekran monitora samsunga. Według odczytów resuscytacja była technicznie możliwa. Chociaż widok wyniszczzonego amfetaminą, pozbawionego mięśni ciała na płycie nasuwał wątpliwości, czy warto się facygować...

Ktoś jednak się pofatygował.

Kriogeniczny tank Samsunga i technik z obsługi nie kosztowali mało - nawet bez dodawania ceny przelotu stamtąd, skąd pochodził trup.

W dodatku Volubilis wiedział, że kriogeniczna kapsuła ominęła nawet pobieżną odprawę celną Wolnego Portu. To było oczywiste, skoro dostarczyli ją po rozpoczęciu godziny policyjnej dwaj koreańscy ochroniarze, każdy uzbrojony po zęby i okutany od stóp do głów w imitację m'dzińskiej dżelaby z pacyficznej Azji.

Volubilis wiedział o broni, ponieważ główne wejście na jego blok operacyjny było zaprogramowane do skanowania ubrań i ciał osób, których nie rozpoznawało.

Ponownie sprawdził wiotki wydruk web-maila w kieszeni dżelaby. Autentyczność nie ulegała wątpliwości. Wiadomość

EDfi

była krótka, rzeczowa i zawierała zarówno kod rozpoznawczy S3, jak i hasło czerwonego alarmu znane tylko najważniejszym członkom Kościoła Genetyków Chrystusa.

Podpis brzmiał: Lady Clare Fablo, w imieniu kardynała Makai.

Kilka minut po nadejściu web-maila dostarczono mały woreczek z wiśniowej skóry, z cesarskim orłem odcisniętym na ołowianej pieczęci. Woreczek oznaczono: „Alex Gibson - poufne”. Ponieważ logika dyktowała, że kardynał zna tożsamość gościa mieszkającego w domu Volubilisa, a nazwisko o tak zachodnim brzmieniu raczej nie należało do japońskiego gangstera, Volubilis niechętnie oddał

woreczek zebrakowi.

23. Fatah śmierci

Pierwszą myślą Alexa Gibsona, kiedy zobaczył wirujący spodek, było: „Bombowiec”, drugą: „Co to jest?”. Kręciło się jak ogromny bąk-zabawka, wisząc w powietrzu po drugiej stronie ulicy, dziesięć, piętnaście stóp nad dachem budynku naprzeciwko.

Nie było oznakowane. Aero-Spatiale K119. Ale nie wojskowy - inaczej Alex już byłby trupem. Pleksiglasowa bańka podwieszona pod obrotowym dyskiem osłaniała kamerę, nie automatyczny karabin maszynowy Pustynny Orzeł.

Może kontrola policyjna albo wolny strzelec z CySatu.

Chociaż to trochę naciągane wyjaśnienie. Według Volubilisa mufti miał monopol na oficjalne zbieranie wiadomości. Znaczna część jego dochodów pochodziła ze sprzedaży batalistycznych serwisów zdjęciowych lub wybranych okropności z wojny na południu. Nawet C3N musiała wkupić się w usługi, które oferował.

Włóczęga gapił się na wirujący przedmiot i zastanawiał się mętnie, jak wiele nagiego, mokrego ciała wyłapią kamery przez strumienie deszczu. Pewnie tyle, ile zechcą, jeśli mają częstotliwość soczewek nastawioną na podczerwień. Oczywiście gdyby chciały czegoś bardziej osobistego, na przykład

21 □

zbliżenia wywracających się flaków w jego brzuchu, mogą po prostu przełączyć się na M-fale. Safona pieprzyła się tak, jak całowała, niezdarnie. No, ale trudno wymagać wyrafinowania od oczywistej amatorki. Alex zapomniał opowiedzieć o Aero-Spatiale K119, kiedy zszedł z dachu owinięty jej czarnym ręcznikiem Kenzo, z ciałem śliskim od deszczu. Zapomniał, bo kiedy wrócił, Safona wyjęła z szuflady dwie szklane rurki, złamała mu jedną pod nosem, a drugą powąchała sama, po czym natychmiast pocałowała go, mocno, kiedy jeszcze zataczał się od kopa meta-azotanu.

To wcale nie chodzi o mnie. To tylko prochy, zdecydował ospale Alex. Albo to, albo gorączka barbarossy, ale było mu wszystko jedno. Zbyt pochłaniało go przesuwanie rąk do góry pod koszulką Safony, żeby przejmować się jej motywami.

Na ścianach pokoju Safony wisiały przypięte pinezkami tanie trójwymiarowe hologramy, w większości nagich gwiazd z MTV CySat - Kali, Sonya, Razz-jazz... nazwiska nic dla Alexa nie znaczyły. Na plakacie przy oknie chuda, zylasta czarna kobieta, Sonya Serene, dmuchała w saksofon w jakimś zadymionym barze, w rozpiętej białej bawełnianej koszuli pokazującej diament w pępku, z butelką japońskiej whisky przylepioną do fortepianu obok. Fluorescencyjny czerwony slogan żapewniał, że życie w Edo płynie łatwiej.

Nad łóżkiem, w stronę którego Safona teraz delikatnie go kierowała, wisiał inny holoplakat. Nastolatka z rzęsami jak czułki owada, srebrna skóra naoliwiona i śliska, całe ciało smukłe i muskularne, ciemne soczewki wbite w kamerę. Gdyby wzrok mógł zabijać, fotograf już dawno zgniłby pod ziemią. Seksowna, niebezpieczna, absolutnie nietykalna, ponieważ absolutnie nierealna. Nie dało się określić jej pochodzenia, ponieważ wszechobecne srebro skóry wywierało tak piorunujące wrażenie, że zacierały się wszelkie inne cechy.

El 1

Twarde, wygolone ciało, implantowane soczewki i trzy złote pierścienie na wargach sromowych tworzyły bajeczny efekt - na razie. Po sześćdziesiątce będzie odrażająca. Lecz Alex jakoś nie wierzył, żeby taka dziewczyna dożyła starości.

- Wszystko, czym nie jestem - powiedziała ze smutkiem Safona, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem. To było twierdzenie, nie pytanie. Chociaż dopiero po paru sekundach Alex zrozumiał, co znaczyło.

- Więc po co ją masz? - Mówił uliczną francuszczyzną, z akcentem zebraka lub złodziejaszka.
- Nie chciałbyś nią być? - zapytała Safona. - Gdybyś miał wybór...?
- Nie jestem srebrny...
- Ani nie jesteś kobietą.

Odepchnęła go, aż poczuł twardą i zimną krawędź łóżka napierającą z tyłu na wysokości kolan. Spojrzała na niego z kwaśnym uśmiechem.

- Cholera - powiedziała. I uklękła przed nim, oparła twarz na jego nagim podbrzuszu, jej splątane rude włosy muskały mu nogi. Otwarte usta znalazły go, objęły cały członek i ssały delikatnie, dopóki nie stwardniał tak głęboko, że Alex myślał, iż dziewczyna się zakrztusi. Ale w ostatniej chwili Safona uniosła głowę, lekko zaczepiając zębami o naskórek. Potem, kiedy prawie jęknął z bólu, uwolniła żołądz z uchwytu zębów, gwałtownie zniżyła głowę i znowu go połknęła.

Tym razem, kiedy się podniosła i uklękła wyprostowana, przycisnęła policzek na płask do jego chudych żeber i jedną ręką ciasno objęła go w pasie. Drażniła wargami jego sutki teraz delikatnie, pieszczotliwie.

- Słyszę twoje serce - powiedziała zduszonym głosem.

- Czy to dobrze?

- Skoro je masz...

E1E

Safona mocniej zacisnęła chwyt.

- Mężczyźni zwykle nie mają serca, wiesz. Przynajmniej mama tak mówi - dodała z goryczą.

Na zewnątrz barbarossa przycichł do gniewnego pomruku, ale powietrze wciąż pachniało ciepłą statyczną elektrycznością. Deszcz chłupotał i bulgotał, spieniona woda spływała zapchanymi rynnymi, wylewała się na chodnik i parowała w lepkim nocnym upale.

Alex wczepił palce w ufarbowane henną włosy dziewczyny, pociągnął ją do góry i powoli odchylił jej głowę do tyłu, żeby zajrzeć głęboko w oczy. Miał rację, Safona właściwie go nie widziała. Żrenice miała rozszerzone do tego stopnia, że nie mogła skupić wzroku.

Jakby patrzył na pusty ekran.

Ekran, na którym mógł zapisać wszystko, co zechciał. Na nieszczęście dla obojga, właśnie wtedy meta-azotan walnął w synapsy Alexa, jednym prostym neuralnym zwrotem przestawił ścieżki neuralne od kory mózgowej do ciała migdałowatego i pozwolił, żeby iloraz erekcji EQ zagłuszył iloraz inteligencji IQ jako prosta mózgowa nakładka.

Koszulka Sióstr Gai rozdarła się łatwo, tkanina pękła, zanim jeszcze spadła na kafelki, odsłaniając pełne, dojrzałe piersi. Strach pojawił się na zaszokowanej, wymalowanej twarzy Safony, kiedy podniosła wzrok, mrugając nerwowo w syczącym blasku lampy sztormowej.

Jedną ręką wciąż trzymając dziewczynę za włosy, Alex spojrzał na jej ciało. Szerokie biodra, mocne nogi, miękki zaokrąglony brzuch nad niesforną kępką czekających włosów.

Bez namysłu Alex pochylił się i objął wargami różową sutkę, ścisnął ją wargami i zębami, a drugą rękę wsunął między nogi Safony i mocno przycisnął palce do jej warg sromowych. Były wilgotne, nabrzmiałe po brzegach i lekko rozwarłe.

E

Safona zadrżała - i obiema rękami chwyciła świeżo ogoloną głowę Alexa, szarpnęła w górę, aż odnalazły się ich usta, zmiażdżyła mu wargi pocałunkiem.

Jej oczy wypełniły mu pole widzenia, tak bliskie, że rozmyły się, zredukowane do ciemnej plamy w blasku lampy. W dotyku policzek był gładki i miękki, chociaż szukające wargi były szorstkie i słone jak krew lub morze.

Sutki pociemniały pod jego natarczywymi palcami, delikatna tkanka nabiegła krwią, aureolki pomarszczyły się i nabrzmiały. Kropelki potu zaperliły się w rowku pomiędzy obfitymi piersiami. Ten pot również smakował słono.

Skądś napłynęło wspomnienie, że krew i morze zawierają dokładnie ten sam procent soli. Może to dotyczyło także potu.

Alex z trudem opuścił się na kolana, wysuwając do tyłu złamaną nogę pod niewygodnym kątem.

Przez sekundę chybotął się w chwiejnej równowadze, niczym gimnastyk uchwycony w upadku przez nieżyczliwą kamerę. Potem jego niecierpliwa dłoń chwyciła nogę dziewczyny pod kolanem i szarpnęła. Zmusił Safonę, żeby przykucnęła przed nim.

Całowali się żarłocznie, siedząc na podłodze. A potem Safona mocno ugryzła go w dolną wargę, aż

do krwi.

Alex stęknął, spostrzegł jej chytry uśmieszek, obrócił ją i pchnął twarzą do dołu na niskie łóżko. Chwył szerokie pośladki Safony i rozchylił je, aż całkowicie odsłonił jej srom i odbył - lśniąca różową szparę i krążek ciemniejszego pigmentu, jak spuchnięta róża.

- Nie!

Safona szarpnęła się, kiedy usiłował wepchnąć w nią język, doścignąć smak ciemny jak gorzka czekolada. A kiedy zignorował jej gorączkowe ruchy, próbowała mocniej zewrzeć mięśnie ud i pośladków. Przez chwilę Alex myślał, że się

E1U

udusi, ale kiedy sondował językiem coraz głębiej, Safona znowu zaczęła się rzucać, tym razem z podniecenia, jej krzyki przeszły w serię urywanych oddechów.

- Drań - rzuciła, kiedy było po wszystkim.

Alex tylko uśmiechnął się i odsunął twarz od jej odbytu, wycierając posiniaczone wargi o wewnętrzną stronę uda, zanim wpił się wargami w jej rozwartą seks. Szerzej rozchylił jej nogi, żeby głębiej wepchnąć język w szczelinę.

Safona znowu zaczęła się rzucać i dygotała, dopóki nie doszła po raz drugi. Potem rozciągnęła się na łóżku z zamkniętymi oczami, oddychając głęboko.

Bezbronna.

Zaskomlała, kiedy pchnął ją między pośladki. Nie był to krzyk ani jęk. Coś znacznie bardziej prymitywnego, bardziej pierwotnego. Dziecko zabłąkane w nocy, ranny starzec porzucony przez swoje plemię.

Przerwał i czekał, czy Safona zacznie błagać, żeby przestał. Ale kiedy nie poprosiła, kontynuował. Obiema rękami mocno trzymał jej silne biodra.

Dziewczyna przeklinała teraz niskim zwierzęcym jękiem - strumień inwektyw płynących bez końca.

- Ty draniu, ty pieprzony, pierdolony draniu.

Szczerą prawdą. Alex kiwnął głową na znak zgody, mocniej chwycił jej biodra, powoli się wycofał i znowu pchnął, wbił się w nią mocno.

Wszystko wokół przestało się liczyć. Złamane, niesprawne kolano. Pokój Safony na ostatnim piętrze, z czerwonymi kafelkami i bielonymi ścianami. Jej banalne trójwymiarowe plakaty.

Wypalony barbarossa Nawet fakt, że chociaż wreszcie poznał swoje nazwiśko, nadal nie wiedział, kim jest naprawdę Alex Gibson ani co robi w M'dinie...

Wszystko zostało dokładnie wymazane z jego umysłu, kiedy trzymał i ujeżdżał skamlącą dziewczynę. Śmierdziała jak żyzna

515

ziemia, jej wnętrzości wydawały się płynne. Za oczami Alexa powstawał cały świat, czekając, żeby wytrysnąć rzygowiną pamięci.

Potem się skończyło i Alex upadł na jej plecy, wstrząsany spazmami, walcząc o oddech. Pot spływał mu spod pach, krew łomotała w uszach, litania przekleństw dziewczyny rozpływała się w ciszy.

Zrobione, zakończone. Ale wspomnienia, które ścigał, nie powróciły.

Z jękiem Safona wygramoliła się spod niego i pocztogąła po kafelkach w stronę pudełka z chusteczkami antyseptycznymi. Przykucnęła, wcisnęła sobie pełną garść między nogi i trzymała tam, dopóki jej szloch nie ucichły. Gdy je wyjęła, były splamione czerwinią.

- Krew - orzekła Safona z niesmakiem. - Nie całkiem o to mi chodziło.

Alex nie odpowiedział, tylko dalej leżał skulony w pozycji płodowej na gołym materacu Safony, wpatrując się pustym wzrokiem w logo Togo, wytłoczone nieskończoną ilość razy na polipiankowej powierzchni. Ponad nagim ramieniem dziewczyny przez zwykłą szklaną szybę zobaczył synapsę błyskawicy rozcinającą ciężkie zachmurzone niebo. Może tylko mu się zdawało, ale przez nanosekundę widział również wirującą, podobną do bąka sylwetkę Aero-Spatiale K119.

- Spójrz na mnie - zażądała ostro Safona. Bez skutku. Kiedy Alex nie zareagował, chwyciła

go za głowę i wykręciła tak, że nie miał wyboru, musiał spojrzeć w jej pogardliwe, rozpalone od narkotyków oczy.

Zrozumiał wtedy, dlaczego dorośli boją się młodych. Ponieważ Safona znajdowała się w tym jedynym punkcie życia, skąd można patrzeć w obie strony - wstecz, na odległe cierpienia dzieciństwa, i do przodu, na ból prawdziwej dorosłości.

Tylko że Safony to nie spotka. Zostawiła już za sobą dzieciństwo i uporała się z okresem dojrzewania, ale nigdy nie miała się zestarzeć.

Los postanowił do tego nie dopuścić

Mały woreczek z wiśniowej skóry od lady Clare zaprowadził Alexa z powrotem do jego pokoju na dziedzińcu; i właśnie dlatego zamiast niego umarła dziewczyna. A wszystko zaczęło się od całkiem niewinnego pytania Safony. Niewinnego, lecz pozbawionego odpowiedzi. Naładowanego jak tania podróbka colta w ręku sobotniego pijaczka.

- Nie wiesz? - zagadnęła nagle Safona, zmieniając nastrój tak szybko, że Alex początkowo nie załapał, o co jej chodzi. - Znaczący, nie masz pojęcia, kim jesteś?

Zdjęła ręce z jego twarzy i usiadła ostrożnie obok.

- Żadnego śladu?

No, nie całkiem. Miał ślad, ale bał się z niego skorzystać.

Alex przeprosił, zwał się z materaca i poszedł przynieść Safonie jedyny ślad, jakim dysponował - czerwony skórzany woreczek, złamaną ołowianą pieczęć i cienki jak opłatek kwadracik bio-chipu o śliskiej powierzchni, przetykanej złotymi drucikami i wysadzanej małymi paciorkami jak kolorowe szkiełka.

Czas, żeby go użył.

W swoim pokoju wyjął kartę z woreczka, wziął głęboki oddech i mocno wepchnął kartę w częściowo zarośnięte gniazdo swojego pustego, nieużywanego ceramicznego implantu w nadgarstku. Skóra pękła, popłynęła krew, ale karta zaskoczyła.

Nowe nitkowate aksony rozkrzewiły się z brzegów gniazda w eksplozji świeżych komórek nerwowych. Koniuszek każdego aksonu wkręcał się w porowatą, podobną do mułu powierzchnię biogliny i kotwiczył się na miejscu. To dzięki chipowi Alex wiedział, że Safona umarła.

E1 7

Nie usłyszał tego, tylko poczuł. Niski trzask, prawie pod-dźwiękowy, potem nagły szarpiący skok ciśnienia, kiedy urwany wrzask zrykoszetował o krawędzie jego umysłu i natychmiast nastąpił prawdziwy wybuch. •

Przez mdlącą chwilę nieludzkie macki myśli sondowały umysł Alexa, potem wycofały się, pozostawiając grobową pustkę, zbyt szybko wypełnioną posiekanymi, postrzępionymi wspomnieniami umierającej Safony.

Alex pędził do jej pokoju, wbiegał z łomotem po starych drewnianych schodach, rozbijał krzykiem zdumioną, ciszę domu, zanim jeszcze uświadomił sobie, że horror w jego głowie zniknął.

Gwałtownie otworzył drzwi sypialni i zamarł na progu. Płomienie lizały już ściany otynkowane spienionymi smugami mdląco czerwonej emalii. Kłęby czarnego dymu przesłaniały karminowe rozbryzgi krwi na popękkanym suficie.

Smród spalonego magnezu nie mógł zamaskować ciężkiej woni pieczonego mięsa. Alex spojrzał bezradnie na ociekające rozbryzgi ciała, które oblepiały jak szpachlówka płonąca toaletkę Safony, upadł na kolana i zwymiotował.

To, co zostało z dziewczyny, przypominało czarną maź sklejoną z podziurawionym, płonącym obiciem polipiankowe-go futonu Togo.

- Nie ruszaj się, skurwielu.

Colt Volubilisa dźgnął mocno wrażliwy punkt pod uchem Alexa Gibsona, a potem rękojeść trzasnęła go w tył głowy i Alex upadł na podłogę.

- Już nie żyjesz - obiecał chrapliwie tuareski ksiądz, wpatrując się w rozpalone magnezowe interno. Nosił czarne chirurgiczne rękawiczki i bładobłękitny nanoporowy strój operacyjny, tak zaplamiony chemikaliami, że wyglądał jak wczesny Jackson Pollock.

- Ty bestio.

EIB

Kopniak Volubilisa trafił pod żebra i wywołał nową falę mdłości, lecz Alex nie miał już czym rzygać.

Wokół nich spadały płaty płonącego tynku, kiedy cegły sufitowe z suszonego błota zaczęły pękać od żaru; futon Safony zmienił się w bulgoczącą polipiankową kałużę błękitnego ognia. To, co zostało z jej ciała, nie wyglądało już nawet organicznie, nie tylko po ludzku.

W oddali zawyły syreny, kiedy straż pożarna M'diny wkroczyła do akcji; Alex i ksiądz nagle usłyszeli stłumione dudnienie nadlatującego policyjnego helikoptera.

- Nie wejda tutaj - powiedział cicho Volubilis. - Dopóki z tobą nie skończę, kurwa... Wstawaj! Rąbnął go w szczękę lufą colta, lecz Alex nawet nie drgnął.

Kłęczał zwrócony twarzą do piekła płomieni, łyzy wysychały mu na skórze od żaru, niemal zanim wypłynęły z oczu. Unosił zabliznione ręce, żeby odepchnąć gasnącą pamięć, która odbijała się od osmalonych ścian, rozpadała się w jego mózgu jak obraz satelitarny, kiedy sygnał schodzi z częstotliwości.

Wysoki mężczyzna w długim futrzanym płaszczu stał u stóp materaca Safony i patrzył pogardliwie na jej nagie ciało, kiedy dziewczyna rozpaczliwie walczyła ze śliskimi jak węgorz więzami, które krępowały jej nadgarstki. Im mocniej szarpała, tym głębiej się wgryzały, aż stopniowo zniknęły pod posiniaczoną skórą i popłynęła krew.

- Ratunku - błagała Safona. - Pomóż mi. Proszę.

- Kiedy ty mi pomożesz. - Mężczyzna przysunął małe trójwymiarowe zdjęcie Kodaka tuż do wykrzywionej twarzy Safony. Zdjęcie przedstawiało otyłego ciemnowłosego Anglika w ciemnych okularach, kołnierzyku i krawacie.

- Gdzie on jest?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Ale go widziałaś?

- Nie. Nigdy. - Safona rozpaczliwie kręciła głową.

Eli

- Wiesz, jakoś ci nie wierzę.

Wysoki mężczyzna uśmiechnął się ponuro. W prawej dłoni trzymał pękatą rękojeść automatycznego karabinka z ośmio-calową, gładko odpilowaną ceramiczną lufą wystającą z łożyska. Nie zaszczycił Safony kolejnym spojrzeniem.

Wyciągnął z kieszeni płaszcza czarny plastikowy walec, odgryzł czubek i rozerwał hermetyczną osłonę. Pozostawiało to pięć sekund, zanim ładunek osiągnął masę krytyczną.

Włożył nabój do browninga, obszedł futon i brutalnie rozsunał kolana dziewczyny.

EU. Ctlartwa natura pa śmierci

Johnnie był zimny jak lód - od szoku, tak sobie wyobrażał - i ciasno splatał sine, zmarznięte palce.

Raz po raz szukał w piersi dziury od kuli, ale ciągle nie mógł jej znaleźć. Chociaż skórę miał bardziej różową, niż sobie przypominał. Nie słyszał również kojącego nocnego stukotu miejskiej monoszynówki ani znajomego ryku pociągu-pocisku Seria 450 Nozomi relacji Edo - Osaka. Co znaczyło, że gdziekolwiek był, nie był w Edo. Ale i tak to wiedział.

Nocny ryk Serii Nozomi to jedno; niskie, straszne dudnienie krążących helikopterów i odległy hałas karabinów maszynowych to całkiem inna sprawa. Japonia po prostu była zbyt uporządkowana na takie numery.

Z pokoju na górze dochodził łomot ciężkich stóp, a na zewnątrz rozlegało się dopplerowsko opadające zawrodożenie policyjnych syren zmieszane z metalicznym poszczekiwaniem megafonów.

W długiej, wąskiej piwnicy, do której wszedł Johnnie, znajdowały się trzy inne osoby, ale poświęciły przybyszowi akurat tyle uwagi, jakby był niewidzialnym duchem.

Zresztą piwnica i tak miała cmentarną atmosferę.

Na drugim końcu w kącie, oświetlony pojedynczym chemicznym pasem, wysoki ksiądz w brudnym ubraniu operacyjnym

EE1

pochylał się agresywnie nad schludnie ubraną kobietą o kwaśnej minie. Jeżeli kobieta czuła się onieśmielona różnicą wzrostu, z pewnością nic nie dawała po sobie poznać.

Cokolwiek mówił ksiądz, nie zgadzała się z nim. Odpowiadała na każdy z jego argumentów powoli, lecz stanowczo, jakby rozmawiała z upartym dzieckiem. Może nie zauważyła, że żyły na czole wysokiego mężczyzny nabrzmiały niemal do pęknięcia, a dłonie są zaciśnięte w pięści.

A może zauważyła.

Johnnie nie wiedział, jakim językiem posługują się ci dwoje, ale brzmiał po europejsku, jak włoski lub francuski. Trzecia osoba w pomieszczeniu wisiała nago na łańcuchach przy bielonej ścianie. Gdyby oba kolana mężczyzny nie zostały roztrzaskane na miazgę, mógłby stać; tymczasem zwisał nieprzytomny, zaczepiony za przeguby rąk.

Chuda twarz mężczyzny w łańcuchach była odwrócona w stronę Johnniego. Ze swojego miejsca Johnnie widział, że jedno oko zamknęło się od opuchlizny, a drugiego po prostu nie ma.

Na miejscu oka znajdowała się pusta, krwawiąca dziura, z której wyciekało coś podobnego do surowego jajka. Johnnie nie musiał widzieć zakrwawionego skalpela u stóp ofiary, żeby odgadnąć, co się stało. Słyszał zwierzęce wrzaski mężczyzny po drodze do piwnicy. Podobnie jak kobieta, która przepchnęła się obok niego, również spiesząc na dół.

Zanim Johnnie dotarł do piwnicy, kobieta weszła już do środka i usiłowała zaprowadzić prawo. Tylko że wysoki ksiądz miał poważne obiekcje.

- Non. Absolutement non. Merde...

Im ostrzej się sprzeciwiał, tym bardziej twardniała jej twarz, aż wreszcie jej stanowcze niemrugające oczy zaczęły wyglądać jak wyrzeźbione z marmuru.

EEE

- Dostyc - powiedziała wreszcie chłodną arystokratyczną francuszczyzną, której Johnnie nie mógł zrozumieć. - Przewyższam pana rangą. Chcę go mieć. I tego cholernego zółtka.

- Fatalnie - rzucił Volubilis przez zaciśnięte zęby. - Do tej pory pożar pewnie już zniszczył salę operacyjną i pani cenny truposz wcale nie jest zamrożony, tylko dobrze wypieczony.

Kobieta zerknęła na Johnniego, który stał niepewnie w drzwiach, a kiedy znowu odwróciła się do Volubilisa, na jej twarzy gościł triumfalny uśmiech.

- Lepiej niech pan sprawdzi swój termostat - zaproponowała.

Nastąpiła chwila absolutnej ciszy, która rozkwitła szybko jak wiśnie w Cesarskim Wschodnim Ogrodzie i równie prędko zwiędła.

- Gdzie ja jestem? - zapytał Johnnie po japońsku.

Przez sekundę wydawało się, że ksiądz zamierza celnym kopniakiem wtrącić go z powrotem w nieświadomość, ale zadowolili się przekleństwem i wykorzystali kopniaka do zamknięcia za sobą drzwi. Znikł w głębi piwnicy.

- No więc? - zapytał Johnnie i stanął przed kobietą, żeby nie mogła się wymknąć.

Lady Clare spojrzała na Johnniego, a potem na nagiego nieprzytomnego mężczyznę zwisającego ze ściany. Wokół jej oczu zaznaczało się napięcie, nieskazitelna poza tym blada skóra twarzy była naciągnięta do białości na skroniach i kościach policzkowych.

Johnnie sam też nie czuł się specjalnie wyluzowany. Głowa bolała go coraz bardziej, a kiedy zaczął nieopanowanie szcekać zębami, nagle zrozumiał, że okropna pustka w jego wnętrzu nie powstała z zimna. Powstała z odstawienia. Jakiś drań opróżnił mu implanty w nadgarstkach albo wstawił bypass, kiedy Johnnie nie patrzył; bez wizzu jego organizm nie mógł wrzucić luzu.

- Nie martw się. Dam ci trochę za chwilę. - Kobieta mówiła w łamanym języku japońskim, ale Johnnie rozumiał sens.

523

- OK - powiedział z wdzięcznością. Zastanowił się przelotnie, skąd wiedziała, co się dzieje w jego głowie. Ostatecznie to on pracował nad bloxem myślowym. Ale może wyglądał jak ćpun na głodzie.

- Ale najpierw musimy zdecydować, co zrobić z Alexem...

Clare podeszła do zmasakrowanego mężczyzny wiszącego

na łańcuchach i mocno uderzyła go w twarz. Skrzywiła się i pospiesznie wytarła krwawą maź z wnętrza dłoni.

- Słyszysz mnie? - zapytała.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Dobrze. - Clare chwyciła go za podbródek i odwróciła twarzą do siebie. - Popatrz na mnie. Jestem lady Clare Fabio. Pamiętasz, kim jesteś?

Mężczyzna z wysiłkiem pokręcił głową.

- Nie? Nieważne. I tak będziesz kim innym, kiedy się obudzisz. Teraz śpij.

Szybko dźgnęła sztywnymi palcami wrażliwy punkt u podstawy szczęki. Potem odsunęła się i pozwoliła, żeby nieprzytomne ciało trampa opadło do przodu na łańcuchach.

- Więc zostajesz tylko ty - zwróciła się do Johnniego. - Problem w tym, że powinieneś być zamrożony. Jeszcze nie jesteśmy na ciebie gotowi. Właściwie wątpię, czy w ogóle będziesz mi potrzebny.

Johnnie spojrział na schludną, opanowaną, elegancką Francuzkę i gdzieś we mgle jego spragnionego amfetaminy umysłu kawałki układanki zaczęły opornie wskakiwać na miejsce.

Ostatnie, co pamiętał, to własna śmierć, a potem samotne przebudzenie na kriogenicznej płycie Samsunga dwa piętra wyżej, z elektrodami sterzącymi ze skroni, kroplówką i rurkami transfuzji wyrastającymi z obu nadgarstków. Wszędzie dookoła trzaskały drzwi, a odległa syrena straży pożarnej zawodziła wyraźnie coraz bliżej. Zważywszy na płomienie liżące ściany sali operacyjnej, wezwanie pomocy wydawało się całkiem logiczne.

EEL.

Przez trzydzieści sekund, kiedy odgrywał Houdiniego z kroplówką, trodami i tubą w odbycie, dziedziniec na zewnątrz zapełnił się szczelnie strażakami, trzymającymi wysokociśnieniowe jednotlenkowe gaśnice Chubba.

Johnnie wiedział o tym, ponieważ zdążył to obejrzyć, zanim płaski ścienny ekran toshiby w sali operacyjnej eksplodował od gorąca i obsypał go odłamkami krystalicznego polikarbonu.

Uwolniony z płyty, Johnnie chwycił błękitne ubranie operacyjne, żeby okryć przemarznęte ciało, i postanowił wynosić się stąd jak najszybciej. Strażacy nie stanowili problemu, rozstąpili się przed nim z szacunkiem, kiedy zobaczyli krzyż i podwójną helisę na jego pożyczonym stroju operacyjnym, wygonili go na bezpieczny otwarty dziedziniec. Johnnie już nawet wyszedł przez główną bramę i wmieszał się w ruchliwy tłum, kiedy pierwszy policyjny hover nadjechał z piskiem opon po ulicy Rashid, rycząc głośnikiem.

Tłum wokół Johnniego rozproszył się jak dym na wietrze. Pochwycony w halogenowy snop światła policyjnego reflektora, Johnnie instynktownie wykonał unik i odskoczył z powrotem na bezpieczny dziedziniec, kiedy pocisk z przetworzonej gumy świsnął mu nad głową.

Rozległ się wściekły wrzask. Johnnie nie znał arabskiego, ale jeśli to nie znaczyło „stać”, to nigdy nie słyszał takiego żądania. Jakby na potwierdzenie, dwa kolejne pociski z ogtu-szacza Browninga wyjąc pomknęły za nim i uderzyły w mur dziedzińca z elektrycznym trzaskiem.

Znalazłszy się z powrotem w płonącym domu, Johnnie szarpnął jakieś drzwi, gorączkowo szukając innego wyjścia, i stanął na szczycie krętych schodów. Schodów, które spełniały trzy podstawowe funkcje: prowadziły pod ziemię, dalej od pożaru, i wiało od nich zimnym wilgotnym powietrzem.

Przyzwyczajenie jest drugą naturą, zwłaszcza dla neoA.

225

Clare kiwnęła głową, kiedy Johnnie skończył wyjaśnienia.

- Więc dlaczego tu jestem? - zapytał w końcu.

Clare uśmiechnęła się.

- Yakuza cię przysłała. To była moja zapłata za dostarczenie biogliny i załatwienie, żebyś naprawił ich przeciek danych. Lou i tak zamierzał cię zabić. Wiesz o tym, prawda?

Johnnie kiwnął głową.

- Inni by mu pozwolili - powiedział ze smutkiem. To nie było pytanie.

- Nie radzę ci wątpić - odparła stanowczo lady Clare. - Tak jak Alex, lepiej na tym wyjdiesz, jeżeli ludzie nadal będą wierzyć w twoją śmierć. Oczywiście twoja mała wycieczka w

kriogenicznym tanku sugeruje, że nie miałeś taki pozostać. Ale - Clare wzruszyła ramionami - to wielki pożar. Kto wie, ile ofiar pochłonie?

Umilkła i spojrzała twardo na Johnniego, jakby coś rozważała. Cokolwiek postanowiła, decyzja chyba wypadła na jego korzyść, ponieważ lady Clare uśmiechnęła się do niego niemal ze współczuciem.

- Wiesz, że nie możesz wrócić. Lou wystroił wszystkich w szare garnitury Muji i teraz sprzedają neuro-filtry 5-HT w modnych klubach we wschodnim Sinjuku. Przeszedłeś do historii. Jeśli będziesz mądry, zostawisz to tak.

- Więc czego chcesz ode mnie? - zapytał Johnnie. W pamięci zaczął już wyliczać, czego będzie potrzebował w zamian za swoje usługi. Na początek chciał Ryu - zabrać go z Edo i od starszego brata. Lou się wścieknął. A potem potrzebował kredytu, sprzętu laboratoryjnego, dostępu do najlepszych komputerów...

Clare wskazała umęczonego człowieka wiszącego na łańcuchach.

- Makai umówił się, że przehandlujemy go Sekcji 3 w Paryżu, żeby wyrwali mu myśli. Jakby pamięć za pamięć. Ale zamierzam

E5E

to zmienić. A raczej - lady Clare objęta ramieniem chude barki Johnniego - razem to zmienimy, ty i ja. Ponieważ jeszcze nie skończyłam z Pierre'em Nexusem i jego ukochaną Sekcją.

Johnnie kiwnął głową. To wyglądało rozsądnie.

- I wiesz co? - dodała lady Clare, sięgając do kieszeni. - Makai nawet nie będzie wiedział o nowym układzie. Przynajmniej na razie. A jak się dowie...

Zerknęła na coś, co wyglądało jak ząb spoczywający w zagłębieniu jej dłoni.

- Zawsze możemy negocjować.

E5. PustLjnnne dragi

Alex wył z bólu przez całą drogę do pustynnego kompleksu. No, ale nie mieli gdzie go przypiąć na podskakującej metalowej podłodze nowej toyoty atlas z napędem na cztery koła należącej do Clare; a wynajęcie hovera Czerwonego Krzyża zwróciłoby uwagę, przynajmniej tak twierdził Volubilis.

- Nalepcie mu chociaż jakieś paradermy! - zaproponował z irytacją Johnnie.

- Nie ma mowy - odparł Volubilis i spiorunował neoA spojrzeniem, które mogło przepalić tytan. Wymamrotał coś niemilego o narkomanach i wprowadzaniu niepotrzebnych chemikaliów do organizmu Alexa.

Johnnie nie dał się nabrać, podobnie jak lady Clare, która prowadziła ręcznie starożytnego łoża i była zbyt zajęta walką z wysoce nieprzewidywalnym układem kierowniczym, żeby dyskutować. Soft drogowy nie obejmował większości pustyni Maghrebu, a tylko ona miała pełne manualne prawo jazdy.

Johnnie nigdy nie nauczył się prowadzić, nie potrzebował. Co do Volubilisa, jeżeli podróż była za długa na automatyczną taksówkę, zwykle korzystał z samolotu. Tylko że samoloty miały skomputeryzowaną centralną rezerwację, a tym razem lady Clare nie chciała zostawiać śladu. Nie mogła nic poradzić na satelity szpiegowskie, najwyżej jechać podczas dziennego

EEB

upału - mniejszego na wiosnę - i liczyć, że żar piasku wystarczy do zakłócenia odczytu w podczerwieni. Raczej niewielka szansa.

Ale z drugiej strony, bez względu na liczbę ulicznych kamer, satelitarnych oczu i szpiegowskich M-falowych samolotów, władze po prostu nie mogły śledzić wszystkich bez przerwy, przynajmniej tak lady Clare powiedziała Johnniemu.

Musiała wykorzystać całą swoją pomysłowość, żeby powstrzymać Volubilisa od wydania półzywego Alexa policjantom muftiego, żeby dokończyli roboty. Mówiła szybko i twardo, szkicowała możliwy korzystny układ dla Kościoła Genetyków i w końcu przekonała księdza-chirurga, żeby pokazał jej drogę do San Lorenzo, pustynnej kryjówki Genetyków.

Zdaniem Johnniego kryjówka nie wyglądała nadzwyczajnie. Wielka szara stodoła z dachem krytym czerwonymi dachówkami, nad którym wznosiła się w narożniku wysoka kwadratowa wieża

zwieńczona nierównymi blankami. Dwupiętrowy budynek stał na skraju małej oazy. Dookoła parteru ze wszystkich stron biegł zacieniony krużganek, którego grube mury i wąskie łuki chroniły przed bezpośrednim atakiem słońca. Wąskie okna na pierwszym i drugim piętrze miały okiennice z drewnianych listew, już szczelnie zamknięte w południowym skwarze.

- Większość jest pod ziemią - wyjaśnił Volubilis. - Górną część zachowaliśmy w takim stanie jak wtedy, kiedy mieszkał tutaj doktor Dutch.

Lady Clare spojrzała tylko raz na Johnniego i zanim zdążył zadać pytanie, odpowiedziała mu westchnieniem. Amfetamina, którą od niej dostał, już przestała działać. Wyglądał jak wrak i koniecznie potrzebował kąpieli. No, ale Bogu wiadomo, że ona też.

- Doktor Dutch założył Genetyków - wyjaśniła cierpliwie. - Sprzedał swoje wstępne badania bioTekzowi w zamian za

SER

procent od zysków. Przeznaczył zyski na ufundowanie stacji badawczych w Cambridge, MIT i Cal Teku. Dopiero później zdecydował, że prościej będzie wykonywać całą pracę u siebie, i wykupił większość udziałów w Sorbonie... Zgadza się na razie? - zapytała Volubilisa.

Przytaknął, zachowując obojętną minę. Pochwylił pełne satysfakcji spojrzenie Clare i odwrócił wzrok. Patrzył prosto przed siebie, zwężając ciemne oczy za przyciemnionymi raybanami.

- Nie lubię cię - oznajmił beznamiętnie. - Nie lubię twojego żółtego naćpanego pieszczołka, twojego walniętego trampa ani tej małej czarnej skrzynki, z którą gadasz co wieczór, ale mówisz tylko połowę prawdy. I nie wierzyłem ani przez chwilę, że ciągle sypiasz z Trzecią Sekcją... Ale jeśli możesz dostarczyć Kościołowi Genetyków patent na niewidzialność, pójdę za tobą nawet do piekła, jeżeli trzeba. Biskup-audytora dał ci pełnomocnictwo na poziomie Serafina i nie do mnie należy podważanie jego decyzji, z czego powinnaś się cieszyć. Ale i tak, kurwa, nie spuszczę cię z oka w dzień czy w nocy... A teraz ciągnijmy tę farsę.

Volubilis zamasyżuje otworzył drzwi toyoty, pomaszerował po żwirze do łukowego wejścia i znikł w mrocznym wnętrzu domu, pozostawiając Clare i Johnniemu wniesienie Alexa.

Głęboko pod ziemią, w ogromnej sali operacyjnej, wyłożonej od podłogi do wysokości człowieka bładoróżowymi, emitującymi światło ceramicznymi płytkami, Volubilis przyglądał się z boku z zaciśniętymi wargami, jak dwaj pielęgniarze przebierają Johnniego w błękitny strój operacyjny, mocują mu na szyi subwokalny mikrofon Sanyo i wkładają dostrojony paciorkowaty odbiornik do prawego ucha.

To był klasa towar. Przy tym sprzęt używany zwykle przez neoA wyglądał jak tanie zabawki z państwowego przedszkola,

3

procent od zysków. Przeznaczył zyski na ufundowanie stacji badawczych w Cambridge, MIT i Cal Teku. Dopiero później zdecydował, że prościej będzie wykonywać całą pracę u siebie, i wykupił większość udziałów w Sorbonie... Zgadza się na razie? - zapytała Volubilisa.

Przytaknął, zachowując obojętną minę. Pochwylił pełne satysfakcji spojrzenie Clare i odwrócił wzrok. Patrzył prosto przed siebie, zwężając ciemne oczy za przyciemnionymi raybanami.

- Nie lubię cię - oznajmił beznamiętnie. - Nie lubię twojego żółtego naćpanego pieszczołka, twojego walniętego trampa ani tej małej czarnej skrzynki, z którą gadasz co wieczór, ale mówisz tylko połowę prawdy. I nie wierzyłem ani przez chwilę, że ciągle sypiasz z Trzecią Sekcją... Ale jeśli możesz dostarczyć Kościołowi Genetyków patent na niewidzialność, pójdę za tobą nawet do piekła, jeżeli trzeba. Biskup-audytora dał ci pełnomocnictwo na poziomie Serafina i nie do mnie należy podważanie jego decyzji, z czego powinnaś się cieszyć. Ale i tak, kurwa, nie spuszczę cię z oka w dzień czy w nocy... A teraz ciągnijmy tę farsę.

Volubilis zamasyżuje otworzył drzwi toyoty, pomaszerował po żwirze do łukowego wejścia i znikł w mrocznym wnętrzu domu, pozostawiając Clare i Johnniemu wniesienie Alexa.

Głęboko pod ziemią, w ogromnej sali operacyjnej, wyłożonej od podłogi do wysokości człowieka bładoróżowymi, emitującymi światło ceramicznymi płytkami, Volubilis przyglądał się z boku z zaciśniętymi wargami, jak dwaj pielęgniarze przebierają Johnniego w błękitny strój operacyjny, mocują mu na szyi subwokalny mikrofon Sanyo i wkładają dostrojony paciorkowaty odbiornik do

prawego ucha.

To był klasa towar. Przy tym sprzęt używany zwykle przez neoA wyglądał jak tanie zabawki z państwowego przedszkola,

53D

gdzie Johnnie dorastał. Następnie dostał nanoporową maskę, a na ostatku rękawiczki i zmiennoekranowe okulary Zeissa, dzięki którym widział odczyty wszystkich funkcji ciała Alexa - wystarczyło, że skupił wzrok na punkcie przed sobą oddalonym o pół długości ramienia.

Wszystko, od tętna i wskaźników hemoglobiny/tlenu po poziom endorfin w mózgu, było pokazywane jako seria powiązanych trójwymiarowych wykresów ze słupkami. Klasa sprzęt czy nie, Johnniemu niespecjalnie się podobało przeladowanie informacją. Dawniej, w Edo, najbardziej wymyślne medyczne numery zwykle odstawiali na mieszance prochów, adrenaliny i instynktu. Martwiło go głównie to, że jak zacznie się zabawa, będzie taki zajęty oglądaniem tych wszystkich ślicznych odczytów, że straci tempo.

- Najpierw zrobię nogi - powiedział prawie do siebie, i natychmiast rząd lamp nad jego głową oświetlił odpowiednie miejsce, a kamera w suficie zaczęła rejestrować operację. Mikrofon na gardle wyłapywał każde słowo Johnniego i nagrywał jako cyfrową ścieżkę dźwiękową do wizualnego zapisu.

Volubilis zniknął, ale lady Clare oglądała sterylną salę operacyjną z góry, z zaciemnionej oszklonej kabiny wbudowanej w ścianę na półpiętrze. Widziała Johnniego, ale on jej nie widział. I wcale mu nie zależało. Wystarczyło już, że Clare zażądała własnego połączenia z jego mikrofonem i odbiornikiem.

Johnnie obejrzał nagie ciało przed sobą i zastanowił się, czy Clare w ogóle ma pojęcie, czego wymaga. Może wiedziała, tylko zwyczajnie jej nie zależało... Ale Johnniemu zależało. Sam już raz umarł; nie zamierzał tam wysłać nikogo innego.

To znaczy, że Alex wkrótce umrze, jeśli Johnnie nie zabierze się do robienia cudów. Gangrena zdążyła fatalnie zainfekować obie nogi, ciałogniło w miejscach, gdzie odłamki kości przebiły skórę.

E31

Volubilis poinformował już stanowczo Johnniego, że jego zdaniem upał i wilgoć wczorajszego barbarossy w jakiś sposób przyspieszyły rozkład ciała Alexa. Johnnie wiedział, że to bzdura. Że kiedy Volubilis wtarł enzymy w rany na połamanych kolanach żebraka, nie spodziewał się, że kogoś innego poproszą o naprawienie szkody.

Tego ranka w toyocie atlas lady Clare załadowała program podstawowej francuskiej gramatyki i słownictwa prosto do przedniej części jego mózgu, poprzez trody przyłączone do małej szarej skrzynki, którą nosiła w torbie na ramieniu. Jakby cię spałowali we wnętrzu głowy. Dopóki Clare nie zaproponowała niedbale, że załaduje program bezpośrednio, Johnnie nawet nie podejrzewał, że coś takiego jest możliwe.

Odzyskał również implanty w nadgarstkach, cienkie ceramiczne rurki kryły się pod skórą jak zwykła kość lub kość słoniowa. Volubilis niezbyt się palił, żeby je wstawić z powrotem, ale Johnnie z zasady nie operował sam siebie, więc ponieważ Clare nalegała, Volubilis tylko wrzucił ramionami i wyjął laserowy skalpel Brauna z kieszeni dżelaby.

- Niech ten mały gnojek się zabije, co mnie to obchodzi?

Niełatwo było wykonać dokładne nacięcia, bo stara terenowa toyota buksowała i zarzucała na pustynnym żwirze, ale Volubilis poradził sobie, lepiej czy gorzej. Johnnie podejrzewał, że podłączenie bolało bardziej niż to konieczne, ale warto było znieść ból, żeby znowu wejść do sieci. Dopiero kiedy dojechali na miejsce, lady Clare powiedziała Johnniemu, czego od niego chce.

- Mam dla ciebie robotę - oświadczyła, mierząc twardym wzrokiem naga postać Alexa podłączonego do stołu.

Krótko przekazała Johnniemu, czego sobie życzy, i stanowczo ucięła jego protesty.

- Zrób to i możesz dyktować cenę - obiecała. - Zawalisz, to oddam cię z powrotem yakuzie. Zrozumiałeś?

2E. HaftiDLushiE hanałLj

Nienawidzi Nowego Jorku od pierwszego wejrzenia, i nie tylko dlatego, że nie przynależy. Ani że jego hotel-noclegownia, Grandę Agora, roi się od karaluchów tak samo, jak maty park naprzeciwko z rozbitym pomnikiem Lincolna roi się od ćpunów i nieletnich kurew co wieczór po zmroku. Nawet nie o to chodzi, że Broadway na północ od Czterdziestej Szóstej wypełniają rozpychający się łokciami japisi w szarych garniturach, zbyt aroganccy albo nerwowi, żeby patrzeć, gdzie idą. Że cała śmierdząca Lower East Side jest brudna, zbankrutowana i płynie z prędkością złego adrenalinowego haju.

Prawdziwy problem polega na tym, że jego była żona kocha to miejsce. Gorzej, jego własny dzieciak też to kocha. Pięcioletni Riki, który już zaczął zapominać, że ma prawdziwego ojca. Jenny po prostu wstaje i odchodzi, nawet nie zostawia listu na kuchennym stole. On przez trzy tygodnie wypytuje jej jeszcze-bardziej-wrogich przyjaciół, zanim w ogóle odkryje, dokąd wyjechała - z powrotem do domu, do Stanów, szukać pracy.

Dowiaduje się później, że przyleciała na JFKzRikim z biletami kupionymi na jego chip Am ex u i zamieszkała w hotelu Hyatt, również na jego chip. W ciągu dwóch tygodni poznała i dostała pracę u eksperta od bio-patentów Leonarda Bohna,

E3U

przebojowego prawnika od copyrightów. Z tego gatunku, który liczy sobie więcej za dzień, niż normalny człowiek zarabia przez miesiąc, jeździ tylko rolls-royce'ami z szoferem i zagłusza swoje sumienie rocznym członkostwem w jakiejś dziecięcej fundacji charytatywnej.

Dwa miesiące później ona planuje wyjść za Lenny'ego, odzyskać amerykańskie obywatelstwo i roztrwonić pieniądze hojnego Lenny'ego na ortodoncyjną operację Rikiego. I nawet nie odbiera jego telefonów.

Przeprowadziła się już do pięciopokojowego apartamentu Lenny'ego na dziewiątym piętrze, z widokiem na najmodniejszy kawałek „nowo pozyskanej” Upper East Side. Przeprowadziła się i zabrała ze sobą Rikiego.

Po drugiej stronie Central Parku, na Upper West Side, stoi największa katedra świata, kościół Świętego Jana, zbudowany na chwałę Boga przez bogatych białych Amerykanów i porzucony przez nich prawie równie szybko, kiedy na sąsiednich ulicach zamieszkali Portorykańczycy.

- Tak będzie dobrze dla Rikiego - mówi mu Jenny, kiedy wreszcie zgadza się odebrać jego telefon. - Chłopiec potrzebuje bezpieczeństwa. Lenny przynajmniej mu to daje.

Ukryta wymówka. Co gorsze, on wie, że uzasadniona. Lenny ma pieniądze i duże mieszkanie.

Lenny jest Amerykaninem, prawnikiem i Żydem, jak Jennifer. To on jest niepotrzebny, wielki błąd Jennifer.

- Riki to mój syn - oświadcza z gniewem. - Jestem jego ojcem.

Jenny nawet nie raczy odpowiedzieć na ten argument.

Rozmawiają przez trójwymiarowy widfon, ich szerokopasmowe słowa odbijają się chłodno od satelity, umieszczonego na geosynchronicznej orbicie wysoko nad środkowym Atlantykiem. On płaci za połączenie. Milczenie rozciąga się pomiędzy nimi. On nie chce się martwić kosztami, ale musi.

E35

Transatlantyckie wideorozmowy wciąż sporo kosztują, a on nie ma pieniędzy. Już nie ma.

Chyba że zastawi swoją okokamerę Zeissa, a na to jeszcze nie jest gotowy. Co znaczy, że pozostało mu tylko jedno. Wrócić do tego, iv czym jest najlepszy. Polować na procesy, przesiewać dowody, szukać zbrodni dostatecznie wielkiej albo obrony dostatecznie dziwacznej, żeby przyciągnęła publiczność.

Potrzebuje czegoś tak wystrzałowego, żeby CySat musiał kupić. W tym są prawdziwe pieniądze: namierzyć trójcę - sposób, motyw, przekręt.

Na pewno można dostać znaleźne za samo wyszukanie interesującej sprawy, ale prawdziwe pieniądze zarabia się, przesiewając raporty medyczne, zeznania świadków, zawikłane precedensy - żeby wygrzebać coś, co zapewni jedenasto-godzinny, przykuwający uwagę spektakl. Nieistotne, która strona wygrywa, nie dla łowców. CySat ma analityków oglądalności, którzy decydują o takich

sprawach.

Co powinien zrobić? Jeśli chce zebrać wystarczający kredyt, żeby polecieć do Nowego Jorku, to może zrobić tylko jedno. Przelknąć swoją dumę, skrupuły, znużenie, wstręt do okoka-mery, która zdominowała jedną stronę jego twarzy, i wrócić do tego, co robi najlepiej.

Polować na procesy, ścigać sensację.

Transatlantyckie wideorozmowy wciąż sporo kosztują, a on nie ma pieniędzy. Już nie ma.

Chyba że zastawi swoją okokamerę Zeissa, a na to jeszcze nie jest gotowy. Co znaczy, że pozostało mu tylko jedno. Wrócić do tego, w czym jest najlepszy. Polować na procesy, przesiewać dowody, szukać zbrodni dostatecznie wielkiej albo obrony dostatecznie dziwacznej, żeby przyciągnęła publiczność.

Potrzebuje czegoś tak wystrzałowego, żeby CySat musiał kupić. IV tym są prawdziwe pieniądze: namierzyć trójcę - sposób, motyw, przekręt.

Na pewno można dostać znaleźne za samo wyszukanie interesującej sprawy, ale prawdziwe pieniądze zarabia się, przesiewając raporty medyczne, zeznania świadków, zawikłane precedensy - żeby wygrzebać coś, co zapewni jedenasto-godzinny, przykuwający uwagę spektakl. Nieistotne, która strona wygrywa, nie dla łowców. CySat ma analityków oglądalności, którzy decydują o takich sprawach.

Co powinien zrobić? Jeśli chce zebrać wystarczający kredyt, żeby polecieć do Nowego Jorku, to może zrobić tylko jedno. Przelknąć swoją dumę, skrupuły, znużenie, wstręt do okoka-mery, która zdominowała jedną stronę jego twarzy, i wrócić do tego, co robi najlepiej.

Polować na procesy, ścigać sensację.

27. I chromi chodzić będą

Kolana Alexa zostały nieodwracalnie okaleczone, w jednym i drugim fragmenty roztrzaskanej rzepki poprzebijały chrząstki. Maż stawowa już dawno wyschła, więzadła były zerwane, nie do naprawienia.

- Łatwiej wymienić oba stawy - oznajmił niedbale Johnnie, odcinając skalpelem koniec mięśnia, który biegł od biodra do zmiażdżonego kolana. Promień kauteryzował tkankę przy cięciu i zostawiał zadziwiająco mało krwi. - Jeżeli naprawdę chcesz zmienić wygląd Alexa, teraz masz okazję dodać mu wzrostu albo odjąć - ciągnął Johnnie obojętnym tonem, spoglądając na zaciemnione okno antresoli.

- Jakie mam możliwości? - zapytała Clare.

Johnnie podniósł rękę z kciukiem i palcem wskazującym rozsuniętymi na jakieś dwa cale.

- Tyle w każdą stronę. Zakładając oczywiście, że Genetycy mają odpowiednie kości na składzie. Trochę więcej i spowodujesz uraz mięśni.

- Zrób go wyższym - zażądała Clare - jak najwyższym.

Johnnie cmoknął językiem o przednie zęby i zamówił części przez laryngofon.

Głęboko w sterylnych, utrzymujących stałą temperaturę podziemiach San Lorenzo dyżurny sanitariusz przed ekranem

E37

komputera wywotał specyfikację zapasowych kości udowych, piszczeli i strzałek, po czym szybko zestawiał prawy i lewy komplet.

Kości zostały już wyjęte z krio-konserwantu i poddane szybkiemu elektromagnetycznemu rozgrzaniu, zanim dyżurny przyszedł zabrać je na salę operacyjną.

Wtoczył coś, co wyglądało jak barek z nierdzewnej stali, lecz w rzeczywistości było kontenerem zaprojektowanym do przechowywania sterylnego roztworu soli dokładnie w temperaturze krwi, zaparkował wózek obok Johnniego i cofnął się.

- I parę cholernych torebek stawowych - zarządził Johnnie i czekał niecierpliwie, kiedy szybko dopasowano dwa ceramiczno-polimerowe stawy kolanowe do nowych kości nóg.

Komputerowo sterowane dźwignie przymocowane do stołu obróciły już Alexa Gibsona na brzuch, jaskrawy blask lamp operacyjnych padał na jego nagie plecy, pośladki i nogi. Schludną symetrię psuła tylko prawa noga, wykrzywiona w miejscu, gdzie Różaniec złamał ją zeszłego lata. Na

propozycję Johnniego pielęgniarz szybko przypiął prawą kostkę rzepami do blatu, żeby nie opadała za krawędź stołu.

Wreszcie zadowolony, Johnnie załadował dawki MDMA3 w implanty w nadgarstkach, wziął głęboki oddech i zaczął ciąć. Jego palce poruszały się tak szybko, że zanim Clare zorientowała się, co robią, już zakończyły zadanie i przeszły do następnego. Wiedziała, że Johnnie widzi zarówno rzeczywistość, wykonywaną przez siebie operację, jak i wzorcową wideosy-mulację wszystkich czynności przekazywaną przez zmienno-ogniskowe okulary Zeissa, ale i tak wyglądało to imponująco.

I trochę przerażająco dla kogoś, kto nic nie wiedział o najnowszych osiągnięciach medycyny. Jednym zamaszystym ruchem Johnnie rozciął z tyłu prawą nogę Alexa od kolana do pośladka, a potem poprowadził cięcie półkoliście pod wypukłością pośladka na zewnątrz, w stronę biodra.

E3B

Obiema rękami uchwycił brzegi rany, szarpnął mocno i oderwał całą skórną powłokę tylnej części uda i pośladka Gibsona od mięśni pod spodem.

Luźna skóra została natychmiast przyszyta do brzegu tkaniny pokrywającej stół operacyjny za pomocą przenośnej maszyny Singera, a potem systematycznie nawilżana przez automatyczny spryskiwacz.

Teraz przyszedł trudny moment. Szybkim ruchem Johnnie rozciął z boku oskórowaną nogę Alexa Gibsona, starając się jak najmniej uszkodzić zarówno mięśnie przywodzące uda, jak vastus lateralis, który zginał i stabilizował kolano. Więzadła będzie musiał ponownie połączyć po wprowadzeniu na miejsce nowej kości udowej, więc im mniej teraz zniszczy, tym lepiej.

Odślonił brzegi starej kości, cofnął się i ustąpił miejsca swoim dwóm pielęgniarzom.

- Usuwam oryginał - powiedział do rejestru, chociaż i tak nagrywano każdy jego ruch, żeby włączyć zapis do wideowzor-ca Genetyków i zwiększyć liczbę bezpośrednich przekazywal-nych doświadczeń zalogowanych w ich medisoftowym banku pamięci. Rejestracja stanowiła jeden z warunków, na jakich zgodzili się wpuścić Johnniego do swojej sali operacyjnej.

Po wyjęciu starej kości górna część nogi Alexa wydawała się sflaczała i pozbawiona życia niczym poleć syntetycznego gotowanego mięsa. Następny etap wykonano na żądanie Clare. Jako chirurg Volubilis dobrze wiedział, do czego posłuży modyfikacja, i nie pochwalał. Natomiast Johnnie miał to w nosie.

- Wprowadzam szpikowy wkręt w kość udową - oznajmił pogodnie, trzymając w jednej ręce nową kość, a w drugiej małą elektryczną wiertarkę. Szybko wwiercił się w kość, dopóki nagłe obniżenie tonu silnika nie ostrzegło go, że dotarł do szpiku kostnego.

53R

Elektryczny śrubokręt wkręcił pustą ceramiczną śrubę w przygotowany otwór tak, że główka wystawała nad powierzchnią kości. Otwarty kanał prowadził teraz od sterylnej, samozamykającej się główki śruby aż do szpiku.

- Wkładam na miejsce nową kość.

Johnnie wpasował głowę nowej kości udowej w panewkę biodrową Alexa Gibsona i szybko połączył z powrotem skomplikowany układ chrząstek, który mocował staw biodrowy.

- Tkanka chrzęstna OK - zameldował, łącząc rozcięte krawędzie przy użyciu hojnej porcji kleju molekularnego. Spryskał miejsce połączenia roztworem proteinowym, żeby wzmocnić naturalny kolagen i elastynową matrycę uszkodzonych chrząstek.

W ciągu dwóch dni więzadła mocno przyrosną na właściwych miejscach. To samo dotyczyło mięśni, które Johnnie ponownie przyczepiał, posuwając się wzdłuż kości udowej w stronę kolana i zostawiając trochę dodatkowego luzu ze względu na ogólne wydłużenie nogi.

Nieprzytomne, zmaltretowane ciało Alexa wiedziało jednak, że coś się dzieje. Zmiennoogniskowy odczyt na krawędzi pola widzenia Johnniego informował o coraz większej traumie. Johnnie mógł tylko liczyć, że medisoft utrzyma fale alfa, beta, puls, ciśnienie i oddech na możliwie stałym poziomie.

- Górna część nogi skończona, odczyty poziomów uszkodzeń w normie - ogłosił z udawaną pewnością siebie. - Zaczynam kolano.

Przewody kroplówek w nadgarstkach Alexa Gibsona powoli uwalniały mieszaną plazmę, paravenu i biochemu specjalnie zaprojektowanego, żeby oszukać mechanizm obronny ciała. Bez tego organizm Alexa instynktownie zacząłby odrzucać nowe transplanty i implanty.

Podstawowy profil DNA Alexa Gibsona również ulegnie drobnej zmianie, ale tego nie dało się uniknąć. W początkach

5L.D

bioteku robiono wiele szumu wokół zagadnienia, czy tak prosta operacja jak transfuzja krwi może zmienić profil DNA. Ale wkrótce większość ludzi zrozumiała, że sam sposób wytwarzania krwi oznacza, że przetaczana krew i tak traci większość swojego DNA czerwonych ciałek, a pozostałe ulega fragmentacji wewnątrz nowego organizmu.

Nigdy nie mogło dojść do zmiany DNA bez znaczącego przeszczepu szpiku kostnego, który wytwarza krwinki białe i czerwone.

Transplantowane organy to jednak inna sprawa. Biochemia konieczna do zmuszenia organizmu, żeby nie odrzucał nowych narządów, pozwalała również na zmianę profilu DNA krwi. A przy przeszczepie głównych kości, wytwarzających nowe ciała krwi w jamie szpikowej, obraz komplikował się jeszcze bardziej. Ale nie tak bardzo, żeby dobre laboratorium policyjne nie potrafiło określić, co jest oryginalne, a co nie.

- Wymieniam kolano.

Nowy syntetyczny staw wyglądał jak zdechła ośmiornica - chrząstkowata żółta torebka mazi stawowej mieszcząca się za kością udową, przymocowana siecią więzadeł, które Johnnie szybko przykleił na miejsce molekularnym epoksydem.

- Wygląda dobrze - powiedział Johnnie do laryngofonu, pracowicie owijając tkanki tłuszczowe wokół górnej części stawu kolanowego. Potem umieścił na miejscu zewnętrzne mięśnie udowe i ułożył mięśnie grupy tylnej w ten sposób, żeby ceramiczny wkręt wystawał. - Zaszuj to - polecił i cofnął się od stołu, żeby młody arabski pielęgniarz zajął jego miejsce. Chłopiec wycisnął długi waleczek molekularnego kleju na brzegi rany po skalpeli, złączył je równo i szybko wstrzelił kilka rozpuszczalnych zszywek. Następnie przyklepał z wierzchu cieniutki, prawie niewidoczny pasek subdermalnego uszczelnacza ze sterylnej rolki i wyprostował się.

EU1

Potem wyciągnął szwy mocujące skórę Gibsona do brzegów tkaniny i spryskawszy wewnętrzną powierzchnię sterylnym antyseptycznym roztworem, wprawnie naciągnął skórę z powrotem na mięśnie i wygładził - bąble powietrza jednym zamaszystym ruchem ręki.

Molekularnym epoksydem przykleił długi luźny brzeg do nienaruszonej części i spryskał prawie niewidoczne teraz nacięcie gotową skórą.

Z odległości większej niż osiemnaście cali nie dało się rozróżnić złączenia; z bliska wyglądało jak szew pończochy biegnący w górę z tyłu od kolana Gibsona. Ktoś będzie musiał mocno wyteńczyć wzrok, żeby zauważyć bliznę, chociaż zgrabny melaninowy krzyżyk, który pracowicie wytatuował pielęgniarz dla zaznaczenia ceramicznego wkretu pod spodem, wymagałby pewnych wyjaśnień.

- No, na razie idzie nieźle - orzekł Johnnie, szczerząc zęby. - Chyba jednak będziesz miała u mnie dług. - Błysnął oczami w stronę matowej czarnej szyby na półpiętrze. - Może lepiej pogadamy o cenie.

Na co lady Clare wcale nie miała ochoty.

Niewidoczna dla Johnniego, obróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi pomieszczenia. Uzbrojony strażnik otworzył je przed nią, zanim zdążyła sięgnąć do klamki, i łakomie zmierzył wzrokiem jej ciało. Nie dało się ukryć, że w San Lorenzo od dawna nie widziano kobiety.

- Zaprowadź mnie do laboratorium - rozkazała Clare.

Strażnik odwrócił się i ponownie spojrzał na nią spoza bojowych neoprenowych raybanów.

- Cywile nie mają wstępu do laboratoriów - oświadczył surowo, a następnie zepsuł cały efekt, kiedy jego spojrzenie ześliznęło się na mały kawałek skóry widoczny w dekolcie jej kołnierzyka.

- Cywile!

EUE

Clare wymierzyła mocny policzek młodemu rekrutowi, aż zatoczył się do tyłu. Zanim zdążył zareagować, wyciągnęła z kieszeni spodni czerwoną skórzaną przepustkę, otworzyła ją z trzaskiem i przysunęła holograficzne zdjęcie do jego zaszokowanej twarzy.

- Pułkownik - warknęła. - Trzecia Zmechanizowana Huzaria Atlasu. Zaprowadź mnie do tych laboratoriów. Szybko!

Wstrząśnięty rekrut wypełnił polecenie, a Clare ruszyła za nim. Kiedy dostrzegła swoje odbicie w przydymionej szybie wewnętrznego okna, ze zdumieniem odkryła, że się uśmiecha.

Twarda technologia mogła załatwić podstawowe mechaniczne zmiany, jakich wymagał Alex Gibson, ale pozostawał cały podzbiór wzmocnień wiralnych, możliwych wyłącznie dzięki biotekowi. To, co Johnnie teraz robił, przypominało pracę wykwalifikowanego robotnika budowlanego; żeby podrasować Alexa, musiał sięgnąć do swoich neoAddixowskich umiejętności specjalisty od projektowania narkotyków.

Z nawyku Clare wytrząsnęła parę acutrimów z paczuszki w kieszeni i przelknęła na sucho. Pora sprawdzić, jakim sprzętem dysponują dla Tetsuo Murakamiego, czy jak tam się teraz nazywał ten japoński punk.

Żeby wydłużyć goleń Alexa Gibsona, Johnnie po prostu złamał ją, wstawił dodatkowy cal kości pomiędzy odcięte końce i spiał całość. Tylko że nic nie było takie proste.

Małą, piłą elektryczną Johnnie przeciął grubą, dźwigającą ciężar ciała kość piszczelową na szerokość dłoni poniżej kolana; wbudowana w piłę pompa próżniowa wsysała odłamki kości i chrząstek podczas cięcia.

Później Johnnie przeciął strzałkę, cienką kość biegnącą równoległe do piszczeli, sześć cali poniżej pierwszego cięcia, żeby dwa kostne ubytki dzieliła dostateczna odległość, zwiększając wytrzymałość na obciążenie.

EL.3

Przedłużenie kości za pomocą pustej ceramicznej tuby było stosunkowo łatwe. Tuby zostały wykonane ze stopu silikonu, włókna aluminiowego i szkła borosilikonowego, wypalone w dostatecznie wysokiej temperaturze, żeby powstały nierówne pory. Po wstawieniu przedłużeń komórki osteocytów z oryginalnej kości wrosną w te pory i zwiążą pustą tubę z okostną. Problem wyniknie przy próbach nakłonienia mięśni goleni, żeby nie kurczyły się spazmatycznie przy dodatkowych naprężeniach, co mogło wykrzywić kości, zanim komórki zdążą się zrosnąć. Ale jeśli się uda - a udawało się częściej, niż nie udawało - więź stanie się mocniejsza niż oryginalna kość. Pusta tuba w grubszej kości miała wewnątrz dużą jamę, napakowaną już DNA-kompatybilnym szpikiem kostnym, oraz mniejsze kanały Haversa wypełnione biochemiami ułatwiającymi odrastanie nerwów i naczyń krwionośnych. Mniejsza tuba nie miała jamy, tylko kanały Haversa.

Johnniemu nie przyszło do głowy zapytać, skąd wziął się szpik kostny, ale lady Clare wiedziała - z tego samego miejsca co nowa twarz Alexa Gibsona. Od zmarłego, nieopłakanego, świeżo zamordowanego lorda Winterbrooke'a. Który jakoś nigdy nie otrzymał zaproszenia wysłanego przez Nexusa, chociaż Makai radośnie przyjął je w zastępstwie.

Kiedy przedtużki zostały bezpiecznie zamocowane, a wszystkie mięśnie ręcznie rozciągnięte po wstrzyknięciu relaksantu, Johnnie odsunął się i ustąpił miejsca pielęgniarzowi. Na razie skończył pracę. Druga noga będzie musiała poczekać do jutra.

Zrzucił zmiennoogniskowe okulary Zeissa i w ostatniej chwili przypomniał sobie, że musi powiedzieć komputerowi, że skończył na dziś. Potem wyjął bezprzewodowy paciorek z ucha i oderwał laryngofon od szyi. Jak zawsze po jednej stronie jabłka Adama został krążek podrażnionej skóry wielkości małej monety.

EUL,

Johnnie miał już wyjść z sali operacyjnej, żeby zrobić sobie przerwę na nową działkę, walenie konia i długi gorący prysznic, kiedy coś mu kazało obejrzeć się na zestaw monitorów Matsui, rejestrujących wzorce mózgowe Alexa Gibsona.

Fale alfa nie wyglądały na niebezpiecznie wysokie, ale szczyty byty... no cóż, ostrzejsze, niż się spodziewał, a poziom aktywności mózgu - niezwykle jak na tak głęboką narkozę.

Johnnie zastanawiał się leniwie, o czym myśli ten nieszczęsny drań.

EB. Róże wahał drzwi

Dziewczyna ma brązowe oczy i długie ciemne włosy, spięte po bokach czerwonymi plastikowymi wsuwkami. Nosi inteligentne reeboki, stare levisy obcięte nad kolanami i zieloną bluzę z klonowanej bawełny ozdobioną emblematem francuskiego uniwersytetu, w którym nigdy nie była. Alex kocha ją od pierwszego wejrzenia. Nie chce z nią chodzić ani jej przelecieć - chociaż w końcu robi jedno i drugie

- tylko kocha ją z gwałtownością, która wydaje się obca, nawet jemu.

Dziewczyna tak wyraźnie wyróżnia się w tym ponurym, zgarbionym, wracającym-do-domu londyńskim tłumie, jakby nosiła holoplakietkę z napisem: „Egzotyczna amerykańska turystka

- można oskubać”. Chociaż nie jest turystką, przyjechała na wymianę z LSE i jest studentką, co gorzej się składa dla Alexa.

Trwa recesja, od tak dawna, jak Alex sięga pamięcią. Brytania za namową rządu wykonuje kolejny skok do wanny, a Szkocja znowu przeprowadza głosowanie w kwestii niepodległości. Podstarzały książę regent mówi o wycofaniu się z życia publicznego, również po raz kolejny.

A Alex haruje jak wół, wygrzebuje precedensy, przeczesuje staroświeckie papierowe sprawozdania sądowe w Bibliotece Westminsterkiej, szukając przed-precedensowego zwrotu

EUB

w sprawie dotyczącej sierżanta policji z Soho, ojca czwórki dzieci, który dostał amoku z ceramiczną maczetą.

Policja, cudzoziemcy, a zwłaszcza studentki zajmują bardzo niskie miejsce na jego liście atrakcji.

Więc nic nie szkodzi, że Alex uważa ją za kolejną ładną, ale głupią amerykańską smarkulę potrzebującą wskazówek. Wysuwa się z płynącego tłumu i bierze ją za łokieć. Nie wiedząc, że ona zmieni jego życie, że w końcu przekona go, żeby całkiem zrezygnował z sądowego surfingu.

- Mogę pomóc? - pyta.

Później, znacznie później ona zabiera ich syna Rikiego i wyjeżdża do Nowego Jorku, więc on wraca do tropienia procesów. Niczym zawodowiec pociąga za sznurki i kilka razy dopisuje mu szczęście. Ta sprawa kryminalna w Paryżu wygląda interesująco. Jeden włóczęga oskarżony o rozerwanie gardła drugiemu. A morderca broni się tylko, że to nie był on, to był ktoś niewidzialny.

Alex jest całkiem pewien, że CySat podpisze na to przyzwoity kontrakt.

Jeszcze później Alex czuje, że musi się przespać, ale nie ma odwagi. Potrzebuje też prysznic i golenia, ale jest za bardzo zmęczony.

Przyjazd do Nowego Jorku to najgorsza decyzja w jego życiu. Jenny tylko raz spogląda na cuchnący, nieogolony wrak, który dawniej był jej mężem, i zaraz dzwoni do adwokata Lenny'ego.

Po dwudziestu czterech godzinach Alex otrzymuje ultimatum adwokata. Nie dopuszczają go do Rikiego, dopóki nie doprowadzi się do porządku.

Alex pociąga tyk z butelki japońskiego burbona i kaszle. Żytniówce nic nie brakuje, po prostu Alex nie jest typem, który ciągnie wild birda prosto z flaszki.

- Kurwa.

Zardzewiałe sprężyny skrzypią, kiedy Alex dźwiga swoje cielsko z łóżka, żeby przynieść obtłuczoną szklankę do mycia

5U7

zębów z malej łazienki, gdzie karaluchy siedzą w misce pękniętego bidetu. Dostrzega swoje odbicie i przez chwilę myśli, że nałożył ciemne okulary, ale to tylko kręgi wokół oka i zeis-sowskiej kamery. Bourbon smakuje nie lepiej i nie gorzej ze szklanki, ale Alex jakoś czuje się mniej niechlujny.

Jenny nie wraca do domu, on już to wie, ale wciąż chciałby wiedzieć, dlaczego... Niestety nie ma tu nikogo, żeby odpowiedział na to pytanie, więc Alex tylko wpatruje się w ob-łażącą, poplamioną brązowo tapetę na ścianie i zastanawia się, kiedy ostatnio odnawiano ten hotelowy pokój. Nie za jego życia.

Przecież zrobił, czego chciała. Przestał tropić procesy, został w domu i przez sieć uczył etyki dziennikarskiej. Nie rozumie, kiedy wszystko się popsuło, kiedy właściwie ją stracił, a jej już nie zależy na tyle, żeby mu powiedzieć.

- Skończone - mówi Jenny przez swój kosztowny, najnowszy model trójwymiarowego widfonu. I patrzy na niego ze smutnym uśmiechem, który ma znaczyć „robiłam, co mogłam”, ale naprawdę znaczy „zostaw mnie w spokoju” i „nie zbliżaj się do mojego syna”.

Alex gniewnie potrząsa głową. Haust burbona pali mu gardło, ale on nie zwraca na to uwagi. Wie, że byli szczęśliwi, wie

0 tym... Obrazy nagich opalonych ramion, jej koszulki rzuconej na podłogę, długich, obnażonych, splecionych ze sobą nóg.

1 niski warkot hoverów hondy i suzuki na odległej autostradzie, w tle koncert starych przebojów nadawany przez hotelowy system nagłaśniający.

Sentymentalne bzdury, Alex o tym wie, ale dziewięć miesięcy później przychodzi na świat Riki i przynosi inny, bardziej dorosły rodzaj szczęścia.

A potem coś pęka.

Alex skończył jeden kubek żytniówki i nalewa następny. Karaluchy zrobiły się zuchwałe teraz, odkąd zapadła ciemność,

Eua

albo może dlatego, że Alex prawie się nie rusza, tylko po to, żeby sobie nalać.

W sąsiednim pokoju płacze jakaś kobieta, nie cicho, ale potężnymi szarpiącymi szlochami, które wibrują przez ściany cienkie jak tektura. Z dreszczem obrzydzenia Alex podnosi butelkę wild birda i spuszcza ją gwałtownie na grzbiet karalucha wielkości niedopałka cygara, miażdży mu pancerz.

W pokoju obok kobieta na chwilę przestaje płakać, kiedy trzask pękającej butelki rozlega się echem w korytarzu, ale potem zaczyna od nowa.

2R. TEIELuizLiinLj Hrmagedpn

Klimatyzowany podziemny kompleks w San Lorenzo działat przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, na trzy ośmiogodzinne zmiany. W laboratoriach umieszczonych gęboko pod ziemią chromosomalne maszyny mikrosekcyjne pracowały bez przerwy, wycinały wybrane obszary sklonowanego ludzkiego chromosomu do sekwencjonowania.

Od dawna wiedziano, że człowiek dysponuje komórkowym odpowiednikiem funkcji korekty pisowni, która włącza proces naprawy za każdym razem, kiedy podstawowe pary DNA wypadną z szeregu podczas replikacji. A badania Genetyków nie tylko stworzyły korektor genów, który można było przepisać dla uporządkowania, ale również zestawiły ostateczną listę korelacji pomiędzy indywidualnymi bazowymi sekwencjami a chorobami dziedzicznymi. Copyright tej listy z dnia na dzień zmienił ich z marginesowej religii w potężny multiNacjonal.

Większość badań prowadzonych obecnie przez Kościół Genetyków Chrystusa była zautomatyzowana: połowiczna SI Della pracowicie zonglowała kodem dla każdej z ponad trzech miliardów par bazowych. Sprawy nie ułatwiał fakt, że sporo ponad osiemdziesiąt procent każdego łańcucha genów najwyraźniej nie zawierało żadnych działających kodów, tylko śmiecie DNA. Nie znaczyło to, że dane genomu są zniekształ-

E50

cone. Ale większość przekazywała przytłaczający nadmiar informacji od wcześniejszych gatunków i nie miała żadnego widocznego związku z konkretnymi ludzkimi cechami.

Klimatyzowana biblioteka z regulacją wilgotności na piętrze minus3, jeden poziom nad laboratoriami, zawierała największy na świecie zbiór książek traktujących o cudownych objawieniach Mesjasza. W mariackim poddziale na półpiętrze poziomu minus2 trzymano dzieła dotyczące wizji Błogosławionej Dziewicy.

Rozumiało się samo przez się, że Najświętszą Panią widywano znacznie częściej niż Mesjasza.

Ale czy to na andyjskim płaskowyżu trzy tysiące metrów nad poziomem morza, przy studni w wiosce w południowej Francji, czy na strychu opuszczonej stodoły w Kansas, Matka Boska zwykle ukazywała się dziewczętom w okresie dojrzewania, z fiksacją matki.

Informacje ze wszystkich książek były już zapisane w banku danych, ale wiele tomów, stanowiących cenne białe kruki ofiarowane przez bogatych darczyńców z całego świata, spełniało dodatkową funkcję jako część finansowego zabezpieczenia Genetyków.

Volubilis uśmiechnął się i miękko krokiem przeszedł do kabiny prysznica. Zobaczył swoje nagie odbicie w lustrze. Był smukły jak nastolatek, skórę miał miękką jak aksamit i zadziwiająco mało blizn jak na kogoś, kto prowadził taki niebezpieczny tryb życia. I był już księdzem-chirurgiem. Nieźle jak na kogoś przed trzydziestką.

Ale właśnie otworzyły się przed nim lepsze perspektywy. Biskup-audytor wreszcie wyraził zgodę na mały druk w umowie, którą Volubilis zaproponował w imieniu lady Clare. Alex Gibson nie żyje - taka była obecnie oficjalna wersja. A lady Clare i jej pieszczoszek épun mają otrzymać do dyspozycji wszelkiego rodzaju sprzęt, jakiego zażądatają - operacyjny czy laboratoryjny - żeby przerobić Alexa Gibsona zgodnie z życzeniem lady Clare.

E51

cone. Ale większość przekazywała przytłaczający nadmiar informacji od wcześniejszych gatunków i nie miała żadnego widocznego związku z konkretnymi ludzkimi cechami.

Klimatyzowana biblioteka z regulacją wilgotności na piętrze minus3, jeden poziom nad laboratoriami, zawierała największy na świecie zbiór książek traktujących o cudownych objawieniach Mesjasza. W mariackim poddziale na półpiętrze poziomu minus2 trzymano dzieła dotyczące wizji Błogosławionej Dziewicy.

Rozumiało się samo przez się, że Najświętszą Panią widywano znacznie częściej niż Mesjasza. Ale czy to na andyjskim płaskowyżu trzy tysiące metrów nad poziomem morza, przy studni w wiosce w południowej Francji, czy na strychu opuszczonej stodoły w Kansas, Matka Boska zwykle ukazywała się dziewczętom w okresie dojrzewania, z fiksacją matki.

Informacje ze wszystkich książek były już zapisane w banku danych, ale wiele tomów, stanowiących cenne białe kruki ofiarowane przez bogatych darczyńców z całego świata, spełniało dodatkową funkcję jako część finansowego zabezpieczenia Genetyków.

Volubilis uśmiechnął się i miękko krokiem przeszedł do kabiny prysznica. Zobaczył swoje nagie odbicie w lustrze. Był smukły jak nastolatek, skórę miał miękką jak aksamit i zadziwiająco mało blizn jak na kogoś, kto prowadził taki niebezpieczny tryb życia. I był już księdzem-chirurgiem. Nieźle jak na kogoś przed trzydziestką.

Ale właśnie otworzyły się przed nim lepsze perspektywy. Biskup-audytor wreszcie wyraził zgodę na mały druk w umowie, którą Volubilis zaproponował w imieniu lady Clare. Alex Gibson nie żyje - taka była obecnie oficjalna wersja. A lady Clare i jej pieszczoszek épun mają otrzymać do dyspozycji wszelkiego rodzaju sprzęt, jakiego zażądatają - operacyjny czy laboratoryjny - żeby przerobić Alexa Gibsona zgodnie z życzeniem lady Clare.

E51

W zamian lady Clare przekazała Kościołowi podstawowy patent, niewidzialność, który biskup-audytor określał już jako „ludzki tryb maskujący”. Samo przekazanie, zdaniem lady Clare, nie podlegało dyskusji. Negocjacje trwały jeszcze tylko w kwestiach „kiedy” i „jak”.

Ekran ścienny pod prysznicem wciąż nadawał uproszczony wykład dla gości Oto Genetycy.

Volubilis znał go na pamięć, nawet sam napisał część, ale energiczny optymizm i zręczne omijanie niewygodnych prawd ciągle go bawiły.

Badacze Genetyków przeszukiwali cały świat - tak mówił ekran - sprawdzając nowe widzenia z inkwizytorą bezwzględnością i tropiąc święte relikwie, które jeszcze nie trafiły do kolekcji w San Lorenzo.

Część wszystkich funduszy pochodziła z międzynarodowych praw copyrightowych na skorygowane sekwencje genomu, zwłaszcza te dotyczące raka, choroby Alzheimera i Huntingtona. Lecz wiele z nich napływało bezpośrednio z publicznych dotacji.

Szczerą prawdą, pomyślał Volubilis. Ale wiedział również to, co ekran przemilczał. Że większość kredytu nie pochodzi od bogatych przemysłowych czy politycznych sponsorów z tego rodzaju, jakich zapraszano do San Lorenzo, lecz z Numerów Zbawienia, popularnej elektronicznej loterii prowadzonej równocześnie na „dolnej krawędzi” wszystkich trzech CySatowych kanałów

Genetyków.

Sama „Liczba Bestii” wymagała tysiąca pięciuset otwartych linii, żeby przyjmować datki z amerykańskiego Zachodu. A loteria moskiewska regularnie zajmowała siódmą pozycję wśród tygodniowych miejskich dochodów brutto.

To był poważny kredyt. I nikt nie potrafił zliczyć, ile problemów już rozwiązał zwyczaj Genetyków, żeby przekazywać dziesięcinę od przychodów bezpośrednio do rządu kraju, z którego napływały pieniądze.

E

W zamian lady Clare przekazała Kościołowi podstawowy patent, niewidzialność, który biskup-audytorka określała już jako „ludzki tryb maskujący”. Samo przekazanie, zdaniem lady Clare, nie podlegało dyskusji. Negocjacje trwały jeszcze tylko w kwestiach „kiedy” i „jak”.

Ekran ścienny pod prysznicem wciąż nadawał uproszczony wykład dla gości Oto Genetycy.

Volubilis znał go na pamięć, nawet sam napisał część, ale energiczny optymizm i zręczne omijanie niewygodnych prawd ciągle go bawiły.

Badacze Genetyków przeszukiwali cały świat - tak mówił ekran - sprawdzając nowe widzenia z inkwizytorą bezwzględnością i tropiąc święte relikwie, które jeszcze nie trafiły do kolekcji w San Lorenzo.

Część wszystkich funduszy pochodziła z międzynarodowych praw copyrighthowych na skorygowane sekwencje genomu, zwłaszcza te dotyczące raka, choroby Alzheimera i Huntingtona. Lecz wiele z nich napływało bezpośrednio z publicznych dotacji.

Szczerą prawdą, pomyślał Volubilis. Ale wiedział również to, co ekran przemilczał. Że większość kredytu nie pochodzi od bogatych przemysłowych czy politycznych sponsorów z tego rodzaju, jakich zapraszano do San Lorenzo, lecz z Numerów Zbawienia, popularnej elektronicznej loterii prowadzonej równocześnie na „dolnej krawędzi” wszystkich trzech CySatowych kanałów Genetyków.

Sama „Liczba Bestii” wymagała tysiąca pięciuset otwartych linii, żeby przyjmować datki z amerykańskiego Zachodu. A loteria moskiewska regularnie zajmowała siódmą pozycję wśród tygodniowych miejskich dochodów brutto.

To był poważny kredyt. I nikt nie potrafił zliczyć, ile problemów już rozwiązał zwyczaj Genetyków, żeby przekazywać dziesięcinę od przychodów bezpośrednio do rządu kraju, z którego napływały pieniądze.

ES E

Jeszcze bardziej przydawał się fakt, że kiedy metaNacjonale musiały przynajmniej wypełniać formalności podatkowe, nawet jeśli zyski szły prosto do rajów kredytowych na Bahamach i deklarowano tylko straty, Genetycy mieli status wolny od podatku w większości zachodnich państw.

A te rygorystycznie sekularne azjatyckie kraje pacyficzne, które nie uznawały religii za podstawę ulg podatkowych, zazwyczaj chętnie rejestrowały Kościół jako medyczną organizację charytatywną bona fide.

O ile Volubilis wiedział, audytor generalny miał prawdziwe kłopoty tylko jeden raz, kilka lat wcześniej, kiedy próbował - bez powodzenia - bezpośrednio wykupić ogromną mor-mońską genealogiczną bazę danych w Salt Lake City. Odesłany z kwitkiem przez Starszych, wynajął dżokeja z Nowego Jorku, ten włamał się do bazy i zdążył ściągnąć praktycznie całą zawartość, zanim go złapano.

Ogromny kredyt musiał bardzo szybko zmienić właściciela, żeby wyciągnąć z tego Genetyków. Ale nawet to wyszło im na dobre. Po zapłaceniu audytor generalny uznał, że zdobył sobie moralne prawo do bazy danych w Salt Lake City, i wynajął następnego dżokeja, żeby dokończyć robotę. Tym razem dyskretnie.

Wykapany, ubrany i gotowy do rozpoczęcia dnia, idąc przez opustoszały westybul, Volubilis podniósł wzrok na wyniosły brązowy posąg doktora Abdullaha Dutcha. Pierwszy audytor generalny był albo geniuszem, albo niebezpiecznym szaleńcem, pewnie jedno i drugie. W każdym razie zdobył kredyty na finansowanie długoterminowych badań, kiedy wszyscy inni gonili za szybkim

zyskiem. Nic dziwnego, że zmonopolizował rynek czołowych naukowców.

Volubilis bez skrupułów zaliczał do tej kategorii również siebie.

Pielęgniarki byli już z Johnniem w sali operacyjnej, automatycznie obudzeni, kiedy wklepał swój zamiar operacji.

253

W przeciwieństwie do Volubilisa, który przyszedł popatrzeć, nie zdążyli wziąć prysznic.

Johnnie skończył drugą nogę Alexa Gibsona po niecałych dwóch godzinach, o szóstej rano, kiedy lady Clare wciąż bezpiecznie spała w swoim łóżku, w klimatyzowanym pokoju gościnnym na poziomie minus2.

BD. PiasEnhi dis OreUi

Passion wykańcza swój dzień jednym tykiem i wzdryga się barokowo, długie rude włosy jej peruki rozsypują się spod zadrukowanego Warholem szalika, który miał je przytrzymać nad bladą piegowatą twarzą. Alex w ogóle tego nie pamięta. Ale nie narzeka, to na pewno lepsze od cholernych karaluchów w hotelu.

Ciemnozielone oczy wpatrują się w niego intensywnie.

- Rozkładanie nóg. To sto razy łatwiejsze dla biednej dziewczyny niż narażanie serca. Zgadzasz się? Alex nie odpowiada. Za bardzo pochłania go spekulowanie, jak i dlaczego Sekcja Trzecia załatwiła jego menela. Martwi się, co teraz robi CySat, skoro morderca nie tylko wyparł się wszelkich wzmianek o niewidzialności, ale w dodatku popełnił samobójstwo.

Ciekawe również, co Sekcja Trzecia robi z Alexem teraz, kiedy menel nie żyje, a Alex ciągle przebywa na wolności z oryginalnym zeznaniem zmarłego „jestem niewinny” bezpiecznie zamkniętym w okokamerze. Nie licząc dość barwnego opisu niewidzialności prawdziwego mordercy.

Sekcja Trzecia oczywiście dowie się o tym. Alex zdawał sobie z tego sprawę, kiedy przekupywał klawiszka, żeby go wpuścił na widzenie z więźniem. Ale wtedy, zanim oskarżony zmienił linię obrony, nie miało to większego znaczenia.

E55

Teraz ma.

Kurz unosi się w słońcu późnego popołudnia; bezcelowy taniec złocistych pyłków, które wirują w słonecznych promieniach wpadających przez wielki świetlik na suficie. Ściany to goła cegła, przecięta kątownikami z błyszczącego, wypias-kowanego stalowego dźwigara.

Gorzko-słodki uśmiech przemyka przez chudą twarz Passion, nie docierając do oczu.

- Popatrz na mnie - żąda dziewczyna. - Sławna, bogata i żalosna jak zimny grzech. -

Ponownie wzrusza ramionami.

- Fatalnie, co? Przynajmniej to lepsze niż być nieznanym, biednym i żalonym jak ty.

Na to nie ma odpowiedzi.

- Chcesz wiedzieć, jak wygląda prawdziwe nieszczęście?

- pyta Passion i macha srebrno upięscioną dłonią w stronę sterty płócien, spiętrzonych pod ścianą w głębi. - Przejdź przez te śmiecie i rzuć okiem.

Alex rozgląda się dookoła, patrzy na bałagan w jej bezcennym apartamencie w Tribeca i nagle przypomina sobie, dlaczego ciągle nie lubi cudzoziemców, artystów ani studentów. Olbrzymie studio wygląda jak zdewastowane mieszkanie do rozbiórki po pięciodniowej pijacko-narkotykowej imprezie.

- Co się stało? - pyta Alex.

- Stało? - Passion wygina wargi iv dziecinną podkówkę.

- Nigdy nic się nie dzieje. Uwierz mi, to jeszcze porządek... Jej własne obrazy leżą spiętrzone w wysoki stos. Dwieście,

trzysta, może więcej, zwalone na kupę. Alex nawet sobie nie wyobraża, ile są warte na wolnym rynku. Miliony. Miliardy. Retroekspresjonizm to świetny interes. Alex zaczyna je przeglądać, najpierw szybko, potem wolniej. Ona ma talent, nie tylko jako najważniejszy dyrektor CySatu w Ameryce. Więcej niż talent, ona ma geniusz. Alex zaczyna rozumieć, dlaczego Passion jest sławna. Dlaczego kieruje

25G

Teraz ma.

Kurz unosi się w słońcu późnego popołudnia; bezcelowy taniec złocistych pyłków, które wirują w słonecznych promieniach wpadających przez wielki świetlik na suficie. Ściany to goła cegła, przecięta kątownikami z błyszczącego, wypias-kowanego stalowego dźwigara.

Gorzko-słodki uśmiech przemyka przez chudą twarz Passion, nie docierając do oczu.

- Popatrz na mnie - żąda dziewczyna. - Sławna, bogata i żalosna jak zimny grzech. -

Ponownie wzrusza ramionami.

- Fatalnie, co? Przynajmniej to lepsze niż być nieznanym, biednym i żalonym jak ty.

Na to nie ma odpowiedzi.

- Chcesz wiedzieć, jak wygląda prawdziwe nieszczęście?

- pyta Passion i macha srebrno upierścienioną dłonią w stronę sterty płócien, spiętrzonych pod ścianą w głębi. - Przejdź przez te śmiecie i rzuć okiem.

Alex rozgląda się dookoła, patrzy na bałagan w jej bezcennym apartamencie w Tribeca i nagle przypomina sobie, dlaczego ciągle nie lubi cudzoziemców, artystów ani studentów. Olbrzymie studio wygląda jak zdewastowane mieszkanie do rozbiórki po pięciodniowej pijacko-narkotykowej imprezie.

- Co się stało? - pyta Alex.

- Stało? - Passion wygina wargi w dziecinną podkówkę.

- Nigdy nic się nie dzieje. Uwierz mi, to jeszcze porządek... Jej własne obrazy leżą spiętrzone w wysoki stos. Dwieście,

trzysta, może więcej, zwalone na kupę. Alex nawet sobie nie wyobraża, ile są warte na wolnym rynku. Miliony. Miliardy. Retroekspresjonizm to świetny interes. Alex zaczyna je przeglądać, najpierw szybko, potem wolniej. Ona ma talent, nie tylko jako najważniejszy dyrektor CySatu w Ameryce. Więcej niż talent, ona ma geniusz. Alex zaczyna rozumieć, dlaczego Passion jest sławna. Dlaczego kieruje

55E

Teraz ma.

Kurz unosi się w słońcu późnego popołudnia; bezcelowy taniec złocistych pyłków, które wirują w słonecznych promieniach wpadających przez wielki świetlik na suficie. Ściany to goła cegła, przecięta kątownikami z błyszczącego, wypias-kowanego stalowego dźwigara.

Gorzko-słodki uśmiech przemyka przez chudą twarz Passion, nie docierając do oczu.

- Popatrz na mnie - żąda dziewczyna. - Sławna, bogata i żalosna jak zimny grzech. -

Ponownie wzrusza ramionami.

- Fatalnie, co? Przynajmniej to lepsze niż być nieznanym, biednym i żalonym jak ty.

Na to nie ma odpowiedzi.

- Chcesz wiedzieć, jak wygląda prawdziwe nieszczęście?

- pyta Passion i macha srebrno upierścienioną dłonią w stronę sterty płócien, spiętrzonych pod ścianą w głębi. - Przejdź przez te śmiecie i rzuć okiem.

Alex rozgląda się dookoła, patrzy na bałagan w jej bezcennym apartamencie w Tribeca i nagle przypomina sobie, dlaczego ciągle nie lubi cudzoziemców, artystów ani studentów. Olbrzymie studio wygląda jak zdewastowane mieszkanie do rozbiórki po pięciodniowej pijacko-narkotykowej imprezie.

- Co się stało? - pyta Alex.

- Stało? - Passion wygina wargi w dziecinną podkówkę.

- Nigdy nic się nie dzieje. Uwierz mi, to jeszcze porządek... Jej własne obrazy leżą spiętrzone w wysoki stos. Dwieście,

trzysta, może więcej, zwalone na kupę. Alex nawet sobie nie wyobraża, ile są warte na wolnym rynku. Miliony. Miliardy. Retroekspresjonizm to świetny interes. Alex zaczyna je przeglądać, najpierw szybko, potem wolniej. Ona ma talent, nie tylko jako najważniejszy dyrektor CySatu w Ameryce. Więcej niż talent, ona ma geniusz. Alex zaczyna rozumieć, dlaczego Passion jest sławna. Dlaczego kieruje

25E

własnym wydaniem wiadomości. Nie chodzi o to, komu daje dupy ani ile wzmacniacza wciąga do nosa. Nie chodzi nawet o to, że wydaje przyjęcia filmowane przez CySat. To dlatego, że ona ma talent, dziki czarny talent w przerażających ilościach.

Kilкома surowymi pociągnięciami pędzła przelewa na płótno coś, co Alex prawie czuje - chociaż nawet w najmniejszym stopniu nie rozumie, co to wszystko znaczy.

Natomiast aż za dobrze rozumie czystą grozę zawartą w sekwencji obrazów. Kolejne wyjące twarze wytrzeszczają na niego oczy. Każda coraz bardziej wykrzywiona w krańcowym przerażeniu. Każda natychmiast, bez trudu rozpoznawalna jako jej własna.

Przyszedł tutaj zobaczyć, czy Passion kupi samą zawartość jego okokamery, nawet bez procesu, ale nie za dobrze mu poszło.

- Strzel sobie dżinu - proponuje Passion. - Zawsze tak robię.

Alex bez komentarza sięga po niebieską meksykańską szklaneczkę z recyklowanego szkła i jednym haustem wychyla bombay sapphire, potem wypija następną szklaneczkę i jeszcze jedną. Nałała im po trzy porcje: dla niego z tonikiem, skórka limony i lodem, dla siebie czysty i podwójny.

Nie mówią nic, tylko siedzą w milczeniu i patrzą, jak Bostoń-ska Orkiestra Symfoniczna wykonuje Piosenki dla Drelli. Smutne piosenki o dziwnym życiu i śmierci słynnego bohatera sztuki, Andy'ego Warhola.

Jest prawie rano, zanim Alex czy Passion pomyśleli o łóżku, a wtedy oboje jednocześnie wpadają na ten pomysł.

- Tędy - mówi ona i tylko trochę lawirując, przechodzi przez wielkie studio w stronę pomarańczowo-czerwonego amerin-diańskiego ściennego kilimu. Odgarnia na bok tkaninę i szarpnięciem otwiera staroświeckie drewniane drzwi.

- Znowu się zaczyna - mówi ze znużeniem.

Alex nie wie, czy Passion żartuje.

3 1 . Czaszka pad skórą

Gardło Alexa Gibsona zostało przecięte jednym lekkim pociągnięciem pokrytego lipidami skalpela. Ostrze czysto przeszło przez skórę pod szczęką i zgrabnie ominęło splot wierzchnich mięśni szyjnych.

Gdyby Alex nosił schludną bródkę, tędy przebiegałaby jej linia.

Johnnie zatrzymał ostrze tuż przed miejscem, gdzie żyła językowa odgałęziła się od szyjnej, i szybko poprowadził cięcie wokół zewnętrznej strony mięśnia żwaczego.

Kolejnymi szybkimi, precyzyjnymi ruchami skalpela wykonał cięcia za jednym i drugim uchem, dokładnie po linii, gdzie podstawa ucha łączyła się ze skalpem.

Zastosowanie pokrywy PC-lipidów dawało taką korzyść, że oszukane ciało przez krótki czas uważało czynności skalpela za naturalne, co pomagało zapobiegać krzepnięciu krwi.

Krótki ruch skalpela otworzył podbródek Alexa od jabłka Adama aż do miejsca tuż pod dolną wargą. Odtąd zaczynały się trudności. Ale Johnnie sobie poradzi. Jasne, popisywał się przed lady Clare na półpiętrze, ale nie mógł się powstrzymać.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu, nie przejmując się stonawym odorem krwi ani wyraźnym, choć nikłym zapachem mięty

E5A

3 1. Czaszka pad skórą

Gardło Alexa Gibsona zostało przecięte jednym 'lekkim pociągnięciem pokrytego lipidami skalpela. Ostrze czysto przeszło przez skórę pod szczęką i zgrabnie ominęło splot wierzchnich mięśni szyjnych.

Gdyby Alex nosił schludną bródkę, tędy przebiegałaby jej linia.

Johnnie zatrzymał ostrze tuż przed miejscem, gdzie żyła językowa odgałęziła się od szyjnej, i szybko poprowadził cięcie wokół zewnętrznej strony mięśnia żwaczego.

Kolejnymi szybkimi, precyzyjnymi ruchami skalpela wykonał cięcia za jednym i drugim uchem, dokładnie po linii, gdzie podstawa ucha łączyła się ze skalpem.

Zastosowanie pokrywy PC-lipidów dawało taką korzyść, że oszukane ciało przez krótki czas uważało czynności skalpela za naturalne, co pomagało zapobiegać krzepnięciu krwi.

Krótki ruch skalpela otworzył podbródek Alexa od jabłka Adama aż do miejsca tuż pod dolną wargą. Odtąd zaczynały się trudności. Ale Johnnie sobie poradzi. Jasne, popisywał się przed lady Clare na półpiętrze, ale nie mógł się powstrzymać.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, nie przejmując się słonawym odorem krwi ani wyraźnym, choć nikłym zapachem mięty

25B

przesączającym się z klimatyzacji. Wiadomo, że śladowe zapachy wspomagają koncentrację, toteż komputer sali operacyjnej przed laty został zaprogramowany, żeby w nieregularnych odstępach wpuszczać porcje mięty pieprzowej do systemu wymiany powietrza.

Płynnym gestem Johnnie wsunął coś, co wyglądało jak trzonek plastikowej łyżeczki, pod skórę szczęki Alexa Gibsona i zaczął oddzielać warstwy naskórka. Pod naciskiem chirurgicznej szpatułki skóra z cichym cmokaniem odchodziła od mięśni.

Ponieważ operacja była tajna, nie zamierzano rozpowszechniać żadnych kopii zapisu mediSoftu, na których dało się rozpoznać Alexa, a cały zarejestrowany wizualny materiał z komentarzem zostanie zakodowany, ze ściśle ograniczonym dostępem.

Lady Clare nie bardzo podobał się nawet taki dostęp. Ale w niektórych bitwach nie mogła zwyciężyć, jeśli sama chciała uzyskać pełny dostęp do laboratoriów.

- Dolna szczęka skończona - oznajmił spokojnie Johnnie. - Przechodzę do dolnej części prawego policzka.

Nikommu jeszcze nie udało się wykonać przeszczepu twarzy, a gdyby Johnnie odniósł sukces, każda jego czynność zostałaby komputerowo przeanalizowana i przetworzona, żeby stworzyć główny wirtualny szablon przecierający drogę tym, którzy przyjdą po nim.

Niestety, był pierwszy.

Johnnie uśmiechnął się krzywo i zaczął nucić pod nosem coś odpowiednio punkowego. Takie zadanie wymagało wielkiej wprawy, żeby nie zniszczyć podskórnej sieci nerwów twarzowych, ale wreszcie skóra Alexa oddzieliła się od dolnej części twarzy i opadła luźno - wiotka, obwisła i pomarszczona jak gumowa maska.

Pamiętaj, to dopiero początek.

ES<={

Uszkodzisz któryś nerw twarzowy i automatycznie narobisz sobie kłopotów. Drobne potknięcie mogło pozbawić Alexa zdolności do uśmiechu czy zmarszczenia brwi; większe uszkodzenie mogło mu całkowicie uniemożliwić poruszanie głową.

Johnnie odłączył dolną wargę Alexa od mięśni ruchowych i odciął mięśnie poruszające kącikami ust. Potem zaczął oddzielać wierzchnie mięśnie górnej wargi, przez cały czas pilnując, żeby nie uszkodzić dwóch mięśni jarzmowych, biegnących równoległe od ust do kości policzkowej. Alex będzie potrzebował mniejszego mięśnia jarzmowego, pozwalającego obnażać zęby w szyderczym grymasie.

- Drenuję skórę szczęki - oznajmił Johnnie z irytacją. Miał nadzieję, że wykona właściwy przeszczep jednym filmogenicznym ruchem, który pozwoli mu ściągnąć całą twarz, ale to okazało się niemożliwe.

Przede wszystkim pracował już dwie godziny i nie dotarł nawet do brzośca czołowego Alexa, który fałdował czoło i marszczył czubek nosa. A dopóki nie zabezpieczy mięśni mimicznych służących do wyrażania emocji, nowa twarz Alexa Gibsona będzie gorzej niż bezużyteczna.

Potem Johnnie musiał jeszcze wstawić nowe oczy, ale nie mógł zacząć, póki nie naprawi mięśni zniszczonych przy wrywaniu Gibsonowi prawego oka.

- Darujemy sobie następną przerwę na odpoczynek - powiedział Johnnie pielęgniarzowi, który podszedł do niego ze sterylną miską, gotową na przyjęcie skóry zdjętej z brody i szczęki Alexa. - Potrzebuję dopalacza. Masz coś?

Pielęgniarka obojętnie kiwnęła głową i sięgnął głęboko do kieszeni swego ubrania operacyjnego, żeby wyciągnąć małą szklaną rurkę, którą podał Johnniemu.

- Ty to zrób, facet.

Młody Arab posłusznie podwinął do góry nanoporową maskę neoAddixa i podsunął rurkę pod nos Johnniego.

EBD

ł

- Gotowy pan?

Johnnie przytaknął. Pielęgniarz zrezygnacyjnie przełamał rurkę na dwie części i pozwolił, żeby płynny cholinowy wzmacniacz wyparował dokładnie w chwili, kiedy Johnnie wciągnął go z oddechem.

Młody japoński projektant narkotyków lekko zakołysał się na piętach, a kiedy ponownie otworzył oczy, źrenice miał maleńkie jak czarne główki szpilek. Ale świat wokół niego wyostrzył się i nawet zwykłe przedmioty, jak stół operacyjny, miały teraz wyraźne, lekko świetliste krawędzie.

Na oszklonej antresoli Clare zastanawiała się, co audytorzy pomyślą o narkomanii Johnniego, kiedy wreszcie przeska-nują taśmę, i doszła do wniosku, że to bez znaczenia. Sprawy tak już się pogmatwały, że nie robiło specjalnej różnicy, czy abstynencka z założenia organizacja udzieli Johnniemu pomocy.

- Dobrze się czujesz? - zapytała i zobaczyła, że Johnnie błyskawicznie podnosi wzrok na srebrzyste okno galerii. Zapomniał o niej.

I równie szybko znowu o niej zapomniał, znowu skupił uwagę na lepkiej, częściowo oskórowanej twarzy na stole.

Powieki sprawiają mu najwięcej kłopotu. Jedna była już poszarpana. Druga po prostu trudna.

Problem polegał na tym, że powieki to miękkie, elastyczne fałdy skórne, wypełnione rzedami gruczołów łojowych tarczki i połączone z kanalikami łzowymi. Prawie niemożliwe do wymiany bez śladu, zbyt cienkie i delikatne, żeby nawet dobry chirurg zdołał bez żadnych uszkodzeń zdjąć wierzchnią warstwę.

Johnnie będzie musiał oszukiwać.

Oddzieliwszy od mięśni skórę po bokach twarzy Alexa Gibsona, Johnnie poprowadził cięcie od czubka lewego ucha prosto do tego samego punktu po prawej stronie głowy. Starannie obwiódł skalpelem jedno i drugie oko, przekroił cienką jak papier skórę wokół obu oczodołów, nie dotykając

1

jedynej ocalałej powieki. Drugą trzeba będzie zastąpić plastikiem, czymś łatwym i animatronicznym.

Wrzucił do sterylnej miski następny pasek skóry; przedtem pokrywał górną wargę, policzki i nos Alexa, teraz wyglądał jak postrzępiona różowa flanela. Zazwyczaj automatycznie zachowywano tkanki do badań, ale nie tym razem. Lady Clare nalegała, żeby każdy strzępek zdjęty z Alexa natychmiast zniszczono w krematorium San Lorenzo.

- Kolor oczu? - rzucił Johnnie w przestrzeń.

- Jakie są teraz? - zapytała Clare.

Johnnie podniósł powiekę ocalałego oka, żeby sprawdzić, ale wyprzedził go komputer mediSoftu.

- Bładoniebieskie.

- Wstaw brązowe - poleciła Clare.

- Idealny wzrok - dodał Johnnie - jak najmłodsze. Ale w pełni rozwinięte - dodał po namyśle.

- Co najmniej siedemnastoletnie.

Jeszcze raz głęboko w sterylnych, klimatyzowanych podziemiach kompleksu San Lorenzo dyżurny wywołał na ekran komputera listę specyfikacji zapasowych rogówek, siatkówek i całych narządów wzroku, szybko dopasował brązowe lewe do brązowego prawego i sprawdził, że naprawdę mają 20-20.

- Nieźle - orzekł Johnnie, trzymając jedno wilgotne oko na urękawiczonej dłoni. Wydawało się idealne, chociaż nie musiał polegać na własnym wzroku, żeby je ocenić. MediSoft już przeskanował organ i sprawdził, czy nie ma uszkodzeń.

Zaawansowana chirurgia optyczna była dość rozpowszechniona, ale transplantacja całego oka z dodanym nerwem wzrokowym wciąż stanowiła rzadki ewenement. A Johnnie zamierzał dodać trzecią soczewkę, częściowo na podczerwień, częściowo polaryzującą, przed tęczęwką i tuż za

rogówką.

Lady Clare zgodziła się na rozpowszechnienie nagrań z tej części operacji, przynajmniej wśród Genetyków, od momentu,

EEE

kiedy twarz Alexa Gibsona zostanie oskórowana nie do rozpoznania.

Do oczu Johnnie postanowił użyć pary zmutowanych wiru-sowo nerwów wzrokowych; wprowadził lewy i prawy nerw w oczodoły Alexa Gibsona i połączył każdy z odpowiadającym mu węzłem wzrokowym na spodniej stronie mózgu Alexa, dokładnie pośrodku gotowego tętniczego bypassu zwanego kołem tętnicznym Willisa.

Nie bez powodu mózg ważył tylko jedną pięćdziesiątą ciężaru ciała, ale otrzymywał jedną piątą krwi.

Zakończywszy skomplikowane manipulacje, Johnnie przekazał następny etap operacji pielęgniarzom. Za pomocą pokrytych lipidami szpatulek nadal zdejmowali skórę z czaszki Alexa Gibsona.

Stosunkowo łatwe zadanie.

- Tnijcie dookoła uszu i zostawcie je na miejscu. Potem zejdźcie w dół tutaj - Johnnie wskazał na tył własnej głowy, minimalnie poniżej linii włosów. - Idźcie wzdłuż krawędzi mieszków włosowych, żeby cały skalp zszedł jak peruka. Potem zlikwidujcie szok tkanek i otwórzcie wierzch czaszki. Obudźcie mnie, jak będzie gotowe. Aha, i wysterylizujcie to.

Splaszczyl w palcach gliniastą grudkę, aż na wierzchu pokazują się siatka złotych drucików i maleńkich kolorowych paciorków.

- Wystarczy, jeśli włożymy ją na miejsce. Podobno sama się przyczepia.

Uprzejmie kiwnął głową w stronę lustrzanego okna antresoli, wyjął bezprzewodowy koralik z ucha i poszedł po raz drugi wziąć prysznic.

32. ShahEraiJshiE nocE

Nad surowym dębowym shakerowskim fózkiem Passion wisi bardzo duży, bardzo brzydki Warhol, a drugi mniejszy Warhol wisi obok drzwi, przez które właśnie weszli.

- Łapówki od producentów, którzy znają moją słabość do tego żalostnego cwela - mówi lekceważąco Passion. Alex wie, że to powinno zrobić na nim wrażenie - i robi.

Jedna cała ściana jest zbudowana z krystalicznego polikar-bonu, ogromne okno sięgające od podłogi do sufitu, z widokiem na ostre, mrugające światła dolnego Manhattanu.

- Musiałam dać dupy jednemu obleśnemu agentowi od nieruchomości, żeby zdobyć ten widok - mówi Passion. - Ale warto było. Nie uważasz?

Później, kiedy jest już za późno, Alex zadaje sobie pytanie, dlaczego ona go chce. Może to samotność albo potrzeba towarzystwa. Nawet nuda. Nie przypuszcza, że zależy jej na jego zeznaniu menela, historii o niewidzialnym mordercy.

A jeśli to naprawdę jest transakcja handlowa, Alex sam dobrze nie wie, kto sprzedaje i kto kupuje. Zresztą w tej chwili wszystko mu jedno.

Ona ma ciało tego rodzaju, jakie ludzie kupują u chirurgów plastycznych, ale na szyi brakuje zdradzieckich cieniutkich blizn i na razie ciało wydaje się prawdziwe.

EBL,

On delikatnie przesuwając palcami po jej twarzy i dalej, po piegowatej linii szyi. Patrzy, jak jej głowa odchyła się do tyłu, jak przysmykają się zielone oczy, kiedy jego palce wędrują dalej, odpinają perłowe guziczki antycznej jedwabnej bluzki.

Pod jedwabiem jest naga, długie ciemne sutki przekłute platynowymi obrączkami. Sutki już stwardniały, kiedy jego dłoń pieści małe, pięknie sterczące ku górze piersi.

Ile ona ma lat? Alex nie wie i wszystko mu jedno. Passion wygląda na trzydziestkę i porusza się z niecierpliwym głodem nastolatki. Ale prowadzi własny program CySatu, odkąd Alex pamięta, czyli co najmniej trzydzieści lat.

Porusza się niespokojnie, a Alex znowu pochyla się do jej małych piersi; napiera językiem jeszcze mocniej na środek obrączki, czuje, jak przekłuty sutek nabrzmiwa i rośnie, jak ona drży na całym

ciele, ściskając mu głowę.

Z uśmiechem Alex ześlizguje się językiem w dół po gładkich, absolutnie płaskich mięśniach brzucha, ponad małym trójwymiarowym tatuażem sójki w locie; i klęcząc przed nią na pasiastej sosnowej podłodze, odnajduje wargami pierwszy guzik z rzeźbionego dżetu na przodzie jej długiej japońskiej spódnicy.

Teraz czuje jej zapach. Ciężki, piżmowy, niezapomniany. Odpina się drugi guzik, potem trzeci, spódnica zsuwa się po smukłych biodrach, odsłania trójkąt gęstych rudych włosów i dwa złote pierścienie w wargach.

Czas znika.

Kiedy Alex znowu podnosi wzrok, młody Japończyk w czerwonej skórzanej kurtce, z długimi utlenionymi dreadlokami, opiera się niedbale o framugę drzwi.

- Wystarczy - mówi stanowczo chłopiec, chociaż ton głosu ma uprzejmy, nawet wyrozumiały. Alex złazi z łóżka i chwyta swoje dzinsy. Ryzykuje szybkie spojrzenie na Passion, żeby sprawdzić, czy ona wie, co się dzieje, ale Passion milczy. Szkliste zielone oczy. Nieruchoma.

EE5

- Powiedzieli mi, że nie żyjesz - mówi chłopiec. - Zginąłeś w pożarze i wszystkie cenne informacje w twojej głowie zginęły razem z tobą. - Przechyliła głowę na bok z uśmiechem. - Coś mi się zdaje, że lady Clare kłamała.

Jeśli chłopca to rozgniewało, niczego po sobie nie pokazuje.

- Zamierzałem cię przehandlować - informuje spokojnie Alexa. - Pamięć za pamięć. Ale widocznie lady Clare ma inne pomysły. Pewnie zemsta.

Zielone oczy chłopca odnajdują i zatrzymują spojrzenie Alexa.

- Jak podejrzewam - mówi chłopiec - lady Clare wierzy, że jej plan jest już zbyt zaawansowany, żebym się sprzeciwił. A jednak...

Alex czeka, lecz chłopiec jakby o nim zapomniał. Na łóżku Passion leży szeroko rozłożona, wciąż naga - Alex z trudem skupia uwagę na zielonookim chłopcu.

- Już z tym wszystkim skończyłeś - mówi wreszcie chłopiec do Alexa, wskazując nagą kobietę, sypialnię Passion, okno i za nim cały zatłoczony horyzont Manhattanu. - To minęło. Wspomnienia. Nie możesz ich zmienić. Twoja żona wyszła ponownie za mąż przed miesiącami. Teraz twój dzieciak nawet już cię nie pamięta.

Makai podchodzi do dębowego łóżka, gdzie Passion leży bez ruchu, widocznie śpi. Jej twarz wygląda starzej w okrutnej refrakcji dziennego światła.

- Ostatnie z twoich dawnych wspomnień - mówi Makai do Alexa. - Chociaż nie będziesz ich potrzebował. Jesteś teraz kimś innym. Z nową twarzą i nową częścią mózgu. Małe ulepszenie lady Clare, którego mogę używać jako drzwi, żeby cię odwiedzać. I to był jej własny pomysł.

Chłopiec wydaje się pełen podziwu, lecz Alex nie może wyzbyć się wrażenia, że mimo tego podziwu Makai wcale nie jest zadowolony.

fjP

33. Dosi Pares

Maxine wiedziała, kim jest Paryski Rozpruwacz - wiedziała od owej nocy, kiedy zobaczyła, jak jej dziadek rozdiera włóczkę dla sportu. Bolesny ciężar tajemnicy gniótł dziewczynę w środku. Ale nic nie mogła zrobić z tą okropną wiedzą. Zupełnie nic.

I dlatego się bała.

Oczywiście nie mogła zdradzić się przed dziadkiem, że wie. A Philippe zrobiłby coś głupiego, na przykład nalegałby, żeby koniecznie powiedziała dziadkowi albo może poszła na policję. To znaczy gdyby sam jeszcze nie wiedział.

Nie powiedziała nawet Razz. Właściwie niewiele miała do czynienia z Razz, odkąd podłączyła się do domowej kamery w kuchni pana Różańca i zobaczyła Razz nagą z tym chudym czarnym facetem z dreadlokami. Maxine nie potrzebowała takiego gówna.

Marmurowe schody w Hotel Sabatini byty dostatecznie szerokie, żeby pomieścić dziesięć osób w szeregu, mimo to jednak Maxine uprzejmie odsunęła się na bok, żeby przepuścić małego

Chińczyka. Lecz zamiast docenić jej gest, Lee Uu zatrzymał się i spojrzął na nią czystymi brązowymi oczami, dostrzegając jej skrepowanie.

EE 7

Z bliska Maxine mogła policzyć blade plamy wątrobiane, które upstrzyły jego czoło jak rozpryski brązowej farby. Mogłaby przysiąc, że używał pudru.

- Jadłaś już śniadanie?

Maxine grzecznie kiwnęła głową, pragnąc, żeby starzec zostawił ją w spokoju. Wcale nie jadła śniadania. Dźwięk męskich głosów dotarł do niej przez zamknięte drzwi małej jadalni i ostrzegł, że inni już przybyli i jest za późno, żeby spokojnie zjeść w samotności. Więc ruszyła z powrotem prosto na górę, powtarzając sobie, że i tak nie jest głodna. Ostatnio nie mogła znieść jadania posiłków w towarzystwie.

- Trzyście lat to trudny wiek, moja droga. Nie martw się. - Przelotnie dotknął jej ramienia, tak lekko, że nie miałyby pewności, gdyby nie widziała, jak jego palce muskają cienki rękaw sukienki. - W każdym razie - ciągnął - niedługo wszyscy odejdziemy.

- Razem z moim d-dziadkiem! - palnęła Maxine, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Twój dziadek odejdzie?

Głos brzmiał łagodnie, niewzruszony. Kiedy odważyła się podnieść wzrok, mały Chińczyk patrzył na nią jakby z zaskoczeniem.

- On umiera, p-prawda? - rzuciła gniewnie Maxine. - Wiem, co tam się dzieje na górze. Ci wszyscy lekarze ze swoimi' chłodzonymi t-torbami, butlami tlenowymi i p-przenośnymi zestawami operacyjnymi mediSoftu. A potem pan R-różaniec zaprasza tutaj was wszystkich...

Pan Lee Uu ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Każdy w końcu umiera - powiedział prawie ze współczuciem. - Nawet wielcy ludzie, jak twój dziadek.

Nie czekając na jej odpowiedź, zszedł na śniadanie i znikł w drzwiach małej jadalni. Przez sekundę Maxine słyszała

EGfl

powitalny gwar męskich głosów, a potem ciężkie dębowe drzwi zamknęły się wahadłowo.

Przyjeżdżali już od tygodnia. Poważni prawnicy i lekarze w czarnych garniturach, każdy wysiadał z hondy kierowanej przez szofera ściskając teczkę i spieszył do pokoju dziadka. Większość zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, ale niektórzy przystawali po drodze i odbywali przyciszone, mamrotane narady z panem Różańcem albo Philippe'em. Wszyscy ignorowali Maxine. Wkrótce zrozumiała, że ich krępuje. Według nich Maxine nie powinna być tutaj przebywać.

Paru gości zostało; zamieszkali w apartamentach po zachodniej stronie dziedzińca, w skrzydle, które odkąd Maxine sięgała pamięcią, zawsze było zamknięte na głucho, drewniane okiennice zaryglowane, staroświeckie meble okryte wielkimi płachtami przed kurzem.

Zachodnie skrzydło było ogromne, urządzone w beznadziejnie przestarzałym stylu, z pasiastymi srebrno-zielonymi ściennymi obiciami i błękitnymi aksamitnymi kotarami. Większość okien miała pojedyncze szyby.

Całe trzy piętra wypełniały zepsute terminale, przestarzałe anteny satelitarne, podarte obrazy i zapleśniałe książki. Maxine pokochała zachodnie skrzydło, odkąd wpadła tam ze strychu przez niedomkniętą kłapę i znalazła się w dziecięcym rajku. Odkryła go po południu w dniu swoich dziewiątych urodzin i od tamtej pory w duchu uważała zachodnie skrzydło za swoją własność. Wcale jej się nie podobało, że otwarto je dla gości.

Jednym ze stałych gości był pan Uu. Drugim, brzuchaty, srebrnowłosy minister ze szczęką jak u bandziora - beczkowata postać otoczona chmurą kosztownego ptynu po goleniu, który nie całkiem maskował przenikliwy wszechobecny smród potu.

Trzeciego gościa oczekiwano dzisiaj rano po śniadaniu. Przygotowania do jego przybycia rozpoczęły się poprzedniego wieczoru. Przynajmniej tak zakładała Maxine, bo wtedy

EBR

przyłapała Philippe'a, jak taszczył prawdziwy węgiel przez dziedzińiec do następnej sypialni, którą właśnie wietrzyła Razz.

- Węgiel? - zapytała Maxine z niedowierzaniem.

- Rozkaz Księcia - odparł Philippe, jakby to wszystko wyjaśniało. - Lord Winterbrooke mieszkał w Afryce. Może tam tego używają.

Poczłapał dalej, zgarbiony pod ciężarem wiadra, stary człowiek w wieku emerytalnym, spocony w nienaturalnym wieczornym upale.

Maxine pozwoliła mu odejść. Co innego zaprzętało jej myśli. Razz obserwowała ją z ciemnego okna w zachodnim skrzydle; Maxine czuła na sobie wzrok starszej dziewczyny. Za mało znała się na bioteku, żeby odgadnąć, co właściwie Razz widzi tymi swoimi owadzimi soczewkami. Ale na wypadek, gdyby widziała wszystko, Maxine uśmiechnęła się i pomachała do niej.

Jeśli Razz ją zobaczyła, wcale nie zareagowała. Walcząc ze łzami, Maxine odwróciła się na pięcie i trzymała brodę wysoko uniesioną, dopóki nie schroniła się za frontowymi drzwiami.

- Maxine de Pomerol Melusine?

Męski głos emanował arogancką pewnością siebie, którą instynktownie znieawdziła. Mimo woli odwróciła się i zmierzyła wzrokiem tego człowieka, stojącego na jej podłodze, w jej holu, w jej domu...

Był wysoki, z bladą twarzą i długimi czarnymi włosami związanymi w niemodny koński ogon. Nosił powłóczytą białą dżelabę i zakrzywiony nóż za pasem.

- C-z czego chcesz? - wyjąkała Maxine. Próbowała mówić dorosłym tonem, ale wyszło tylko dziecinnie i opryskliwe.

- Lord Winterbrooke - przedstawił się Alex z uśmiechem. Przez sekundę Maxine czuła, że coś muska wewnątrz jej czaszki, jak wiatr w pajęczynie. Instynktownie odepchnęła to i zoba-
E7

czyta, że mężczyzna się zatoczył. W odpowiedzi kiwnął głową tylko raz, mocno, i schody uciekły dziewczynie spod nóg. Zanim zapadła ciemność, Maxine zdążyła jeszcze zauważyć, jaki stary i wytarty zrobił się perski chodnik u podnóża schodów.

Kiedy ponownie otwarła oczy, zgromadził się nad nią niespokojny tłumek. Philippe był blady ze strachu, pan Uu i Pierre Nexus rozmawiali cicho, każdy pilnowany z obu stron przez niewzruszonych ochroniarzy.

Razz również tam stała, na ugiętych nogach, w bojowej *

postawie, nie spuszczać wzroku z twarzy dziwnego Anglika. Przed Anglikiem stał Japończyk o dzikim spojrzeniu, w czarnej meksykańskiej koszuli z kołnierzykiem o srebrnych rożkach. Nawet Maxine widziała wyraźnie, że jeśli Razz chce dopaść wysokiego Anglika, najpierw będzie musiała załatwić Japońca.

- P-przeście wszyscy - zażądała, gramoląc się na nogi. Ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Wszyscy patrzyli, jak Razz i Johnnie krążą wokół siebie w balecie równie pięknym, jak śmiertelnym. Najwyraźniej pozostawało tylko kwestią czasu, zanim któreś z nich wykona ruch.

- Dosyć! - Rozkaz został wypowiedziany lodowato zimnym tonem, nie uznającym sprzeciwu. W głosie Księcia dochodzącym ze szczytu schodów rozbrzmiewał tak absolutny autorytet, że Johnnie i Razz zamarli jak posągi.

- Dżentelmeni - powiedział Książę, spoglądając na pana Uu i Nexusa - zapraszam na śniadanie. Razz wróci do swojej pracy, a pan... - zaczekał, aż Alex podniesie wzrok. - Skoro musi pan wprowadzać ochroniarza do mojego domu, proszę łaskawie dopilnować, żeby zachowywał się jak należy.

Opierając się ciężko na lasce ze srebrną rączką, Książę powoli zszedł po marmurowych stopniach. Stałowe spojrzenie jego oczu przykuwało wszystkich do miejsca.

- Śniadanie! Panowie...

E71

Pan Uu i Pierre Nexus bez szemrania wrócili do malej jadalni.

- Maxine?

Spojrzała na dziadka i natychmiast zobaczyła, że tylko siła woli kazała mu wstać z łóżka.

- D-dziadku...

- Nic ci nie jest? - zachrypiał ścisłym, niepewnym głosem.

- Nic, na pewno. - Pocałowała go spokojnie w policzek. Wiedziała, że dziadek jej nie uwierzył, ale machnął ręką.

Na jedno spojrzenie księcia Sabatiniego Philippe wygonił Johnniego do kuchni, a Razz objęła Maxine za ramiona i pociągnęła przyjaciółkę w stronę schodów.

- Zaczekaj, proszę. - Anglik ruszył za nimi.

Maxine zdążyła zauważyć, że Alex nosi nanoporowe rękawiczki i jego oczy trochę się różnią, zanim znowu poczuła to w mózgu, teraz delikatnie - leciutki ślad dotyku.

- P-przestań! - krzyknęła i zobaczyła, jak niedopasowane oczy mężczyzny rozszerzają się w szoku.

- Co „przestań”? - zapytała Razz i zrobiła krok do tyłu. Instynktownie ugięła nogi w bojowej postawie. Nie mogła się opanować.

- On wie.

Maxine ruchem głowy wskazała Alexa - potem odwróciła się do niego plecami i pozwoliła, żeby Razz zaprowadziła ją na górę. Nie zauważyła, że spojrzenie Księcia wyostriżyło się nagle, lecz Alex to zauważył. Starzec był zaniepokojony, ponieważ kiedy patrzył na Alexa, nie widział nic - żadnych kolorów, żadnych emanacji uczuć, żadnej aury. I bardzo dobrze, uznał Alex. Ponieważ jeśli miał uchościć za lorda Winterbrooke'a, to wyłącznie własne mentalne bariery chroniły go przed zdemaskowaniem.

- Coś dziwnego jest w tym nowym facecie - oświadczyła Razz, prowadząc Maxine na następną kondygnację schodów. - Jakiś nierzeczywisty. No, wiesz...

272

Pomimo bólu głowy Maxine nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy spojrzała na chromowy połysk skóry Razz.

- Już nic nie mów - mruknęła Razz z goryczą. - Przecież nie ja chciałam wyglądać jak pieprzona siostra Srebrnego Surfera, zresztą to tylko z wierzchu. Okno wystawowe. Ten facet jest inny. Jakbym skądś go znała, ale nie chcę pamiętać...

Jej implanty Zeissa odbijały spojrzenie młodszej dziewczyny, ale po raz pierwszy Maxine zobaczyła zmęczenie i ból za oszłamiającą chromową skórą i lustrzanymi soczewkami kontaktowymi.

Zbyt łatwo było zauważyć tylko uderzający wygląd, dziwaczną chirurgię, i pominąć osobę w środku.

- Kto ci t-to zrobił? - zapytała Maxine, stwierdzając ze wstydem, że nie wie. Nie rozumiała, dlaczego nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy o to zapytać.

- Różaniec. Kosztowało ciężki kredyt w czarnej klinice w Budapeszcie. Ale co tam, cholera, i tak wyszło mu taniej niż opłacanie alfonsów za stałe dostawy egzotyków. Plus, oczywiście... - Razz uniosła dłoń, żeby powstrzymać pytanie Maxine. - Zdaje się, że nie lubił zwracać towaru w stanie nadającym się do użytku. Wciąż nie lubi, ale jeszcze się z nim rozliczę.

Razz obejrzała się przez ramię, ale nikogo nie zobaczyła. Długi podest na piętrze był pusty. Choć to nie robiło żadnej różnicy. W całym Hotel Sabatini pewnie założono podsłuch.

- Wiesz, c-co się d-dzieje? - zapytała Maxine, nie mając pewności, że naprawdę chce usłyszeć odpowiedź.

Razz kiwnęła głową.

- Twój dziadek umiera - odparta beznamiętnie. - Ale nie sporządzi testamentu ani nie pozwoli się leczyć.

- O leczeniu sama wiem. - Oczy Maxine niebezpiecznie błyszcząły, a kiedy Razz ją objęła, długo powstrzymywane łzy

73

popłynęły po policzkach. - I tak nie ma żadnego spadku - dodała smętnie.

- Też tak myślałam - mruknęła Razz - dopóki nie zaczęłam rejestrować widfonów Różańca...

Poranne słońce wlewało się przez otwarte okno sypialni Maxine, podkreślało brzydotę zniszczonych desek podłogi, prześwitywało przez wyblakłe, wystrzępione jedwabne zasłony.

W wiktoriańskim dzbanku z szeroką szyjką stojącym na umywalce kurz osiadł cienką warstwą na

powierzchni stęchłej wody. Cienka skorupa brudu zaschła na dnie stojącej obok miski. Nawet przy otwartym oknie pokój cuchnął stęchlizną. Nietrudno zrozumieć, dlaczego.

Niewyprane sukienki i bielizna leżały rzucone na stos w kącie, łóżko było rozgrzebane, cienkie bawełniane prześcieradła szare od brudu.

- Jezu Chryste pierdolony! - zawołała Razz i chwyciła młodszą dziewczynę za ramiona. - Co się stało? Dlaczego Philippe nie posprzątał twojego pokoju?

- Kazałam, żeby więcej nie przychodził.

Maxine powoli rozejrzała się dookoła. Cokolwiek widziały jej ciemne oczy, z pewnością nie dostrzeżały panującego tutaj bałaganu.

- Więc czemu mnie nie poprosiłaś?

- Ciebie? - zdumiała się Maxine.

- Jestem służącą - powiedziała cicho Razz. - Musisz tylko rozkazać.

Maxine oblała się rumieńcem. Powróciło nieproszone wspomnienie Razz rozciągniętej nago na kuchennym stole.

- To chyba n-nie wypada.

- Maxine. - Razz mówiła niedbałym tonem, ale nie dała się nabrać. - Maxine, kurwa, co jest grane...?

E7L,

Zanim drzwi sypialni uchyliły się do połowy, Alex stał już po drugiej stronie pokoju, daleko od łóżka, a jego palce bezgłośnie wysuwały ostrze mosiężnego składanego noża beinte--neube. Ale wstał za późno.

- Nie ruszaj się, gnojku!

Jeśli nie przekonał go kobiecy głos, zrobił to małeńki czerwony krążek laserowego celownika, który przelotnie błysnął mu w oczy, a potem znieruchomiał na jego czole, tuż nad nasadą nosa.

- Oświetlenie pokoju - rozkazała.

Komputer pokojowy automatycznie włączył lampę na marmurowym stoliku. Sekundy później stara świetlówka wbudowana w sufit zamrugała i niechętnie obudziła się do życia w kwaśnym zapachu spalonego kurzu. Mimo strachu Alex zerknął na budzik. Pierwsza trzydzieści nad ranem.

- Więc kim naprawdę jesteś? - zapytała Razz. - Bo Maxie mówi, że na pewno nie jesteś tym, za kogo się podajesz.

S&W LadySmith Mk4 tkwił w jej dłoni pewnie jak skała, krótka, lecz zabójcza lufa celowała dokładnie w punkt pomiędzy oczami Alexa. Jej nagie ciało było twarde i szczupłe. Na pasie otaczającym nagie biodra nosiła przypięty rzepem walk-wear Sony, a do lewego nadgarstka przymocowała małą klawiaturę.

Ciemne soczewki Zeissa wpatrywały się w niego i nagle przypomniał sobie, jak kiedyś pomyślał, że gdyby wzrok mógł zabijać, już dawno by gryzł ziemię, i że nie da się określić jej pochodzenia, ponieważ każdy cal jej wygolonego ciała został wytatuowany srebrem.

- Jezusie - zaklął ponuro i przez chwilę głowę miał pełną ryczących płomieni, smrodu palonego ciała i niskiego warkotu helikopterów. A potem wszystko zniknęło, zgasło jak po przekręceniu wyłącznika w mózgu.

- Znam cię - powiedział głównie do siebie.

E75

- Taak? - Razz nadal trzymata go na muszce. - Naprawdę? Bo ja ciebie nie znam. I nic dziwnego, bo cię sprawdziłam: ty wcale nie istniejesz, prawda...?

Alex uśmiechnął się.

- Owszem, istnieję - zapewnił. - Po prostu szukałaś w niewłaściwym miejscu. Tytuł jest angielski, ale moja matka była Francuzką. Mam status S3 i cesarski paszport. Sprawdziłaś mnie w Sekcji Trzeciej?

Razz pokręciła głową.

- Ale mogę sprawdzić - oświadczyła pewnym siebie tonem i wciąż trzymając Smitha & Wessona Mk4, szybko zaczęła stukać wskazującym palcem po klawiaturze. Małeńka polimerowa

dioda wbudowana w bok walkweara zamigotała, pływający dysk został przeskanowany, wewnętrzny podczerwony modem splunął i ożył.

- Chyba jesteś bardzo dobra, jeśli potrafisz się włamać do Trzeciej Sekcji - powiedział Alex, lecz Razz tylko niecierpliwie potrząsnęła głową, a potem zeszywniała, kiedy jej oczy skanowały dane wyświetlane na zmiennoogniskowym ekranie soczewek Zeissa.

- Jasna cholera - szepnęła. - To nie jest zwykły status S3. Skąd masz to upoważnienie?

- Sprzedaliście mi.

- Więc widocznie miałeś coś, czego ktoś bardzo chciał - stwierdziła Razz z podziwem i nie zauważyła namysłu, który przemknął po twarzy Alexa.

Rozmawiali.

A potem siedzieli w milczeniu.

A potem rozmawiali.

Później Razz wyjęła trzy złote obrączki z warg sromowych i pieprzyli się tyle razy, że upili się ciężkim zapachem seksu; potem przysunęła się do niego i pozwoliła, żeby objął żyłastym ramieniem jej jaszczurczą skórę.

7

- Działałeś kiedyś pod innym nazwiskiem? - zapytała.

- Od czasu do czasu. A ty?

- Wiadomo. Wiesz, nie zawsze tak wyglądałam.

Alex spojrział na nią i uśmiechnął się, pomimo śladu płomieni w głowie.

- Widziałem cię raz, dawno temu - powiedział powoli. - W północnej Afryce. Ktoś zginął. Byłaś tam.

- Nie ja - odparła sennie Razz. - Nigdy nie wyjeżdżałam z Europy. A jedyny trup, jakiego widziałam, był przybity gwoździami do drzwi.

BU. Zapada ciEmnasć

Niewiele wydarzyło się następnego dnia, a jeśli tak, Maxine

0 tym nie wiedziała. Więc spędzała czas zwinięta przed ściennym ekranem. Nie oglądała seriali, tylko przerzucała kanały wszystkich pokojów w domu i próbowała wykryć, co się dzieje. Maxine wiedziała, że zapowiada się jakieś przyjęcie, ponieważ podsłuchiwała, jak Philippe kazał panu Różańcowi zebrać wszystkich do końca następnego dnia, i że trzeba wszystko przygotować do końca następnego dnia.

Ale kiedy wyszła ze swojego świeżo posprzątanego pokoju

1 zesłała na dół, zamierzając nawiązać swobodną rozmowę, Philippe wykręcił się, że obowiązki wzywają go gdzie indziej, a pan Różaniec nagle oświadczył, że musi porozmawiać z Księciem.

Mimo woli Maxine westchnęła ciężko. Próbowała wziąć się w garść, ale nikt jej tego nie ułatwiał.

Nerwowo pogryzając tabliczkę czekolady Sucharda, prezent od Razz (który też opłakała), patrzyła, jak Pierre Nexus zamawia przez widfon kierowcę z Sekcji Trzeciej i rządowego peugeota, żeby zabrać pana Uu na wycieczkę po Paryżu.

W innym pokoju Alex mówił do Razz, że ma interesy w Instytucie Bonapartego i zabiera Johnniego ze sobą. Johnnie

7

i Razz mierzyli się wzrokiem w sposób wyraźnie świadczący, że związek Alexa z Razz nie podoba się Johnniemu tak samo, jak nie podoba się Maxine.

Razz rzeczywiście chodziła przez cały dzień z dziwnym wyrazem twarzy. A jak tylko znalazła chwilę samotności, przystawiała i przypinała miniaturową klawiaturę do nadgarstka, po czym szybko stuknęła w klawisze, przez cały czas wpatrując się w przestrzeń z nieobecny wyrazem twarzy.

Maxine przez cały dzień siedziała nie wiedząc, że zbliża się jakieś wielkie wydarzenie. Wciąż próbowała rozszyfrować swoje przeczucie, kiedy zapadła noc i Philippe zapukał do jej drzwi, mówiąc, że dziadek powiedział, że już pora do łóżka.

W ten sposób ominęło ją jedyne interesujące wydarzenie. Przyjazd młodego, nieprawdopodobnie pięknego japońskiego chłopca, który nieskazitelną francuszczyzną oznajmił, że jest ochroniarzem Johnniego i nazywa się Ryu. Kiedy Philippe próbował perswadować, że Johnnie jest przecież ochroniarzem lorda Winterbrooke'a, a ochroniarze zwykle nie zatrudniają własnych ochroniarzy, Ryu tylko się uśmiechnął.

Ponieważ dom był już pełen gości, Philippe uznał, że jeden więcej nie ma znaczenia, i umieścił Ryu w kwaterach dla służby.

- Czy będą nas szukać?

Razz pokręciła głową. I pozwoliła, żeby Alex przywarł do niej z tyłu, sparzył jej kark oddechem. Oboje kryli się w czarnych cieniach szarego kamiennego łuku bramy. Za nim kilka świateł błyszczało w górnych oknach Hôtel Sabatini, ale już dawno minęła północ i większość domowników bezpiecznie spała.

- Dokąd idziemy?

Razz przyłożyła palec do ust, wystukała skomplikowaną sekwencję liczb na małej tabliczce przymocowanej do muru

E7H

i ciągnąc za sobą Winterbrooke'a, wyśliznęła się przez małą furtkę dla pieszych na kocie łby Quai.

- Weź to i nie używaj, dopóki nie musisz - powiedziała, podając mu małego automatycznego colta. - To Różańca. Przynajmniej dopóki go nie zgubił. - Uśmiechnęła się gorzko. - Nie wiem, ile ci powiedziała lady Clare, ale powinieneś coś zobaczyć.

Dopiero kiedy przeszli przez rzekę na południowy brzeg i precyzyjnie się przez niski otwór, wycięty w siatce otaczającej Dzielnicę Łacińską, Alex zorientował się, że kogoś śledzą.

Zastanowiło go przelotnie, w jaki sposób ich zwierzyna ominęła druty pod napięciem, a potem bariera została za nimi i przepychali się przez obdarty tłum, który wypełniał rue Des Beaux Arts.

Jeśli wysoki mężczyzna z kucykiem, w północno-afrykańskiej dżelabie i ciemnych okularach, oraz srebrna dziewczyna, ubrana w rozpiętą srebrną marynarkę i niewiele więcej, wyglądali dziwnie albo nie na miejscu, nikt tego nie okazał.

- Chodź - syknęła Razz i ruszyła do przodu. Szybko prześliznęła się pomiędzy dwiema żonglerkami w toplesie i łysym mężczyzną grającym na elektrycznym sitarze. Bez ostrzeżenia zbcoczyła nagle na prawo w boczną uliczkę, skręciła w lewo przez jakieś prywatne wejście i wyszła na wąską alejkę.

Drugi koniec otwierał się na rzekę, ale bliższy blokowało gruzowisko po czynszówce, która zwała się na jezdnię. W cieniu gruzów przysadzisty bandzior opierał się o mur, z rozpiętymi spodniami, z butelką aromatyzowanego alkoholu dyndającą w luźno opuszczonej ręce. Przed nim klęczała łkająca dziewczynka.

Razz strzeliła mężczyźnie w głowę, nie zwalniając kroku, bezgłośnie strzałka rozpękła się wzdłuż fabrycznych linii nacięć, uderzając w kość czołową. Kiedy wyszła z drugiej strony z cichym pyknięciem, zmieniwszy korę mózgową mężczyzny

56 □

w kipiącą galarete, wyglądała jak powoli wirujący czarny pajak. Wszystko trwało niecałą sekundę. Razz wzruszyła ramionami i wsunęła broń z powrotem do kieszeni. Dziewczynka spojrzała na Razz, potem na ciało i jej oczy wywróciły się ze strachu. Małe usta otwierały się i zamykały bezgłośnie. Wyglądała na jakieś dziewięć lat.

- Spadaj - powiedziała jej Razz i dziewczynka uciekła biegiem, jej chude ramionka wciąż drżały od płaczu.

- Ładna zabawka - zauważył nerwowo Alex.

Razz pochwyciła jego ukradkowe spojrzenie i uśmiechnęła się ponuro.

- Już dawno chciałam ją wypróbować - powiedziała tylko.

Ciepły wiatr od rzeki dmuchał im w plecy, kiedy opuścili

Dzielnicę Łacińską przez drugą dziurę w elektrycznym ogrodzeniu i skręcili na lewo w Quai.

Antyczne Citroeny i fordysy stały ciasno zaparkowane po bliższej stronie drogi. Razz i Alex szybko przebiegli na drugą stronę, oślepieni reflektorami samochodów, lawirując między małymi

elektrycznymi hondami, staroświeckimi dieslowskimi taksówkami i kilkoma czarnymi hoverami mitsubishi, które pyszniły się plakietkami CD i łomoczącą aparaturą dźwiękową. Nocne niebo nad ich głowami rozświetlał pomarańczowo ogromny hologram Coca-Coli i wysoki, wirujący neonowy krzyż z helisą, oznaczający europejską centralę Kościoła Genetyków.

- Czego szukamy? - zapytał Alex, zerkając na rzekę w dole.
- Cicho.

Razz długim, cichym susem przeskoczyła przez niskie obmurowanie, ale nie wpadła do rzeki, tylko zręcznie wylądowała na ugiętych nogach dwadzieścia stóp niżej, na wąskim chodniku. Alex skoczył za nią i wykręcił sobie nogę. Coraz bardziej chciał wrócić do Hôtel Sabatini, ale zdawał sobie sprawę, że Razz podjęła wielkie ryzyko, przechodząc bez dokumentów na niewłaściwą stronę Sekwany. I uwierzył jej,

Efil

w kipiącą galarete, wyglądała jak powoli wirujący czarny pajak. Wszystko trwało niecałą sekundę. Razz wzruszyła ramionami i wsunęła broń z powrotem do kieszeni. Dziewczynka spojrzała na Razz, potem na ciało i jej oczy wywróciły się ze strachu. Małe usta otwierały się i zamykały bezgłośnie. Wyglądała na jakieś dziewięć lat.

- Spadaj - powiedziała jej Razz i dziewczynka uciekła biegiem, jej chude ramionka wciąż drżały od płaczu.
- Ładna zabawka - zauważył nerwowo Alex.

Razz pochwyciła jego ukradkowe spojrzenie i uśmiechnęła się ponuro.

- Już dawno chciałam ją wypróbować - powiedziała tylko.

Ciepły wiatr od rzeki dmuchał im w plecy, kiedy opuścili

Dzielnicę Łacińską przez drugą dziurę w elektrycznym ogrodzeniu i skręcili na lewo w Quai.

Antyczne Citroeny i Fordy stały ciasno zaparkowane po bliższej stronie drogi. Razz i Alex szybko przebiegli na drugą stronę, oślepiani reflektorami samochodów, lawirując między małymi elektrycznymi hondami, staroświeckimi dieslowskimi taksówkami i kilkoma czarnymi hoverami mitsubishi, które pyszniły się plakietkami CD i łomoczącą aparaturą dźwiękową.

Nocne niebo nad ich głowami rozświetlał pomarańczowo ogromny hologram Coca-Coli i wysoki, wirujący neonowy krzyż z helisą, oznaczający europejską centralę Kościoła Genetyków.

- Czego szukamy? - zapytał Alex, zerkając na rzekę w dole.
- Cicho.

Razz długim, cichym susem przeskoczyła przez niskie obmurowanie, ale nie wpadła do rzeki, tylko zręcznie wylądowała na ugiętych nogach dwadzieścia stóp niżej, na wąskim chodniku. Alex skoczył za nią i wykręcił sobie nogę. Coraz bardziej chciał wrócić do Hôtel Sabatini, ale zdawał sobie sprawę, że Razz podjęła wielkie ryzyko, przechodząc bez dokumentów na niewłaściwą stronę Sekwany. I uwierzył jej,

Efil

kiedy powiedziała, że powinien coś zobaczyć. Po prostu cholernie żałował, że nie powiedziała nic więcej...

- Gówno - rzuciła Razz, zatrzymując się nagle. - Słyszę go, jak wchodzi na górę...

Alex tylko na nią spojrzał.

- To znaczy, że już raz zabił - oznajmiła Razz ze złością.
- Potem schodzi pod ziemię - wyjaśniła. - Pod tym miastem jest cholerna sieć tuneli.

Wciągnęła Alexa do wąskiej niszy. Przycisnęła się mocno do niego. Byłoby mu przyjemnie, tylko że w niszy śmierdziało moczem, a pod stopami leżały potłuczone butelki po piwie Coors, klocki ludzkiego gówna i strzępki zużytych gazet. Jeśli prefektura uważała, że kampania usuwania włóczęgów z centrum odniosła sukces, to bardzo się myliła.

Cofając się od brudów, Alex uderzył się w tył głowy. Odwrócił się i zobaczył potężną metalową kratę osadzoną w kamiennym murze za jego plecami. Nie miał pojęcia, do czego służy.

- Którędy on wchodzi? - szepnął do Razz.
- Przez obmurowanie - odparła Razz i wskazała na rzekę.

- Tam jest szczelina, która prowadzi do kanałów burzowych. Służy mu za wyjście awaryjne. Nikt nawet nie zbliżył się do niego.

- No, to powinno go załatwić. - Alex wyjął z kieszeni dżelaby colta hi-hi i odsunął bezpiecznik.

- Nie! - syknęła Razz. - Nawet go nie draśniesz. - Zobaczyła niedowierzanie na twarzy Alexa i brutalnie złapała go za nadgarstek. - Nie masz pojęcia, na co się porywasz - rzuciła z gniewem.

- Miejmy nadzieję, że nas nie wywęszy, bo wtedy też zginie.

- Co?

- Módl się - szepnęła cicho. - A jeśli nie wierzysz, zacznij od teraz.

Przez chwilę panowała cisza, maćona tylko przez samochody jadące dwadzieścia stóp wyżej, a potem Razz wy-

EBE

szczyrzyła zęby, kiedy ciepłe powietrze buchnęło z metalowej kraty za ich głowami.

- Kto mówi, kurwa, że cuda się nie zdarzają? - wymamrotała drżącym głosem.

Alex podniósł wzrok na grubą metalową kratę pokrytą drucianą siatką i w otworze usłyszał wznoszący się ryk ho-ver-pociągu, pędzącego tunelem metra. Sekundy później głośniejszy ryk dobiegł z przeciwnej strony, kiedy potężny pusty transportowiec pasażerski RER z łoskotem przemknął przez tunel w drodze na przedmieścia.

Zza kraty, zmieszany ze spalonym kurzem, doleciał kwaśny zapach ozonu napływający od elektrycznej szyny.

Ryk drugiego pociągu narastał i wtedy Alex zobaczył pają-kowate kontury chudej, wysokiej postaci, mozolnie gramolącej się w polu widzenia. Przygarbiona, z pochyloną głową, postać minęła ich, nie zauważając niszy i pospiesznie pokuśtykała w górę rzeki.

- Szybko i cicho - rozkazała Razz i ruszyła za postacią.

Alex kiwnął głową.

- Przynajmniej wiatr jest w naszą stronę, kurwa - dodała przez ramię. - Całe szczęście, bo on ma węch jak pies myśliwski.

Weszli do pamiątkowych ogrodów Ludwika Napoleona i prawie dotarli do oblanych światłem srebrnych murów Instytutu Islamu, którego sztuczny dziób wznosił się wysoko i ostro jak Płaski Żelazny Budynek w Nowym Jorku, tylko trzy razy wyżej - kiedy postać zatrzymała się nagle i łapczywie wciągnęła w nozdrza nocny wiatr. Alex również zaczął węszyć, ale wyczuł tylko smród diesla i ciężki zapach kwiatów w ogrodzie.

Na tle oświetlonego reflektorami Instytutu postać rysowała się dostatecznie wyraźnie, żeby zobaczyli, że nosiła długi płaszcz trzepoczący leniwie na letnim wietrze i czarny kapelusz z szerokim rondem, głęboko wciśnięty na głowę. W jednej

3

ręce trzymata długą laskę, z drugiej wyrastał jakby długi metalowy szpon.

- Co za...

Alex nie dokończył. Dłoń Razz zamknęła mu usta. Postać obejrzała się szybko, nagle sztywna i czujna. Ale wiatr wiał w złym kierunku i śledzony albo doszedł do wniosku, że się przesłyszał, albo nie potrafił oprzeć się żądzy.

Przed nimi czeska dziewczyna spała na ziemi w parku, pod rozłożystym kasztanem. Nie słyszała nadejścia Śmierci i nawet nie zdążyła całkiem się obudzić. Co chyba było dobrodziejstwem.

Ponieważ nic na świecie nie mogło ocalić jej przed głodem, który po nią przyszedł. Jednym przerażającym ciosem Książę zagłębił ostre jak brzytwa szpony w powłocę brzusznej dziewczyny i sięgnął przez mięśnie odbytnicy, pod skłębione purpurowe pętle jelita krętego, srebrnymi szponami rozcinając pęcherz, rozrywając po drodze żyły i tętnicę udową.

Krew tryskała jaskrawymi czerwonymi strumieniami wokół nadgarstka mordercy, kiedy sztywne palce wymacały ciepły lewy jajnik dziewczyny, chwyciły go i wyrwały czysto przez dziurę ziejącą w brzuchu.

Zmarła od szoku, zanim nawet zdążyła krzyknąć, jej ciało drgnęło i zadygotało, ciemna plama rozszerzała się pośrodku niebieskiego śpiwora, krew przeciekała przez nylon na suchą ziemię.

Alex wytoczył się bezgłośnie z kryjówki za brzozą i wymierzył z colta, ściskając kolbę, żeby zaktywizować laserowy celownik. Zobaczył, że czerwony krążek światła omija schyloną postać i prześlizguje się po odległym drzewie, jak promień światła z dziecięcej latarenki albo zabłąkany robaczek świętojański. Zaczął celować ponownie, kiedy Razz wyrosła obok niego i szybko, boleśnie wbiła palce w nadgarstek ręki trzymającej broń.

EBU

Spojrzał z niedowierzaniem na srebrną dziewczynę, lecz ona tylko pokręciła głową.

- Nie! Jeszcze nie - szepnęła nagle. - Uwierz mi, wszystko musi poczekać do jutra.

Alex patrzył, jak zabójca wydobył jedwabną chusteczkę z kieszeni płaszcza, umoczył ją we krwi i starannie owinął jedwabiem ciepły jajnik.

Dopiero kiedy chuda postać pochylała się z wysiłkiem, żeby zamknąć oczy martwej dziewczyny, Alex rozpoznał zabójcę. Pomarszczona, znużona, lecz uśmiechnięta twarz należała do księcia Sabatiniego, wyraźnie widoczna w jaskrawym blasku nocnego hologramu Coca-Coli.

Lecz Alex i Razz nie zobaczyli czegoś, co powinni zobaczyć, kiedy w pośpiechu opuszczali park Ludwika Napoleona: obok nich przemknęła Maxine, zatrzymała się na skraju polanki i padła na kolana.

Wymioty podeszły jej do gardła, kwaśne i gorzkie, a potem rzygała na trawę i bezsilne łzy spływały po jej puciołowatych policzkach.

35. Czaszka

Następny dzień od rana zaczął się fatalnie dla Razz - a potem robił się coraz gorszy. W porze lunchu dosłownie ją zabijał. Wtedy jednak ta część jej umysłu, która jeszcze funkcjonowała, myślała tęsknie o wyzwoleniu.

- Powiedz mi, ty mała dziwko - syknął Różaniec. Skąpy uśmiech, rozciągający mu wargi w brzydkim grymasie, nie docierał do oczu, które z każdą chwilą upływającego dnia stawały się coraz zimniejsze.

Razz nic nie powiedziała.

Widywała go już w takim nastroju. Ale nigdy w tak złym, tak bezlitosnym. Uprzejmość, wdzięk i staroświecka południowa kurtuazja, jakie Różaniec prezentował w wytwornym towarzystwie, opadły z niego w chwili, kiedy zamknął za sobą drzwi własnego pokoju, mocno ściskając Razz za ramię tuż nad łokciem.

Wyprowadził ją z głównej części domu i pociągnął przez dziedziniec na oczach zaskoczonych gości Księcia. Z uprzejmym uśmiechem na długiej twarzy, z głową przechyloną na bok, jakby słuchał, co Razz do niego mówi. Ani na chwilę nie zwolnił żelaznego uścisku na jej ramieniu.

Razz nie wiedziała, czego się spodziewać. Szybkiego, złośliwego ciosu za jakieś wyimaginowane uchybienie albo może

EBE

pospiesznego brutalnego zerżnięcia, żeby przywołać ją do porządku. Zależy, o co Różaniec ją posądzał.

Ale spotkało ją coś zupełnie innego.

Strasznego.

Powlókł ją przez cały apartament i zrzucił z kamiennych stopni do piwnicy na wino. Potem kopniakami popychał ją po zimnych kamiennych płytach podłogi do niskich drzwi, zamkniętych ciężką kratą z kutego żelaza.

Z niedbałą brutalnością przypiął jej prawą rękę kajdankami do kraty i sięgnął po klucz, wiszący na kołku nad jej głową. Nigdy jeszcze nie widziała takich kajdanek. Czerwone i śliskie, skręciły się pod jej dotykiem i mocno wgrzyły w nadgarstek, kiedy je szarpnęła.

- Ładne, prawda? - rzucił Różaniec z zimnym chichotem. - Odetną ci rękę, jeśli nie przestaniesz rozrabiać.

Błyskawicznie otworzył swój niemiecki grawitacyjny nóż, przekręcił go ostrzem do dołu, zaczepił ostrze o kołnierz jej srebrnej marynarki i rozciął marynarkę od szyi do pasa. Dwoma cięciami uwolnił ramiona. Potem znowu przekręcił nóż, wsunął ostrze między pośladki Razz i pociągnął w

dół, rozcinając srebrne legginsy.

Razz gorączkowo zrzuciła kopniakami legginsy, zanim ostrze sięgnęło do obcisłej tkaniny na jej udach.

Otworzywszy żelazną bramę, Różaniec odpiął kajdanki jednym ruchem ręki i wepchnął Razz do środka. Znalazła się na szczycie następnych długich kamiennych schodów, prowadzących w ciemność. Powietrze było zimne i stęchłe, pachniało kwaśno jak rozkopana ziemia.

- Na dół - rozkazał Różaniec.

Razz wahała się o sekundę za długo i poczuła lekkie dotknięcie jego dłoni u podstawy kręgosłupa.

- Schodź - powiedział cicho. - Albo cię zepchnę i zaryzykuję, że skręcisz sobie kark.

2B7

Uśmiechnął się w piwnicznym półmroku, delikatnie przesunął palcami w górę po jej kręgosłupie i zatrzymał rękę, kiedy dotarł do ścięgien na karku.

- A tego przecież nie chcemy, prawda?

Kiedy zamknął palce na szyi Razz, odwróciła się i spojrzała mu w twarz. W jego oczach zobaczyła czyste, kontrolowane szaleństwo. Pod tłumionym gniewem i zimnym rozgoryczeniem, pod złowrogą uprzejmością krył się cichy obłęd, który płonął złotym blaskiem w głębi oczodołów. Wytresował ją, szybko i surowo. Zapłacił za augmentację ciała i lekcje sztuk walki. Ale przede wszystkim, pomyślała, nauczył ją strachu przed sobą. Nauczył ją wierzyć, że wobec Różańca jest bezsilna.

Razz spojrzała w milczące szaleństwo oczu Różańca i próbowała skupić się na jego słabościach. Jak trząsał się z zimna. Jak nie wiedział wszystkiego. Nie wiedział na przykład, że ona trzyma jego dossier zdeponowane w bahamskim banku danych - jako polisę ubezpieczeniową na wypadek, gdyby sytuacja się pogorszyła.

Tak jak teraz.

Różaniec nie wiedział, że Razz ciągle wchodzi w Cy. Że wcześniej, kiedy wyciągnął ją z kryjówki za ratuszem miejskim w Londynie, kłamała, handlowała i sprzedawała siebie, żeby kupić sprzęt potrzebny do ponownego podłączenia.

Zrobiła to w pierwszym tygodniu pobytu w Hotel Sabatini. Przed kliniką w Budapeszcie, ale po trzech tygodniach, które kazał jej spędzić w burdelu Triady w Kwaloon. Wtedy myślała, że wysłał ją na Daleki Wschód, żeby się nauczyła tych łóżkowych sztuczek, jakich każdy mężczyzna wymaga od swojej kochanki. I chciałby również od żony, ale nie chciałby wiedzieć, gdzie je poznała.

Teraz Razz wiedziała, że w Kwaloon bynajmniej nie chodziło o umiejętności łóżkowe; chodziło o to, żeby tak ją poniżyć, żeby nigdy więcej się nie podźwignęła.

Eflfl

- Płaczesz? - zapytał Różaniec. - Ty?

Musnął dłonią jej policzek i poczuła, że piwniczny chłód pokąsał mu palce, aż posiniały i napuchły jak palce topielca.

Mimo woli wzdrygnęła się pod jego dotykiem.

To był błąd. Zimne jak lód palce swobodnie sięgnęły do jej szyi i ścisnęły. Razz daremnie drapała jego lodowate dłonie. Tuż zanim straciła przytomność, Różaniec dźwignął ją i zrzucił ze schodów. Tylko zwiotczenie półprzytomnego ciała uchroniło ją przed złamaniem nogi lub żebra, kiedy sturlała się z piętnastu czy dwudziestu stopni i wylądowała z hukiem na podłodze.

Różaniec dogonił ją, zanim zdążyła odpełznąć z wąskiego kamiennego podestu, i złośliwie kopnął w żebra butem ze skóry pancernika.

- Powiedz mi - powtórzył łagodnym tonem, zaprzeczającym szaleństwu w oczach - dokąd poszła Maxine wczorajszej nocy?

Razz naprawdę nie odgrywała bohaterki ruchu oporu. Nie mogła odpowiedzieć na jego pytanie, choćby je zadawał sto razy. A zadawał je bez przerwy od śniadania. Nie mogła odpowiedzieć, ponieważ nie wiedziała. Podobnie jak nie wiedziała, dlaczego Maxine nie wróciła i gdzie się ukrywała.

Philippe odkrył, że Maxine zniknęła, kiedy rano zaniósł do gabinetu Księcia dzbanek kolumbijskiej kawy i koszyk świeżych croissantów, spodziewając się, że zastanie Maxine w towarzystwie dziadka. Ale nie towarzyszyła dziadkowi, nie zeszła na śniadanie i nie było jej w pokoju. Zaniepokoiło to Philippe'a, który lubił Maxine na tyle, żeby się o nią martwić. W każdym razie musiał się martwić, co z nią będzie po śmierci Księcia. A Księżę umrze już niedługo...

Dobrze urodzone sieroty przechodziły pod opiekę Księcia Cesarza. Jak wszystko inne, wystawiano je na licytację. Zdaniem Philippe'a najlepszym, czego mogła spodziewać się

2BR
Maxine, bytby szybki ślub z jakimś bogatym starcem, któremu zależałoby na jej nazwisku. Bez namysłu Philippe wysłał wezwanie do blipera implantu w nadgarstku Razz, a potem pospiesznie zapytał Księcia, czy może zaczekać w kuchni na odpowiedź Razz.

Wreszcie zjawiała się, ze zmęczoną twarzą i ciemną szczeciną na nagiej czaszce, kipiąc milczącą złością. Nie tylko dlatego, że Philippe nie odrywał od niej wzroku. Nie wiedział do tej pory, że zwykle nosiła perukę.

- Na co się gapisz, kurwa? - warknęła Razz. - Brałam prysznic.

Philippe przelotnie spróbował wyobrazić sobie zuchwałą nagość srebrnej dziewczyny i uznał, że szkoda fатыgi. Razz, Maxine, nawet Księżę zakładali, że Philippe jest aseksualny, ale niesłusznie. Po prostu nie rozgłaszał swoich preferencji. Namietność, jaką żywił do swojego pana, wystygła z czasem, ponieważ nawet nieodwzajemnione uczucia tracą świeżość - ale wciąż tliła się w jego sercu.

Podstarzały lokaj westchnął. A kiedy spojrział na nadaśaną srebrną dziewczynę, po raz pierwszy poczuł coś bardziej zbliżonego do litości niż irytacji.

- Księżę chce wiedzieć, czy widziałaś Maxine... - Philippe wiedział z gorzkiego doświadczenia, że Razz odpowiada tylko na pytania, które przychodzą z góry, i nawet wtedy nie zawsze. Ale zazwyczaj opłacało się podkreślić na wstępie, że pytanie pochodzi od Księcia.

- Księżę - powtórzyła głupio Razz. - Już wrócił?

- Skąd miał wrócić? - zdziwił się Philippe. - Księżę jest w swoim pokoju. Je śniadanie.

Nagle kąciki ust opadły mu beznadziejnie, a kiedy znowu się odezwał, wyraźnie oczekiwał, że Razz podzieli jego przygnębienie spowodowane złą wiadomością.

- Niestety znowu miał ciężką noc.

- Ja myślę - mruknęła Razz pod nosem. Spojrzała w miękkie brązowe oczy Philippe'a i zastanowiła się, ile lokaj wie. Przez rok spędzony w Hotel Sabatini dowiedziała się więcej, niż sobie życzyła, a Bogu wiadomo, że lokaj Księcia mieszkał tu znacznie dłużej. Kiedy wreszcie dojdzie do wybierania wrogów i sprzymierzeńców, nie wiadomo, po której stronie stanie Philippe. Pewnie po stronie Księcia. Lepiej zachować ostrożność.

- Nie wiem, gdzie jest Maxine - odparła Razz przepraszająco. - Ale na pewno nie wyszła z domu.

- Och, na pewno wiesz - powiedział łagodny głos za jej plecami.

Razz okręciła się gwałtownie i zobaczyła Księcia wspartego na lasce ze srebrną rączką. Nogi drżały mu pod nikłym ciężarem kruchego ciała. Milcząco, nieubłaganie jego oczy zwały się z jej oczami. Razz doznała ohydneho uczucia, że Księżę próbuje odczytać jej myśli. Bez powodzenia.

Starzec zmarszczył brwi i potrząsnął głową, żeby uporządkować wirujące myśli i wspomnienia.

Wreszcie, kiedy głosy pod czaszką ucichły, przeniósł uwagę na list ściskany w drżących palcach.

- Zostawiła ci tę wiadomość - powiedział miękko. - Myślałem, że zechcesz mi to wyjaśnić.

Podał Razz świstek papieru pokryty pajęczym pismem Maxine.

Razz prychnęła z odrazą. Tylko Maxine używała jeszcze pióra, żeby coś zapisać. Słowa były niewyraźne, trudne do odcyfrowania dla kogoś przyzwyczajonego, żeby odczytywać informacje z ekranu. Wreszcie jednak Razz rozszyfrowała list Maxine - i natychmiast tego pożałowała.

Kochana Razz... Widziałam, jak wychodzisz i z kim. Chyba już wiem, co robisz, więc ja też pójdę. Jeśli się nie spotkamy albo jeśli nie wrócę, proszę, proszę, uważaj na siebie.

ERI

Dziękuję ci za wszystko. Najbardziej dziękuję, że mnie słuchałaś.

Przepraszam, że podglądałam cię na ekranie.

Całuję, Maxine

Bzdury, jakie mogła wypisywać tylko trzynastolatka, ale przez to nie mniej niebezpieczne.

Wnętrznosci Razz zacisnęły się w węzeł tak mocno, że mało nie opróżniły pęcherza. Na szczęście mózg był zbyt zajęty zmuszaniem zszokowanych płuc do oddychania.

Wreszcie mu się udało. t

Głęboko zaczerpnąwszy powietrza, Razz odwróciła się do Księcia. Ze smutną, pobrużdżoną twarzą i chudym, zniszczonym ciałem nie wyglądał na zabójcę, jakiego w nim odkryła.

- Przepraszam - powiedziała grzecznie, spuszczać oczy. - Nie mam pojęcia, o co chodziło Maxine. Nawet nie dostałam tego listu.

- Co już jest dziwne - zauważył Książę - skoro zostawiła go tam, gdzie według niej musiałś go znaleźć. - Słowa zaczęły się rozmywać, jakby struny głosowe starca wreszcie się zużyły. - Przypięła go pod twoją poduszką. No, ale jeśli w ogóle spałaś zeszłej nocy, to nie we własnym łóżku, prawda?

Razz podniosła wzrok na Księcia i natychmiast tego pożałowała. Głos miał słaby, ale oczy zimne i bezlitosne jak zawsze.

Nie odpowiedziała. Podejrzuwała, że jeszcze nie skończył. I słusznie.

- Bawisz pana Różańca - powiedział Książę. - A twój pan jest człowiekiem, który przydaje mi się czasami. Wyłącznie z tego powodu znoszę twoją obecność w moim domu czy twoją „przyjaźń” z moją wnuczką. Ale to można zmienić.

Podjąwszy decyzję, Książę skinął na lokaja.

ERE

- Philippe, zawołaj Różańca.

Przez sekundę Razz odczuwała pokusę, żeby wybić srebrną laskę z zaszuszonej ręki Księcia, a następnie kopniakiem zwalić go z patykowatych nóg. Ale kruchy starzec, którego widziała przed sobą, jakoś nie pasował do wspomnienia zeszłej nocy

- dziewczyny wykrwawiającej się na zeschniętej trawie parku Ludwika Napoleona. I coś głęboko w jego oczach ostrzegło Razz, że odczytał jej myśli.

- Cokolwiek myślicie o mnie ty i ten głupiec Lee Uu - podjął Książę - troszczę się o Maxine i zgromadziłem dostateczne zasoby, żeby zabezpieczyć jej przyszłość. Ona jest pod moją opieką. - Podniósł skrawek papieru od Maxine. - Różaniec niewątpliwie wykryje, co wiesz i gdzie ona jest. Potem ustalimy, co z tobą zrobić. Czy zostaniesz tutaj, czy odejdziesz...

- Książę zrobił pauzę - w inne miejsce.

Tylko że Różaniec nadal nie miał informacji, której chciał Książę. I to niepowodzenie zaczynało go złościć. Skopywał ją ze schodów tak długo, że pewnie dotarli już na dno...

W nikłym świetle dochodzącym ze szczytu schodów Razz dostrzegła sklepiony sufit z czerwonej cegły, wsparty na łukach z piaskowca. Pod sufitem wisiał niczym odwrócona gałąź prosty kandelabr z kutego żelaza, ponad sto lat wcześniej przerobiony na elektryczny przez jakiegoś rzemieślnika. Staroświeckie żarówki z czystego szkła, spiczaste jak płomień, pokrywała gruba warstwa kurzu. Razz zastanowiła się mętnie, czy ktoś jeszcze teraz wie, gdzie jest przełącznik.

- Słuchasz mnie? - zapytał Różaniec i czubkiem buta strącił jej skulone ciało z kolejnych kilku stopni. Wreszcie dotarli do zakrętu schodów, gdzie znikły nawet resztki światła.

Najlepiej było nic nie mówić i pozwolić, żeby robił swoje. Ciągłe spychał ją po kilka stopni naraz. Razz doszła do wniosku, że Różaniec nie wyrządzi jej poważnej krzywdy, dopóki Książę potrzebuje informacji, które należało od niej

wydobyc. Zwinęła się w ciaśniejszą kulkę i daremnie próbowała wydusić z siebie jakiś plan. Bez rezultatu: jej mózg pracował na pustym przebiegu i żadne pomysły nie nadeszły.

Nawet nie zauważyła, że wylądowała na dnie, dopóki mocny kopniak nie trafił jej w nerki, i nagle zrozumiała, że musi wykonać ruch albo kosztowny but strzaska jej kręgosłup na miazgę. Więc zrobiła to, do czego ją wytrenowano.

Uspokój nerwy, wydychaj zamiast wdychać, a potem przejdź do działania.

Przetoczyła się tak szybko, że zdumiała samą siebie i zaskoczyła również Różańca. Usłyszała, jak przeklina, kiedy ją zgubił. Usłyszała, jak goni za nią i kopie na wszystkie strony, ale ciągle zmieniała kierunek, zbaczała w lewo i w prawo, lawirowała w absolutnej ciemności.

- Dajcie mi latarkę - warknął Różaniec z ledwie powstrzymaną furią. Razz zorientowała się, że mówił do wideo-zegarka, który kupił w Osace. Nigdy nie cierpiała tego przeklętego urządzenia.

Przycupnięta za kolumną, rozpaczliwie próbowała nie wydawać żadnych dźwięków, nawet nie oddychać. Obliczała, ile czasu jej zostało, zanim będzie musiała uciekać - czy lepiej odpocząć, czy ruszać teraz, zanim przyniosą latarkę - kiedy usłyszała zdumione stęknienie Różańca i głuchy łomot ciała padającego na zimną ziemię.

- Kto tam? - zawołała mimo woli. Nie otrzymała odpowiedzi, a potem poczuła rękę delikatnie muskającą jej usta.

Instynktownie rąbnęła łokciem do tyłu, ale mężczyzna za jej plecami wykonał unik i cios chybił.

- Hej, nie hałasuj - syknął jej Alex do ucha. - Nie wiemy, jakie urządzenia nasłuchowe mają tutaj na dole.

Zdjął rękę z jej ust.

- Idź za mną - rozkazał.

ER L.

- Ale ja cię nie widzę! - zaprotestowała Razz i poczuła, jak jego ręka ujmuje jej dłoń, ciągnie ją przez ciemność.

- Co z Różańcem? - szepnęła.

Zbliżył twarz do jej twarzy, Razz poczuła ciepły oddech na policzku.

- Jeśli ten cios go nie wykończył, pewnie załatwi go zimno i wilgoć - powiedział cicho Alex. - On używa bardzo prymitywnej wirusowej mutacji, coś wschodnioeuropejskiego, z Meksyku albo Brazylii. I tak kiedyś musiał zamarznąć na śmierć.

3E. Pad shara

- Głupi kutas - warknęła Razz prawie ze łzami, potknąwszy się niezdarnie o cegłę, która odpadła ze sklepienia tunelu i leżała do połowy zagrzebana w rozmięklej ziemi. - Jakim cudem widzisz po ciemku?

- Sprężenie nerwu wzrokowego - wyjaśnił Alex, pomagając jej podnieść się z błota.

Razz otrzepała się i zakłęła ponownie, bo ziemia przywierała jej do palców.

- Nie wiedziałam, że to możliwe.

- Ani ja.

Zrezygnowali z nakazu milczenia po godzinnej wędrówce w ciemnościach, kiedy tunel nagle rozgałęził się w dwóch kierunkach. Przedtem natrafiali na inne tunele, włącznie z tym na początku, który prowadził pod Sekwaną i wychodził jako kanał burzowy na Quai de Montebello. Ale wszystkie stanowiły podrzędne ścieżki odchodzące od głównego tunelu, które Alex ignorował. Co do Razz, podejrzewał, że w ogóle ich nie widzi.

Teraz jednak musieli wybrać kierunek i nagle milczenie przestało być istotne. Tunel, którym szli, stawał się coraz bardziej zapuszczony i niebezpieczny; ściany miał ze starej cegły albo wilgotnych, pożyłkowanych bloków piaskowca,

ERB

zdarzały się także niskie odcinki wyciosane byle jak w głęboko spękanej skale.

Alex nalegał, żeby wybrali prawe odgałęzienie, bardziej żeby postawić na swoim niż z innych powodów, i od tamtej pory ciągle się sprzeczali. Żadne z nich nie miało zielonego pojęcia, ile czasu upłynęło.

- Czy te owadzie oczy nie dają ci nocnego widzenia? - zapytał Alex przez ramię.

- Nie ma tak dobrze, kurwa - odparła Razz, schylając się, żeby przepelznąć pod złodem piaskowca, który runął w poprzek tunelu. Ciasnota przejścia zmusiła ją do czołgania się najpierw na kolanach, potem na brzuchu, cal po calu za Alexem. Prawie dotykała twarzą jego butów i ciągle musiała się uchylać, żeby jej nie kopnął.

- Utkniesz tutaj i jesteś trup - rzuciła zjadliwie. - Nie zamierzam cię wyciągać.
Stęknęła, kiedy się zatrzymał, a potem prawie poczuła wysiłek, z jakim przeciskał się kolejny cal do przodu.

- To ślepy tunel - oświadczyła z przekonaniem. - Trzeba było wybrać drugą odnogę. - Czyli tę, którą ona wolała.

- Nie - zaprzeczył Alex. - Przed nami jest zakręt, a dalej pustka po drugiej stronie. Czuję powiew powietrza.

Urwał, kiedy uświadomił sobie, że nie czuje żadnego przeciągu... po prostu instynktownie wiedział, że tunel ma wyjście. Zupełnie jakby wyczuwał niedaleką przestrzeń.

Dwadzieścia wilgotnych, męczących minut zabrało im pokonanie na brzuchach odcinka o długości najwyżej dziesięciu kroków. A potem Alex przykucnął w małej piwnicy o tynkowanych ścianach i starożytnych kamiennych belkach wspornikowych pod sufitem.

Bolały go wszystkie kości, każdy wysiłony oddech odbierał jak cios w żebra. Ale przeszedł.

Bizantyński Chrystus patrzył na niego z wyblakłego fresku na ścianie naprzeciwko, obserwował,
EH7

jak Alex próbuje opanować zawrót głowy. Oczy Mesjasza miały kształt migdałów, usta rozchyłały się w tym posepnym wyrazie, który późniejsze pokolenie artystów nazwało prerafaelickim.

- Rusz się - gniewnie zażądała Razz za jego plecami. - Wyciągnij mnie.

Nadgarstki miała śliskie od potu, pod skórą wyczuwał wytężone pulsowanie krwi.

- Jesteś OK? - zapytał.

Razz przepchnęła się obok niego, chwiejnie dotarła na środek piwnicy.

- Mam więcej siniaków niż zgniła brzoskwinia i właśnie porządnie dostałam w dupę. A jak myślisz?

Trzęsła się jak liść i bezradnie wytrzeszczała oczy w ciemnościach.

- Co to w ogóle za miejsce? - zapytała go.

- Loch pod kaplicą.

- Widzisz wyjście?

Alex pokręcił głową.

- Pytałam, czy widzisz wyjście?

- Jeszcze nie.

- Wspaniale.

Razz usiadła z łomotem na środku podłogi i podciągnęła kolana pod brodę. Łzy powoli zaczęły spływać po jej srebrnych policzkach.

Alex polubił Razz, bardziej niż się spodziewał, i lubił ją pieprzyć. Ale kiedy patrzył na nią, jak siedziała skulona, mimo woli ogarnęła go obawa, czy dziewczyna nie okaże się ciężarem.

Nawet nie zapytała, w jaki sposób znalazł się w podziemiu przed Różańcem. Chociaż nie robił z tego tajemnicy. Jak tylko zobaczył, że Różaniec wlecze Razz przez dziedziniec, wymknął się przez główną bramę, na drugą stronę Quai, w dół po stopniach na brzeg Sekwany.

ERB

jak Alex próbuje opanować zawrót głowy. Oczy Mesjasza miały kształt migdałów, usta rozchyłały się w tym posepnym wyrazie, który późniejsze pokolenie artystów nazwało prerafaelickim.

- Rusz się - gniewnie zażądała Razz za jego plecami. - Wyciągnij mnie.

Nadgarstki miała śliskie od potu, pod skórą wyczuwał wytężone pulsowanie krwi.

- Jesteś OK? - zapytał.

Razz przepchnęła się obok niego, chwiejnie dotarła na środek piwnicy.

- Mam więcej siniaków niż zgniła brzoskwinia i właśnie porządnie dostałam w dupę. A jak myślisz?

Trzęsła się jak liść i bezradnie wytrzeszczała oczy w ciemnościach.

- Co to w ogóle za miejsce? - zapytała go.

- Loch pod kaplicą.

- Widzisz wyjście?

Alex pokręcił głową.

- Pytałam, czy widzisz wyjście?
- Jeszcze nie.
- Wspaniale.

Razz usiadła z łomotem na środku podłogi i podciągnęła kolana pod brodę. Łzy powoli zaczęły spływać po jej srebrnych policzkach.

Alex polubił Razz, bardziej niż się spodziewał, i lubił ją pieprzyć. Ale kiedy patrzył na nią, jak siedziała skulona, mimo woli ogarnęła go obawa, czy dziewczyna nie okaże się ciężarem.

Nawet nie zapytała, w jaki sposób znalazł się w podziemiu przed Różańcem. Chociaż nie robił z tego tajemnicy. Jak tylko zobaczył, że Różaniec wlecze Razz przez dziedziniec, wymknął się przez główną bramę, na drugą stronę Quai, w dół po stopniach na brzeg Sekwany.

ERB

Poszedł z nim Ryu, śliczny Japończyk, którego lady Clare porwała na żądanie Johnniego. I dobrze się złożyło. Alex nie potrafiłby przejechać skradzionym hoverem przez rzekę, zresztą przede wszystkim nie potrafiłby go odpalić. Wyskoczył z hovera przy burzowcu obok Quai de Montebello. Stamtąd pobiegł tunelem pomiędzy Quai a piwnicą. Kazał Ryu zwrócić hovera, skontaktować się z lady Clare, a potem poszukać Maxine - w wymienionej kolejności.

- Razz - powiedział cicho, ale ona nawet nie drgnęła. Usiadł na podłodze obok niej i poczuł, że zeszywniała, kiedy położył jej rękę na ramieniu. Pomiedzy szyją a krawędzią jej implantowanej naramiennej zbroi znalazł akurat tyle miejsca, żeby wymacać węzeł mięśni na karku. Usunął napięcie płynnymi ruchami palców, zastanawiając się przez cały czas, skąd ma takie umiejętności. Pewnie przez tę bramkę, którą Makai wstawił mu do mózgu. Na samą myśl dreszcz go przechodził.

- Przyjemne uczucie - przyznała wreszcie Razz. - Ból jakby się zmniejszył.

Alex pocałował ją we włosy, chociaż nie miała ich wiele, a ona poruszyła się zażenowana.

- Musimy ci znaleźć bezpieczną kryjówkę - powiedział.
- To nie takie łatwe - odparła Razz ze smutkiem. - Nie bardzo się wtapiam w otoczenie, prawda? Nie. - Potrząsnęła głową. - Chyba tutaj zrobimy przerwę. Myślisz, że zabiłeś Różańca?
- Możliwe.

Alex wiedział, że go nie zabił; nie uderzył dostatecznie mocno. Wszystko przez te skrupuły.

- Jeśli tak, to Księżę wyśle kogoś, żeby mnie zabił. Jeśli nie, Różaniec sam mnie zabije.

Nieświadomie potarła oczy.

- Te lustrzane szkła kontaktowe coś ci dają? - zapytał Alex, ocierając łzę z jej policzka.

Razz pokręciła głową.

SRI

- Zmienneogniskową Zeissa mam pod prawą rogówką. Szkła tylko dobrze wyglądają. Zero dioptrii. Zawsze miałam idealny wzrok.

- Więc je wyjmij - zaproponował Alex.

- Nie ma sensu, nikt ich tutaj nie widzi.

- Ja widzę.

Razz uniosła powiekę najpierw jednego, potem drugiego oka i wytrząsnęła soczewki na lewą dłoń. Palce zamknęły się wokół dwóch precyzyjnych wytworów inżynierii szkła i niedbale zgmiotły je na kawałeczki. W ciemności nie było widać prawdziwego koloru oczu dziewczyny.

- Och. - Odwróciła się do Alexa z nieco wymuszoną swobodą, jakby właśnie coś sobie przypominała. - Po drodze do kuchni widziałam, że jakaś bogata dziwka szuka cię przy bramie.

Mówiła, że pilnie musi się z tobą zobaczyć. Powiedzieli jej, że cię nie ma.

- Kto to był?

- Nie podała nazwiska. - Uśmiech Razz błysnął tak szybko, że Alex ledwie go zauważył. - Ale jej samochód miał tablice CN, więc szybko sprawdziłam numer rejestracyjny.

- I...? - ponaglił Alex.

- Licencja należy do Instytutu Bonapartego. To nie była przypadkiem twoja przyjaciółka, lady Clare? Sprytnie, tablice CN. Nie chciała podać nazwiska?

Alex zaśmiał się cicho.

- To mi wygląda na nią - przyznał.
- Jesteście kochankami? - zapytała ostro Razz. Dziwny wyraz przemknął po jej twarzy. - Chociaż gównu mnie to obchodzi.
- Nie. - Alex wyciągnął szyję, poczuł siniaki na twarzy i ostry ból przeszywający kości i ścięgna obu kolan. - Nie kochankami. Ale naprawdę uratowała mi życie. Pod wieloma względami jestem jej dłużnikiem. Można powiedzieć, że stworzyła mnie takiego, jaki jestem teraz.

3DD

- Nie chwytam - mruknęła Razz.
- Ani ja, w gruncie rzeczy. Na razie.

Alex rozejrzał się i zobaczył, że Chrystus wpatruje się w niego wymownym wzrokiem pedala. Ciarki go przeszły pod tym spojrzeniem.

- Zbyt rzeczywiste - powiedział. - Zbierajmy się stąd.
- Z powrotem przez tunel? - burknęła Razz, nie ruszając się z miejsca. Alex zauważył, że przygryza wargę. Nie dało się ukryć, wyglądała fatalnie. Krew sączyła się z rozcięcia nad okiem, gdzie Razz zraniła się, spadając ze schodów, pojedyncze ćwieki odznaczały się wyraźnie na szpecącym szczękę sińcu w kształcie obcasa.

- Razz, przepraszam - powiedział Alex. - Nie miałem prawa cię w to wciągać.

Nie mógł powiedzieć nic lepszego, chociaż Razz opacznie zrozumiała jego intencje. Alex poczuł raczej, niż usłyszał, że odtoczyła się od niego, a kiedy się zatrzymała, stała na ugiętych nogach w postawie, którą zaczynał rozpoznawać.

- Ty mnie w to wciągnąłeś? - syknęła przez zaciśnięte wargi. - Ty mnie w nic nie wciągnąłeś. Urodziłam się w tym syfie, dorastałam w tym syfie, tutaj żyję. I nie potrzebuję, żeby jakiś durny angielski lord uzalał się nade mną. Nigdy nie pomyślałeś, co musiałeś zrobić, żeby załapać się na tę imprezę?

Alex pokręcił głową, przypomniał sobie, że Razz nie widzi w ciemnościach, i powiedział jej, że nie ma pojęcia. Nawet dla niego własny głos brzmiał bardziej niż trochę kulawo.

- Może wolisz nie pamiętać - uznała Razz. Sprawdziła już wszystko i miała liczby w małym palcu. - Zarządziłaś zniszczenie bazy danych Triady. Stu dziewiętnastu ludzi zginęło w wojnie gangów, która z tego wynikała. Kazałeś zabić jakiegoś japońskiego ulicznego punka i oddałeś jego narkotykową koncesję najwredniejszemu nieudacznikowi w Edo. Z dnia na dzień ceny podskoczyły o trzydzieści osiem procent, a jakoś spadła na

BOI

teb. Aha, i twoja dziesięcioprocentowa prowizja jest wpłacana bezpośrednio na zamknięte konto w Hong Kong Suisse.

Uliczny punk to pewnie był Johnnie. Ale baza danych Triady z niczym mu się nie kojarzyła. Alex jednak wiedział, że nie jest lordem Winterbrookiem, czego Razz nie wiedziała. Więc może również nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Właściwie wydawało się całkiem możliwe, że wszystko zorganizowała lady Clare. Zamierzał poważnie porozmawiać z Johnniem, jak to wszystko się skończy.

Jeśli w ogóle się skończy.

- Tylko jedno nie pasuje - dodała Razz ze zdziwieniem - wczoraj w nocy chciałeś rozwalić jedyne go człowieka, który może ci podarować życie wieczne. Jaki w tym sens?
- Wieczne życie? - Głos Alexa brzmiał głucho, pusty i zimny jak loch pod kaplicą.
- Nie o to wam chodzi? - zapytała Razz. - Tobie, temu chińskiemu bankierowi i naszemu tłustemu francuskiemu politykowi? Jeden z was zostanie nowym księciem Antiochii. Pozostali dwaj zadowolą się tytułami hrabiego Palatynu. Potem możesz robić z władzą, co ci się podoba. Ale wierz mi, przy Cesarskim Zakonie Antiochii nawet masoni wyglądają jak klub rotariański z jakiegoś zapyziałego miasteczka.

Alex chrząknął.

- Jeśli nie wierzysz - rzuciła Razz z irytacją - sprawdź w bazie danych Sekcji Trzeciej. Nie chciał zadawać tego pytania, bo było mu głupio, ale i tak zapytał:

- To znaczy, że Sabatini jest nieśmiertelny?
 - Nieśmiertelny, ale umierający - potwierdziła Razz. Zaśmiała się gorzko.
- Alex przykucnął obok niej i objął głowę drżącymi rękami. Nie miał jeszcze pewności, w co go wrobiła lady Clare, ale już wiedział, że to mu się nie podoba.

3D5

- Ta władza - powiedział, myśląc o pokręconym pajako-watym stworzeniu, które przepetzło przez krawędź nabrzeża.
 - Co on z nią robi?
 - To znaczy poza zgwałceniem swojej pierwszej wnuczki i zamordowaniem ojca Maxine? Własnego syna albo prawnuka, zależy, jak na to spojrzeć - mruknęła Razz. Uśmiechnęła się niewesoło i potarła oczy, myśląc, że Alex nie patrzy.
 - Zabijał, rabował, a potem się znudził. Zdziwiłbyś się, ile na niego mają w Sekcji Trzeciej - ciągnęła. - I jak mało mogą mu zrobić. Albo raczej - dodała - jak mało chcą zrobić. Wiesz, Książę nie wybrał Pierre'a Nexusa ze względu na urodę.
- Alex chciał zadać pytanie, lecz Razz go ubiegła.
- Nexus kieruje S3 - wyjaśniła.
 - A Książę...? Co wiesz o Księciu?
 - Że sprzedawał niewolników konfederatom Południa, zbił fortunę na złocie w Zachodniej Afryce i wydał większość, żeby osadzić Maksymiliana na tronie w Meksyku. Stracił zainteresowanie po egzekucji Maksa. Przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat właściwie niczym się nie interesował, z wyjątkiem krótkiego nawrotu jako Paryski Rozpruwacz. A teraz umiera.
 - Ale zanim umrze, musi przekazać swoją władzę?
- Razz przytaknęła.
- Więc gdyby go zabito, zanim dokonał przekazania, można przerwać sekwencję?
 - Pewnie tak - przyznała Razz. - Ale chyba już za późno, żebyś coś działał.
 - Dlaczego? - zapytał Alex.
 - Bo ceremonia już się rozpoczęła - odparła Razz. - Tylko posłuchaj.

37. GEhahuja

Ktoś przywiązał nagie dziecko do marmurowego ołtarza. Maleńkie genitalia chłopca wyglądały jak opadłe żołądki, miękka oliwkowa skóra na jego drobnym ciałku poszarzała z zimna i strachu. Ze swojej kryjówki za balustradą niewielkiego balkonu Maxine i Ryu widzieli, że chłopiec się zmoczył. Wtedy jeszcze żadne nie zdawało sobie sprawy, że chlipiący niemowlak stanowi jedynie dywersję, żeby zrobić wrażenie na biało odzianej, śpiewającej hymny publiczności, nic więcej. Co nie znaczy, że Zakon daruje mu życie.

Przez osiemset lat historii niezliczone ofiary umarły, żeby Zakon mógł pozostać taki jak w nazwie, Najtajniejszy.

Małą podziemną kaplicę wypełniał gęsty czarny dym z setki kremowych świec woskowych, nabitych rzędami na czarne metalowe szpikulce tacy ofiarnej. Cierpki zapach narkotycznych ziół przebijał się przez ciężką woń kadzidła.

Lecz pomimo świec, kadzielnicy i żelaznych koszów z płonącym węglem, ściany kaplicy były tak zimne, że Maxine szczykała zębami. Ryu pewnie też, chociaż nie miała pewności. Jedną rękę przyciskał do ust. A jednak bardzo dobrze udawał, że nie umiera ze strachu, odkąd przyłapał Maxine zakradającą

3DU

się z powrotem przez bramę i przekazał jej wiadomość oraz pudełko od lady Clare.

Wiadomość, oczywiście, była kwintesencją prostoty. „Znajdź Razz, uratuj Alexa”. Albo na odwrót, Maxine już nie pamiętała.

Ostatnie nuty chóralnego Angelica Bella rozplynęły się echem w powietrzu. Tłumek słuchaczy w dębowych stallach zaszepotał pospiesznie i ucichł w oczekiwaniu. Chłopiec w białej szacie wyszedł na wąską pustą przestrzeń przed tłumem, skłonił się Księciu i jego dwóm gościom zasiadającym na podwyższonych tronach po lewej stronie ołtarza i rozpoczął smutne, uskrzydłone Lamento.

Nawet chlipiący niemowlak przestał płakać, kiedy popłynęła harmonijna kaskada dźwięków, czystych jak śnieg i zimnych jak lód, które odbijały się echem od niskiego sklepienia podziemnej kaplicy. Jeśli głos został sztucznie wzmocniony albo komputerowo przetworzony, nic tego nie zdradzało.

- Czas ruszać - powiedziała Maxine do Ryu.

Młody Japończyk pokręcił głową.

- Zaczekaj - zaprotestował - jeszcze nie koniec.

Spojrzenie Maxine wyrażało wątpliwości, więc Ryu z wahaniem dotknął jej ramienia.

- Zaufaj mi - poprosił. - Wiem, kiedy robi się gorąco, ale to jeszcze nie teraz.

Przez dwie godziny słuchali gregoriańskich chorałów, hymnów dla małych kongregacji i mamrotanych responsów. Panował nastrój wyczekiwania, chociaż na razie publiczność nie okazywała zniecierpliwienia.

Skulona na balkonie, spoglądając ponad głowami zebranych na nagiego chłopczyka na ołtarzu, szczelnie owinięta pikowaną kevlarową kurtką Razz dla ochrony przed zimnem, Maxine przeżegnała się. W głębi duszy miała nadzieję, że ceremonia zakończy się wkrótce zwykłym błogosławieństwem. Lecz pomimo żarliwego pragnienia wiedziała z przerażającą pewnością, 3D5

że nadzieja się nie spełni. Wszystko prowadziło w stronę jakiegoś przełomu, oszałamiającej kulminacji, która rzuci na kolana zgromadzonych ludzi.

Czymkolwiek okaże się główna atrakcja, zapowiadała się paskudnie, sądząc po żarłocznym wyczekiwaniu kongregacji.

W małej, oświetlonej świecami kaplicy znajdowało się najwyżej pięćdziesiąt osób, chociaż ogromna jaskinia na zewnątrz łatwo pomieściłaby nawet tysiąc. Albo liczebność Zakonu ostatnio spadła, albo kolumnowa jaskinia służyła dawniej komu innemu. Może Zimowemu Królowi albo Złodziejskim Sądom. Chociaż w obecnej sytuacji Maxine wcale to nie interesowało.

Zależało jej tylko na jednym: żeby ona i Ryu wyszli stąd żywi. Ryu przynajmniej był chłopcem. Maxine zorientowała się szybko, że tłum w dole składa się wyłącznie z mężczyzn. Wnuczka Księcia czy nie, skręcała się na samą myśl, co jej zrobią, jeśli odkryją intruza płci żeńskiej na swojej uroczystej ceremonii.

- Będzie OK, obronię cię - szepnęła Ryu, przysuwając się bliżej. Po raz pierwszy ktoś inny prócz dziadka zwrócił się do niej poufałym ty, chłopiec patrzył ze zdumieniem, jak Maxine się zaczerwieniła.

Nie bardzo wiedząc, w jaki sposób ją obraził, również zarumienił się gwałtownie i przeczesał palcami długie kędzierzawe włosy. Spojrzał na nią niespokojnie ciepłymi brązowymi oczami. Ze swoim nerwowym uśmiechem i schludnym, chociaż dziwnym ubraniem wyglądał jak młodsza, czystsza, grzeczniejsza wersja Johnniego.

- K-kim ty jesteś? - zapytała Maxine. - To znaczy n-na-prawdę?

Ryu uśmiechnął się.

- Ochroniarzem Johnniego. Teraz twoim - oznajmił dumnie.

- K-kto cię wynajął?

- Nikt. Sam się zgłosiłem - odparł Ryu. - Lady Clare się martwi... To bardzo niedobra sprawa - zakończył z powagą.

3DB

że nadzieja się nie spełni. Wszystko prowadziło w stronę jakiegoś przełomu, oszałamiającej kulminacji, która rzuci na kolana zgromadzonych ludzi.

Czymkolwiek okaże się główna atrakcja, zapowiadała się paskudnie, sądząc po żarłocznym wyczekiwaniu kongregacji.

W małej, oświetlonej świecami kaplicy znajdowało się najwyżej pięćdziesiąt osób, chociaż ogromna jaskinia na zewnątrz łatwo pomieściłaby nawet tysiąc. Albo liczebność Zakonu ostatnio spadła, albo kolumnowa jaskinia służyła dawniej komu innemu. Może Zimowemu Królowi albo Złodziejskim Sądom. Chociaż w obecnej sytuacji Maxine wcale to nie interesowało.

Zależało jej tylko na jednym: żeby ona i Ryu wyszli stąd żywi. Ryu przynajmniej był chłopcem.

Maxine zorientowała się szybko, że tłum w dole składa się wyłącznie z mężczyzn. Wnuczka Księcia czy nie, skręcała się na samą myśl, co jej zrobią, jeśli odkryją intruza płci żeńskiej na swojej uroczystej ceremonii.

- Będzie OK, obronię cię - szepnął Ryu, przysuwając się bliżej. Po raz pierwszy ktoś inny prócz dziadka zwrócił się do niej poufałym tonem. chłopiec patrzył ze zdumieniem, jak Maxine się zaczerwieniła.

Nie bardzo wiedząc, w jaki sposób ją obraził, również zarumienił się gwałtownie i przeczesał palcami długie kędzierzawe włosy. Spojrzał na nią niespokojnie ciepłymi brązowymi oczami. Ze swoim nerwowym uśmiechem i schludnym, chociaż dziwnym ubraniem wyglądał jak młodsza, czystsza, grzeczniejsza wersja Johnniego.

- K-kim ty jesteś? - zapytała Maxine. - To znaczy n-na-prawdę?

Ryu uśmiechnął się.

- Ochroniarzem Johnniego. Teraz twoim - oznajmił dumnie.

- K-kto cię wynajął?

- Nikt. Sam się zgłosiłem - odparł Ryu. - Lady Clare się martwi... To bardzo niedobra sprawa - zakończył z powagą.

3DG

- Lady Clare?

- Szefowa lorda Winterbrooke'a, tak myślę - westchnął Ryu. - To skomplikowane - przyznał smutno. - Wybacz mi, ale twój dziadek nie jest dobrym człowiekiem. A ci ludzie na dole są niewiele lepsi.

Wskazał Nexusa i pana Uu.

- Jedno krzesło jest puste - zauważyła Maxine z namysłem.

- Tam powinien siedzieć lord Winterbrooke - szepnął Ryu z zakłopotaniem. - Ale coś poszło źle; on i Razz...

Nie dokończył i znowu się zarumienił.

- Czy lady C-clare powiedziała ci, po co to nabożeństwo? - zapytała z wahaniem Maxine.

Ryu odgarnął lok spadający mu na oczy.

- Wymiana danych DNA - szepnął, pospiesznie przeszukując wzrokiem tłum. - Lady Clare mówi, że nikt tego nie próbował od tak dawna, że informacje prawie zaginęły. Większość przeklasyfikowano jako mit. Twój dziadek umrze i zmartwychwstanie, albo jako pan Uu, albo jako Pierre Nexus. Jeszcze nie dokonano wyboru.

- Mój d-dziadek? Odrodzony? - Twarz Maxine nagle się rozjaśniła, po czym spochmurniała na wspomnienie krwawej rzezi, jakiej dziadek dokonał na jej oczach: zamordowana Czeszka, włóczęga w portalu Notre Dame, nastolatki zabici przy Cesarskich Schodach.

Nawet nie spostrzegła, że płacze.

- Więc wiesz? - zapytał Ryu. Nieśmiało sięgnął po jej rękę. Nie odwzajemniła jego szybkiego uścisku, ale nie wyrwała dłoni.

Za odpowiedź wystarczyło, że nie zapytała „Co wiem?”.

- On ma zabijanie we krwi, tak mówi lady Clare - podjął Ryu ze smutkiem. - Nieważne, jak bardzo cię kocha, i tak w końcu by cię zabił. Tylko że śmierć dopadła go wcześniej. Więc teraz musi przetransferować swoje wspomnienia, dopóki jeszcze może.

3 07

- Lady Clare?

- Szefowa lorda Winterbrooke'a, tak myślę - westchnął Ryu. - To skomplikowane - przyznał smutno. - Wybacz mi, ale twój dziadek nie jest dobrym człowiekiem. A ci ludzie na dole są niewiele lepsi.

Wskazał Nexusa i pana Uu.

- Jedno krzesło jest puste - zauważyła Maxine z namysłem.

- Tam powinien siedzieć lord Winterbrooke - szepnął Ryu z zakłopotaniem. - Ale coś poszło źle; on i Razz...

Nie dokończył i znowu się zarumienił.

- Czy lady C-clare powiedziała ci, po co to nabożeństwo? - zapytała z wahaniem Maxine. Ryu odgarnął lok spadający mu na oczy.

- Wymiana danych DNA - szepnął, pospiesznie przeszukując wzrokiem tłum. - Lady Clare mówi, że nikt tego nie próbował od tak dawna, że informacje prawie zaginęły. Większość przeklasyfikowano jako mit. Twój dziadek umrze i zmartwychwstanie, albo jako pan Uu, albo jako Pierre Nexus. Jeszcze nie dokonano wyboru.

- Mój d-dziadek? Odrodzony? - Twarz Maxine nagle się rozjaśniła, po czym spochmurniała na wspomnienie krwawej rzezi, jakiej dziadek dokonał na jej oczach: zamordowana Czeszka, włóczęga w portalu Notre Dame, nastolatkiwie zabici przy Cesarskich Schodach. Nawet nie spostrzegła, że płacze.

- Więc wiesz? - zapytał Ryu. Nieśmiało sięgnął po jej rękę. Nie odwzajemniła jego szybkiego uścisku, ale nie wyrwała dłoni.

Za odpowiedź wystarczyło, że nie zapytała „Co wiem?”.

- On ma zabijanie we krwi, tak mówi lady Clare - podjął Ryu ze smutkiem. - Nieważne, jak bardzo cię kocha, i tak w końcu by cię zabił. Tylko że śmierć dopadła go wcześniej. Więc teraz musi przetransferować swoje wspomnienia, dopóki jeszcze może.

307

Ryu spojrzął na Maxine. Trzynastoletni niedoszły Cy-samuraj, dobrowolnie ochraniający naiwną, prawdopodobnie schizofreniczną czternastoletnią francuską księżniczkę, zmodyfikowaną genetycznie przed narodzeniem. Wiedział, co będzie dalej. Po prostu nie chciał tego powiedzieć. Więc i tak powiedział.

- Musimy go powstrzymać.

- Powstrzymać?

- Trzeba go zabić - oświadczył poważnie Ryu.

- Jak? - zapytała Maxine i łzy znowu popłynęły niepohamowanie po jej dziecinnej twarzy. Ryu odpowiedział łagodnie, z zakłopotaniem, niemal przepraszająco.

- Jeżeli go nie powstrzymasz, to będzie trwało wiecznie. Musimy tam zejść, musimy to zrobić. Jak inaczej uwolnisz się od koszmarów?

Skulona obok Ryu, patrząc z góry na dziadka, który siedział sztywny i bardzo nieruchomy na prostym tronie ze złota i kości słoniowej, Maxine zrozumiała, że Ryu ma rację - i wiedziała, co musi zrobić. Nie wiedziała tylko, czy potrafi. I w ogóle nie wiedziała, czy nie jest za późno.

Przy ołtarzu jakiś mężczyzna podszedł do drżącego ciała niemowlęcia. Chociaż mężczyzna był okryty czarnym płaszczem i miał fatalnie posiniaczoną twarz, młoda księżniczka rozpoznała Różańca. Przyglądając się uważniej, spostrzegła, że Różaniec chwieje się na nogach i jedno ramię mu opada. Lecz zgromadzeni ludzie patrzyli tylko na nóż, który trzymał w drugiej dłoni, a jego źrenice były szkliste od przeciwbólowych opiatów.

Dziecko na ołtarzu przestało zawodzić i uśmiechnęło się nerwowo, kiedy dłoń Różańca przelotnie musnęła jego obrzmiały od łez policzek.

- Bierz i pij.

Różaniec podsunął pucharek z kutego srebra do ust malca, drżące wargi zaczęły siorbać lepłą mieszankę miodu, goź-

BDB

dzików i opium. Powieki dziecka zatrzepotały jak skrzydełka motyla i opadły, a wtedy Różaniec szybko odchylił do tyłu głowę ofiary i zręcznie poderżnął gardło.

Krew chlusnęła na zimny kamień ołtarza i ciemna, gorzka woń wypełniła kapliczkę, kiedy do kosza z węglami dorzucono ziół; gęste kłęby dymu wzbłyły się pod niski sufit.

Kiedy dym się rozwiął, Księżę zniknął, a razem z nim pan Uu. Wybór się dokonał. Teraz tylko Pierre Nexus, srebrnowłosa i grubousty, siedział samotnie w rzędzie trzech połączonych foteli ustawionych poniżej tronu. Minister miał zaciśnięte szczęki i patrzył prosto przed siebie nieruchomym wzrokiem. Tylko pulsująca żyła na skroni zdradzała gwałtowne oburzenie ministra, którego pominięto na rzecz podstarzałego chińskiego bankiera.

Przy ołtarzu Różaniec wypatroszył dziecko trzema wprawnymi cięciami, wyrwał płuca i przełyk.

Wychlusnął odrzucony sznur purpurowych wnętrzności prosto do podstawionego wiadra, ale zostawił serce, wątrobę i nerki upakowane w pustej jamie ciała. Kucharze użyją ich później do przygotowania gorzkiego sosu, który podawano do słodszej pieczonego ciała.

Po wykonaniu roboty Różaniec odstąpił i stanął obojętnie przy ołtarzu. Ostatnią szansę na zajęcie któregoś z trzech krzeseł utracił bezpowrotnie tego dnia, kiedy rzekomo ukrzyżowany Alex Gibson pojawił się ponownie w M'dinie. Za ten błąd zdegradowano go do poziomu tych, którzy tylko stoją i patrzą.

Kiedy monotony rytm sistrum i szybujące tony chóralnego Sanctus wypełniły kaplicę, Różaniec zamknął oczy i wrzucił do kosza garść sproszkowanej magnezji. Jaskrawy błysk wypalił się na siatkówkach wszystkich patrzących, a potem zapadła ciemność.

Odzyskawszy wzrok, zobaczyli, że dym się rozstał i ukazał dwie postacie stojące przed ołtarzem, okryte ciężkimi purpurowymi płaszczami, z twarzami zasłoniętymi przez srebrne

maski, które spoglądały z góry na tłum, gładkie i szlachetne jak oblicza bizantyńskich bogów. Włosy z złotego kutego złota wiły się nad prostymi srebrnymi nosami i wysokimi, wypolerowanymi kośćmi policzkowymi.

- Ha/7 Strategoi!

Ryk tłumu był tak entuzjastyczny, że chórzysta niemal zawahał się na chwilę, ale potem jego pieśń wzniosła się czysta i nieskazitelna ponad niespokojnym gwarem kongregacji. Obie zamaskowane postacie wysoko uniosły- prawe dłonie w geście pozdrowienia, żywcem ściągniętym z rzymskiego posągu Hadriana lub cesarza Justyniana.

Ostatnie tony Sanctus umilkły i zamaskowane postacie przemówiły jednocześnie.

- Hail cataphracti!

Odwróciły się do siebie, chwyciły się za ręce i stały nieruchomo, kiedy Różaniec wziął z ołtarza kielich wysadzany klejnotami, umieścił na nim swój zakrwawiony sztylet i podszedł do krawędzi podium.

- Oto życie.

Uniósł kielich przed kongregacją. Potem wręczył go zamaskowanym postaciom.

- Dajcie, byście mogli przyjąć.

Obaj zamaskowani ludzie po kolei wzięli sztylet Różańca i głęboko rozciąli sobie dłonie, żeby krew zmieszała się w podstawionym kielichu.

- Oto jest krew życia - zaintonował Różaniec, obracając kielich - która będzie wam dana: wypijcie ku pamięci.

Krew pana Uu weszła w reakcję z krwią Księcia, zmutowaną wiralnie przez pokolenia, reagując także ze skomplikowaną miksturą tkanki embrionalnej, adrenaliny z nadnerczy, aminokwasów i świeżego szpiku kostnego w kielichu.

Nie tylko życie wieczne, ale wieczne wspomnienia, płynnie niezborne niczym koszmar na jawie, zawierały się w ciepłym

310

lepkim płynie, który pan Uu przełknął jednym haustem, myśląc przy tym, że przynajmniej smakuje mniej obrzydliwie niż żywy małpi mózg.

Niemal natychmiast, kiedy nowy Książę Antiochii zaczął przypominać sobie znaki, formuły i moce, o których prawie cały świat już zapomniiał, stary Książę zaczął odrzucać swoją nieśmiertelność.

Powoli, komórka za komórką, z nieopisaną ulgą.

Lecz Różaniec o tym nie wiedział. Powoli odstał kielich, jego zadanie prawie dobiegło końca. Nie wiedziała również Maxine, skulona teraz w mroku na tyłach kaplicy i zbyt przerażona, żeby zapamiętać instrukcje Ryu.

- Umieramy, żeby się narodzić - zaintonował Różaniec głosem ochrypłym od dymu i drżącym od zimna tak absolutnego, że wgrzyzało się w kości. Ręce mu się trzęsły, krew huczała w głowie.

Nawet nie wiedząc, czuł, że jego pan umiera.

SB. Interfejs Baga

Alex przemknął obok Maxine, zanim zdążyła zobaczyć jego twarz. Jeden skok wyniósł go z ciemności na oświetlony świecami podest wokół ołtarza.

Wyhamował pęd u stóp dwóch bizantyńskich postaci i wtedy, po raz pierwszy, zawahał się na drobną nanosekundę.

Czas zamarł.

Kiedy kongregacja w panice poderwała się z miejsc, Alex dokonał wyboru. Wbił ostrze swojego beinte-neube głęboko pod żebra pierwszej postaci i pociągnął do góry w stronę serca, po drodze rozcinając wątrobę i przeponę.

Dwadzieścia dziewięć centymetrów ostrza składanego noża rozkroiło włókna mięśniowe prawej komory, przeszło przez twardą przegrodę dzielącą serce na dwie części i zatrzymało się poniżej lewego przedsionka.

Purpurowa fontanna krwi wytrysnęła nad głową Alexa, oblała mu twarz i pierś jak gorący, lepki chrzest. Postać przechyliła się w przód, niezdarnie odbiła się od lewego ramienia Alexa i runęła na podłogę. Srebrna maska potoczyła się w kurzu.

- Cholera.

Wstrząśnięty Alex spojrział w zdumione, niewidzące oczy księcia Sabatiniego i gorączkowo próbował wyciągnąć nóż z piersi starca. Kątem oka zobaczył, że druga zamaskowana

315 postać zaczyna się cofać, nieprawdopodobnie piękna srebrna maska rozgląda się czujnie.

Zadźgał niewłaściwego człowieka, zabił kogoś, kto już dogorywał. Alex wyrwał nóż z rany, przetoczył się i poderwał na nogi. Każdy nerw w jego świeżo wzmocnionym systemie działał podkreślony. Dwoma krokami dogoni uciekającego pana Uu i wykona zadanie.

Charles Mayer zostanie pomszczony. Lady Clare odzyska pracę. Gorzkie życie i prawie-śmierć Alexa Gibsona odejdzie w zapomnienie. Maxine będzie mogła spać spokojnie.

Zrobił krok do przodu, spostrzegł nagle atakującą z boku krępa sylwetkę Pierre'a Nexusa, instynktownie upadł na jedno kolano i jednocześnie zatoczył łuk ostrym jak brzytwa beinte--neube.

Wnętrznosci tłustego ministra spraw wewnętrznych wylały się na podłogę z krwawego dwustopowego uśmiechu wyciętego w podbrzuszu, lecz Alex nie oglądał tego spektaklu. Kończąc przewrót, skupił całą uwagę na tym punkcie za plecami pana Uu, w który wyceluje ostrze.

Lecz nigdy nie zadał tego ciosu.

Różaniec wyskoczył spoza ołtarza, jednym płynnym przewrotem ominął kamienny stół i wypatroszone ciało dziecka. Opadł do półprzysiadu i uśmiechnął się zarozumiale, trzymając ofiarny sztylet pomiędzy palcami a kciukiem w luźnym chwycie zawodowego nożownika.

Automatycznie, bez udziału świadomości Alex dostosował własną pozycję i zobaczył, jak zwężają się oczy Różańca.

- No więc, aktorzy - odezwał się Różaniec cichym głosem, powoli okrążając przeciwnika - kim naprawdę jesteś?

Alex uśmiechnął się, obracając się równie powoli. Naśladował każdy ruch przeciwnika tak dokładnie, że wyglądali jak lustrzane odbicia albo tańcząca para.

313

- Nie wiesz? - zapytał.

Różaniec nie raczył odpowiedzieć, lecz Alex zobaczył, że tamten zaciska usta.

- Dziwne - ciągnął Alex. - Myślałem, że mnie pamiętasz.

Wyciągnął jedną dłoń bez rękawiczki, żeby pokazać Różańcowi bliznę.

To był fatalny błąd.

Różaniec uderzył tak szybko, że prawie wykończył Alexa, zanim ten w ogóle zauważył ruch starszego mężczyzny.

Czas zwolnił, kiedy Różaniec obrócił się na pięcie, ostrze jego sztyletu pomknęło do przodu, a potem w ostatnim momencie Alex uskoczył, rzucił się w bok, poza krąg zakreślany przez Różańca. Płynąc w powietrzu nad wynajętym zabójcą, Alex uderzył. Ostrze jego noża głęboko rozcięło policzek Różańca.

Oczy tamtego rozszerzyły się i Alex zobaczył, że przeciwnik szybko dokonuje mentalnej poprawki.

- Podkręcenie, co? - rzucił Różaniec z ponurym uśmiechem, przedrzeźniając głos Alexa. - Nie uważasz, że to oszustwo?

- Nie - odparł cicho Alex, rozkoszując się błyskiem zwątpienia w oczach przeciwnika. - Uważam, że to konieczne. Jak inaczej mam cię zabić?

Szybko odskoczył w bok, kiedy rozzłoszczony Różaniec ciachnął na wysokości gardła. Przetoczył się bliżej, zanurkował pod wyciągniętym, uzbrojonym ramieniem przeciwnika. Droga była otwarta. Zamierzał zadać szybki cios w serce, kiedy w mgnieniu oka mężczyzna stojący nad nim płynnie obrócił swój sztylet ostrzem w dół, do podłogi.

- Czas - szepnął Różaniec i mocno dźgnął sztyletem w plecy Alexa. Tylko szczęśliwy traf i zwierzęcy instynkt uratowały Alexa od natychmiastowej śmierci. Oraz rozległe neuralne

rozszerzenia. Sztylet opadł błyskawicznie, lecz Alex jeszcze szybciej rzucił się płasko brzuchem na ziemię. Jednocześnie jego beinte-neube obrócił się tak, że ostrze wystawało z boku.

Kiedy sztylet Różańca wbił się głęboko w prawe ramię Alexa i poszatkował na strzępy tkankę mięśniową, składany nóż Alexa dosięgnął Różańca za prawą kostką u nogi i przeciął ścięgno Achillesa, które pękło z wyraźnym trzaskiem.

Obaj mężczyźni upadli, tworząc krwawe kłębowisko, ich chrapliwe oddechy zagłuszały stłumiony szmer tłumu.

Alex rozpaczliwie dźwignął się i przekręcił twarzą do góry, żeby oprzeć zranione ramię o podłogę, której nacisk powinien częściowo zatamować upływ krwi.

Ale to nie wystarczyło. Różaniec już klęczał mu na piersi, nieubłaganie zbliżając sztylet do jego gardła. A składany nóż Alexa leżał w kurzu, całkiem niedaleko, lecz poza zasięgiem ręki.

Mięśnie Alexa napięły się jak struny, kiedy odpychał uzbrojone ramię Różańca. Lecz ciężar ciała i grawitacja działały na korzyść starszego mężczyzny.

Mimo wszystko Alex zdołał unieruchomić sztylet Różańca nad swoim gardłem. Aż nadto świadomy, że pierwsze potknięcie oznacza natychmiastową śmierć.

Determinacja w oczach Różańca przerodziła się w gniew, a potem niepewność, kiedy ofiara wciąż odpychała napierające ostrze. Tłum przysunął się jeszcze bliżej i teraz otaczał ich zwartym, milczącym kręgiem.

Tylko w jednym miejscu krąg się przerywał. Wokół wyprostowanej, lecz niemej postaci pana Uu przebiegała niewidzialna granica, jakby każdy bał się podejść za blisko.

- Wykończ go - rozkazał Różańcowi nowy Książę zimnym, zirytowanym, wyniosłym tonem.

Retrowirus rozszczeniał jego DNA szybciej nawet, niż rak rozdziera rosnące komórki. Książę trząsał się od gorączki i ciężaru nowych wspomnień.

315

- No już.

Wtedy właśnie Razz weszła do kaplicy, zupełnie naga i pozbawiona włosów. Blask setki świec odbijał się od jej srebrnej skóry, kiedy wyłoniła się z ciemności i ruszyła w stronę tłumu gapiów. Krąg rozstał się, zaskoczony jej nagością, obcym wyglądem i wyczuwalną atmosferą zagrożenia emanującą z jej napiętego ciała.

- Szkoda - powiedziała, zerknąwszy przelotnie na martwe ciało księcia Sabatiniego. Spojrzała na zamaskowaną, okrytą płaszczem postać nowego Księcia i uśmiechnęła się zimno. - Jak tam ból głowy, nikt cię nie uprzedził?

Lee Uu nie odpowiedział. Walczył ze wzbierającą falą niewidocznych głosów, które domagały się rozpoznania w jego mózgu.

- Razz.

- Razz.

Różaniec i Alex jednocześnie wymówili jej imię. A dziwaczna srebrna sylwetka parsknęła śmiechem.

- Co kto sobie życzy - oświadczyła głosem przesyconym goryczą.

Różaniec popatrzył na dziewczynę, która przez chwilę wyglądała, jakby nie mogła tego wytrzymać.

Pod wzrokiem Alexa Razz zmusiła się, żeby spojrzeć Różańcowi w oczy.

- Podnieś to - rozkazał Różaniec i kiwnął głową w stronę miejsca, gdzie leżał składany nóż Alexa.

Razz bez słowa wykonała polecenie.

- Teraz poderznij mu gardło - rozkazał Różaniec i zwiększył nacisk tak, że Alex musiał skupić wszystkie siły, żeby powstrzymać sztylet przed pokonaniem ostatnich kilku cali.

Różaniec uśmiechnął się, kiedy niewolnica Razz zręcznie obróciła w rękę mosiężną rękojeść składanego noża i bez pośpiechu uklękła przy głowie Alexa Gibsona.

Wciąż się uśmiechał, kiedy szybko przerzuciła nóż z prawej ręki do lewej, wbiła dwa sztywne palce w jego galaretowate gałki oczne i zahaczyła w zmasakrowanych oczodołach. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, szarpnęła mu głowę do tyłu i przecięła gardło. Wrzask bólu Różańca rozpląnął się w gulgoczącym siorbnięciu.

BR. Zejście pad ziemię

Kiedy Alex i Razz popędzili w głąb kaplicy i zostawili za sobą wstrząśniętą kongregację, Maxine ocknęła się gwałtownie. W ułamku sekundy zobaczyła, jak nowy Księżę zbiera się w sobie. A przynajmniej zbiera rozstrzelone ścieżki myśli, hałaśliwe głosy i sprzeczne wspomnienia, które domagały się uwagi w jego głowie.

W tej samej sekundzie zrozumiała, że potem Księżę z łatwością narzuci swoją wolę niewielkiej kongregacji, że wkrótce rozpocznie się prawdziwe polowanie na Razz i Alexa.

Owszem, zamordowano dwóch wysokich dostojników - ale sytuacja była dużo poważniejsza. Szczelne, hermetyczne granice Zakonu zostały przerwane jak przy infekcji wirusa. Starożytny, starannie zrównoważony rytuał transferencji był już niekompletny, sfalszowany.

Zabicie Alexa i srebrnej dziewczyny mogło ograniczyć szkody, lecz nie mogło ich naprawić. Lee Uu jeszcze tego nie wiedział - ale Maxine wiedziała. Tak samo, jak знаła drogę przez katakumby i jaskinie. Nie dzięki nabytej wiedzy lub doświadczeniu, lecz wiedzą płynącą z wnętrza, zapisaną jak kod we krwi.

- R-razz.

Szarpnęła ramię srebrnej dziewczyny, kiedy ta przebiegała obok, ale musiała szybko zrobić unik, ponieważ Razz wyko-

Blfl

nata piruet i kopnęła w miejsce, gdzie przed chwilą znajdowała się głowa Maxine.

- T-to ja! - syknęła Maxine. Zobaczyła, że Alex zatrzymuje się i wytrzeszcza oczy z niedowierzaniem na widok jej i Ryu. - Szybko. M-musimy ich zgubić - wyjąkała Maxine.

Tymczasem Ryu gorączkowo ładował narecza narkotycznych ziół do kosza, żeby oślepić gęstym dymem wciąż nieruchomą kongregację.

- Chodźcie - ponagliła Maxine. - Z-za mną.

Skreśliła do małej bocznej kapliczki, przelazła przez ołtarz i wskoczyła do dziury w podłodze.

Najpierw Ryu, potem Alex poszli w jej ślady. Razz skoczyła ostatnia, chociaż Alex nie wiedział, czy pełniła straż, czy po prostu jeszcze była w szoku.

Wykładany cegłami tunel, do którego wszyscy wpadli, wyglądał dziwnie zapraszająco w słabym pomarańczowym świetle podczerwonych soczewek Alexa. Plecy również bolały go znacznie mniej, niż powinny, ponieważ nanity w jego krwi tworzyły już ochronne skrzepy na brzegach rany.

Tunel o kolistym przekroju liczył sobie nie więcej niż dwieście lat. Powietrze doskonale nadawało się do oddychania, jeśli pominąć lepką wilgoć i kwaśny zapach zaprawy murarskiej.

- Z-zbudowali to i nawet nie wiedzieli o g-górnym poziomie - powiedziała Maxine do Ryu.

Ku zdziwieniu Alexa, chyba nie miała żadnych kłopotów z widzeniem w ciemności. - Chodźcie - nalegała - musimy zejść na niższy poziom.

- Zejść? - powtórzył Alex. Marzył tylko o jednym, żeby jak najszybciej wydostać się bezpiecznie na powierzchnię.

- Najpierw na dół - upierała się Maxine. - Później do góry. Tutaj jest co najmniej pięć

poziomów, nawet jeśli odliczyć nowoczesne ścieki i metro. Pozostają jeszcze katakumby
aiR

i rzymskie kamieniołomy. Także kostnice i prywatne lochy. Wiecie, ilu zmarłych tutaj leży? Ponad sześć milionów.

Przynajmniej jedna osoba była pod wrażeniem.

- Skąd wiesz? - zapytał Ryu. Podobnie jak Razz nie widział w ciemności, ślizgał się i potykał w cienkim strumyczku ścieków płynących środkiem tunelu. Za plecami słyszał, jak srebrna dziewczyna klnie cicho, kiedy ona również potknęła się z chlupotem w grobowych ciemnościach.

- Skąd w-wiem? - powtórzyła Maxine. Zbliżyli się do zakrętu i nagle zaczęła nasłuchiwać uważnie echa swojego głosu, odbitego od ceglanych ścian tunelu. - Chyba gdzieś p-prze-czytałam. W każdym razie - oświadczyła - m-musimy teraz zmienić tunel.

- Tutaj? - zdziwił się Alex. Cegły ciągnęły się nieprzerwanie w obu kierunkach i jak daleko Alex sięgał wzrokiem, strop również wyglądał solidnie.

- Tam z tyłu jest drugi tunel... Razz?

Razz nie odpowiedziała, nawet kiedy Maxine zawróciła do niej. Stała bez ruchu, krople potu lśniły na jej twarzy, niedawno odsłonięte oczy spoglądały ślepo w ciemność.

Odruchowe napięcie ramion świadczyło, że srebrna dziewczyna słyszy kroki podchodzącej Maxine, chociaż jej nie widzi.

- T-to ja - powiedziała Maxine, ale kiedy chciała wziąć przyjaciółkę za rękę, Razz gniewnie wyrwała dłoń.

- Odwal się ode mnie - syknęła.

- R-razz - szepnęła miękko Maxine i znowu dotknęła palcami jej napiętych ramion. - Już dobrze, dobrze...

Pospiesznie zaczęła wyciągać obrazy otwartego nieba i cyprysowych zagajników z głębin umysłu Razz. Odnalazła strumienie srebrzące się w gorącym słońcu, białe malowane domy zbudowane z pustaków i suszonych cegieł, roześmianego czarnego mężczyznę z wielkim zakręconym wąsem i oczami

3

zmrużonymi w jaskrawym blasku dnia. Szybko skupiła się na wzmocnieniu obrazów, uczuć - potem odcięła je czysto, odesłała tam, skąd przyszły.

- Dzieciństwo minęło - oznajmiła nagle stanowczym, chociaż współczującym tonem. - Twój ojciec nie żyje. Tak jak Różaniec.

Dłoń Maxine opadła lekko, musnęła trzy pierścionki w wargach sromowych Razz, dotknęła naramiennych implantów w miejscu, gdzie chityna i jaszczurcza łuska znikała pod skórą, i zatrzymała się na oczach, przedtem przesłoniętych srebrnymi szklami kontaktowymi.

- R-różaniec zasłużył na wszystko, co go spotkało - oświadczyła żarliwie Maxine. - Ty nie. Na tym polega różnica.

Jej palce przelotnie musnęły skronie Razz i zanim ta się spostrzegła, ból zaczął z niej wyciekać. Ruchem ramion Maxine zrzuciła czarną kevlarową kurtkę z licznymi kieszeniami i podała przyjaciółce.

- Masz, włóż to. I tak jest twoja.

Otuliła pikowaną kurtką nagie ramiona Razz i przeprowadziła ją obok Alexa i Ryu pod ścianę tunelu.

- Tam z tyłu jest d-drugi tunel. Słyszysz?

Razz opukiwała cegły i słuchała uważnie, a inni starali się wstrzymać oddech. W końcu raz czy dwa nacisnęła mur i powoli kiwnęła głową.

- W tym miejscu - przyznała - ściana nie jest taka gruba.

- Więc m-możesz nas przeprowadzić?

Razz uśmiechnęła się, zrobiła krok do tyłu, odmierzyła odległość i kopniakiem rozwaliła mur z trzaskiem pękających cegieł.

- Usłysz nas - syknął zaniepokojony Alex.

- W-wątpię - odparła Maxine, przełaząc przez dziurę. - Ale to nie ma znaczenia. Musimy walczyć z panem Uu na naszym terenie, nie jego.
- Na naszym terenie? - powtórzył zdumiony Ryu.

BEI

Maxine kiwnęła głową - czego Ryu nie mógł zobaczyć, ponieważ nie widział w ciemnościach - i Alex zauważył z zaskoczeniem, że księżniczka zaczyna się dobrze bawić.

- N-no chodźcie - nalegała - musimy się p-pospieszyć.

Nowy tunel na początku również był ceglany. Lecz kiedy zaczął się zwężać i opadać, kruszejące cegły ustąpiły miejsca skałom. Głębokie rysy od oskardów na ścianach wskazywały miejsca, gdzie odłupano bloki kamienia.

Po wilgotnym podłożu biegły równoległe koleiny, wyżłobione głęboko w skałę przez ciężko wyładowane sanie, którymi wywożono wycięty kamień na powierzchnię.

Mniej więcej co pięćdziesiąt kroków wąski tunel rozszerzał się we wnękę zaśmieconą tłucznem, gdzie wycięto bloki kamienia na dwukrotną wysokość człowieka. Długie szyby znikwały w stropie.

- Średniowieczne k-kamieniołomy - wyjaśniła Maxine. - Zaraz zrobi się b-bardziej interesująco.

- Nie mów. - Razz ostrożnie wymacywała drogę wzdłuż wilgotnej, grubo ciosanej ściany. -1 znajdź mi latarkę, kurwa, skoro o tym mowa. Nie widzę po ciemku jak ty. A w ogóle - dodała - skąd wzięłaś ten nocny wzrok?

- Mam to od urodzenia - wyznała Maxine. - I jeszcze osiem kolorów tęczy.

- Co? - zapytali jednocześnie Alex i Ryu.

- Większość ludzi widzi siedem, ja widzę osiem.

- Coś związanego z częstotliwością światła - orzekł Alex i przełączył własny wzrok z normalnego przez podczerwień do M-fali, żeby sprawdzić różnicę.

- A c-co z wiatrem? - zapytała Maxine.

Alex nie zrozumiał.

- Wiatr t-też widzę - wyjaśniła Maxine. - W naszą stronę dmucha przeciąg. Od godziny za nim idziemy.

Pozostała trójka niewiele miała do powiedzenia.

3

Maxine kiwnęła głową - czego Ryu nie mógł zobaczyć, ponieważ nie widział w ciemnościach - i Alex zauważył z zaskoczeniem, że księżniczka zaczyna się dobrze bawić.

- N-no chodźcie - nalegała - musimy się p-pospieszyć.

Nowy tunel na początku również był ceglany. Lecz kiedy zaczął się zwężać i opadać, kruszejące cegły ustąpiły miejsca skałom. Głębokie rysy od oskardów na ścianach wskazywały miejsca, gdzie odłupano bloki kamienia.

Po wilgotnym podłożu biegły równoległe koleiny, wyżłobione głęboko w skałę przez ciężko wyładowane sanie, którymi wywożono wycięty kamień na powierzchnię.

Mniej więcej co pięćdziesiąt kroków wąski tunel rozszerzał się we wnękę zaśmieconą tłucznem, gdzie wycięto bloki kamienia na dwukrotną wysokość człowieka. Długie szyby znikwały w stropie.

- Średniowieczne k-kamieniołomy - wyjaśniła Maxine. - Zaraz zrobi się b-bardziej interesująco.

- Nie mów. - Razz ostrożnie wymacywała drogę wzdłuż wilgotnej, grubo ciosanej ściany. -1 znajdź mi latarkę, kurwa, skoro o tym mowa. Nie widzę po ciemku jak ty. A w ogóle - dodała - skąd wzięłaś ten nocny wzrok?

- Mam to od urodzenia - wyznała Maxine. - I jeszcze osiem kolorów tęczy.

- Co? - zapytali jednocześnie Alex i Ryu.

- Większość ludzi widzi siedem, ja widzę osiem.

- Coś związanego z częstotliwością światła - orzekł Alex i przełączył własny wzrok z normalnego przez podczerwień do M-fali, żeby sprawdzić różnicę.

- A c-co z wiatrem? - zapytała Maxine.

Alex nie zrozumiał.

- Wiatr t-też widzę - wyjaśniła Maxine. - W naszą stronę dmucha przeciąg. Od godziny za nim idziemy.

Pozostała trójka niewiele miała do powiedzenia.

3 EE

- Dokąd nas zabierasz? - zapytała wreszcie Razz.

- Połączyć się z Makaiem - odpowiedział za nią Ryu. - Mamy pudło i jakieś trody. On właściwie trochę jest tutaj, z Alexem, ale za słabo wzmocniony. Potrzebujemy energii.

- Elektrycznej? - odezwał się Alex. Z jego miny wynikało wyraźnie, że wzmianka Ryu o obecności Makaiego wcale go nie ucieszyła.

- Główne linie światłowodowe, elektryczne przewody, cokolwiek - odparł Ryu. - Żeby wyłonił się wzór interferencji. Ale to nie wszystko. - Ryu z wahaniem położył rękę na ramieniu młodej księżniczki. - Wiecie, istnieją inne rodzaje energii. Uważam, że powinniśmy pójść za Maxine.

Wyprowadziła ich z ostatniego podziemnego kamieniołomu do ceglanego tunelu tak wąskiego, że musieli iść gęsiego. Wędrując w nieprzeniknionych ciemnościach, Razz miała wrażenie, że przestali schodzić i zaczęli się wspinać z powrotem na powierzchnię.

Wreszcie zatrzymała ich niewielka, rozsypująca się brama z kutego żelaza.

- R-razz. - Maxine ustawiła przyjaciółkę przed bramą, żeby ta mogła rękami zbadać przeszkodę.

Przerdzewiały zamek ustąpił po pierwszym kopniaku i znaleźli się w kostnicy: wśród wyschniętych kości, wyszczerzonych czaszek z pustymi oczodołami i nielicznych zmumifikowanych zwłok.

Wszystkie ponure relikwie spoczywały schludnie ułożone na półkach wykutych w ścianach.

Przechodzili z jednej kostnicy do drugiej.

Za każdym kolejnym zamkiem wyłamanym przez Razz zwłoki były mniej wyschnięte, mniej starannie ułożone w stosy i oczywiście bardziej cuchnące. Zimne powietrze zgęstniało, ciężki, kwaśny smród dusił w gardle.

Stopniowo, w miarę jak zmarli coraz mniej przypominali czyste szkielety, a coraz-bardziej gnijące trupy, ich trumienne

323

odzienie zaczęto wyglądać nowocześniej. Zetlate całuny i podarte łachmany ustąpiły miejsca lnianym garniturom i sukniom. Jedno pomieszczenie wypełniały w całości rzędy wystrojonych małych chłopców w surdutach i cylindrach wymodelowanych z czarnego kartonu.

- Jak długo jeszcze? - wysapał Alex.

- Pamiętasz sześć milionów Maxine? - odparła Razz. - Pewnie całe mile.

Koniec jednak nastąpił po kilku minutach, kiedy dotarli do nowoczesnych stalowych drzwi z kwadratowym szklanym okienkiem. Po drugiej stronie, jasno oświetlony i pomalowany na urzędową zieleń, znajdował się najwyraźniej sklep z pamiątkami.

UD. Hnmnata Czaszah

Weszli i elektroniczne zasuwki drzwi zamknęły się za nimi ze szczękiem. Ryu wpychał trody oraz mały komputer projektu neoA do kieszeni levisów i był wzruszająco dumny z siebie.

- Niedziela - powiedział Alex, spoglądając na ceramiczną tabliczkę, która udawała staroświecką emalię. - Zamknięte po południu.

Wokół nich inne tabliczki po niemiecku, angielsku i japońsku błagały klientów o niepalenie i przypominały gościom, że katakumby nie są odpowiednim miejscem dla małych dzieci, osób cierpiących na astmę oraz wierzących w absolutne ostateczne zmartwychwstanie.

Zestaw wideoekranów podłączonych do zwykłych słuchawek oferował prawdziwą historię katakumb. Dalej czytnik chipów kredytowych i rząd hełmów VR proponował kolorysto-waną płatną wersję tego samego.

Tace z zabawkami ustawiono na takiej wysokości, żeby przyciągały znudzone i rozdrażnione dzieci.

- Jee-zu - zawołała Razz, podnosząc plastikową czaszkę z gotyckim nadrukiem „Paryż” na

czole. - Kto kupuje ten szajs?

- Co roku jakieś dwa miliony t-turystów - odparła Maxine bez namysłu i zaczerwieniła się. - Chyba znalazłam to w jakimś eseju - dodała pośpiesznie, zerkając na Ryu.

3

Na metalowych drzwiach, przez które wtaśnię weszli, od strony sklepu nalepiono duże plakietki WSTĘP WZBRONIONY, TYLKO DLA PERSONELU i WCHODZIĆ W UBRANIACH OCHRONNYCH. Dwoje następnych drzwi służyło za wejście i wyjście dla turystów zwiedzających katakumby, a trzecie nosiły taką samą kolekcję nalepek jak pierwsze.

- Więc chyba to te - uznała Razz i odsunęła się, żeby Ryu zrobił swoje.

Młody Japończyk z poważną miną polizał trody, przymocował je do czoła i przebiegł palcami po powierzchni skrzynki. W drzwiach coś zawarczało, a potem szczęknęły kolejno odskakujące rygle.

- Musisz mi taki kupić - oświadczyła Razz, szczerząc zęby. - Banki, sklepy, apteki. Można naprawdę sporo narozrabiać...

Znowu znaleźli się w tunelu, ale tym razem Ryu i Razz nałożyli tanie plastikowe okulary o szklach powleczonych cienką warstwą podczerwonego filtru. Z zewnątrz na jednej soczewce widniał napis „Paryż”, na drugiej nieduży hologram wyszczerzonej czaszki. W oprawce nad nosem umieszczono małą baterię, która zasilala obwody wokół krawędzi szkieł.

Okulary niewiele pokazywały, ale sam fakt ich posiadania poprawił samopoczucie Ryu i Razz. Po drodze Razz pogryzała tabliczkę czekolady, którą zwędziła ze sklepu. Ryu i Maxine również dostali po tabliczce. Alex nie był głodny.

Kamienny strop tak się obniżył, że wszyscy musieli posuwać się na czworakach, ale powietrze zrobiło się czystsze, bez mdlącego zapachu zgnilizny obecnego w poprzednich tunelach. Od czasu do czasu upragnione świeże powietrze dmuchało z głębokich szczelin w ścianach.

Przed sobą zobaczyli obszerne, niskie pomieszczenie wielkości sporego magazynu, zapełnione od podłogi do sufitu stosami kości całkowicie obranych z ciała.

3

Ktoś starannie posortował połamane szkielety, poskładał kości udowe i piszczele na jeden stos, kości łokciowe, promieniowe i ramienne na drugi.

Całe klatki piersiowe spoczywały jedna na drugiej niczym klatki dla ptaków na targu. Mniejsze, bardziej anonimowe kości zwałono razem i spiętrzone w wysokie białe kolumny. Alex gotów był uwierzyć, że tylko te kościane kolumny podtrzymują sufit przed upadkiem.

- G-główna kostnica - oznajmiła Maxine zniżonym głosem.

- Chyba się zbliżamy.

Poprowadziła ich labiryntem pomiędzy stosami kości, obojętna na otaczające ją symbole śmierci. Na drugim końcu pomieszczenia znajdował się niewielki tunel z niszą nad wejściem. W niszy ktoś posadził pomiędzy dwiema świecami szkielet martwo urodzonego dziecka. Małeńka prawa rączka dotykała cynowego kubka, a szkieletowe paluszki lewej spoczywały opiekuńczo na rogowej rękojeści rzemieślniczego noża. Ponad niszą wykuto łacińskie słowa, zarośnięte ciemnymi porostami, nieczytelne pod pajęczynami i brudem.

- Ciekawe, co to znaczy? - zapytał Ryu, wskazując napis.

Maxine nagle spoważniała.

- Lepiej, żebyś n-nie wiedział.

Urwała i zziębniętymi palcami odgarnęła z oczu wilgotne pasma długich czarnych włosów. Całą siłą woli powstrzymywała się od dygotania. Przenikliwy chłód od dwóch godzin wysysał ciepło z jej ciała, ale postanowiła nie prosić Razz o zwrot kurtki.

Podchodząc do wąskiego wylotu tunelu, oznajmiła:

- Teraz zaczną się t-trudności.

- Zaczną! - Szorstki śmiech Razz odbił się od ścian, wzbudził echo w niskim pomieszczeniu.

Maxine zanurkowała wy wejście do tunelu.

- Musicie zapamiętać dwie rzeczy - rzuciła przez ramię.

- Komnata Czaszek to jedyne miejsce w katakumbach, którego

boi się mój dziadek, a według lady Clare gdzieś tutaj jest kabel światłowodowy. Który musimy znaleźć, zanim tamci przyjdą.

- Skąd u diabła będą wiedzieli, dokąd przyjść? - zapytał gniewnie Alex.

- Och, będą wiedzieli - odparła Maxine sztucznie niedbałym tonem. - Pan Uu nas śledzi... czuję jego myśli. Musimy znaleźć ten kabel i nie mamy dużo czasu. Może dziesięć minut, piętnaście w najlepszym razie.

- A potem co? - zapytała Razz.

- Potem wygramy i jeśli nam się poszczęści, wyjdziemy stąd żywi. Albo przegramy i umrzemy, jeśli nam się poszczęści...

Może z powodu słów Maxine zimny dreszcz przeszedł Alexowi po karku, jak tylko weszli do Komnaty Czaszek. Powietrze w jaskini wydawało się zimniejsze, a ciemność jeszcze ciemniejsza. Nawet pomarańczowa poświata nocnego wzroku przygasła do głębokiej, piekielnej, krwawej czerwieni. Zewsząd otaczały go czaszki, wyszczerzone i pustookie, spiętrzone w wysokie piramidy albo ułożone w skomplikowane kabalistyczne wzory na zimnej kamiennej podłodze.

Cała komora rezonowała od złośliwych szeptów, mamroczących niezrozumiale tuż poniżej progu słyszalności. Po sekundzie Alex zaczął szczękać zębami w naprzemiennych atakach lodowatego zimna i palącej gorączki. Natychmiast uwierzył, że umiera, zatruty ostrzem noża Różańca albo zmutowaną krwią Księcia, która obryzgała mu twarz.

- P-przestań - ostrzegła Maxine i obiema rękami objęła jego twarz. Przez chwilę Alex walczył z napierającymi falami spokoju, potem pozwolił im płynąć i obrazy małego chłopca poprzedziły łuk tęczy rozpięty nad zielonym angielskim krajobrazem. Lecz wszystkie wspomnienia zgasły, wyparte przez coraz bliższą syrenę pogotowia, ciemną, groźną sylwetkę wirującego Aero-Spatiale K119 i wreszcie płomienie.

Maxine oderwała ręce od jego twarzy jak oparzona.

32

boi się mój d-dziadek, a według lady Clare gdzieś tutaj jest kabel światłowodowy. Który musimy znaleźć, zanim tamci przyjdą.

- Skąd u diabła będą wiedzieli, dokąd przyjść? - zapytał gniewnie Alex.

- Och, będą wiedzieli - odparła Maxine sztucznie niedbałym tonem. - Pan Uu nas śledzi... czuję jego myśli. Musimy znaleźć ten kabel i nie mamy dużo czasu. Może dziesięć minut, piętnaście w najlepszym razie.

- A potem co? - zapytała Razz.

- Potem wygramy i jeśli nam się poszczęści, wyjdziemy stąd żywi. Albo przegramy i umrzemy, jeśli nam się poszczęści...

Może z powodu słów Maxine zimny dreszcz przeszedł Alexowi po karku, jak tylko weszli do Komnaty Czaszek. Powietrze w jaskini wydawało się zimniejsze, a ciemność jeszcze ciemniejsza. Nawet pomarańczowa poświata nocnego wzroku przygasła do głębokiej, piekielnej, krwawej czerwieni. Zewsząd otaczały go czaszki, wyszczerzone i pustookie, spiętrzone w wysokie piramidy albo ułożone w skomplikowane kabalistyczne wzory na zimnej kamiennej podłodze.

Cała komora rezonowała od złośliwych szeptów, mamroczących niezrozumiale tuż poniżej progu słyszalności. Po sekundzie Alex zaczął szczękać zębami w naprzemiennych atakach lodowatego zimna i palącej gorączki. Natychmiast uwierzył, że umiera, zatruty ostrzem noża Różańca albo zmutowaną krwią Księcia, która obryzgała mu twarz.

- P-przestań - ostrzegła Maxine i obiema rękami objęła jego twarz. Przez chwilę Alex walczył z napierającymi falami spokoju, potem pozwolił im płynąć i obrazy małego chłopca poprzedziły łuk tęczy rozpięty nad zielonym angielskim krajobrazem. Lecz wszystkie wspomnienia zgasły, wyparte przez coraz bliższą syrenę pogotowia, ciemną, groźną sylwetkę wirującego Aero-Spatiale K119 i wreszcie płomienie.

Maxine oderwała ręce od jego twarzy jak oparzona.

3

boi się mój d-dziadek, a według lady Clare gdzieś tutaj jest kabel światłowodowy. Który musimy znaleźć, zanim tamci przyjdą.

- Skąd u diabła będą wiedzieli, dokąd przyjść? - zapytał gniewnie Alex.

- Och, będą wiedzieli - odparła Maxine sztucznie niedbałym tonem. - Pan Uu nas śledzi... czuję jego myśli. Musimy znaleźć ten kabel i nie mamy dużo czasu. Może dziesięć minut, piętnaście w najlepszym razie.

- A potem co? - zapytała Razz.

- Potem wygramy i jeśli nam się poszczęści, wyjdziemy stąd żywi. Albo przegramy i umrzemy, jeśli nam się poszczęści...

Może z powodu słów Maxine zimny dreszcz przeszedł Alexowi po karku, jak tylko weszli do Komnaty Czaszek. Powietrze w jaskini wydawało się zimniejsze, a ciemność jeszcze ciemniejsza. Nawet pomarańczowa poświata nocnego wzroku przygasła do głębokiej, piekielnej, krwawej czerwieni. Zewsząd otaczały go czaszki, wyszczerzone i pustookie, spiętrzone w wysokie piramidy albo ułożone w skomplikowane kabalistyczne wzory na zimnej kamiennej podłodze.

Cała komora rezonowała od złośliwych szeptów, mamroczących niezrozumiale tuż poniżej progu słyszalności. Po sekundzie Alex zaczął szczerkać zębami w naprzemiennych atakach lodowatego zimna i palącej gorączki. Natychmiast uwierzył, że umiera, zatruty ostrzem noża Różańca albo zmutowaną krwią Księcia, która obryzgała mu twarz.

- P-przestań - ostrzegła Maxine i obiema rękami objęła jego twarz. Przez chwilę Alex walczył z napierającymi falami spokoju, potem pozwolił im płynąć i obrazy małego chłopca poprzedziły łuk tęczy rozpięty nad zielonym angielskim krajobrazem. Lecz wszystkie wspomnienia zgasły, wyparte przez coraz bliższą syrenę pogotowia, ciemną, groźną sylwetkę wirującego Aero-Spatiale K119 i wreszcie płomienie.

Maxine oderwała rękę od jego twarzy jak oparzona.

3 Efl

- Musimy znaleźć t-ten kabel - powiedziała pospiesznie i ruszyła do odległego kąta komory, nie oglądając się za siebie.

To Razz znalazła kabel, podwieszony niechlujnie pod niskim sufitem, wychodzący z jednej dziury i po dwudziestu krokach znikający w drugiej.

- Chyba należy do firmy turystycznej, która wynajmuje katakumby - powiedziała obojętnie. - Wygląda dość nowocześnie.

- Możesz go podłączyć? - zapytał Ryu.

Razz popatrzyła na Alexa, potem na Ryu.

- Nie osłabiaj mnie - prychnęła.

Bez pytania o pozwolenie wyciągnęła składany nóż Alexa z pochwy przy jego pasie, rozłożyła go i z roztargnieniem wytarła do czysta o podszewkę kevlarowej kurtki, drugą ręką przeszukując kieszenie.

- Masz jakiś drut? - zapytała Ryu i wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni szare pudełko lady Clare.

Szare pudełko od lady Clare leżało na kamiennej podłodze, cienkie pasemko światłowodu fabrycznej jakości łączyło je z grubszą pętlą dyndającą pod sufitem. Po jednej stronie pudełka leżał zwinięty zestaw trod. W podstawie Razz znalazła ukrytą małą klawiaturę walkweara, którą przymocowała rzepami do nadgarstka.

Razz, Alex i Maxine siedzieli kołem na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. W goglach na podczerwień Razz wyglądała, jakby opalała się po ciemku. Jeśli odczuwała zażenowanie z powodu swojej nagości od pasa w dół, wcale tego nie okazywała. A jeśli Alex zwracał przesadną uwagę na jej nagość, z uprzejmości udawał coś wręcz przeciwnego. Podczas gdy Ryu, który aż nazbyt wyraźnie uświadamiał sobie stan srebrnej dziewczyny, był tak zażenowany, że nawet na nią nie patrzył. Razz uznała to za urocze.

32e!

- No więc - powiedział Alex do Maxine - Ryu jedzie po Cy, ty gadasz z jakimś duchem,

którego nie widzę, a Razz i ja po prostu siedzimy i czekamy. Na horde wyjących maniaków.

Maxine z irytacją potrząsnęła głową.

- Razz wchodzi d-do Cy i osłania Johnniego.

- Johnniego? - zapytał Alex.

- On już się włączył w dek u lady Clare i czeka. - Maxine z wysiłkiem stłumiła narastającą frustrację. - Wiem tylko, co lady Clare powiedziała Ryu. Że masz wejść w Cy bez żadnych t-trod. - Zająknęła się na slangu, głos jej zadrżał.

- To niemożliwe - oświadczyła Razz.

Maxine gniewnie wzruszyła ramionami.

- M-mam nadzieję, że się mylisz. Bo jeśli Alex t-tego nie robi, wszyscy zginiemy. Razz - dłoń Maxine musnęła nagie kolano srebrnej dziewczyny. - Już czas... zaczynaj...

Razz z roztargnieniem polizała trody i niedbale przylepiła je na skroniach. Nastąpił drobny przeskok, szybki jak mrugnięcie błony mrużnej w oku węża, i Razz odeszła. Gdzie indziej. Jej ciało nie ruszyło się z miejsca, ale silne REM za okularami i błyskawiczne, niemal gadzie kiwnięcia głową wskazywały, że już weszła do sieci i rozpoczęła jazdę.

Palce jej prawej dłoni zastukały szybko po klawiaturze przywiązanej do lewego nadgarstka, potem zamarły. Na sekundę lekko przechyliła głowę w bok.

- To pewnie Johnnie - oznajmił z dumą Ryu. - Przedstawia się.

- Ten świat nie jest prosty - wtrąciła Razz, potem umilkła i słuchała. - Różni ludzie inaczej nazywają te same rzeczy... To słowa Makaiego - dodała ostrożnie. - On chce to powiedzieć Alexowi.

Skulony w ciemnościach, oparty plecami o pracowicie ułożoną piramidę czaszek, Alex kiwnął głową.

- To, co nazywasz tekiem - ciągnęła Razz - Maxine wciąż nazywa magią. To, co Austriacy nazywają podświadomością,

3313

Nawahowie nazywają światem duchów. Jaka jest naprawdę różnica pomiędzy czasem snu, tańcem duchów, podróżą astralną a Cy? Tylko perspektywa. Ja to widzę, ty nie.

Razz miała zaszkłone oczy, cały umysł zajęty słuchaniem głosu, którego inni nie słyszeli.

- Zastanów się nad swoim mózgiem. Czy ewoluował dramatycznie przez ostatnie 500, 5000, 10000 lat? Nie. Zmienił się wyłącznie dostęp do informacji. Osiemdziesiąt siedem procent twojego mózgu wciąż pozostaje nieużywane, tylko czeka. Równie puste, równie bezsensowne jak milion niepotrzebnych bajtów danych śmieciarskiego DNA. Z pomocą lady Clare podkręciłem aksony, dendryty, synaptyczne połączenia twojego mózgu, żeby zapewnić ci dostęp do tych osiemdziesięciu siedmiu procent. Oczywiście planowałem prostą wymianę z S3 - ty za moją pamięć. Twoja pamięć za moją. Ale widocznie lady Clare podaruje mi znacznie więcej, skoro dałem jej Sekcję Trzecią. Więc teraz proponuję ci z powrotem twoje wspomnienia. Ale najpierw musisz zdjąć kłódki z mojego umysłu.

- Kim jesteś? - zapytał Alex.

- Skąd mam wiedzieć? Charles Mayer był jedyną osobą, która wiedziała na pewno, a Księżę kazał go zabić. Pozostałości mojej logiki mówią, że jestem świadomym procesorem kwantowym... multipleksowym alternatywnym karionem sztucznej inteligencji. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jestem jedyną na świecie kwantowo napędzaną SI.

- Dlaczego jedyną? - zapytał Ryu. - To znaczy, skąd wiesz?

- Ponieważ nie wyczuwam innych.

- Może zostali wyłączeni.

Zapadło milczenie i głowa Razz lekko opadła do przodu. Kiedy dziewczyna podniosła wzrok, odkryła z wyraźnym zmieszaniem, że Alex gapi się na nią. Oboje się zaczerwienili. Potem Razz zatrzepotała powiekami i znowu słuchała.

331

- Żadnych innych - oświadczyła stanowczo. - Zostawiliby ślady, ale nic nie ma.

- Więc czego chcesz ode mnie? - zapytał serio Alex.

- Żebyś znalazł to, co Zakon zabrał Charlesowi Mayerowi, nie znając swojej zdobyczy. Kod neuralny, który łączy moje pamięci. Z natury działam krzyżowo przez stany równoległe. Zero lub jedynka w kodzie binarnym zależą nie od absolutu, ale od tego, kto pyta, a nawet dlaczego pyta. Wszystkie możliwe odpowiedzi, w każdym możliwym czasie, w nieskończonej równoległości... Chcę, żebyś znowu mnie odnalazł. Jedź na falach wstrząsowych, bądź niewidzialny, przechodź przez lód jak duch, tylko znajdź brakujące bity mnie. W zamian podaruję ci permanentny mentalny interfejs, twojego własnego wewnętrznego cyfrowego boga. Ty będziesz Cy.
- A jeśli odmówię?
- Wtedy pozwolę ci umrzeć... i świat straci swój następny renesans. Oczywiście - dodał Makai przez usta Razz - jeśli się nie zgodzisz, to Razz, Maxine i Ryu także umrą. Alex zobaczył, że oczy srebrnej dziewczyny rozszerzyły się, kiedy przekazywała ostatni fragment wiadomości.
- A poza tym - ciągnął Makai, otwierając bramkę w umyśle Alexa - jesteś winien światu jedno życie. Płomienie ryknęły za oczami Alexa i wtedy to poczuł. Niski trzask, niemal poddźwiękowy, nagły straszliwy skok ciśnienia, kiedy ucięty wrzask odbijał się rykoszetem od krawędzi jego umysłu. Ogień lizał już białe ściany zbryzgane mdłaco czerwoną emalią. Kłęby czarnego dymu z płonącego łóżka wzbijały się pod zachlapanym, popękany sufit. Alex klęczał bijąc pięściami powietrze, dusząc się łzami.
- Ty draniu - warknął, próbując opanować drżenie rąk - to nie była moja wina.
- Może nie - przyznał Makai za pośrednictwem Razz - ale czy nie musisz jej zmazać?

U 1. Wampir u gabinetce luster

Kiedy Makai nagle pobudził pojedynczy neuron, synapsy w mózgu Alexa zaczęły odpalać po kolei, ponieważ aksony i dendryty wokół implantu biogliny przenosiły i odbierały nowe sygnały - zalewające jednocześnie mózdzek i korę mózgową. Przez chwilę oślepiiony Alex czołgał się po podłodze, jednym ramieniem osłaniając twarz przed płomieniami, których nikt inny nie widział. A potem bramy percepcji zaskoczyły i Alex zaczął spadać w nieważkości.

Daleko, daleko w dole widział małą sferę utkaną ze skomplikowanych wzorów ruchomego światła. Poza nią - błękitna pustka bez żadnej widocznej ściany czy granicy. Oczy Alexa zatrzymały się na złotym kłębku, umysł zaczął oceniać dystans, co wywołało nową falę mdłości.

Za każdym razem, kiedy skupiał wzrok na złotej kuli, całe niebo zaczynało wirować tak szybko, że kula raz po raz przemykała przez jego pole widzenia niczym amfetaminowy księżyc, pędzący bez końca po nieboskłonie.

- Zamknij oczy! - krzyknął mu ktoś do ucha.

Alex podskoczył.

- Zamknij - nalegał głos. Tym razem Alex usłuchał i poczuł, jak odrobina spokoju powoli powraca do jego skołatane umysłu.

333

- Razz? - zapytał z nadzieją i zaryzykował jedno zerknięcie spod uchylonych powiek. Wszechświat zawirował.

- Nic z tego, facet, to Johnnie. Nigdy przedtem się nie włączałeś?

Milczenie.

- Kurwa mać - rzucił Johnnie ze złością. - Nikt mnie nie uprzedził, że jesteś cholerną dziewcziną. Pewnie dlatego nie możesz wytrzymać spokojnie.

- Gdzie ja jestem? - zapytał Alex. Nawet sam słyszał, jak strach zniekształca mu głos.

- Gdzie? Jesteś w przestrzeni, facet. We wnętrzu Cy - odparł Johnnie. - Przetwarzasz matrycę? Wisisz w studni? - Johnnie westchnął ciężko, a kiedy znowu się odezwał, mówił z irytującym zaśpiewem reklamowego dżingla. - Co musisz zapamiętać: po pierwsze, to nie istnieje. Po drugie, i tak tu jesteś, więc spróbuj się przyzwyczaić.

Zamilkł na chwilę.

- Jakiego deku używasz?

- Deku? - powtórzył Alex.

- On nie używa żadnego deku - odezwała się Razz tak blisko, że Alex podskoczył. - Taak, wiem, to niemożliwe. Ale to prawda. Żadnego okablowania, żadnego deku. Po prostu sprytnie dopasowanie neuralne. Rozumiem, że maczałeś w tym palce?

Od tamtej chwili wszystko się uprościło, chociaż pewnie było to złudzenie. Ostatnio Alex doszedł do wniosku, że większość rzeczy jest złudzeniem.

Za radą Johnniego wyrównał oddech i bardzo powoli otworzył oczy. Znowu pływał we wnętrzu Cy, obok Johnniego, który nosił kompletnie niepotrzebne lustrzane okulary i długi, czerwony, jedwabny szal w stylu Isadory Duncan. Ale tym razem matryca nie zaczęła natychmiast wirować.

33

- Gdzie jest Razz? - zapytał Alex.

Natychmiast cień cienki jak jedwab i ciemny jak noc zmaterializował się obok niego. Razz wisiała nago w przestrzeni. Kiedy Alex na nią spojrzął, zaczęła się rozplływać.

- Możesz nas dostroić albo rozstroić - odpowiedział Johnnie. Spojrzął pożądlwie na znikającą nagość Razz, zerknął szybko na Alexa i wzruszył ramionami. - Tutaj czy nie, wszystko jedno, to twoja broszka. Ale tak czy owak, zaczynaj. Kończy ci się czas.

Alex nie pamiętał, żeby kazał mu odejść, lecz kiedy spojrzął ponownie, Johnnie zniknął.

Alex widział tylko nieskończony błękit, rozciągający się dookoła jak blade letnie niebo. Na podstawie przeczytanych lektur wyobrażał sobie, że Cy będzie ciemniejsza i zimniejsza. Ledwie to pomyślał, pogodny błękit pociemniał do elektrycznego neonowego lazuru.

- Jaśniej.

Pojaśniało jak po przesunięciu suwaka na ekranie. Cy można było regulować od smolście czarnej ciemności wokół płonącej białą centralnej sfery, do najbledszego błękitu kaczego jajka otaczającego zamgloną pomarańczową kulę.

Alex zrozumiał, że wcale nie poprawiał kolorów. Zmieniał tylko swoją percepcję. W prawdziwym świecie kolor stanowił odbicie określonej częstotliwości światła. Tutaj stanowił koncepcję. Rzeczy wcześniej ukryte nabierały ostrości, kiedy dostrajał częstotliwość swoich fali mózgowych.

W centrum, gdzie pajęczyna sieci najbardziej się zagęszczała, pojedyncza świetlista biała kropka po bliższym zbadaniu okazała się złożona z całego finansowego dystryktu pulsujących danych. Lecz ta gmatwanina upraszczała się i przygasła w dolinach, gdzie przestrzeń była tańsza, lub na górze w anonimowości jednego z tuzina orbitujących księżyców.

335

- Gdzie jest Razz? - zapytał Alex.

Natychmiast cień cienki jak jedwab i ciemny jak noc zmaterializował się obok niego. Razz wisiała nago w przestrzeni. Kiedy Alex na nią spojrzął, zaczęła się rozplływać.

- Możesz nas dostroić albo rozstroić - odpowiedział Johnnie. Spojrzął pożądlwie na znikającą nagość Razz, zerknął szybko na Alexa i wzruszył ramionami. - Tutaj czy nie, wszystko jedno, to twoja broszka. Ale tak czy owak, zaczynaj. Kończy ci się czas.

Alex nie pamiętał, żeby kazał mu odejść, lecz kiedy spojrzął ponownie, Johnnie zniknął.

Alex widział tylko nieskończony błękit, rozciągający się dookoła jak blade letnie niebo. Na podstawie przeczytanych lektur wyobrażał sobie, że Cy będzie ciemniejsza i zimniejsza. Ledwie to pomyślał, pogodny błękit pociemniał do elektrycznego neonowego lazuru.

- Jaśniej.

Pojaśniało jak po przesunięciu suwaka na ekranie. Cy można było regulować od smolście czarnej ciemności wokół płonącej białą centralnej sfery, do najbledszego błękitu kaczego jajka otaczającego zamgloną pomarańczową kulę.

Alex zrozumiał, że wcale nie poprawiał kolorów. Zmieniał tylko swoją percepcję. W prawdziwym świecie kolor stanowił odbicie określonej częstotliwości światła. Tutaj stanowił koncepcję. Rzeczy wcześniej ukryte nabierały ostrości, kiedy dostrajał częstotliwość swoich fali mózgowych.

W centrum, gdzie pajęczyna sieci najbardziej się zagęszczała, pojedyncza świetlista biała kropka po bliższym zbadaniu okazała się złożona z całego finansowego dystryktu pulsujących danych. Lecz ta gmatwanina upraszczała się i przygasła w dolinach, gdzie przestrzeń była tańsza, lub na górze w

anonimowości jednego z tuzina orbitujących księżyców.

Ponieważ Alex badał matrycę po raz pierwszy, nie miał pewności, które z jego osiągnięć są prawdziwymi odkryciami, a które trącą myszką. Widział rozpalone do białości rdzenie danych, które po zbadaniu okazywały się iluzoryczne, informacyjne miasta duchów, jakby wyszano z nich dane do ostatniej kropli, ale ktoś zapomniał pogasić światła.

Na poziomie miejskim, ponad Edo, M'dina, niezależną Kalifornią i ciągiem Wschodniego Wybrzeża, znajdowały się skomplikowane logokonstrukty: ogromna Myszka Miki dla Disneya, żłobkowana butelka coca-coli, znajome podwójne V volkswagena, każde logo widoczne tylko dla tych, którzy właśnie użytkowali Cy, każde powstałe jako produkt tysięcy godzin czasu firmy. Inne potężne konstrukty już się rozpadały, krawędzie miały rozmazane lub popękane. Zaibatsu obrabowane z majątku lub skazane na bankructwo w jednej z ostatnich wojen korporacyjnych. Niżej, na następnym poziomie, gdzieś pomiędzy mikro a zbliżeniem, wisiały ściany czarnego lodu, zimne, rozległe, niewidoczne sieci, które powinny zapętlić się wokół niego, lecz on przechodził przez nie jak duch.

Był też popisowy lód, kompletnie bezużyteczny, lecz bardzo piękny, odbijający w nieskończonym fraktalu to, co widział. To było najbardziej interesujące odkrycie Alexa. Nie odbijał się w lodzie. Nieważne, ile razy obok niego przepływał. Niczym wampir w gabinecie luster, widział tylko własną nieobecność.

A kiedy wreszcie przez czysty przypadek wpadł na to, co miał znaleźć, prawie tego nie zauważył. Wisząc plecami do elektronicznej jasności globu, spoglądając na zewnątrz w stronę odległego nieba, uświadomił sobie, że istnieją dziesiątki różnych oddzielnych obszarów Cy, po których jego wzrok prześlizguje się bez zatrzymania.

Wisiały tam, przezroczyste, przybierające barwę otoczenia, a jego oczy po prostu nie chciały ich zobaczyć.

- Tam! - zawołał podekscytowany i Johnnie jak za sprawą czarów pojawił się u jego boku.
- Gdzie? - zapytał i Alex musiał pokazać jeszcze raz, ale daremnie.
- Tam, na niebie...
- To nie jest niebo - poprawiła go Razz, nie próbując się materializować. - To jest Krawędź. Lecz chociaż Johnnie ze wszystkich sił wyteżał wzrok i wpatrywał się w dal, nie widział nic prócz błękitnej pustki.

- Czas ucieka - ostrzegła Alexa Razz - więc jeśli tam coś jest, kurwa, pospiesz się z tymi koordynatami.

Liczby pojawiły się nieproszone przed oczami Alexa. Odczytywał je powoli, kiedy przepływały przez jego pole widzenia.

- Nic - oznajmił w końcu Johnnie.
- Razz? - zapytał Alex.
- Nic nie widzę - odparta przepraszająco.

Ale obszary tam były. Alex po prostu wiedział.

Spróbował zbliżyć się do przezroczystej materii i odkrył, że nie może. A jednak nic go nie powstrzymywało, tylko on sam. Instynktownie wycelował w punkt poza krawędzią strefy i przepłynął obok niej bez wysiłku. Cy rozwijała się wokół niego fraktalnymi wzorami, kiedy pędził przez trójwymiarową przestrzeń- informacyjną.

Obejrzał się do tyłu i zobaczył centralną matrycę wiszącą na swoim miejscu. A przecież wiedział z granitową pewnością, że część przedmiotu poszukiwań znajduje się pomiędzy nim a filigranowymi wzorami centralnego rdzenia.

Nie odniósł wrażenia, że minął coś niezwykłego. Ani że coś go wyczuło. Może to była robota Johnniego i Razz: Alex nie miał pewności, co właściwie znaczy pasażerska jazda po sieci.

337

Wisiał tam dłużej, niż powinien. Zignorował coraz bardziej natarczywe żądania Razz i Johnniego, żeby znowu zaczął szukać. Wisiał nieruchomy, niepodłączony i niewidzialny. Strumienie danych

przeplływały przez jego głowę, ścieżki logiczne powstawały, rozpadały się i tworzyły od nowa. Zastanawiał się leniwie, co by było, gdyby niewidzialne weszło w reakcję z widzialnym, a potem nagle zrozumiał. Nie w błysku olśnienia czy ryczącym huraganie, ale ze spokojną wewnętrzną pewnością. Nie znalazł tego, czego szukał, lecz poszukiwane odnalazło jego.

- Makai? - zapytał i cień czekający obok niego błyskawicznie przeskoczył od przejrzystej mgiełki do niemal dotykanej cielesności. Ładny chłopiec z wcześniejszych snów zniknął razem z falującymi lokami. Teraz twarz była starsza, twardsza.

- Twój czas prawie się skończył - ostrzegł ponuro Makai. - Pan Uu namierzył Maszynę. Zakon zamyka tunele. Musisz wykonać swój ruch...

Alex wzruszył ramionami i zastanowił się, czy zdołał oszukać Makaiego swoim niedbałym zachowaniem. Trochę w to wątpił.

- Te rzeczy tam - powiedział, szerokim gestem wskazując pół tuzina przezroczystych obszarów rozciągniętych wzdłuż zewnętrznej krawędzi Cy. - Nie widzisz ich, prawda?

Makai pokręcił głową.

- Na pewno?

Alex zobaczył, że Makai wyteża wzrok.

- Niesformatowana przestrzeń - oświadczył ciężko. Wydawał się przerażony tym widokiem.

- Całkiem słusznie - przyznał Alex. W jego mózgu wyrywkowe przebłyski intuicji ząbebiały się w pewność. - Gdzie jesteś w Cy?

- Tutaj, obok ciebie.

33 a

Wisiał tam dłużej, niż powinien. Zignorował coraz bardziej natarczywe żądania Razz i Johnniego, żeby znowu zaczął szukać. Wisiał nieruchomy, niepodłączony i niewidzialny. Strumienie danych przepływały przez jego głowę, ścieżki logiczne powstawały, rozpadały się i tworzyły od nowa. Zastanawiał się leniwie, co by było, gdyby niewidzialne weszło w reakcję z widzialnym, a potem nagle zrozumiał. Nie w błysku olśnienia czy ryczącym huraganie, ale ze spokojną wewnętrzną pewnością. Nie znalazł tego, czego szukał, lecz poszukiwane odnalazło jego.

- Makai? - zapytał i cień czekający obok niego błyskawicznie przeskoczył od przejrzystej mgiełki do niemal dotykanej cielesności. Ładny chłopiec z wcześniejszych snów zniknął razem z falującymi lokami. Teraz twarz była starsza, twardsza.

- Twój czas prawie się skończył - ostrzegł ponuro Makai. - Pan Uu namierzył Maszynę. Zakon zamyka tunele. Musisz wykonać swój ruch...

Alex wzruszył ramionami i zastanowił się, czy zdołał oszukać Makaiego swoim niedbałym zachowaniem. Trochę w to wątpił.

- Te rzeczy tam - powiedział, szerokim gestem wskazując pół tuzina przezroczystych obszarów rozciągniętych wzdłuż zewnętrznej krawędzi Cy. - Nie widzisz ich, prawda?

Makai pokręcił głową.

- Na pewno?

Alex zobaczył, że Makai wyteża wzrok.

- Niesformatowana przestrzeń - oświadczył ciężko. Wydawał się przerażony tym widokiem.

- Całkiem słusznie - przyznał Alex. W jego mózgu wyrywkowe przebłyski intuicji ząbebiały się w pewność. - Gdzie jesteś w Cy?

- Tutaj, obok ciebie.

33

Wisiał tam dłużej, niż powinien. Zignorował coraz bardziej natarczywe żądania Razz i Johnniego, żeby znowu zaczął szukać. Wisiał nieruchomy, niepodłączony i niewidzialny. Strumienie danych przepływały przez jego głowę, ścieżki logiczne powstawały, rozpadały się i tworzyły od nowa. Zastanawiał się leniwie, co by było, gdyby niewidzialne weszło w reakcję z widzialnym, a potem nagle zrozumiał. Nie w błysku olśnienia czy ryczącym huraganie, ale ze spokojną wewnętrzną pewnością. Nie znalazł tego, czego szukał, lecz poszukiwane odnalazło jego.

- Makai? - zapytał i cień czekający obok niego błyskawicznie przeskoczył od przejrzystej mgiełki do niemal dotykanej cielesności. Ładny chłopiec z wcześniejszych snów zniknął razem z

falującymi lokami. Teraz twarz była starsza, twardsza.

- Twój czas prawie się skończył - ostrzegł ponuro Makai. - Pan Uu namierzył Maszynę. Zakon zamyka tunele. Musisz wykonać swój ruch...

Alex wzruszył ramionami i zastanowił się, czy zdołał oszukać Makaiego swoim niedbałym zachowaniem. Trochę w to wątpił.

- Te rzeczy tam - powiedział, szerokim gestem wskazując pół tuzina przezroczystych obszarów rozciągniętych wzdłuż zewnętrznej krawędzi Cy. - Nie widzisz ich, prawda?

Makai pokręcił głową.

- Na pewno?

Alex zobaczył, że Makai wyteża wzrok.

- Niesformatowana przestrzeń - oświadczył ciężko. Wydawał się przerażony tym widokiem.

- Całkiem słusznie - przyznał Alex. W jego mózgu wyrwykowe przebłyski intuicji zązębiały się w pewność. - Gdzie jesteś w Cy?

- Tutaj, obok ciebie.

33

- Nie. To znaczy pokaż mi siebie, pokaż swój fizyczny punkt obecności.

Alex spojrział w dół na matrycę i poczuł jej przemieszczenie, kiedy automatycznie najechał na zakrzywiony horyzont, świecący autostradami danych i jaskrawymi cyfrowymi miastami. Wisieli nad Manhattanem.

- Nie ma mnie tam - powiedział Makai.

- Nigdy nie patrzyłeś? - upewnił się Alex, chociaż już znał odpowiedź.

- Ale już jestem tutaj - rzucił Makai z rozdrażnieniem.

- Znajdź mi Razz - zażądał Alex.

Makai kiwnął głową i wszystko się rozmyło. Kiedy powróciła ostrość, wisieli nad cyfrową symulacją Paryża, a daleko pod nimi, podłączony do nieważnej ścieżki danych skromnego turystycznego urzędnika, znajdował się dodatkowy węzeł.

- Maysr skłamał - oświadczył Alex z przekonaniem. - Ty wcale nie jesteś komputerem, jesteś programem startowym. To pudełko lady Clare jest kwantowym odpowiednikiem bardzo wyrafinowanego BIOSu, jeśli w tych określeniach nie ma za dużej sprzeczności. Prawdziwy MAKAI jest tam, rozdzielony i zagrzebany pod najlepszym lustrzanym lodem, dostatecznie grubym, żeby zatopić „Titanica”. I wiesz, co jeszcze...?

Makai milczał, lecz Alex poznał po stwardnieniu jego konturów, że pilnie słucha, zbiera i asymiluje nowe dane.

- Ten lód nie ma trzymać z daleka ludzi takich jak ja, chociaż to dodatkowa premia. On ma nie pozwalać, żeby kawałki ciebie wpadały jeden na drugi.

Alex uśmiechnął się ponuro.

- Charles Mayer pewnie sobie wyobrażał, że znalazł bezpośrednie połączenie z Bogiem. - Zamilkł, żeby uporządkować myśli. - Możesz zostać bezpiecznie w tym szarym pudełku, które znasz, i będziesz wciąż przeskakiwał każdą dostępną na rynku pół-SI. Albo mogę cię przeładować, może

33e!

odtworzyć całość. W każdym przypadku zwrócisz mi pamięć i pomożesz uratować Razz i tamtych. Bo inaczej - wskazał matrycę - wejdę tam i osobiście wyciągnę wtyczkę.

W ciągu kilku sekund wspólnie opracowali strategię, szybko omówili ewentualne miejsca, gdzie trzymano hardware. W końcu doszli do wniosku, że to właściwie nie ma znaczenia. Zanim ktokolwiek we władzach się zorientuje, że MAKAI został ponownie uaktywniony, fragmenty przyczepione jak pasożyty do innych systemów połączą się i SI zacznie działać. Bez wątpienia potrafi aż nadto skutecznie się bronić.

Ruch przypominał niemal zen w swojej prostocie. Alex wycofał się do Krawędzi, tak wysoko nad matrycą, że doznawał irracjonalnego wrażenia, jakby niewidzialny, niemożliwy elektroniczny wiatr dmuchał mu w oczy fragmentami danych i splatał w warkoczyki jego długi koński ogon. A potem, ciągnąc za sobą Razz, Johnniego i Makaiego, wycelował w odległy punkt przestrzeni i

oszałamiająco, baletowo płynnie zanurkował najpierw przez jeden, potem drugi i trzeci obszar absolutnej nicości.

W trakcie tego procesu przeszedł jak duch przez całą matrycę, tak szybko, że ani jedna stacja lodu, gwiazdny surfer czy czarna dżokej nie zarejestrowali jego obecności.

Lecz eksplozję, która nastąpiła potem, zauważył cały świat. Tafla ognia zapłonęła w matrycy, od krawędzi do krawędzi. Samo niebo jak przeeksponowane zajaśniało bielą i zgasło.

Przez nanosekundę złota infostrada mknęła niczym konstelacja wokół krawędzi sfery, jakby matryca nagle otrzymała płaszcz izolacyjny. A potem równie szybko wszystko wróciło do normy. Nikt nie widział, jak nieprzejrzysta lustrzana pustka rozszerza się i stapia z zewnętrzną Krawędzią Cy, nikt nie zauważył, że mały węzeł danych w nieważnej paryskiej sub-matrycy rozbłysnął krótko i umarł.

3U.D

- Jeezu - jęknęła Razz i zerwała ze skroni dymiące trody.

- Jak on to zrobił, kurwa?

Kołysała się w przód i w tył, obejmując ramionami nagie kolana. Kwaśny zwierzęcy odór wypełnił jej nozdrza i z dreszczem odkryła, że to jej własny zapach. Całe ciało pod kurtką miała śliskie od potu.

Naprzeciwko niej Alex spał, z głową zwieszoną na piersi, z twarzą pustą, wypraną z emocji. Klatka piersiowa unosiła się i opadała powolnym, regularnym rytmem, zwykle widywanym u śpiących dzieci.

- Hej! - Razz szturchnęła Alexa w ramię, ale nawet nie drgnął. - Cholera.

Odwróciła się do Maxine z obawą, że tamta również zasnęła. Ale księżniczka siedziała na podłodze z szeroko otwartymi oczami. Nad nią stał Ryu w bojowej postawie, wpatrując się w ciemność.

Twarz miał nieruchomą, oddychał regularnie. Lecz zdradzało go nerwowe drżenie dłoni.

- O co chodzi, skarbie? - zapytała Razz.

Maxine próbowała odpowiedzieć, nerwowo oblizując wargi, usiłowała pokonać jękanie.

- Nie spiesz się - poradziła Razz, ale tylko jeszcze bardziej wystraszyła przyjaciółkę.

- N-nie ma już czasu - szepnęła wreszcie Maxine. - On już t-tam jest, czuję g-go. - Samotna łza spłynęła po jej policzku.

- K-kiędy wy wszyscy spaliście, p-pan Uu zablokował t-tunele.

- On wie, gdzie jesteśmy? - zapytała Razz.

- Jeszcze nie. Zasłoniłam nas p-przed nim, ale t-taka jestem zmęczona.

Maxine miała wargi sinoszare z zimna i nieopanowanie szczykała zębami.

- Jeśli on nie wie, gdzie jesteśmy, ciągle mamy przewagę zaskoczenia. Możemy go załatwić - perswadowała Razz. Smukłym ramieniem objęła przyjaciółkę i uściśnęła szybko.

3U1

i

- Skarbie - ciągnęła wstając - jeszcze nie widziałas mnie w akcji. Nie w prawdziwej walce.

Błyskawicznym ruchem otworzyła składany nóż Alexa i wyszczerzyła zęby.

Maxine odpowiedziała wymuszonym uśmiechem, który szybko zgasł.

- Nie rozumiesz - szepnęła ze smutkiem. - On może zdmuchnąć t-twój umysł jak świeczkę, zanim p-podejdiesz dostatecznie blisko, żeby użyć tego noża.

- Ach tak? - mruknęła Razz. - Więc jak go zabijemy?

Maxine zamyśliła się...

i J

L.2. Procedury

- Więc to tyle - powiedział Makai odległym głosem, prawie jak echo. - Chcesz mnie, jestem tutaj. Choć... - dodał prawie przepraszająco - ten kawałek mnie, który znasz jako mnie, teraz jest podprogramem podprogramu.

- A Cy? - zapytał Alex.

- Czeka na ciebie, kiedy tylko zechcesz. Ale teraz - ciągnął Makai - powinieneś się

przygotować.

- Przygotować?

Alex wiedział, że pytanie zabrzmiało głupio. Ale i tak zapytał. Makai wycofywał się z jego umysłu, na co Alex nie był gotowy.

- Nigdy nie byłem człowiekiem - wyjaśnił łagodnie Makai z bardzo daleka. - Ty byłeś, ale niedługo przestaniesz. W twoim mózgu jest więcej hardware'u niż w naddźwiękowym myśliwcu stealth. Twój system nerwowy został podkreślony, a twoje DNA zrereplikowane do wzorca narzuconego przez proteiny we krwi Księcia.

Alex nawet nie wiedział, o co najpierw zapytać. Znowu nie miał nic do powiedzenia.

- Moc to nie znaczy potencjał, tylko użytek - oświadczył Makai, a potem zniknął, wiotkie smugi odchodzących myśli przepłynęły przez umysł Alexa jak dym na wietrze, leciutko rozbłysły na pożegnanie.

33

Mentalne świetliki.

Alex z drzeniem patrzył, jak iskra odradza się trochę dalej, i nagle zrozumiał, że rzekomy świetlik to tylko jeden jedyny węzeł w rozległym, ultraszybkim przebiegu myśli przez obwody jego mózgu. Znowu obserwował iskierkę i tym razem przytrzymał ją, aż rozciągnęła się w ciemności jak zwinięta neonowa rurka. Spróbował jeszcze raz i neonowy zwój zaczął rosnać. Alex zrozumiał, że albo spowalniał schemat, albo jego własna percepcja przyspieszała.

Wkrótce głowę wypełniła mu nieskończona neonowa świetlówka, która splatała się i rozplatała w pozornie nieograniczonych permutacjach zbiorów i podzbiorów. Oszołomiony Alex cofnął się i patrzył, jak synapsy otwierają się i zamykają, obserwował przepływ myśli tak wyraźny, jak reflektory pędzącego samochodu na tysiącach pustych, krętych dróg.

Wystarczył niewielki myślowy przeskok od pojedynczych dróg do całego systemu komunikacyjnego. Przestrzeń przemieściła się wokół Alexa, który zrozumiał, że obserwuje fragment potwornie skomplikowanej trójwymiarowej wymiany informacji, stanowiącej jego mózg. A poza granicami wymiany leżały większe obszary ciemności, gdzie ruch po prostu zamierał. Tylko że myśl nie może tak zwyczajnie zniknąć, podobnie jak inne formy informacji.

Dosiadł iskry i jechał na niej jak na kolejce górskiej po zapętlonym neonie, ale iskra i neon zawsze znikwały razem - chociaż Alex wiedział z płomienną pewnością, że jedno i drugie musi jechać dalej poza tę mózgową granicę.

- Dlaczego? - mruknął ze złością.

Za jego plecami ktoś zaśmiał się szyderczo. Alex obrócił się gwałtownie, ale nie zobaczył nic prócz błysku własnych niespokojnych myśli.

- Pozwoli pan, że się przedstawię - przemówił niski głos.

- Maurice de Pomerol Melusine, księżę Sabatini, Duca di Gataparda, Marchese Severino, Conte Cortnai, Barone Corvo...

Ironiczna szeptana litania tytułów ciągnęła się bez końca, sucha jak wiatr wśród pożółkłej trawy.

- Co ty tu robisz? - zapytał Alex, chociaż już znał odpowiedź. Księżę był tutaj i był też w panu Lee Uu; oddzielne inkarnacje, jednakowe jak program i kopia.

- Wszyscy tutaj jesteśmy - odpań beznamiętnie Księżę.

- Każdy Wielki Mistrz od czasów powstania Zakonu. - Przerwał na chwilę, zaintrygowany. -

Czy pan jest człowiekiem, który mnie zabił?

Alex nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

- Wprawdzie i tak umierałem - powiedział głos - chciałbym jednak panu podziękować.

- Obudź się! - syknęła Razz i mocno wbiła kłykcie w zakończenie nerwowe na szczęce Alexa.

Prawidłowo zastosowany, ten chwyt doprowadzał do łez nawet zahartowanego ulicznego samuraja.

Alex nawet nie drgnął. Więc w desperacji Razz sięgnęła mu między nogi, wymacała jądra przez zakrwawioną tkaninę spodni i ścisnęła.

Kiedy to nie podziałało, chwyciła go za lewą dłoń, znalazła mały palec i złośliwie szarpnęła.

- Nie pomoże - odezwała się Maxine. - Myślę, że on umiera.

Alex wiedział, gdzie teraz jest, co powinien zrobić. Medyczne informacje, z których posiadania nawet nie zdawał sobie sprawy, spieszyły mu na pomoc. Skan mózgu, tomografia, rezonans magnetyczny, megabity danych bioteku przepływały

35

przez niego, wyznaczając jego pozycję, aż zatoczył się pod ciężarem odbieranej informacji.

Znajdował się przy podstawie mózgu - podczas gdy analityczna część umysłu, kora mózgowa, stanowiła pofałdowaną zewnętrzną otoczkę, a jedno od drugiego dzieliła mroczna jałowa pustka, której Alex nie mógł świadomie przekroczyć.

Nieważne, że znalazł teraz wiązki aksonów łączące te dwa obszary, że w szarej zewnętrznej materii znajdowały się miliony milionów komórek nerwowych, a każda ośmiornicza macka dendrytu czekała, żeby odebrać neuroimpulsy, jakie mógł do niej przesłać, gdyby jego wpływ sięgał tak daleko.

Bariera ciągle go zatrzymywała. Chciał już zrezygnować, kiedy wpadł na pomysł... Sam zbliżył się do ciemnej ściany; nie pędził na sygnale nerwowym, tylko powoli i łagodnie, jak mgła przenikająca przez okiennicę, prześliznął się pomiędzy jednym stanem a następnym, nie napotykając oporu, i wptynął do piekła.

- Jee-zu!

Nienawiść, z jakiej nie zdawał sobie sprawy, wstyd i upokorzenie, o których rzekomo dawno zapomniał, wszystko stłoczone w migawkach jego upadku do rynsztoków M'diny. Ścieżki myśli zapłonęły w ciemności stanowiącej wewnętrzną istotę białą mózgu, jak ślady pocisków smugowych, jak ogon petardy, która zniknęła w niebie, zamiast spaść z powrotem na ziemię. Bez wiedzy Alexa jego mózg zaczął syntetyzować gamma--NFG, stymulator wzrostu nerwów, a jednocześnie mikroskopijne dawki SRS automatycznie hamowały wbudowany w dorosły mózg opór przed przyłączeniem nowej tkanki nerwowej.

W szarych flanelowych fałdach na powierzchni mózgu płonęły aksony rozpalone do białości pod kanonadą synaptycznego ognia, kiedy neuroprzekazniki łączyły najpierw horyzontalne, potem piramidowe komórki, aksony z dendrytami, rozszerzając sieć nerwową.

3

Sieci zaczęły rosnąć wewnątrz sieci. Kiedy cała szara materia została połączona, nowa matryca zaczęła się replikować na podobieństwo wirusa. Wewnętrzna powierzchnia istoty szarej odtwarzała się, pochłaniając prymitywne nerwowe ścieżki istoty białej mózgu, przesuwała się w dół, w stronę pnia mózgu, wypalała nowe, bardziej skomplikowane połączenia.

Natychmiast wstrząsnęła Alexem przestrzeń, która wybuchła wokół niego. Ogromne, na pozór puste obszary rozwarły się, odsłaniając miejsca już zaśmiecone technologicznymi odpadkami. Cienkie jak opłatek płytki biogliny, osadzone pomiędzy płatami czołowymi, wyglądały jak ukształtowane w procesie termograficznym zapewniającym idealne dopasowanie. Skomplikowany węzeł optyczny na nerwie trójdzielnym mostu umożliwiał niemal natychmiastowy przekaz pomiędzy korą mózgową, mózdzkiem i rdzeniem kręgowym.

Alex nie chciał przyznać, że przeraża go szybkość własnych myśli i sama ilość danych, które mógł teraz wywołać. Lecz poza przeróbkami z San Lorenzo zachodziły większe zmiany, z których kolonizacja istoty białej przez szarą stanowiła zaledwie pierwszy krok.

DNA w szpiku kostnym podlegało rozdzielaniu i rekombinacji. Samobójczy gen c/d3 odpowiedzialny za śmierć komórek został już przeprogramowany, a proteina p53 spowalniała proces starzenia się organizmu.

I to Wszystko nie było produktem zaawansowanych badań Genetyków, tylko rezultatem hermetycznej, kabałistycznej, osiemsetletniej recepty na życie wieczne. Teraz Alex chciał to sobie przemyśleć.

L.3. LU głąb lustra

- Skarbie, co mam zrobić, żeby obudzić tego biednego kutasa? - zapytała Razz, wyłamując mu w stawie trzeci palec. Alex drgnął niespokojnie, ale wciąż nie odzyskiwał przytomności.

Ryu nic nie odpowiedział. Nadal nie ufał srebrnej dziewczynie, a poza tym musiał pilnować drzwi na polecenie Maxine.

Co do Maxine, nie mogła odpowiedzieć, ponieważ nie mogła mówić. Oczy miała wytrzeszczone z przerażenia, jeden kącik ust wykrzywiał się w nerwowym tiku.

Razz zdawała sobie sprawę, że dziewczęcy strach Maxine ma więcej sensu niż jej własna irytacja na nieprzytomnego mężczyznę. -

- Gówno - mruknęła i złośliwym szarpnięciem wyłamała kciuk. Alex wzdrygnął się i gwałtownie otworzył oczy. - Zawsze działa - rzuciła ponuro Razz. - Najwyższy czas. Nadchodzi cała pieprzona armia. - Niedbale nastawiła mu kciuk z powrotem.

- Wiem - odparł Alex, który natychmiast wyczuł tłum wypełniający katakumbę za wąskim wejściem do komory. - Lee Uu wie, że jest blisko, ale nie wie dokładnie, gdzie jesteście. Maxine stawia mu opór.

- Naprawdę? - Razz zerknęła z niedowierzaniem na młodą księżniczkę. - Myślałam, że ta cała magia to bzdura.

3ua

- Bzdura? - warknął Ryu; jedną rękę opierał na sztywnym ramieniu milczącej dziewczyny, ale nie odrywał oczu od drzwi. - Popatrz na nią - zażądał - nie widzisz, że to ją zabija?

Alex wychylił się, lekko dotknął nadgarstka Maxine i poczuł, jak dziewczyna rozluźnia się pod jego dotykiem. Ryu złapał ją, kiedy osunęła się bezwładnie do przodu, i opuścił łagodnie na podłogę, gdzie skuliła się na boku w pozycji płodowej.

- On n-nas zobaczy - oznajmiła zdyszany szeptem.

- Niewątpliwie - zgodził się Alex. - Ale musimy walczyć, nie mamy innego wyboru. Ze zgrozą uświadomił sobie, że wręcz niecierpliwie oczekuje nadchodzącej bitwy.

- Racja - Razz podniosła się na słowo „walczyć” i pociągnęła za sobą oburzonego Ryu. - Może łaskawie wyjaśnisz Ryu i mnie, co mamy robić, kurwa?

Lecz okazało się, że nie ma czasu na strategię. Lee Uu zaatakował ostro i brutalnie, bez żadnych subtelných fint czy wyrafinowanych manewrów. Ponieważ tylko jeden wąski tunel prowadził do komory, Lee Uu nie martwił się, że zwierzyna ucieknie. Teraz, kiedy znalazł ich kryjówkę, musiał tylko szybko ich zabić, po czym narzucić swój autorytet niespokojnej, żalostnej zbieraninie dyplomatów, polityków i handlowców, tłoczących się ślepo wokół niego.

Elegancka tajemnicza ceremonia Zakonu została zepsuta. Członkowie zostali uwięzieni w wilgotnej, cuchnącej, mrocznej, opuszczonej kostnicy. I chociaż wciąż byli otepiali od kadzidła, oparów opium i narkotycznych śpiewów, Lee Uu wyczuwał, że zaczynają już zdradzać objawy groźnego niezadowolenia.

Przesunął się cicho pomiędzy nimi, wybrał dwóch prawie na chybił trafił i krótkim błyskiem latarki oświetlił wąskie wejście, prowadzące do Komnaty Czaszek. Obaj wzdrygnęli się na widok małego szkieleciku królującego nad wejściem, weszli jednak do tunelu i bezgłośnie zniknęli w ciemnościach.

3

Lee Uu nie usłyszał, jak umarli, tylko poczuł: szybki błysk strachu i potem nic. Cokolwiek ich zabiło, było zbyt szybkie jak na cios noża czy pięści.

- Ty i ty - powiedział, oświetlając dwóch następnych.

- Idźcie im pomóc.

Patrzył, jak kolejna para pochyła się pod nadprożem, potem w skupieniu zamknął oczy, kiedy nerwowo ruszyli wąskim tunelem. Ponownie poczuł błysk i ciszę, tym razem jednak rozpoznał przyczynę.

Drugi adept.

Co znaczyło, że mutacja Anglika się udała. Lee Uu sięgnął dalej i napotkał krawędzie obcego umysłu. Wydawał się rozbawiony i ledwie ludzki.

- Witam - powiedział drugi umysł. A potem zniknął razem ze swoim rozbawieniem... pozostało tylko zimne echo w ciemności.

W komnacie Alex zadygotał. Błef był niebezpieczny, ale chyba Alex nie dysponował niczym innym. Kiedy podniósł wzrok, Razz obserwowała go z pożądlivym wyrazem twarzy.

- Zabiłeś ich, prawda? - zapytała. Alex czuł, że chciała usłyszeć potwierdzenie.

Przytaknął i usta Razz rozciągnęły się w uśmiechu.

- Bez broni, bez kontaktu, bez hałasu. Musisz mnie tego nauczyć, kiedy znajdziemy trochę czasu. - Zsunęła dziecięce podczerwone okulary z powrotem na nos i ciasniej otuliła się pikowaną kevlarową kurtką. - A przy okazji - dodała niedbale

- właściwie ile czasu nam zostało?

- Minuta, może m-mniej - ubiegła Maxine Alexa. - Lee Uu robi przegrupowanie. Zakon działa na zasadzie umysłu-ula. Ale pan Uu jeszcze nie zdążył opanować grupowej woli. Nie jak dziadek...

Ryu usłyszał smutek w jej głosie i wyciągnął do niej rękę, zaraz jednak tego pożałował, bo Maxine wybuchnęła płaczem. Wciąż jeszcze próbował ją pocieszyć, kiedy Lee Uu przypuścił

35

główny atak. Nie przez wąski tunel, ale przez ścianę, płomienną kulą czystej energii, która o mało nie spopieliała Alexa na miejscu.

- Uderzenie danych - ostrzegł głuchy głos Makaiego gdzieś daleko we wnętrzu głowy, a jednocześnie pomarszczona twarz księcia Sabatiniego zmaterializowała się w polu widzenia, żeby przejąć wzrok Alexa. Niespokojne głosy krzyczały do niego w dziesięciu martwych językach.

- Dajcie mi spokój!

Wrzask odbił się echem od ścian komnaty i Alex zrozumiał, że krzyczał na głos.

- Pilnuj drzwi - polecił Razz.

Srebrna dziewczyna lekko poderwała się na nogi, wycelowała niedbale pomiędzy ścianę a stos czaszek i zrobiła gwiazdę na podłodze z ubitej ziemi. Uśmiechała się.

- Kryję - oznajmiła, zdejmując i odrzucając ciężką kurtkę.

- Spróbuj osłaniać mi plecy - zwrócił się Alex do Ryu - wyślesz ostrzeżenie, jeśli Lee Uu zajdzie mnie od tyłu.

Poczuł raczej, niż usłyszał zgodę młodego Japończyka, a potem zajął się gromadzeniem własnych mocy psychicznych i nie mógł już myśleć o innych.

Powoli rozdmuchał iskry w swojej głowie w pojedynczy płomień, który płonął rozpalony do białości w centrum umysłu. Spróbował dokonać projekcji płomienia i poczuł pogardliwe rozbawienie pana Uu.

Gniew pomógł mu podsycić ogień.

Następnym razem płomienie zmaterializowały się tam, gdzie chciał Alex, za ścianą jaskini, dokładnie pośrodku wzburzonego, niezadowolonego tłumu. Ktoś wrzasnął i Alex poczuł, że ognista kula została nagle ugaszona - chociaż żałosny skowyt trwał.

Ucichł po kilku sekundach i zapadła cisza.

- Lee Uu z-zabił swojego cz-człowieka - oznajmiła Maxine, lecz Alex nie usłyszał. Każda zmutowana komórka jego kory mózgowej, każdy podkreślony, wzmocniony biogliną zwój

mózdzku rozpaczliwie mobilizował swój potencjał, kiedy Alex koncentrował się na odparciu następnego ataku pana Uu. Istniało niebezpieczeństwo, że ogień wypełni całą komnatę i obróci ich w popiół, lecz umysł Alexa wchłaniał całe płomienie i ściągał tyle mocy Lee Uu, ile zdołał dosięgnąć.

A potem Alex sam przeszedł do ofensywy. Zaatakował szybko, dopóki Lee Uu miał uwagę rozproszoną przez własny kolejny ruch. Trzej ludzie Lee Uu wpadli do komnaty, lecz Razz natychmiast zabiła ich jednym płynnym, śmiertelnym kata, które złamało kręgosłup pierwszego, wbiło drugiemu roztrzaskaną przegrodę nosową do mózgu i przekłuło złamanym żebrem serce trzeciego.

Kiedy Maxine odbiła energetyczny cios, który rzucił ją tyłem o ścianę, Alex przypuścił ostateczny

atak, wkładając wszystko w jeden wybuch czystej mózgowej energii.

Lee Uu eksplodował - skóra złuszczyła się bąblami, płomienie skauteryzowały popękane żyły na twarzy, ścinając krew. Przypalone powieki skurczyły się, rogówki zostały ugotowane na mleczną opalizującą biel. Lecz zwęglone wargi bez końca poruszały się w inkantacji i Alex czuł, że energia Lee Uu zaczyna rosnąć.

Rozpaczliwie wznowił atak, wyciągnął ogień z umysłu. Bła-dobłękitne płomienie polizały ściany jaskini na zewnątrz, roz- « pełzły się po stropie i zbiegły na środku w ohydnie splątany węzeł.

Maxine kuliła się na ziemi, a Ryu pełnił straż nad jej drgającym ciałem, ściskając w rękę składany nóż. Daleko na granicy świadomości Alex usłyszał, jak Razz klnie z niedowierzaniem, używając azerbejdzańskich przekleństw, których nie wymawiała od dzieciństwa.

Niedowierzenie czuł również pan Uu, kiedy gorący taniec płomieni zwęglął jego ciało. Większość członków Zakonu już nie żyła. Trupy leżały pokotem na podłodze jaskini, z twarzami

35 E

zniekształconymi pod szylkretową patyną odwodnionej skóry. Pozostała garstka zbyt ciężko rannych, żeby walczyć, zbyt zaszokowanych, żeby uciekać.

Lee Uu płonął jak świeca, płomienie obejmowały jego ciało, mięśnie się smażyły, a podskórny tłuszcz wytapiał się i spływał po nogach jak wosk.

Twarz, wypalona na płasko, była prawie nie do rozpoznania. Białe zęby, pozbawione warg, szczyrzyły się w parodii gniewu, poczerniały język wciąż kształtował bezgłośnie wyrazy. Szklisty płyn z oczu wrzał na policzkach, dziura ziejąca na miejscu nosa zasysała płomienie prosto do płuc, które kipiały i trzaskały od pękających alweoli.

Ale pan Uu wciąż nie umierał.

Płomienie buchały z niego, kiedy wkroczył do komnaty. Żar odepchnął Razz od wejścia. Maxine płakała w kącie, lecz pomimo całego przerażenia wciąż podtrzymywała swoje mentalne bariery, wciąż osłaniała Alexa równie wytrwale, jak ją osłaniał Ryu.

- Prawie koniec - obiecał jej Alex.

Lee Uu zaśmiał się, żywa kolumna ognia, wyprostowana i podtrzymywana jedynie siłą woli.

Kiedy wszedł do komnaty, ogień z jego ciała rozlał się po podłodze, objął piramidy czaszek, niczym stado węży wpełzał do pustych oczodołów i wypełzał przez rozwarte szczęki.

Alex próbował - daremnie - powstrzymać płomienie. Przegrał, ponieważ przedtem Lee Uu walczył z zachłannym pożarem, a teraz go podsyczał. Zmuszał płomienie, żeby strzelały jeszcze wyżej, jeszcze bliżej miejsca, gdzie stał Alex.

Razz, Ryu i Maxine schronili się w kącie za plecami Alexa. Ryu desperacko próbował wykopać tunel dla Maxine swoim składanym nożem, ale wyraz jego twarzy świadczył, że to beznadziejne.

Maxine modliła się, odmawiała proste modlitwy z dzieciństwa.

353

- Dużo za późno - warknęła postać w drzwiach, kiedy Alex sięgnął głębiej w siebie.

Pod pewnym względem Lee Uu miał rację. Ponieważ Alex wezwał na pomoc Księcia i wszystkich innych Wielkich Mistrzów, którzy skowytali i bełkotali w ostępach jego umysłu, z pełną świadomością, że nie pozostało już w nim nic z człowieczeństwa - że walka rozgrywa się teraz na poziomach, jakich zwyczajne życie nigdy nie osiągnie.

I kiedy umysł Lee Uu wreszcie eksplodował w białym płomieniu myśli, piekło palących wspomnień runęło na Alexa. Skóra i ubranie jednocześnie zajęły się błękitnym ogniem. Gęsty, tłusty dym buchnął z ciała, śmierdzący spalonym mięsem.

W jego myślach pojawił się nieproszony, niechciany obraz Safony.

- Dużo za późno - warknęła postać w drzwiach, kiedy Alex sięgnął głębiej w siebie.

Pod pewnym względem Lee Uu miał rację. Ponieważ Alex wezwał na pomoc Księcia i wszystkich innych Wielkich Mistrzów, którzy skowytali i bełkotali w ostępach jego umysłu, z pełną świadomością, że nie pozostało już w nim nic z człowieczeństwa - że walka rozgrywa się teraz na poziomach, jakich zwyczajne życie nigdy nie osiągnie.

I kiedy umysł Lee Uu wreszcie eksplodował w białym płomieniu myśli, piekło palących wspomnień runęło na Alexa. Skóra i ubranie jednocześnie zajęły się błękitnym ogniem. Gęsty,

tłusty dym buchnął z ciała, śmierdzący spalonym mięsem.
W jego myślach pojawił się nieproszony, niechciany obraz Safony.

Patem

Amfetamina i czekolada

Kiedy wypuścili Alexa z sanatorium w Mont Sens w Szwajcarii, zostawił po sobie ściany zabazgrane płomieniami. Rysował je krwią, fusami z kawy, nawet własnymi ekskrementami. Lecz sanatorium nie zgłaszało skarg. Znane było z troskliwej, starannej opieki medycznej, a także z wysokości opłat.

Opłat, które w przypadku Anglika pokrywano szybko z numerowego konta w Hong Kong Suisse. A jeśli przyjaciele Anglika chcą, żeby go zostawiono z jego własnymi dziwnymi pomysłami, proszę bardzo.

Był zdrowy na ciele, jeśli nie na umyśle - ponieważ nikt inny nie widział okropnych oparzeń, które rzekomo szpeciły jego ręce, twarz i tors, jak sam twierdził. I nawet szczegółowe trójwymiarowe zbliżenia nieskazitelnej skóry Alexa nie przekonały go, że na jego ciele nie ma żadnych blizn.

To prawda, że dwaj specjalnie wynajęci młodzi lotewscy pielęgniarze pilnowali przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby się nie podpalił, ale poza tym mógł spędzać czas, jak mu się podobało. Nawet na rysowaniu płomieni.

355

Poza tym Herr Doktor miał powody nieznanego reszcie personelu, żeby przyznać temu konkretnemu pacjentowi większy niż zwykle margines tolerancji.

Anglika skierował do Mont Sens niejaki doktor Makai i żeby usunąć wszelkie ewentualne trudności, poprzez swoją budapeszteńską praktykę wykupił dyskretnie pięćdziesiąt jeden procent udziałów szwajcarskiej firmy.

f

Blues San Lorenzo

Pustelnik z San Lorenzo nikogo nie widywał. Dla wielu był mitem, jak yeti czy leśny człowiek. I chociaż niepotwierdzone artykuły prasowe podawały, że pustelnik potrafi wzniecać ogień czubkami palców i recytować wszystkie imiona Boga, nikt tego nie widział.

W przeciwieństwie do yeti i leśnego człowieka miał własny dom, skromnie umeblowaną chatę z wysuszonych glinianych cegieł. Nie założył w chacie elektryczności, bo jej nie potrzebował. Dnie były upalne, a na zimne noce miał grubą koc.

Jedzenie nie stanowiło problemu. Co wieczór akolita z misji przynosił tacę. Na tacy znajdował się okrągły bochenek chleba ksra i talerz czystej oliwy z oliwek. Najczęściej akolita był pełnym entuzjazmu studentem z Francji lub Ameryki, czasami nawet z Japonii. Wszyscy marzyli, żeby zobaczyć pustelnika. Nikomu się nie udało.

Najczęściej również razowy chleb pozostawał nie tknięty, a oliwa zmarnowana przez ćmy, które wpadały do talerza w nocy.

Nikt w misji nie wiedział, jak długo pustelnik tutaj mieszka - chociaż mieszkał krócej, niż większość ludzi przypuszczała. I tylko dwie osoby utrzymywały, że go znają.

Pierwszą był ambitny młody chirurg-audytory, który nosił swoje tuareskie dziedzictwo dumnie niczym colta zatkniętego

35E

za pas dżelaby. Drugą - chuda, nerwowa francuska arystokratka, która spędzała część każdej zimy za zamkniętymi drzwiami w M'dinie. Stale towarzyszyli jej kot imieniem Chi oraz młoda księżniczka mieszanej krwi arabskiej i sycylijskiej, lecz kota rzadko widywano, a księżniczka rzadko się odzywała, najwyżej do swojego ochroniarza.

Plotka głosiła, że Ryu Makimura, ochroniarz księżniczki Maxine de Pomerol Melusine, jest równie groźny jak piękny. Lecz plotka głosiła również, że francuska arystokratka nie tylko przyjaźni się z Księciem Cesarzem, lecz kiedy nie przebywa w M'dinie, kieruje Sekcją Trzecią z pałacowej rezydencji na Ile St. Louis. Więc kto wie, co było prawdą?

No, sprytny waśniak z yakuzy nazwiskiem Johnnie Mu-rakami wiedział. Ale to, co Johnnie

wiedział, zatrzymywał dla siebie. W połowę nikt by nie uwierzył, druga połowa była zbyt cenna. Lecz istniała jeszcze jedna osoba, która nie tylko знаła pustelnika, ale nawet miała wstęp do jego chaty. Chociaż w towarzystwie nigdy nie wspominała jego nazwiska ani jego udziału w tajemniczym, niewyjaśnionym paryskim porwaniu, które przed kilkoma laty ogołociło świat dyplomacji i polityki z tak wielu prominentnych osobistości.

Czasami jednak, kiedy w biznesie politycznych zabójstw i porwań panował rzadki zastój, szczególnie zawałowana kobieta łądowała na lotnisku w M'dinie, wynajmowała terenową toyotę atlas i wyruszała na pustynię Maghrebu.

Razz jechała na spotkanie z kochankiem.

żA

mj c'11 usaaICff« mi

>

.f

z

Spis treści

1.	Alex Doloroso.....	7
2.	Nowy walc śmierci.....	11
3.	Encyclopaedia Napoleónica.....	21
4.	Pocałunek Szatana.....	27
5.	Hong Kong Suisse.....	37
6.	Krionika w Marne.....	46
7.	Bławatkowy Blues.....	53
8.	Patykowaty człowiek Giacomettiego.....	60
9.	Deus ex machina.....	73
10.	Nowe bogi/Stare drogi	85
11.	Autostrada M25.....	100
12.	Zachód słońca nad Waterloo.....	111
13.	Wojownicy odwrotnego ukośnika.....	118
14.	Ratusz miejski.....	126
15.	Kaff Schrödingera.....	140
16.	SEI-IKI.....	149
17.	Mortdieu I.....	158
18.	Kinkenseiji (pieniądze-władza-polityka).....	164
19.	Mortdieu II.....	177
20.	Świt w M'dinie.....	183
21.	Safona.....	195
22.	Martwa natura z lodem.....	207
23.	Ptak śmierci.....	210
24.	Martwa natura po śmierci.....	221
25.	Pustynne drogi.....	228
26.	Kafkowskie kanaty.....	234
27.	I chromi chodzić będą.....	237
28.	Róże wokół drzwi.....	246
29.	Telewizyjny Armagedon.....	250
30.	Piosenki dla Drelli.....C.....	255
31.	Czaszka pod skórą.....	258
32.	Shakerowskie noce.....	264
33.	Dosi Pares.....	267
34.	Zapada ciemność.....	278
35.	Czaszka.....	286
36.	Pod skórą.....	296
37.	Gekokujo.....	304

38.	Interfejs Boga.....	312
39.	Zejsście pod ziemię.....	318
40.	Komnata Czaszek.....	325
41.	Wampir w gabinecie luster.....	333
42.	Procedury.....	343
43.	W głąb lustra.....	348
	Potem.....	355

Książkę wydrukowano na papierze offsetowym Amber Graphic 70 g/m2 dostarczonym przez koncern Aristic Paper

ih S

f

ARCTIC PAPER

www.arcticpaper.com

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa tel. (0-22) 827 7236, 6295083 e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: (0-22) 6286360, 6293201 Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Warszawa 2003 Wydanie I

Skład i łamanie: Magraf s.c., Bydgoszcz Druk i oprawa: Druk-Intro SA, Inowrocław